

2016 – ROK JASONA BOURNE'A.
POWRACA W NOWEJ KSIĄŻCE I NOWYM FILMIE.



ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT

LUDLUM

ODWET BOURNE'A

O książce

Poszukiwany przez władze supermocarstw – wymykał się...

Ścigany przez profesjonalnych zabójców – uchodził z życiem...

Wyznaczony na cel terrorystów – krzyżował im plany...

I ratował świat przed globalnym zagrożeniem.

Jason Bourne

Teraz chce tylko jednego:

ODWETU!

**Który zawiedzie go z Tel Avivu do Szanghaju,
Meksyku i wreszcie małej chińskiej wioski.**

Bourne, wciąż niepokodzony ze śmiercią ukochanej, na prośbę przyjaciela – szefa Mossadu – wkracza w wojnę między meksykańskimi kartelami narkotykowymi. Okazuje się, że jest w nią również wmieszany Ouyang Jidan, chiński minister – odpowiedzialny za zamordowanie Rebeki. Próbując zbadać powiązania Chińczyka z zabitym baronem narkotykowym, Bourne odkrywa, że chodzi o coś znacznie poważniejszego niż przemyt narkotyków.

ROBERT
LUDLUM

ERIC VAN LUSTBADER

ODWET BOURNE'A

Z angielskiego przełożył
JAN KRAŚKO



Wydawnictwo
A. Kurjaczka

Wydanie elektroniczne

ROBERT LUDLUM
(1927–2001)

Amerykański aktor, producent teatralny i pisarz. Zagrał w ponad 200 filmach telewizyjnych. Jako pisarz zadebiutował późno – mając 41 lat – powieścią **Dziedzictwo Scarlattich**. Od tej książki zaczęła się oszałamiająca kariera literacka twórcy gatunku nazwanego „thrillerem spiskowym”. Za jego życia ukazały się 24 powieści, sprzedane w ponad 300 milionach egzemplarzy, wśród nich tak znane jak *Tożsamość Bourne’a*, **Krucjata Bourne’a**, **Mozaika Parsifala** i **Protokół Sigmę**. Pośmiertnie – kilkanaście następných, z których większość powstała na podstawie pozostawionych przez niego notatek i szkiców. Proza Ludluma była wielokrotnie ekranizowana, najślawniejszy jest cykl filmów z Mattem Damonem w roli śmiertelnie niebezpiecznego agenta Jasona Bourne’a.

ERIC VAN LUSTBADER

Jest autorem ponad 25 bestsellerowych powieści, tłumaczonych na 20 języków i sprzedanych w 40 milionach egzemplarzy. Ukończył socjologię na Columbia College. Zanim zawodowo zajął się pisaniem, był producentem muzycznym i nauczycielem. Jest zafascynowany kulturą Wschodu.

Tego autora

REKOPIS CHANCELLORA
PROTOKÓŁ SIGMY
KŁĄTWA PROMETEUSZA
PIEKŁO ARKTYKI
CZWARTA RZESZA
KRYPTONIM IKAR
STRAŻNICY APOKALIPSY
MOZAIKA PARSIFALA
IMPERIUM AKWITANII
RAPORT TARQUINA
STRATEGIA BANCROFTA
ILUZJA SKORPIONA

Jason Bourne

TOŻSAMOŚĆ BOURNE'A
DZIEDZICTWO BOURNE'A
SANKCJA BOURNE'A
MISTYFIKACJA BOURNE'A
CEL BOURNE'A
ŚWIAT BOURNE'A
IMPERATYW BOURNE'A
ODWET BOURNE'A

Dynastia Matarese

TESTAMENT MATARESE'A
SPADKOBIERCY MATARESE'A

Paul Janson

DYREKTYWA JANSONA
ODYSEJA JANSONA

Spis treści

Prolog

Księga pierwsza. Dziesięć dni później

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Księga druga

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Księga trzecia](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Księga czwarta](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

Zivie dedykuję

Prolog

Las Peñas, Michoacán, Meksyk

Ekskluzywny ośrodek wypoczynkowy La Concha d'Oro istniał od jedenastu lat, ale nigdy dotąd nie widziano tam tak zaostrzonych środków bezpieczeństwa. Granice lądowe kurortu patrolowali czujni, uzbrojeni po zęby *federales*, półkolistej linii nabrzeża – motorówka, a za dwoma VIP-ami, dla których ośrodek opróżniono z gości, sprawdzono i zabezpieczono, jak rój pszczoł podążali ochroniarze z jednym jedynym zadaniem pilnowania powierzonych im w opiekę kwiatów.

À propos kwiatów. Były dwa, dwóch mężczyzn, Carlos Danda Carlos, nowo wybrany szef meksykańskiej agencji antynarkotykowej, i Eden Mazar, mosadowski specjalista od antyterroryzmu. Meksyk potrzebował wszelkiej możliwej pomocy w walce z zakorzenionym strachem i korupcją, dzięki którym trzy najpotężniejsze kartele trzymały kraj w żelaznym uścisku, i właśnie dlatego – jak trzy dni wcześniej dyrektor Mosadu wyjaśnił Jasonowi Bourne'owi – Carlos Danda Carlos zwrócił się do nich z prośbą o wsparcie.

Wykształcony w Stanach Zjednoczonych, nieustraszony reformator, niezłomny generał pragnący uwolnić kraj spod narkotykowego jarzma, według dyrektora należał do nowego rodzaju Meksykanów.

– Ci z Los Zetas – powiedział szef Mosadu – są najbardziej niebezpieczni głównie dlatego, że stworzyli kartel z elitarnej kadry żołnierzy, którzy zdezerterowali z meksykańskich sił specjalnych. – Położył Bourne'owi rękę na ramieniu. – Ale przy takiej ochronie to dla pana kaszka z mleczkiem. Niech pan po prostu pilnuje Mazara, a w czasie wolnym poopala się trochę i odpocznie.

– Nie pracuję dla pana. Nie pracuję dla nikogo, nigdy – odparł Bourne dość obcesowo, zważywszy na to, jak dyrektor traktował go, odkąd Jason przyjechał do Izraela po śmierci Maceo Encarnacióna.

W uśmiechu dyrektora pojawił się cień smutku i żalu.

– Rebeka była dla mnie jak córka. Od pogrzebu minął miesiąc, a pan wciąż nie wyjeżdża. To do pana niepodobne.

– Bo nie jestem już sobą – odparł Bourne. – Coś się we mnie zmieniło. Nic już mnie nie interesuje.

Dyrektor przyjrzał mu się uważniej. Drobny mężczyzna z rozwichrzoną czupryną siwych włosów należał do tych, u których każda zmarszczka zdaje się symbolem kolejnej śmierci i rozczarowania. Ogromną pulę zwycięstw starannie ukrywał.

– Pomyślałem, że ta wycieczka pomoże panu zapomnieć...

– Nic nie pomoże mi o niej zapomnieć – przerwał mu szorstko Jason.

Dyrektor kiwnął głową.

– Jest za wcześnie. Dobrze to rozumiem. – Rozejrzał się po nabrzeżu. – Cóż, może pan zostać dłużej, choćby kolejny miesiąc, ile pan chce.

Bourne zmarszczył brwi, szukając w tych słowach ironii, lecz jej nie znalazł. Dyrektor najwyraźniej nie drwił.

Lecz po chwili Jason zawahał się, rozważając swoje ograniczone możliwości.

– Chociaż – dodał – może ma pan rację. Może kolejne zadanie jest tym, czego potrzebuję.

I tak poznał Edena Mazara. Poleciał z nim tym samym prywatnym samolotem dostarczonym im wraz z grupą ochroniarzy przez Mosad, i wysiadł na tym samym małym prywatnym lotnisku zarezerwowanym wyłącznie dla gości La Concha d’Oro, które meksykańscy *federales* zamknęli i obstawili czterdzieści osiem godzin przed ich przybyciem.

A teraz stał niecałe dwa metry od tych dwóch egzotycznych kwiatów i ich ochroniarzy, lustrując wzrokiem okolicę i wypatrując kłopotów, których nie mogło tu po prostu być. Sęk w tym, że znowu znalazł się w Meksyku i chociaż był daleko od Mexico City, gdzie zabito Rebekę, jego umysł wciąż wypełniały zapachy i obrazy jej śmierci na tylnym siedzeniu taksówki pędzącej apokaliptycznymi ulicami.

Być może dyrektor nie spodziewał się, że tak szybki powrót Jasona do kraju, gdzie zginęła, będzie miał na niego jakiś wpływ, lecz równie dobrze mógł zasugerować ten wyjazd celowo. Gdy spadniesz z konia, od razu na niego wsiądz, to najlepsze lekarstwo.

Możliwe, lecz nie tym razem.

Chociaż Bourne nie do końca zdawał sobie z tego sprawę, Rebeka przebiła jego zbroję i ugodziła go w samo serce. Jej śmierć bolała jak rana, która nie chce się

zagoić. Znałem wiele takich kobiet jak ona, myślał. Ale zaraz potem przychodziła następna myśl: Nieprawda, bo takiej nie znałem.

Nie nawykł do tego rodzaju rozważań, ponieważ liczne próby ogniowe zahartowały jego psychikę do tego stopnia, że był pewny, iż nic nie jest w stanie go na długo zmienić, może nawet nie zmieni go nigdy. Jednak śmierć Rebeki, w połączeniu ze śmiercią wszystkich tych, którzy próbowali się do niego zbliżyć, była stratą, która go dusiła, grzebała żywcem w ziemi. W sumie nic dziwnego. Był chodzącym trupem, odkąd wyłowiony przez rybaków z mrocznych wód Morza Śródziemnego otworzył oczy i na widok obcego otoczenia uświadomił sobie, że stracił pamięć, przeszłość i życie.

Eden Mazar, schodzący właśnie z barwnie pomalowanego drewnianego występu ośmiokątnej altany z widokiem na Pacyfik, przypomniał mu, że po raz kolejny znalazł się na obcej ziemi. Lecz tym razem czuł się zagubiony jak kapitan, który nie umie nawigować według mapy ani według gwiazd.

– To żalotne – zadudnił półgłosem Eden. – Albo brakuje im silnej woli, albo są zbyt skorumpowani, żeby wystąpić przeciwko kartelom w zorganizowany sposób. Tak czy inaczej, nic tu po mnie. Rząd stracił władzę. Oddał ją kartelom. Po kolacji wyjeżdżamy.

Bourne skinął głową.

Eden odwrócił się, zawahał i podszedł do niego z drwiącym uśmiechem.

– Nudzi się pan?

– Dlaczego tak pan uważa?

– Widzę pańską twarz. Widziałem pańskie akta.

Jason drgnął. Trochę go to zaniepokoiło, lecz nie zaskoczyło. A więc Mosad założył mu teczkę. Zastanawiał się tylko, jak szczegółową.

– Nie ma pan tu nic do roboty – ciągnął Eden. – To nie pańska branża, prawda? Jest pan ekspertem od infiltracji i likwidacji. Dlatego dyrektor tak pana lubi.

– Nie wiedziałem, że tyle się o mnie u was mówi.

Eden uśmiechnął się łagodnie.

– Był pan bliski Rebecy. Jak nikt inny przedtem.

Nagle Bourne wszystko zrozumiał.

– I teraz tylko ja go z nią łączę. Jestem jego jedynym żyjącym ogniwo.

– Była wyjątkową kobietą i znakomitą agentką. Brakuje nam jej, nikt jej nie zastąpi. Śmierć Rebeki była dla nas strasznym ciosem. I wymaga odwetu.

– Jak to w Mosadzie, prawda?

Mazar nie odpowiedział.

– Muszę wracać do Carlosa. To porządny człowiek, ale jeśli chodzi o wprowadzanie zmian, o zorganizowanie skoordynowanej akcji przeciwko kartelom, ma związane ręce. Jak mówiłem: żałosna sprawa.

Jason zmarszczył brwi.

– Właściwie po co pan tu przyjechał? Dlaczego Mosad interesuje się meksykańskimi kartelami?

– Nie spytał pan o to dyrektora?

Bourne uświadomił sobie, że popełnił błąd. Powinien był spytać. Pewnie go zaćmiło.

– Ale odpowiedź jest chyba oczywista – dodał z uśmiechem Eden. – Prawda, Jason?

Ruszył z powrotem do cieniejszej altany, gdzie cierpliwie czekał Carlos wraz z grupą doborowych ochroniarzy. Bourne odprowadził go wzrokiem. Od morza powiał chłodny wiatr, który potargał mu włosy i przypawił o gęsią skórę. Co Eden chciał przez to powiedzieć? Czyżby Mosad wiedział o odkrytych przez niego związkach między Encarnaciónem, meksykańskimi kartelami i chińskim rządem? Czyżby Rebeka pracowała nad tym, zanim się poznali? Postanowił, że wyciągnie to z Mazara jak nie jednym sposobem, to drugim.

Słyszając monotonne buczenie, podniósł wzrok i wysoko na niebie zobaczył mały samolot. Zmrużył oczy i dostrzegł pływaki. Hydroplan. Osłoniwszy twarz ręką, zauważył, że załoga łodzi patrolowej też dostrzegła nadlatującą maszynę. Na pokładzie zapanował ruch, błysnęły lufy karabinów.

Stojący w altanie ochroniarze Edena tego nie widzieli. Jason wszedł na schody, żeby ich ostrzec, gdy wtem ludzie Carlosa Dandy Carlosa wyjęli maczety i ścięli im głowy.

Zbryzgany krwią Eden zaczął odwracać się w chwili, gdy Bourne do niego dotarł, lecz Carlos wymierzył w Jasona z magnum i ostrzegawczo pokręcił głową. I wtedy jeden z goryli ciął Edena w szyję tak mocno, że odcięta głowa poszybowała łukiem w górę i łagodnym zбочem stoczyła się na plażę, gdzie musnęły ją delikatnie turkusowe fale omywające ciepły piasek.

Bourne zaryzykował i rzucił się na ochroniarza z maczetą. Wyrwał mu ją z ręki i dźgnął go w mostek, przebijając skórę i ciało, miażdżąc kości.

Nagle rozległ się ogłuszający huk i niemal w tym samym momencie potężne uderzenie kuli, która przeszła mięsień lewej ręki, pchnęło go do tyłu.

Jason głucho stęknął, przeleciał przez drewnianą barierkę i stoczył się na plażę.

...

Wiele godzin później, gdy wreszcie doszedł do siebie, słońce chyliło się już ku zachodowi, barwiąc niebo, morze i piasek na kolor krwi. Leżał obok głowy Edena, która podskakiwała na wodzie jak dziecięca zabawka, czarna od krwi, porzucona.

Widział jak przez mgłę, więc odwrócił się i zamrugał. Nikogo. Ośrodek wypoczynkowy opustoszał.

Kołysząca się łagodnie głowa trącała go lekko, obracając się powoli i nieubłaganie niczym Ziemia, na której z każdym obrotem noc ustępuje miejsca dniu. Oczy Edena, już zmatowiałe, patrzyły na niego oskarżycielsko. Jason otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, lecz załapała go fala gwałtownego bólu i znowu zapadł w litościwy niebyt.

Księga pierwsza

Dziesięć dni później

Rozdział 1

Zgodnie z tradycją dyrektora Mosadu nazywano w firmie Memune, „pierwszym pośród równych”. Nie Elim Jadinem, tylko Memune. „Mam nazwisko”, nalegał dyrektor na pierwszym spotkaniu z nowymi rekrutami. „Używajcie go”.

Jadin był zazwyczaj optymistą – w tej pracy albo się nim było, albo po półtora roku służby strzelało się sobie w łeb. Ale tego dnia był smutny. Co gorsza, opuścił go cały optymizm. Być może przez Amira Ofira, który siedział naprzeciwko niego na pokładzie żaglówki, najbezpieczniejszego miejsca w Tel Awiwie, może nawet w całym Izraelu.

Ofir był szefem Metsady, Wydziału Operacji Specjalnych. Metsada, wraz z podlegającym jej Kidonem, zajmowała się mokrą robotą, zabójstwami, sabotażem, projektami paramilitarnymi i wojną psychologiczną. W przeciwieństwie do dyrektora Ofir miał ciemną cerę i włosy oraz szeroko rozstawione oczy, czarne jak u kruka. Duszę też miał czarną, przynajmniej według Jadina.

– Memune, naprawdę pana nie rozumiem. – Pokręcił głową. – Kiedy działał, był ciężarem, nawet kulą u nogi. Ale już po nim, już nie podziąła. Wylądował na śmietniku. Meksykanie nie tylko zabili Edena. Oni go także zbeczcęścili. To niedopuszczalne. Muszą za to zapłacić.

– Czyżbyś mnie pouczał, Amir?

– Ależ skąd, oczywiście, że nie – zaprotestował szybko Ofir. – Daję tylko wyraz swemu oburzeniu, oburzeniu całej naszej rodziny.

– Ja też jestem oburzony. I wierz mi, ci zbrodniarze zostaną ukarani.

– Zemścimy się, opracuję...

– Niczego nie opracujesz – przerwał mu szorstko dyrektor.

– Słucham?

– Stoi za nimi Ouyang Jidan. Uruchomiliśmy już szerszy plan.

Ofirowi pociemniała twarz.

- Nic mi pan o tym nie mówił.
- Właśnie powiedziałem – rzucił obojętnie Jadin.
- Jakież szczegóły?
- Kategoryzowanie.

Ofir zdawał się urażony tym jawnym odtrąceniem.

- Nie ufa mi pan?
- Nie pleć bzdur.
- W takim razie...

Dyrektor spojrział mu w oczy.

- Częścią tego planu jest Bourne.

Ofir ściągnął usta i pogardliwie prychnął.

Jadin podniósł rękę.

- No dobrze. Widzisz...
- Posłuchaj mnie, Memune. Za Bourne'em podąża śmierć. Najpierw Rebeka, teraz Eden. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wprowadziłeś go do naszej rodziny.

- Wiem, że Eden był ci bliski.
- Eden Mazar był jednym z moich najlepszych ludzi.
- Bardzo ci współczuję, ale Bourne ma dla nas strategiczne znaczenie.
- Bourne się wypalił. Nikomu na nic się nie przyda.
- Jestem innego zdania.

Ofir uniósł brew.

- Nawet gdyby miał pan rację, w co szczerze wątpię, czy to „strategiczne znaczenie” było warte życia Edena Mazara?

- Amir, Amir... Tylko Bóg może to rozsądzić.

- Tak – prychnął Ofir. – Bóg jest wszędzie i nigdzie. Prawda jest taka, że nie ma nic wspólnego z naszą profesją. Gdyby naprawdę istniał, Mosad i Kidon byłyby niepotrzebne.

Niestety, dyrektor dobrze wiedział, o co chodzi Amirowi. Gdy przerażenie chwyciło za serce, powoli wyciskając z niego życie, miał wrażenie, że Bóg opuścił swój wybrany lud. Lecz takie myśli były bardzo destrukcyjne.

- Lepiej nie mieszajmy w to Boga. – Nie zabrzmiało to jak rozkaz, choć rozkazem było. Jak to w Mosadzie. – Mylisz się, przypisując Bourne'owi śmierć Rebeki i Edena. Był jej zwiastunem, ale na pewno nie powodem.

- Nie ochronił Rebeki.

– Rebeka nie potrzebowała ochrony – warknęła Jadin. – Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć o tym najlepiej.

– A Eden?

Dyrektor wstał. Zmienił się kierunek wiatru i musiał przestawić żagle. Gdy uznał, że wszystko jest jak trzeba, wrócił na miejsce i spojrzał Ofirowi w oczy.

– Amir, boję się, że znaleźliśmy się w sytuacji, która nas przerasta. Potrzebujemy pomocy.

– Mogę zapewnić dosłownie każdą.

Jadin pokręcił głową.

– Chyba nie. Nie tym razem.

– Memune, błagam. Bourne’owi nie można ufać. – Oczy Ofira zrobiły się jeszcze czarniejsze i groźniejsze. – To obcy – podkreślił dobitnie. – Nie należy do rodziny.

Dyrektor pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i złożył ręce jak do modlitwy.

– Mimo to będzie, jak mówię, bo tylko on może nam pomóc.

• • •

Siedząc w cieniu prastarej budowli, Jason patrzył, jak słońce tnie morze na brylantowe kawałki. Wyobraził sobie, że te roziskrzone odbłaski są wyskakującymi z wody rybami i chciał każdą z nich dokładnie opisać, lecz przeszkodził mu widok głowy Edena Mazara szybującej nad altaną i staczającej się na plażę.

Brylantowe kawałki zmieniły się w deszcz krwi i znowu zobaczył szkliste, oskarżycielskie oczy Edena. Szybko zacisnął powieki tylko po to, by zamiast niego ujrzeć Rebekeę umierającą na tylnym siedzeniu taksówki.

Wznosił się nad nim łuk starożytnego akweduktu zbudowanego w pierwszym wieku przed naszą erą, za panowania Heroda Wielkiego. Trzysta lat później, gdy Cezarea znacznie się rozrosła, akwedukt wydłużono, by doprowadzał zimną, krystalicznie czystą wodę z oddalonych o dziesięć kilometrów źródeł u stóp góry Karmel. Sąsiadującym z ruinami starego miasta kurortem zarządzała dziś prywatna korporacja.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że na wyspie jego prywatnego cienia pojawiła się jakaś postać, i zdenerwował się jeszcze bardziej, bo nade wszystko chciał być teraz sam. Odwrócił się, by dać wyraz niezadowoleniu, i zobaczył

dyrektora Mosadu ubranego jak zwykle w lekki lniany garnitur. Jedyńm ustępstwem, jakie zrobił, idąc na plażę, było to, że włożył wypolerowane na błysk buty ze skórzanej plecionki.

– Trudno było pana znaleźć – powiedział Jadin. – Co pewnie znaczy, że pan tego nie chciał.

Ponieważ Jason nie odpowiedział i znowu spojrział na morze, dyrektor podszedł bliżej i usiadł obok niego.

– Za wcześnie wyszedł pan ze szpitala.

– Kwestia opinii – mruknął Bourne.

– Lekarze uważają, że...

– Znam swoje ciało lepiej niż oni – uciął Jason.

Przez chwilę siedzieli w niezręcznej ciszy. Młode dziewczęta w skąpych bikini, śmiejąc się i wesoło krzycząc, wbiegły do wody, by przerwać zabawę swoim grającym we frisbee chłopcom. Ktoś fotografował akwedukt. Matka prowadziła plażę dwoje dzieci, energicznie wycierając ręcznikiem ich ociekające głowy. W słonym powietrzu unosił się zapach olejku do opalania i świeżego potu.

– Jak ramię?

– W porządku – odparł Bourne. – Po to pan przyszedł? Żeby spytać, jak się czuję? Dzięki, ale nie potrzebuję pomocy.

– Wcale nie zamierzam panu pomagać – powiedział szorstko Jadin. I ciężko westchnął. – Jason, może chce pan zrezygnować...

– Nie chcę. Chcę tu tylko posiedzieć.

– Nic nie robiąc i myśląc tylko o niej.

– Nie pana sprawa, o czym myślę.

– Dzień w dzień na plaży... To do pana niepodobne.

Bourne milczał.

– Cóż, tacy jak my odpoczywają dopiero po śmierci – dodał oschle dyrektor. – Ale nie przyszedłem tu, aby zastanawiać się nad zaletami życia. Przyszedłem powiedzieć, że pańscy wrogowie wciąż pana szukają.

– Śmierć Edena dowodzi, że nie jestem jeszcze gotowy.

– Nikt nie mógł go ocalić, nie przed zdradą Carlosa. Niech pan nie zapomina, że Mazara chronili najlepsi ludzie. Błyskawicznie ich zlikwidowano. Zrobił pan, co było w pańskiej mocy.

– Nieprawda. Dawniej...

– Dawniej to dawniej – przerwał mu Jadin. – Przeszłość to przeszłość. Musimy zająć się teraźniejszością.

Na plażę wyszło dwóch ponurych ochroniarzy dyrektora. Zatrzymali mężczyznę, który robił tam zdjęcia, zawrócili go i odpędzili.

– Szybko pana znalazłem – ciągnął Jadin. – Ouyang Jidan też.

Jason zmrużył oczy w oślepiającym blasku słońca. Czyżby kręcący się na plaży fotograf był Chińczykiem?

Dyrektor wyjął cygaro, lecz nie zapalił go, tylko obracał w palcach jak czarodziejską różdżkę.

– Jason, niech pan nie myśli, że Ouyang nie śledzi sytuacji. – Na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia i pocieszenia. – Zawstydził go pan, Ouyang stracił przez pana twarz. Zaatakuje wtedy, kiedy będzie pan najbardziej bezbronny.

Bourne spojrzał na niego i spytał:

– Czy Rebeka o nim wiedziała?

– Co? Nie.

– Kto wiedział oprócz pana?

Jadin westchnął.

– Szef Metsady. Amir Ofir.

– W takim razie dlaczego Ouyang kazał ją zabić?

Dyrektor znieruchomiał. W prawej skroni pulsowała mu żyła.

– Nie Ouyang, tylko Encarnación.

– Nie – odparł Bourne. – Nieprawda.

Rozdział 2

– Dobrze. – Quan, mistrz wushu, niedbałym ruchem rzucił mu *jian*, długi jednoręczny, obosieczny miecz, tradycyjnie używany przez szlachetnie urodzonych i adeptów sztuki. Gdy Ouyang Jidan złapał go wprawnie za rękojęść, mistrz rozkazał: – Styl Białego Węża.

Ouyang zastygł bez ruchu na środku sali. Trzech mężczyzn, z którymi od dwudziestu minut walczył stylem Czerwonego Feniksa, podniosło broń. W przeciwieństwie do Ouyanga używali *dao*, krótkich, jednosiecznych chińskich mieczy bojowych. Wszystkie były zrobione ze stali węglowej, zamiast z drewna. Z drewnianymi mieczami ćwiczebnymi Ouyang pożegnał się już przed laty. W wushu jest dwadzieścia dziewięć stopni wtajemniczenia – on miał piętnasty.

Quan, drobny, niemalże filigranowy mężczyzna, był – jak wszyscy wielcy mistrzowie – człowiekiem starym. Lecz starym tylko pod względem liczby lat. Poruszał się jak trzydziestolatek, podczas gdy jego umysł wypełniała mądrość płynąca z wielu dziesięcioleci ćwiczeń. Miał dwudziesty dziewiąty stopień wtajemniczenia.

– Do ataku! – rzucił do trzech mężczyzn.

Gdy tamci ruszyli, Ouyangowi nie drgnął ani jeden mięsień, był jak oaza spokoju w oku nadciągającego cyklonu. Mężczyźni – wysoki, średniego wzrostu i niski – zaatakowali jednocześnie techniką chińskiego miecza prostego, długimi, płynnymi ruchami.

Niski nadbiegł pierwszy, zadając cios, który miał rozłupać mu czaszkę. Ouyang odparował uderzenie, nie poruszając nogami ani tułowiem. Śmignęły jedynie ramiona, stal uderzyła w stal, posypały się iskry i zaskoczony napastnik zrezygnował z dalszego ataku w chwili, gdy kolega, ten wysoki, zadał Ouyangowi cios, który miał przebić ciało aż do kręgosłupa. Krótkim ruchem nadgarstka, ani ekstrawaganckim, ani lekceważącym, minister odbił miecz przeciwnika, kierując go w bok.

Ten średniego wzrostu zaatakował zupełnie inaczej. Specjalizował się w technice Świętego Kamienia, tak jak Ouyang. Niemal pięć minut pozostawali naprzeciwko siebie stopa w stopę, poruszając jedynie rękami i bronią, dopóki Ouyang nie podciął go nietypowym kopnięciem.

Mężczyźni cofnęli się i zaatakowali z trzech stron naraz, ten średniego wzrostu przechodząc płynnie na technikę Ognistego Tańca. Przez nieskończenie długą chwilę stal uderzała w stal, sypały się iskry, a salę wypełniała mgła błyskawicznych ciosów. Napastnicy próbowali pokonać Ouyanga wiele razy, a on za każdym razem parował atak, by w końcu z zapierającą dech w piersi wprawą obezwładnić ich i rozbroić.

•••

– Cóż – powiedział pułkownik Sun, gdy po krótkiej ceremonii Ouyangowi przyznano szesnasty stopień wtajemniczenia. – Nawet ja jestem pod wrażeniem.

Ouyang spojrział na niego, trzymając głównię miecza na bezwłosym przedramieniu.

– Może się spróbujemy?

Pułkownik stłumił śmiech i pokręcił głową.

– Reprezentuje pan starą szkołę, panie ministrze. Nigdy nie uczyłem się technik miecza prostego.

– Pewnie są dla pana zbyt proste. – Ouyang schował miecz do pochwy z nabożeństwem, którego Sun nigdy by nie zrozumiał. – Ma pan duże braki, pułkowniku.

Sun znowu stłumił śmiech, lecz zrobił to z nutką niepokoju i cichego zawodu. Przystojny, o lekko skośnych oczach i kościach policzkowych jak u Mandżura, miał dopiero trzydzieści lat i jak na tak wysokiej rangi oficera był bardzo młody. Ouyang, jego mentor, ciągnął go za sobą, nadzorując jego szybką karierę wojskową. Sun, inteligentny i dociekliwy jak Ouyang, należał do młodych parweniuszy, którzy kiedyś – miał nadzieję – zapewnią Państwu Środka światową hegemonię, na jaką Chińczycy tak bardzo zasługiwali.

– Zmieniłem zdanie co do ministrów, którzy podejmują decyzję, siedząc w biurze i przekładając papierki – powiedział pułkownik.

Ouyang uśmiechnął się figlarnie.

– Jestem wyjątkiem – odparł. – Jedynym wyjątkiem.

•••

Siedzieli w prywatnej sali jadalnej w hotelu Hyatt na Bundzie, którą zarezerwowano specjalnie dla ministra. Pili kawę ze Starbucksa i jedli amerykańskie śniadanie, ponieważ Ouyang uparł się, żeby w ramach przygotowań do objęcia światowej hegemonii nauczyli się przynajmniej tolerować to jedzenie. Z okien roztaczał się widok na szanghajskie lotnisko Pudong i roziskrzony łuk Bundu, jednej z najsłynniejszych w świecie nadmorskich promenad.

Pułkownik, który miał dość zagranicznej kuchni, odłożył widelec i powiedział:

– W Cezarei zatrzymano jednego z naszych.

Ouyang zmarszczył brwi.

– To niedobrze.

Sun przepłukał usta łykiem wody i kiwnął głową.

– Widziano Jasona Bourne’a – dodał. – Z dyrektorem Jadinem.

– Cholera jasna – mruknął minister – on jest jak karaluch, nie można go zabić!

Przekonał się pan o tym na własnej skórze w rzymskich katakumbach. Próbował pan dwa razy i dwa razy pan zawiódł.

Pułkownik skrzywił się i zmarkotniał.

– Wszyscy zawiedli. Co nie znaczy, że zawiodę po raz trzeci.

Ouyang kiwnął głową.

– Byłoby miło. No i oczywiście dostałby pan kolejny awans. – Wytarł usta. – A teraz proszę mi opowiedzieć o tej meksykańskiej operacji.

– W Las Peñas popełniono błąd – syknął z wściekłością Sun. – Ci Meksykanie! Ci ludzie nie umieją samodzielnie myśleć, nie można im ufać. Chociaż kiedyś działało to na naszą korzyść. – Zawahał się, nie wiedząc, jak ująć w słowa kolejną myśl. – No i jest jeszcze Maricruz.

Ouyang zeszywniał.

– Cóрка Maceo Encarnacióna jest wyjątkiem od reguły.

– Ale to ona skontaktowała nas z Meksykanami – zauważył pułkownik.

– Co kiedyś działało na naszą korzyść – odparł minister, celowo przedrzeźniając protegowanego.

– Kłęska w Dahr el Ahmar, to, że nie udało nam się zdobyć danych technicznych opracowanego przez Izrael procesu wzbogacania uranu światłem laserowym, nie tylko pokrzyżowało nasze afrykańskie plany, ale też dało Cho Xilanowi amunicję, której potrzebuje, żeby uniemożliwić nam wytyczenie nowej drogi dla Chin.

Cho był sekretarzem potężnego ugrupowania partyjnego w Chongqing, głównym rywalem Ouyanga w Komitecie Centralnym. Odłam z Chongqing, zwany również Partią Czystego Nieba, słynął z konserwatywnych poglądów na temat utrzymania obowiązującej od lat polityki izolacjonizmu i nieangażowania się w sprawy Zachodu. Rozłam między frakcją konserwatywną i liberalną został ujawniony, gdy doszło do publicznego potępienia Bo Xilaa, wydalenia go z partii, skazania na dożywotnie więzienie i aresztowania jego żony pod zarzutem zamordowania brytyjskiego biznesmena.

– Niech pan posłucha, pułkowniku – rzekł Ouyang. – Od chwili, gdy prezydent postanowił zwołać zjazd partii, wszystko się zmieniło. Za dwa tygodnie sfinalizujemy nasze plany i prześlemy władzę młodemu pokoleniu. Chcę być jednym z nowych przywódców. I zrobię wszystko, żeby nie był nim Cho Xilan. Wyniesiono go na stanowisko po procesie Bo Xilaa. Trzeba go pogrążyć, wplątać w spisek z byłym przywódcą frakcji z Chongqing. Musimy znaleźć jakiś sposób.

Sun zastanawiał się przez chwilę.

– To nie będzie łatwe. Cho ma wielu potężnych przyjaciół.

– A czy kiedykolwiek robiliśmy coś łatwego? – Widelec Ouyanga zawisł w połowie drogi do ust. – Proszę posłuchać. Trudno się było spodziewać, żeby Meksykanie zlikwidowali Bourne’a, człowieka, o którym nic nie wiedzą. Carlos zrobił to, co mu kazano, i w rezultacie Mosad zainkasował kolejny cios. Najpierw ich najsukuczniejsza agentka Rebeka, a teraz Eden Mazar.

– Cóż, zatem nic dziwnego, że Jadin próbuje dogadać się z Bourne’em.

– Tak, pytanie tylko, dlaczego Bourne go słucha. – Ouyang przeżuł w zadumie kawałek bekonu z jajkiem. – Co robił z Mazarem w Las Peñas? Ochraniał go? Jest samotnikiem, nie lubi pracować dla rządu, nie ufa żadnym agencjom. – Pokręcił głową i spojrzał na skrzące się w słońcu szanghajskie wieżowce. – Zmieniło się coś ważnego. Musimy dowiedzieć się co.

Sun zmarszczył czoło.

– Nie bardzo rozumiem...

– Bourne jest nieprzewidywalny, zawsze taki był. Nie możemy dopuścić do tego, żeby on albo Mosad popsuli nam szyki.

– Mosad? Wciąż pana niepokoi? Przecież Rebeka nie żyje.

– Zważywszy na to, co wiemy, istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że pod wpływem Jaina Bourne pójdzie w jej ślady.

– Wciąż nie rozumiem...

– Nic więcej nie musi pan wiedzieć, pułkowniku. – Ouyang spojrział w okno. – Niech pan skupi się na Bournie. Od tej chwili jest pańskim celem.

•••

Jason wynajął pokój w anonimowym motelu w zapuszczonej dzielnicy Cezarei, z dala od eleganckiego centrum turystycznego, gdzie bawili bogaci. Bielone kamienne ściany motelu były pokancerowane, jakby wciąż żyły przeszłością. Przybytek nie był jednak anonimowy na tyle, żeby wyglądający na turystę mężczyzna z podręczną torbą w rękę nie znalazł go i nie wynajął tam pokoju, płacąc gotówką za jednodobowy pobyt. Kiedy recepcjonista odwrócił się, by sięgnąć po klucz, turysta zerknął na monitor komputera, by sprawdzić, w którym pokoju mieszka Bourne.

Miał zupełnie nijaką twarz, tak że już kilka minut później recepcjonista nie potrafił jej sobie przypomnieć. Tymczasem on wszedł na drugie piętro i stanął przed drzwiami pokoju Jasona Bourne'a.

Postawił torbę, rozpiął ją, wyjął winylową płachtę, potrząsnął nią, a wtedy płachta zmieniła się w kombinezon. Gdy mężczyzna naciągnął go na siebie i zapiął, wydawało się, że jego ciało zniknęło. Potem włożył plastikowe ochraniacze na buty i lateksowe rękawiczki.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się, rejestrując wszystko zimnym okiem klinicysty. Metodycznie przeszukał wszystkie szuflady i półki, zajrzał pod łóżko i za wszystkie obrazy, odkładając każdy przedmiot dokładnie na to samo miejsce i pod tym samym kątem, jak go zastał. Nie znalazłszy nic interesującego, wszedł do łazienki. Pomacał za zbiornikiem toalety, podniósł porcelanową pokrywę i zajrzał do środka. Na umywalce stała szklanka. Trzymając ją za brzeg i denko, rozpylił biały proszek na jej zakrzywionym boku. Na szkle momentalnie pojawiło się kilka odcisków palców. Mężczyzna przyłożył do nich kawałek specjalnej taśmy klejącej, po czym ostrożnie ją oderwał. Przeniesione na folię linie papilarne były doskonale odwzorowane i zabezpieczone.

Chwilę później, cichy jak duch, wyslizgnął się z pokoju. Zdjął kombinezon i ochraniacze i schował je do torby. Wciąż w rękawiczkach, metalowymi schodami zbiegł na dół, przez nikogo niezauważony wyszedł na ulicę tylnymi drzwiami i zniknął w oślepiającym blasku słońca.

Rozdział 3

– Mój świat – mówił dyrektor Jadin, spoglądając na łamiące się ciemnoniebieskie fale – jest czarno-biały. Szarości zostawiam innym. Moja praca każe mi dzielić świat na dwa obozy: na bohaterów i złoczyńców, na tych, którzy mi pomagają, i tych, którzy przeciwko mnie knują. W tej branży nie można pozwolić sobie na luksus niezdecydowania, ponieważ po drugiej stronie nocy zawsze czyha zguba i zagłada.

Skończywszy załoty, młode dziewczęta i chłopcy wybiegli z wody na plażę, demonstrując dorodne i jędrne, opalone na brąz ciała.

– Wie pan – ciągnął Jadin – piękno młodego ciała docenia się w pełni dopiero w pewnym wieku. – Spojrzał na Bourne'a. – Częścią mojej pracy jest narażanie tych ciał na ryzyko i nie mam nawet czasu na to, żeby tego żałować. Moją jedyną kochanką jest konieczność.

– Co to ma wspólnego ze mną i Ouyang Jidanem? – spytał Jason z podbródkiem wspartym na złożonych rękach.

Dyrektor odchrząknął.

– Wbrew temu, co powiedziałem, w każdym pokoleniu rodzi się ktoś z wyjątkowymi umiejętnościami, pomysłowością i skłonnością do ryzyka, cechami, które nie mieszczą się w moim wszechświecie. Takim kimś jest pan. I Ouyang Jidan. Dlatego nie dziwi mnie, że wasze drogi się skrzyżowały. W jakiś tajemniczy sposób odnaleźliście się, może po prostu dlatego, że przeciwności się przyciągają.

Jadin przestał bawić się cygarem, włożył je do ust i niespiesznie przypalił. Jego oczy rozbłysły złowieszczą w blasku płomienia i na chwilę otoczyła ich chmura aromatycznego niebieskawego dymu, którą wiatr szybko rozwiął.

– Dziesięć lat temu – mówił dyrektor – Ofir i ja prowadziliśmy pewną operację w Syrii. Służyliśmy wtedy w Kidonie. Operacja była ściśle tajna, bardzo niebezpieczna nie tylko dla nas, ale i dla Izraela. – Roześmiał się, nagle i nieoczekiwanie. – Biuro zabójstw, tak siebie nazywaliśmy. Co za idioci! – Szybko spowaźniał. – Wracając do Syrii. Infiltracja i likwidacja, z takim zadaniem nas wysłano. Pańska specjalność, Jason. Jak się okazało, nie byliśmy jedyni.

Zamilkł i przyjrzał się czubkowi cygara, który żarzył się istic piekielnym żarem.

– Pamięta pan generała brygady Wadiego Chalida, szefa syryjskiego wywiadu? Nazywaliśmy go ministrem od sraczy.

Ściągnął usta, żeby wypuścić dym, lecz nagle odwrócił się i rozkaszał. Smuga dymu zawisła nad jego głową jak wieniec i po chwili zniknęła.

– Zapewne pan pamięta – kontynuował, doszedłszy do siebie – że Chalid był twórcą tak zwanego archipelagu tortur, sieci rozsianych po całym kraju podziemnych komór, w których torturowano ludzi. Trzeba było je zlikwidować, ale z oczywistych powodów, choćby po to, żeby osłabić morale syryjskich wojskowych, najpierw musieliśmy usunąć Chalida.

Znowu zakaszał, tym razem nie tak gwałtownie, a potem głośno odchrząknął.

– Jak już mówiłem, Ofir i ja byliśmy wtedy w gorącej wodzie kąpani. Popelniliśmy kilka błędów, małych, ale to wystarczyło...

W oddali z wiatrem walczyła granatowa żaglówka z mocno wydętym grotem. Na plaży rozpląkało się dziecko. Młode dziewczęta rozkładały na kocu jedzenie, ich chłopcy grali w karty albo się opalali.

– I go nie usunęliście – podsumował Jason.

– Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z Damaszku z życiem. – Jadin spojrzał na cygaro. Przestało go chyba interesować. – Ale wróciliśmy ze wstrząsającą informacją. Otóż to Chińczycy uczyli Syryjczyków technik przesłuchań.

Tak jak się spodziewał, to natychmiast zaciekawiło Bourne'a.

– Chińczycy...

– Ouyang próbuje dobrać się nam do skóry już od jakiegoś czasu. – Dyrektor spojrzał mu w oczy. – Teraz prowadzi wojnę cybernetyczną, chce wykraść nasze tajemnice za pomocą wirusów i trojanów, ale to jedno i to samo. Chodzi mu o nasze zaawansowane technologie.

– I koordynuje wszystkie wymierzone w was ataki.

Jadin spojrzał na morze.

– Nienawidzi nas od lat, od lat się nas boi. Jego ówczcześni przełożeni wysłali go do Damaszku. To on uczył agentów syryjskiego wywiadu osobliwych technik torturowania.

– Zaraz, kiedy to było? – spytał Jason.

– Jedenaście lat temu. Ewakuowaliśmy się piątego listopada.

Bourne pokręcił głową.

- Pamiętam, że Chalida zabito czwartego.
- Dwoma strzałami ze snajperki, jedna kula w pierś, druga w głowę.
- Więc jeśli to nie wy...
- Pewnie nie pamięta pan, że to pan pociągnął za spust – powiedział cierpko

Jadin.

- To ja go zastrzeliłem?

- Tak. Generał Wadi Chalid był najważniejszym syryjskim agentem naszego przyjaciela Ouyanga, wtyczką, którą dopieszczał od lat. A pan wszystko zepsuł. Wyobraża pan sobie, jak bardzo stracił twarz?

•••

Maricruz Encarnación miała w twarzy coś z hiszpańskich konkwistadorów – mocno zarysowane kości policzkowe jak u Kastylijczyków i władczy sposób bycia – ale jej duże oczy koloru kawy i spływające kaskadą długie włosy mogły również pochodzić od azteckiej księżniczki. Tak czy inaczej, promieniowała mocą jak Słońce.

Siedzący obok Maricruz minister Ouyang – jechali limuzyną na szanghajskie lotnisko Pudong – uśmiechnął się z wyższością, lecz dyskretnie, tak, żeby tego nie zauważyła. Nieskończenie bawiło go, że żona przeraża i doprowadza do furii zarówno jego przyjaciół, jak i wrogów. Była cudzoziemką, outsiderką – ponieważ jej nie rozumieli i nie potrafili rozgryźć, nie wiedzieli, czego pragnie i czego może zażądać. *Lao mo*, tak ją nazywali za jego plecami. Była to mandaryńska obelga, określenie Meksykanów tak głupie, że próbował się nim nie przejmować, a już na pewno nie zamierzał prześladować tych, którzy go używali. Mimo to wzbierał w nim zimny gniew. Jednak nigdy nie wspomniał o tym żonie. Doskonale wiedział, jak zabójczy ma temperament – zawsze uważał, że jest to jedna z jej najcudowniejszych cech. Maricruz była dzika jak królewski tygrys bengalski i niezależna jak męczyszna.

- Myślisz, że to mądre? – zapytał. Chociaż znał odpowiedź, uważał, że ma obowiązek spytać ją ostatni raz.

- Mój ojciec i brat nie żyją – odparła melodyjnym altem. – Jeśli nie polecę, posypie się cały interes. Gorzej, w rozsypkę pójdzie również to, co ojciec robił legalnie, ponieważ baronowie, których trzymał pod kontrolą dzięki swojej władzy i wpływom, zaczną coraz bardziej naciskać.

– Śledzę wiadomości z Meksyku z taką samą uwagą jak ty.

– Bardzo wątpię, Jidan.

– Pod nieobecność Maceo Encarnacióna – ciągnął z uporem Ouyang – konflikt między Los Zetas i Sinaloa przybrał na sile tak bardzo, że jeśli ktoś go nie załagodzi, Meksyk pogrąży się w wojnie domowej.

– Mimo to muszę tam polecieć.

– Sądzę, że nie do końca uzmysławiasz sobie skalę niebezpieczeństwa, jakie ci grozi.

– Boisz się o mnie.

– Kiedy wyjedziesz z Chin, nie będę mógł cię już chronić.

Maricruz uśmiechnęła się drapieżnie, odsłaniając małe białe zęby.

– Jestem córką swojego ojca, Jidan. – Położyła mu rękę na udzie. – Poza tym nie chcesz chyba zerwać jakże lukratywnych związków z Meksykiem, prawda? Za opium i chemikalia do produkcji metamfetaminy, które tam wysyłamy, wyciągamy rocznie ponad pięć miliardów dolarów.

– Nie chcę tylko jednego. Tego, żeby oddzielono ci głowę od ciała.

– Będę o tym pamiętała.

Maricruz roześmiała się i rozchyliła nogi, a gdy jej cytrynowa sukienka z chińskiego szantungu podjechała na silne, lśniące uda, usiadła na nim okrakiem, zwinnymi palcami szybko rozpięła mu spodnie i wprowadziła go w siebie. Poszło łatwo, bo nie miała na sobie bielizny i była już wilgotna.

Ouyang głośno wypuścił powietrze. Maricruz oparła dłonie na jego piersi, czując, że serce wali mu tak mocno, jakby trwało tam właśnie małe trzęsienie ziemi.

Podnosiła się rytmicznie i opadała, była jak morski przyływ i odpływ. Ouyang przymknął oczy.

– Wierzysz, że ochroni cię nazwisko Encarnación.

– Przestań. Znam Meksyk, znam tamtejsze kartele.

Pogrążając się w szybko wzbierającej ekstazie, Ouyang próbował zachować trzeźwość umysłu.

– Ci z Los Zetas są inni – wychrypiał. – To dezserterzy z wojskowych sił specjalnych. Bezwzględni i okrutni.

– Jak to najemnicy, są tacy z definicji. Zawsze tacy byli, choćbyś nie wiem jak daleko sięgnął w przeszłość. – Uśmiechnęła się, jakby naszły ją wspomnienia. Zdawało się, że ten intymny akt nie wywiera na niej żadnego wrażenia. – Ale

wszystkich łączy jedno: żądza pieniądza. Jestem przygotowana. Zaufaj mi, Jidan. Nic mi nie będzie. – Nagle wydała cichutki jęk, jedyne ustępstwo na rzecz targających nią sił. – Wszystko pójdzie jak z płatka.

•••

Ouyang odprowadził ją wzrokiem, sycąc oczy ostatnimi skrawkami jej widoku. Krok i dumna postawa tancerki, długie, silne nogi, niemożliwie jędrne pośladki – weszła do hali odlotów. Serce ścisnęło mu się i zapadło w sobie. Już teraz tęsknił za nią tak, jak marznący na śniegu tęskni za ogniem. Zadzwoiła komórka, lecz nawet jej nie wyjął, nie ufając własnemu głosowi.

•••

– Dał mu pan do wiwatu aż miło – mówił Jadin – i Ouyang stracił szanse na przychyłność syryjskiego rządu. Nigdy nie zapomniał tej klęski. Dlatego pana ściga. Nie przestanie, dopóki pana nie zabije.

Bourne obracał w palcach złotą gwiazdę Dawida Rebeki.

– Wszystko mi jedno.

– Niech pan pamięta, że Rebeka...

– Rebeke zabił syn Maceo Encarnacióna. Ja zabiłem ich i sprawa jest zamknięta.

– Nie do końca – odparł Jadin. – Wspólnikiem Encarnacióna był Ouyang Jidan.

– To żadna nowina.

– Ale nowiną może być zakres ich współpracy. – Z kieszeni na piersi dyrektor wyjął plik cieniutkich przebitek, rozłożył je ostrożnie i podał Jasonowi. – Niech pan spojrzy.

Bourne nie chciał patrzeć. Nie chciał mieć nic wspólnego z Jadinem, Mosadem ani z Ouyangiem, z nikim, kogo pamiętał ze swojego krótkiego świadomego życia. Skoro przyszłość tonęła w czerni, jedynym skrawkiem szarości, jedynym dostępnym dla niego wyjściem był wybór zupełnie innej drogi. Jakiej, nie miał pojęcia. Tak, oczywiście, mógłby wrócić na uniwersytet w Georgetown i znowu wykładać językoznawstwo porównawcze, tyle tylko, że z doświadczenia wiedział, iż znudziłby się już po semestrze. Czy mógłby robić coś jeszcze? Ci z Treadstone wyszkolili go tylko do jednego.

Niechętnie, z niedobrymi przeczuciami, spojrział na pierwszą kartkę ze szczegółowym opisem składników majątku Ouyanga, nieustannie rosnącego dzięki okresowemu eksportowi opium i chemikaliów, które mogły trafić jedynie do laboratoriów karteli Encarnacióna.

– Zaczął pięć lat temu i wkrótce został jego jedynym dostawcą – powiedział dyrektor. – Czemu nie? Jako minister Ouyang był stuprocentowo wiarygodny. No i pewny, bo gwarantował całkowity brak przecieków. Nic dziwnego, że Encarnación nie tylko kupował towar wyłącznie od niego, ale i odpałał mu jeszcze dwadzieścia pięć procent od sprzedaży produktu końcowego.

Bourne skończył czytać. Zwrócił kartki Jadinowi. Czuł, że ożywa w nim coś starego i niebezpiecznego.

– Śledzi pan jego ruchy?

– Ouyanga? Od pięciu lat. Jest teraz w Szanghaju.

– Był kiedykolwiek w Meksyku?

– Nie.

– A gdzieś w pobliżu?

Dyrektor pokręcił głową.

Jason spojrział na senne morze, myśląc o niedokończonych sprawach. Nie mógł nie pomścić śmierci Rebeki i nie miał dokąd iść. To stare i niebezpieczne coś ożyło w nim na dobre i jego umysł otrząsnął się z czerni, by na powrót zająć się tym, do czego go stworzono.

– Nie rozumiem tylko, jak się spiknęli – powiedział. – Mieszkali na przeciwległych końcach świata, poruszali się w zupełnie innych kręgach...

– Niezupełnie. Niech pan nie zapomina, że Encarnación był szefem SteelTrapu, największej w świecie firmy specjalizującej się w zabezpieczeniach sieciowych. A ponieważ Chiny coraz bardziej angażują się w cyberszpiegostwo...

Jason pokręcił głową.

– Nie. Znałem go. Encarnación nigdy nie mieszał interesów legalnych z nielegalnymi, był pod tym względem bardzo skrupulatny. Układ z Chińczykami byłby dla SteelTrapu jak czysta trucizna. Nie, musieli poznać się inaczej. Łączyło ich coś, o czym nie wiemy i czego musimy się dowiedzieć.

Jadin ostrożnie schował dokumenty. I podał Jasonowi zaklejoną kopertę. Bourne znalazł w niej dziesięć tysięcy dolarów, bilet na lot pierwszą klasą z Tel Awiwu do Szanghaju i paszport na nazwisko Lawrence Davidoff.

– Witamy z powrotem – powiedział Jadin. – Wyjeżdża pan jutro wieczorem.

Odczekał chwilę, może po to, by sprawdzić, czy Jason nie zwróci koperty. Potem wstał i bez słowa wyszedł z cienia starożytnych murów, kierując się w stronę swojej obstawy cierpliwie czekającej na plaży.

Rozdział 4

Kiedy tylko samolot wiozący go do Tel Awiwu osiągnął wysokość przelotową, Bourne wstał, przeszedł na tył kabiny i zamknął się w jednej z dwóch toalet. Wyjął przygotowany przez Mosad paszport i przejrzał go powoli, dokładnie sprawdzając każdą stronę. Nie znalazł nic niezwykłego, lecz gdy zerknął na tylną okładkę, coś zauważył.

Trzymając paszport za krawędź, podniósł go do światła i wtedy dostrzegł małą grudkę kleju. Delikatnie zdrapał ją paznokciem i odkrył cienkie jak włos rozcięcie. Rozejrzał się za jakimś narzędziem. Otworzywszy kosz na śmieci, zobaczył, że ktoś wepchnął do niego plastikowy kubek, przy okazji łamiąc go na pół. Wyjął jedną połówkę, położył ją na metalowym blacie i uderzył w nią pięścią.

Wybrał ostry odłamek, który najlepiej nadawał się do tego, co zamierzał zrobić, po czym kilka razy przesunął czubkiem po rozcięciu, aż rozchyliło się i otworzyło. Wtedy ostrożnie wyciągnął stamtąd to, co wsunięto między dwie warstwy grubego papieru.

Małą i cienką jak opłatek prostokątną płytkę z nadrukowanym układem scalonym.

...

Spędziwszy kilka tygodni w Tel Awiwie jako gość dyrektora Jadina, w miarę dobrze poznał jego rozkład dnia. Dlatego zdziwił się, kiedy zobaczył, że Jadin wychodzi z kwatery Mosadu w porze lunchu. W południe dyrektor zwykle pracował, jedząc czasem kanapkę, którą asystent przynosił mu z mieszczącej się w podziemiach kantyny.

Jednak poprzedniego dnia, dość dziwnie jak na siebie ubrany – w białą, przewiewną koszulę guayabera, szorty i buty żeglarskie – wsiadł do nieoznakowanego samochodu służbowego. Sam, bez ochroniarzy. Opancerzona limuzyna, z której zwykle korzystał, pusta, choć pilnie strzeżona, została na podziemnym parkingu.

Odpaliwszy silnik motocykla, który kupił, żeby łatwiej poruszać się po zatłoczonym mieście, Jason podążył za nim. Na widok jego sportowego stroju pomyślał, że dyrektor jedzie do portu na swoją ukochaną Łódź, lecz kiedy Jadin zawrócił w kierunku śródmieścia, musiał zmienić zdanie.

Dwanaście ulic dalej dyrektor skręcił na parking w pobliżu przystanku autobusowego. Bourne stanął przy krawężniku. Wkrótce nadjechał autobus linii Dan, który zwolnił i z głośnym westchnieniem hamulców pneumatycznych zatrzymał się na przystanku. Jadin czekał w kolejce. Przesuwając się powoli w stronę drzwi, wyglądał jak zabiedzony przygarbiony emeryt.

Ociężały autobus powoli włączył się do ruchu i Jason pojechał za nim, zatrzymując się na każdym przystanku, by sprawdzić, gdzie Jadin wysiądzie.

W końcu wysiadł. Na ulicy Weizmanna. Przeszedł na drugą stronę i skierował się do olbrzymiego gmachu ze stali i szkła, zwieńczonego wielką nadbudówką w kształcie talerza. Budynek wyglądał jak jeden z gmachów CIA w Waszyngtonie.

Bourne podjechał bliżej, zaparkował przy krawężniku, wszedł na podjazd i między kolumnami podążył za Jadinem. Kiedy dyrektor wszedł do środka, Jason stanął jak wryty na widok napisu nad drzwiami: SZPITAL MIEJSKI – CENTRUM MEDYCZNE SOURASKY. Natychmiast przypomniał mu się atak kaszlu na plaży, niedopalone cygaro. Wszystko wskazywało na to, że Jadin jest chory i chce utrzymać to w tajemnicy. Skoro tak, Bourne postanowił uszanować jego życzenie.

Zszedł podjazdem na dół, wszedł na motocykl, zawrócił i odjechał.

•••

Jemeński sklep z biżuterią mieścił się na końcu ulicy Mazal Dagim na głównym bazarze Starej Jafy w Tel Awiwie. Na pierwszy rzut nieatrakcyjny i bardzo wiekowy miał nad drzwiami kunsztownie wymalowany szyld. W środku skrzyła się srebrna biżuteria, filigranowa i finezyjna, typowa dla jemeńskiej kultury. Zachwycała artyzmem wykonania. Rodzina Bena Aszera prowadziła sklep od lat, nieustannie doskonaląc rzemiosło i czerpiąc z wiedzy tych, którzy stworzyli je wiele stuleci przed powstaniem Izraela.

Apter Ben Aszer, obecny patriarcha rodu, był tym, kogo Rebeka kazała odszukać Bourne'owi, gdyby chciał kupić coś potajemnie.

– Cokolwiek? – spytał.

– Cokolwiek – odparła z enigmatycznym uśmiechem, który ujrzał oczyma wyobraźni, schodząc z porannego słońca i wkraczając do mrocznego, chłodnego wnętrza. Spędził w hotelu dwie bezsenne noce i tego ranka, upewniwszy się, że nie śledzą go ludzie Ouyanga ani agenci Jadina, postanowił w końcu tu zajrzeć.

Wnętrze było oświetlone małymi reflektorami, które zmyślnie zamontowano nad wypełnionymi biżuterią wysokimi do pasa przeszklonymi ladami, ciągnącymi się wzdłuż ściany tylnej i dwóch bocznych. Nad ladami pochylali się liczni klienci, oglądając towar, prosząc o pokazanie tego czy innego naszyjnika lub bransolety. Dokładnie na wprost znajdowały się wąskie drzwi, które prowadziły pewnie do warsztatu.

Jason zaczął, aż jedna z młodych sprzedawczyń będzie wolna, i oświadczył, że chce się widzieć z Apterem Benem Aszerem.

Gdy spytała go o nazwisko, odparł:

– Proszę powiedzieć, że przyszedł znajomy Rebeki.

Dziewczyna posłała mu dziwne spojrzenie i lekko skinęła głową. W drzwiach zerknęła na niego przez ramię. Jason był pewien, że przez jej twarz jak błyskawica przemknął cień strachu.

Przez kilka chwil podziwiał srebrną biżuterię. Gdy podniósł wzrok, w drzwiach na zaplecze zobaczył niskiego grubaska w sfatygowanym skórzanym fartuchu. Mężczyzna miał szeroką twarz, grube usta i gęstą brodę poprzetykaną siwymi włosami, pasującymi kolorem do jego oczu pod opadającymi powiekami. Zamiast wejść do sklepu, pokiwał na Bourne'a palcem.

Kiedy Jason wszedł do warsztatu, nie powitał go ani słowem. Zamknął tylko drzwi, usiadł na drewnianym stołku i przyjrzał mu się z rękami na kolanach.

– A więc to o panu mówiła – powiedział w końcu. – Czym mogę służyć?

Bourne podał mu paszport.

Aszer wziął go, otworzył na pierwszej stronie i odwrócił się do jubilerskiej lupy z silną lampą. Po dłuższej chwili mruknął coś pod nosem i oddał paszport Jasonowi.

– Ciesz się mnie, że Mosad nie wychodzi z wprawy.

Bourne uśmiechnął się lekko.

– Trzeba naprawić tylną okładkę.

Jubiler zmarszczył brwi, znowu odwrócił się do lampy i położył paszport w kręgu światła. Od razu dostrzegł rozcięcie.

– Co tu było? – spytał.

- Lokalizator – odparł Jason.
 - Aaa... – Aszer podniósł wzrok. – Zatem chce pan nowe nazwisko i kod elektroniczny.
 - Nie. Chcę nowy paszport.
 - Czyli zupełnie nową tożsamość.
 - Właśnie. Paszport musi być używany, z wizami i tak dalej.
 - Oczywiście.
 - Łącznie z wizą wjazdową do Szanghaju z jutrzejszą datą.
- Ben Aszer przyglądał mu się przez chwilę.
- O której pan leci?
 - Dzisiaj o dwudziestej trzydzięci.
 - Tak, to wykonalne... – Aszer postukał palcem w dolną wargę. – Hm, tylko jaką tu wybrać narodowość? Szkoda, że nie ma domieszki azjatyckiej krwi. Jako malezyjski biznesmen nie miałby pan w Szanghaju żadnych kłopotów. – Jeszcze raz przyjrzał się twarzy Jasona. – Mógłbym zrobić z pana Syryjczyka, ale to zbyt ryzykowne.
 - Jeśli nie Syryjczyka, to może Kanadyjczyka?
 - Doskonale! Kogoś mdłego jak rosół. Chce pan wybrać nazwisko?
 - Na przykład... Carl Halliday – odparł Jason. – Ile?
 - Niech pan mnie nie obraża.
 - Artystom powinno się płacić za ich wiedzę i doświadczenie.
- Ben Aszer uśmiechnął się i wzruszył ramionami.
- Tak, ale widzi pan, Rebeka pana kochała.

Rozdział 5

Powrót do domu był smutny. Sunąc zderzak w zderzak zatłoczonymi ulicami duszącego się w smogu Mexico City – w niekończącym się, monotonnym i nużącym korku – Maricruz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jedzie w kondukcje pogrzebowym.

Okna rezydencji przy ulicy Castelar w Colonia Polanco wychodziły na park Lincoln, dokąd, jak jej powiedziano, po ucieczce z domu Jason Bourne zawlókł agentkę Mosadu, którą zadźgał nożem brat Maricruz. Nigdy nie widziała Bourne'a, nie wiedziała nawet, jak wygląda, chociaż doskonale go sobie wyobrażała. Ten człowiek zabił jej ojca i brata, tyle wiedziała – tyle i nic więcej. Śmierć brata nie była dla niej wielką stratą, jednak śmierć ojca... Cóż, to zupełnie inna sprawa.

Myślała, że dom jej dzieciństwa będzie stary i zniszczony, pełen pęknięć i rys na wymagających remontu ścianach, tymczasem stojący przed nią budynek, otoczony skrzącymi się od kolorowych kwiatów klombami i bujnymi pędami bugenwilli, błyszczał w słońcu, jakby przed chwilą go wypolerowano. Kamienne ubytki uzupełniono, sztukaterię pomalowano.

W środku czekały jeszcze większe niespodzianki. We frontowych drzwiach powitał ją Wendell Marsh, prawnik SteelTrapu, którego osobiście wybrał ojciec. Nie tylko wybrał, ale i wysłał na studia, najpierw go sponsorując, a potem zostając jego mentorem. Wendell, sierota, był de facto członkiem rodziny, chociaż nigdy nie przyszłoby mu to do głowy.

– Maricruz! – Objął ją serdecznie. – Tak miło cię widzieć. Ile to już lat?

– Stanowczo za wiele. – Cofnęła się, żeby mu się przyjrzeć. Barczysty, o surowych rysach twarzy, miał zaczesane do tyłu gęste czarne włosy, teraz już prawie siwe. Był urodzonym pesymistą i takim pozostał.

– Przykro mi z powodu śmierci ojca – powiedział, prowadząc ją przez hol do gęsto umeblowanego salonu. – Pewnie chcesz się rozejrzeć. Nie spiesz się. Kiedy wrócisz, będziesz musiała podpisać kilka dokumentów.

Maricruz z roztargnieniem skinęła głową, prawie nie zauważając, że zostawił ją samą. Wiele razy czytała, że kiedy wraca się w rodzinne strony, dom dzieciństwa zawsze wydaje się mniejszy, a nawet zaniedbany. Dlatego zaskoczył ją

ogrom pokoi, to, że pełno w nich było kosztownych dzieł sztuki, dywanów, kryształowych żyrandoli, sreber i złota, rzeczy, które jej zdaniem powinny stać w muzeum. Wszędzie widać było pieniądze – pieniądze, tak, lecz ojca nie było. Jason Bourne usunął go ze sceny z dokładnością profesjonalisty. A jednak to, co pozostało po ojcu, wołało do niej, gdy wędrowała od pokoju do pokoju, gdy schodami weszła na górę i skręciła w korytarz, na którego końcu znajdowała się jego sypialnia.

Stanąwszy w progu, pchnęła drzwi, lecz nie weszła do środka. Popatrzyła na okrągłe łóżko, zastanawiając się, ile kobiet zerznął na nim ojciec, odkąd pewnego ranka nakryła go tu na jakiejś dziewczynie. Na pewno dużo. Jeśli zaś chodzi o matkę, Ouyang zebrał niezbite dowody dopiero przed kilkoma miesiącami. Maricruz była pewna, że na drugim końcu świata jej mąż zastanawia się teraz, czy ona odwiedzi Constanzę Camargo, czy nie? Cóż, ostatecznie Constanza mieszkała tuż za parkiem, na rogu ulic Alejandra Dumasa i Luisa G Urbina.

Weszła do sypialni, obeszła łóżko, stanęła przy oknie i spojrzała na rosnące w parku drzewa. Chyba widziała stąd dom Constanzy, ale być może była to tylko wyobraźnia. Przed oczami znowu stanął jej ojciec, lecz niemal natychmiast obraz ten zniknął jak kamień wrzucony do jeziora. Machinalnie dotknęła jedwabnej torebki, wyczuwając kształt małej jodełkowej szkatułki, bezcennej jak krwawy rubin birmański. Szkatułka, dar od męża, zawierała złożoną na pół karteczkę, mały kwadracik papieru. Na karteczce było nazwisko i aktualny adres Constanzy, jej matki, która, jak zapewniał Ouyang, wciąż żyła. Maricruz nosiła szkatułkę ze sobą, dotykając jej czasem jak talizmanu.

Odwróciła się i przeszukała sypialnię, otwierając szafy i szuflady, wszędzie zaglądnęła, lecz niczego nie dotykając, jak zjawia przechodząc od jednego intymnego przedmiotu do drugiego. I rzeczywiście, gdy schodziła na dół, do salonu, gdzie pijąc mocne czarne espresso i cierpliwie czekając, siedział Wendell Marsh, czuła się jak duch, cichy niczym lekki powiew wiatru.

– Dziwnie tu bez niego – powiedział. – Prawda?

Ale ona tak nie uważała, niezupełnie. Dom od zawsze był dla niej jak muzeum i teraz nareszcie się nim stał.

– Usiądź. – Marsh wskazał fotel przy stole koktajlowym. – Masz ochotę na kawę albo na piwo? A może na coś mocniejszego?

Podziękowała. Może to przewrotne, ale miała do niego żal, że czuł się tu lepiej niż ona. Nie, pomyślała, to nie jego dom. I nigdy nie będzie do niego należał.

– Weźmy się do roboty – rzuciła.

Skinął głową.

– Jak sobie życzysz. – Rozłożył na stole sześć dokumentów w trzech kopiach każdy i wyjął długopis z kieszeni na piersi.

– Jesteś błady – zauważyła. – Źle się czujesz?

Podniósł wzrok, uśmiechnął się słabo, po czym wytarł lnianą chustką czoło i kark.

– Znasz mnie – odparł. – Nie przepadam za Meksykiem. Zwłaszcza teraz, gdy rynsztoki spływają krwią, gdy ludziom ścina się głowy... – Wzdrygnął się i urwał.

– Przepraszam. To twój kraj.

– Kiedyś nim był. – Wzięła pierwszy dokument, lecz na niego nie spojrzała. – Gdzie jest Maria-Elena, jego kucharka?

– Podobno została zamordowana. Otruta.

Boże, pomyślała Maricruz. Resztki cywilizacji wdeptane w czerwoną od krwi ziemię.

– A jej córka? Miała córkę, prawda?

– Tak. Jakby zapadła się pod ziemię.

– To dzisiaj trudne.

– Cóż. – Marsh bezradnie rozłożył ręce.

– Szukałeś jej? Poświęciłeś na to choć trochę czasu lub środków?

Marsh wskazał leżące na stole papiery.

– Były pilniejsze sprawy.

Maricruz w zamyśleniu kiwnęła głową i spojrzała na dokument.

– Zaczniemy? – Przerzuciła kilka kartek i nagle podniosła wzrok. Wydawało się, że Marsh już wie i czeka na jej nieuchronny sprzeciw.

– Gavin Royce? – spytała. – Kto to, do diabła, jest?

– Nowy prezes SteelTrapu.

– Bez mojej zgody.

– To następca twojego ojca, starannie wybrany...

– Ale ja go nie znam. Nawet go nie widziałam.

– Od ośmiu lat prowadzi bardzo dochodową filię SteelTrapu w Europie. Zna tę branżę na wylot, odnosi liczne sukcesy...

– Tak, ale pracuje w Londynie. Europejczycy robią interesy inaczej niż ojciec.

– Ojciec mu ufał.

– Jestem czy jestem zarządczynią jego majątku?

– Oczywiście, że jesteś – przyznał Marsh. – Ale od jakiegoś czasu mieszkasz w Chinach. Musisz mi zaufać, i w tym, i w wielu innych sprawach dotyczących spadku.

Maricruz przyjrzała mu się badawczo, jego szczerej twarzy, masywnemu ciału i nienagannie skrojonemu garniturowi.

– Zdobyłeś zaufanie ojca – powiedziała. – Teraz musisz zdobyć moje.

W jego przyjaznej twarzy pojawiło się coś surowego, pociemniały mu oczy.

– Co mam zrobić? – Wypowiedział te słowa tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch.

– Porozmawiam z tym Royce'em sama. Jeśli uznam, że się nadaje, zaproponuję mu półtoraroczny kontrakt.

Marsh oniemiał. Ale tylko na chwilę.

– Półtoraroczny kontrakt? Nigdy na to nie pójdzie.

– Pójdzie. Jeśli chce u mnie pracować, to pójdzie.

– Ale... Na miłość boską, Maricruz, bądź rozsądna. Ten człowiek to tytan pracy, od śmierci ojca haruje dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– To zaproponuj mu procent od wypracowanych zysków. Wykorzystaj siłę perswazji. Zachęć go jakoś.

– Postaram się.

– To za mało, stać cię na więcej. – Maricruz zmarszczyła brwi. – Rozumiem, że Royce nic nie wie o innych sprawach ojca.

– Niech Bóg broni. Maceo nigdy nie mieszał w nie firmy.

– To dobrze. – Spojrzała na następny dokument i powiodła wzrokiem po akapitach gęsto zapisanych żargonem prawniczym.

– Te roczne raporty. Wytłumacz mi, o co tu chodzi.

Rozdział 6

Przeszedłszy przez odprawę jako Lawrence Davidoff, Bourne przeciął hałę przyłotów i przystanął przed kioskiem, żeby kupić gumę do żucia. Guma była chińska, z mieszanki jakichś ziół, i według napisu na opakowaniu skutecznie oczyszczała wątrobę. Jason wyjął listek i włożył go do ust. Guma miała gorzki smak, ostry i gryzący, jak spalony mech z torfowiska. Wraz z papierkiem wrzucił do kosza paszport Lawrence'a Davidoffa.

W panującym na zewnątrz wilgotnym upale stanął na końcu kolejki pasażerów czekających na taksówkę. Mijając jedną z nich, upuścił paczkę gumy. Schyliwszy się po nią, wyjął z ust tę, którą żuł, wcisnął w nią lokalizator od specjalistów Jadina i przykleił gumę do podwozia samochodu.

Wyprostował się, dołączył do kolejki i już wkrótce był w drodze do miasta.

•••

Pamiętał Szanghaj jak ze snu. Idąc zatłoczonymi, pełnymi kolorów i egzotycznych zapachów ulicami, czuł, że zatarte wspomnienia kłębią się w nim jak przerażające niewidzialne bestie zatopione w otchłani nieświadomości, jak monstra obudzone przez otaczające go widoki i aromaty.

Powietrze wypełniały głośnie okrzyki w dialekcie szanghajskim, języku zupełnie niepodobnym do powolnego, niemal ospałego dialektu kantońskiego czy ostrego, bardziej oficjalnego mandaryńskiego. Jako odmiana języka wu należącego do grupy chińskich języków południowych, dialekt szanghajski był niemal niezrozumiały dla mieszkańców Pekinu i jego okolic. Jednak od dłuższego już czasu młodzi przedsiębiorczy szanghajczycy często przepalali swoje wypowiedzi określeniami pochodzącymi z mandaryńskiego. Dlatego w tym największym chińskim mieście używany przez ponad dwadzieścia trzy miliony ludzi szanghajski stał się *lingua franca* handlu, inteligencji, młodego ducha i przyszłości.

Wzdłuż Bundu, słynnej nadmorskiej promenady, ciągnął się rząd niegdyś angielskich i holenderskich domów handlowych. Teraz za promenadą wznosiły się cuda współczesnej architektury, tworząc futurystyczną linię horyzontu

postmodernistycznego miasta rodem z filmów science fiction. Bourne dojechał autobusem do koncesji francuskiej i doszedł piechotą na Yu Yuan Road. Tam, w restauracji mieszczącej się w pięknie odrestaurowanej dwupiętrowej willi, był umówiony z Wei-Weiem, rezydentem Elego Jadina.

Wskazano mu zarezerwowany dla Wei-Weia stół na werandzie biegnącej wzdłuż całej ściany na pierwszym piętrze willi. Widział stamtąd mały, nienagannie utrzymany ogród, łagodnie ocieniony przez rosnący pośrodku hebanowiec, oraz wszystkich wchodzących i wychodzących z restauracji gości.

Czekając, zamówił wędzonego karpia i kawałki boczku w szanghajskim sosie, danie zarówno ostre, jak i lekko słodkie.

Właśnie kończył jeść, gdy nadeszła kelnerka, która wylewnie przeprosiła go za najście i z eleganckim ukłonem podała mu małą kwadratową kopertę. Jason rozejrzał się i nie widząc niczego podejrzanego, otworzył ją. W środku była karteczka, na której pospiesznie napisano wiadomość.

„Zatrzymały mnie pilne sprawy. Czekam u siebie”. Według adresu Wei-Wei mieszkał w Huangpu, wielkim labiryncie rozpadających się domów na drugim brzegu rzeki, dokładnie naprzeciwko Bundu, dzięki któremu dzielnica nie popadła jeszcze w ruinę.

Skończywszy posiłek, Bourne rzucił na stół kilka banknotów i wyszedł. Idąc wąskimi drewnianymi schodami do ogrodowego wyjścia, zauważył wymuskanego szanghajczyka w szarym garniturze i wypolerowanych na błysk mokasynach, który wyraźnie się nim interesował. Siedział w ogródku, z dzbankiem herbaty na małym ośmiokątnym stoliku. Chociaż kelnerka napełniła jego filiżankę, nie wypił ani jednego łyka. Kiedy kątem oka nie zerkał na Bourne'a, przyglądał się błyszczącym jak polakierowane paznokciom.

Gdy Jason go minął, mężczyzna wstał i leniwie, jakby miał mnóstwo czasu, podążył za nim. Bourne skręcił na wschód, w stronę szeleszczących drzew w parku Zhongshan. Obszedł wspaniałą wystawę kwiatów, przeszedł pod zdobnymi potrójnymi łukami. Kiedy znalazł się w parku, miasto zniknęło, ustępując miejsca wysadzonym drzewami malowniczym ścieżkom, którymi spacerowali zakochani i staruszkowie, wesołym fontannom pełnym kolorowych ryb wystawiających pyszczki nad wodę, mydlanym bańkom wielkości człowieka, wokół których tłoczyły się rozradowane dzieci, i dynastycznym pawilonom stojącym na wodzie jak bociany.

Bourne wmieszał się w tłum turystów idących do największego pawilonu. Przyłączył się do grupy Szwedów i zagaił rozmowę z dwiema dziewczynkami, siostrami, opowiadając im ciekawostki o rodzinach, które mieszkały niegdyś w pawilonach takich jak te. Wkrótce dziewczęta chichotały i prosiły go o więcej opowieści. Gdy ich rodzice zwrócili na niego uwagę, przedstawił się jako profesor lingwistyki stosowanej na kontrakcie z miejscowym uniwersytetem i szybko oczarował małżeństwo, mówiąc po chińsku, tłumacząc to na szwedzki, a potem na angielski.

Gdy ojciec dziewczynek zaprosił go na lunch, podziękował, wymawiając się ważnym spotkaniem.

– Ale – dodał – mógłby pan oddać mi małą przysługę.

– Naturalnie – odrzekł mężczyzna.

– Widzi pan tego wymuskanego Chińczyka w garniturze? Łazi za mną od rana. To brat mojej dziewczyny. Nie chce, żebym się z nią spotykał tylko dlatego, że jestem z Zachodu. Boję się, że coś knuje.

Szwed z powagą skinął głową.

– Tak, czytałem o tych wszystkich ultrakonserwatyście.

– Trzeba na nich uważać, zwłaszcza na tych z Biura Bezpieczeństwa Publicznego.

– Wiem. Ksenofobia do kwadratu, co?

– Właśnie. Nie pomógłby mi pan go zgubić, żebym mógł spokojnie pójść na randkę?

– Aaa! – Szwed uśmiechnął się szeroko. – Pańskie ważne spotkanie. – Grubym palcem postukał się w nos. – Doskonale pana rozumiem. – Rozbłysły mu oczy. – Ma pan jakiś plan?

– Tak – odparł Bourne. – Ale obejmuje was wszystkich.

– Tatusiu, tatusiu! – poprosiły dziewczynki. – Zgódź się, zgódź!

Ojciec roześmiał się i pociągnął je z czułością za uszy.

– Pomaganie zakochanym to zawsze wielka przyjemność. – Spojrzał na Jasona.

– Co mamy robić?

•••

Z dyskretnej odległości Wu Lin obserwował Bourne'a rozmawiającego ze szwedzką rodziną. Śmiali się, co go zdezorientowało. Nie, to nie mogło być

szpiegowskie spotkanie, nie w obecności dzieci. Zastanawiał się nawet, czy śledzi właściwego obcokrajowca, bo wszyscy wyglądali podobnie, lecz zerknąwszy na zdjęcie, które przysłano mu na komórkę, stwierdził, że jednak właściwego.

Bourne wziął dziewczynki za ręce i poprowadził w głąb pawilonu. Małżeństwo Szwedów poszło za nimi, zasłaniając mu widok. Zaniepokojony Wu Lin przyspieszył kroku i dołączył do rzeki turystów kłębiących się w płataninie pokoi i werand, które spletały się ze sobą i rozplatały jak konary prastarego drzewa.

Chwilę później dogonił rodziców dziewczynek, którzy śmiali się bez wątpienia z czegoś, co powiedziały córki. Od razu mu ulżyło. Zadowolony, że tak szybko ich znalazł i ma ich jak na widelcu, zwolnił, bo przecież nie musiał się już spieszyć.

Ale w następnej części pawilonu, zdawszy sobie sprawę, że od dziesięciu minut nie widział ani Bourne'a, ani dziewczynek, znowu wydłużył krok. Skręcił w lewo i mając po prawej Szwedów, skonsternowany stwierdził, że Bourne i dziewczynki zniknęli.

Wyprzedził biegiem małżeństwo i za lasem nóg zobaczył siostry na jednej z werand. Siedziały obok siebie po turecku, lecz Bourne'a z nimi nie było. Rodzice dołączyli do nich, przykucnęli i mówili coś w języku, którego Wu Lin nie rozumiał.

Bluznął stekiem przekleństw, zawrócił i zaczął metodycznie przeczesywać części pawilonu, w których jeszcze nie był. Ale kiepsko mu szło, ponieważ wciąż napierali na niego ludzie – powłócząc nogami, jak stado bydła sunęli przez niekończący się labirynt pokoi.

•••

Jason obserwował szukającego go na próżno Chińczyka. Mógłby wyjść z pawilonu, a nawet z parku, zostawiając go tu zagubionego i zdezorientowanego, ale miał inny plan. Zwierzyna postanowiła zostać myśliwym i dotrzeć tropem Chińczyka do tych, którzy kazali mu go śledzić. Musiał to zrobić, ponieważ kiedy tylko przyleciał do Szanghaju, ktoś usiadł mu na ogonie. Było to tym bardziej niepokojące, że o jego wyprawie wiedział tylko dyrektor Jadin, Ofir i garstka pracowników wydziału Mosadu, zajmującego się preparowaniem fałszywych paszportów i nowych tożsamości.

Chińczyk szukał go pół godziny, zataczając koncentryczne, coraz szersze kręgi, najpierw po pawilonie, potem po parku. Ten metodyczny wzorec dowodził, że

szanghajczyk jest zawodowcem, co w Chinach mogło znaczyć tylko jedno: pracował dla rządu.

Nie był to obiecujący początek misji i Jason miał wielką ochotę zgarnąć gościa z ulicy, przesłuchać i wyciągnąć z niego nazwisko chlebobdawcy. Ale to były Chiny. Jak najmniej rzucać się w oczy znaczyło tu tyle, co nie rzucać się w oczy wcale. Nie mógł zwracać na siebie uwagi, to nie wchodziło w rachubę.

Szanghajczyk przystanął na przejściu dla pieszych, spojrzął na zegarek i szybkim krokiem ruszył na południowy wschód. Bourne szedł za nim przez piętnaście, dwadzieścia minut. Ulice były zakorkowane, dlatego o tej porze dnia większość mieszkańców wołała poruszać się pieszo.

Chińczyk zatrzymał się przed szkołą i wszedł na schody w chwili, gdy wybiegł z niej tłum identycznie ubranych uczniów. Jason obserwował go z drugiej strony ulicy. Jeden z uczniów, najwyraźniej syn szanghajczyka, podszedł do ojca. Towarzyszył mu nauczyciel albo administrator, trudno było powiedzieć. Szanghajczyk kazał synowi pobawić się z kolegami i wszczął rozmowę z mężczyzną. Im dłużej mówił, tym nauczycielowi bardziej ciemniała twarz. W końcu Chińczyk odprawił go krótkim skinieniem głowy, zawołał syna i odeszli.

Myśląc, że nauczyciel wróci do szkoły, Bourne przeszedł na drugą stronę ulicy w chwili, gdy przy krawężniku zaparkował błyszczący biały mercedes o przyciemnionych szybach. Nauczyciel zbiegł ze schodów, jakby ktoś poraził go prądem.

Z miejsca, w którym stał, Jason zobaczył, że otwiera się tylne okno. Mężczyzna pochylił się, żeby porozmawiać z pasażerem. Bourne przesunął się w prawo i dyskretnie zajrzał do samochodu. Natychmiast poznał rozmówcę nauczyciela i doznał wstrząsu. W limuzynie siedział pułkownik Sun.

•••

Sun nie tryskał radością, przynajmniej chwilowo.

– Wsiadaj – warknął. – Wypinasz tyłek jak ulicznica.

Nauczyciel – nazywał się Go Han – otworzył drzwi i posłusznie wsiadł.

– Jak to możliwe, że Wu Lin zgubił Bourne'a?

– Nie wiem, panie pułkowniku. – Go Han zwiesił głowę. – Bourne wkradł się w łaski rodziny zagranicznych turystów. Osłonili go i umożliwili mu ucieczkę.

Sun stłumił przekleństwo i opadł na pluszowe oparcie.

– Zatem wie, że go śledziliśmy.

– Może się tylko zabezpieczał, na wszelki wypadek... – Go Han zamilkł pod miażdżącym spojrzeniem pułkownika.

– Nie znasz go. Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny, do czego może się posunąć, żeby kogoś zabić, jak bardzo jest zdemoralizowany. – Sun machnęła ręką.

– Precz! Na nic mi się nie przydasz.

Zamykając drzwi, kątem oka dostrzegł Bourne'a. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy wróg pokazał mu się celowo, ale doszedł do wniosku, że nie ma to żadnego znaczenia.

Kazał szoferowi okrążyć kwartał. Kiedy jadąc powoli zatłoczoną ulicą, limuzyna dotarła do miejsca, gdzie widział Bourne'a, już go tam nie było. Sun się tego oczywiście spodziewał, wiedział jednak, że Amerykanin musi być w pobliżu. Nie, po ich spotkaniu w Rzymie Bourne nie spuściłby go z oka. Pułkownik sięgnął po telefon i rozkazał odciąć kordonem całą okolicę.

– Zaczniście od kwadratu sześciu ulic na północ, południe, wschód i zachód od mojego samochodu – polecił adiutantowi. – I powoli idźcie w moją stronę. Przeszukajcie wszystkie domy. Sprawdź, czy wszyscy mają jego zdjęcie. Tak, to, które mam ja. – Przypomniawszy sobie, że minister Ouyang obiecał mu kolejny awans, poczuł nagłą chęć osiągnięcia celu. – I żadnych błędów, zrozumiano? – warknął do telefonu, zanim się rozłączył.

Wbrew protestom szofera wysiadł, zanim samochód się zatrzymał. Było niezmiernie ważne, żeby Bourne nie tylko go zobaczył, ale i za nim poszedł. Odgrywał teraz rolę przynęty, która miała wciągnąć jego nemezis w pułapkę.

I pomyślał: Tym razem go dopadnę.

Rozdział 7

Widząc, że Sun wyskakuje z jadącej limuzyny, Jason wiedział już, że przeciwnik chwycił przynętę.

Kiedy tylko rozpoznał pułkownika, pierwszym celem było wywabienie go z samochodu. Uznał, że najlepiej będzie, jeśli się mu pokaże. Pokazał się i szybko ukrył, żeby sprawdzić, czy podstęp zadziałał.

Przez chwilę stał w cieniu i z rozbawieniem obserwował Suna, który rozglądał się na wszystkie strony jak turysta. Przed wieloma miesiącami, na długo przed śmiercią Rebeki, Bourne był z nią w Rzymie. I tam ją uprowadzono. Ją, agentkę Mosadu. Niezły wyczyn, zważywszy, że należała do najlepszych. Zabrano ją do krypt pod Via Appia, starożytną drogą wiodącą do miasta cesarów.

Bourne wyruszył na poszukiwania i w wiecznym mroku rzymskich podziemi omal dwa razy nie zginął z ręki pułkownika. Potem, gdy Rebeka i jej prowadzący Ofir wyjechali, Sun próbował zabić go jeszcze raz, co doprowadziło do śmierci dwóch ludzi pułkownika.

Sun spojrział na zegarek. Właściwie zerknął i Jason, który wypatrywał najmniejszych choćby anomalii w jego zachowaniu, natychmiast zrozumiał, co się dzieje: on polował na niego w pojedynkę, a pułkownik rzucił przeciwko niemu całą armię. Podczas gdy Bourne stał ukryty w cieniu, ludzie Suna otaczali kordonem okolice.

W każdym innym kraju wystarczyłaby zwykła ucieczka – wszędzie, ale nie w Chinach. W Chinach trzeba sięgnąć po środki nadzwyczajne. Celem gry było teraz poniżenie: pułkownik Sun musi stracić twarz na oczach podwładnych.

Bourne odwrócił się i na chwilę przestał się nim interesować. Ruszył przed siebie zatłoczoną ulicą i wstąpił do sklepu z odzieżą męską. Kupił koszulę i krawat, włożył je, potem dokupił chiński kapelusz i naciągnął go głęboko na oczy. Wyszedł na ulicę, wyraźnie utykając.

Tak przebrany ruszył w kierunku przeciwnym do miejsca, gdzie widział Suna, które nazwał „strefą zero”. Wkrótce natknął się na policjanta, jednego z wielu, jak zauważył, idących w powoli zacieśniającym się kordonie.

Jason potrzącił go. Policjant przystanął i chwycił Bourne'a za ramię.

– A ty co? – warknął.

– Obraziłem pana tym, że spokojnie idę ulicą? – odparł tym samym tonem Bourne.

– Nie podoba mi się twoja postawa.

Jason wyszarpnął mu się.

– A mnie pańska.

– No to zobaczymy. – Policjant wyjął pistolet i wepchnął Jasona do pobliskiej bramy.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku innych policjantów, Bourne uderzył go kantem dłoni w nasadę nosa, a potem w szyję. Policjant upadł, a Jason zawlókł go w głąb bramy. Brama była wąska, mroczna i cuchnęła zjełczalym olejem.

Tuż za stromymi schodami wypatrzył krótki korytarz prowadzący do tylnych drzwi. Zabrał się do roboty i kilka chwil później miał już na sobie policyjny mundur, a w kieszeni służbową odznakę. Mundur nie pasował, bo policjant był niższy, ale musiał wystarczyć. Jeśli zaś chodzi o samego policjanta, Jason wepchnął go za zbutwiałe schody, gdzie było tak ciemno, że nikt tam pewnie nie zaglądał.

Wyszedł na ulicę i szybko dołączył do policjantów z kordonu. Na najbliższym skrzyżowaniu, gdy kordon zbliżył się do strefy zero, skręcił i skierował się prosto do błyszczącej limuzyny pułkownika Suna. Podszedł od strony kierowcy i zapukał w przyciemnioną szybę. Kiedy okno się otworzyło, nachylił się i zadał szoferowi trzy krótkie, silne ciosy, które pozbawiły go przytomności.

Potem otworzył drzwi, kopniakiem zepchnął kierowcę na podłogę przed fotelem pasażera i usiadł za kierownicą. Za plecami miał grube szklane przepierzenie oddzielające go od tylnych siedzeń, teraz pustych.

Odpalił silnik, zaczekał, aż w rzędzie ciągnących ulicą samochodów pojawi się luka, i szybko zawrócił. Natychmiast rozległy się krzyki i buchnęła kakofonia klaksonów. Jednak kierowcy, być może zastraszeni widokiem wielkiej limuzyny, potulnie hamowali, otwierając mu drogę do Suna.

Tymczasem zjawił się już dowódca kordonu, który właśnie rozmawiał z pułkownikiem. Gdyby Bourne szedł chodnikiem, znaleźliby się dokładnie na wprost. Sekundę później szarpnął kierownicą, gwałtownie skręcił i pokonawszy krawężnik, wjechał na chodnik, rozpędzając przechodniów, którzy rozstępowali się na boki niczym odkosy dziobowe wielkiego pancernika.

Dowódca kordonu jako pierwszy zobaczył pędzący w ich stronę samochód. Błyskawicznie wyciągnął z kabury pistolet i wystrzelił. Przednia szyba mercedesa

powinna pójść w drzazgi, ale była to limuzyna pułkownika Suna, wóz specjalnie wzmocniony i opancerzony. Kula odbiła się z brzękiem od szkła. Dowódca wybałuszył oczy. Zdążył jeszcze odepchnąć pułkownika, a potem mercedes uderzył w niego czołowo, wyrzucając go w powietrze prawie na dwa metry i łamiąc mu kości.

Z rykiem silnika Jason pojechał dalej, dwoma kołami po chodniku, dwoma po jezdni. Gdy tłum przechodniów zgęstniał jeszcze bardziej, Jason skręcił w lewo i wpadł na rozdzielającą jezdnie pas, kosząc kwietniki i ozdobne krzewy.

Zmierzał do Dapu, tunelu, którym chciał przedostać się na drugi brzeg rzeki, do starej dzielnicy domków ozdobionych czerwoną łaką, wąskich uliczek, stoisk z piezonym na węglu jedzeniem i pustych deptaków, byle dalej od błyszczących w słońcu wieżowców. Wybrał tę trasę, ponieważ zbudowana na podporach główna obwodnica i prowadzące do niej wiadukty były zbyt odsłonięte.

Kiedy wjechał do tunelu, usłyszał za sobą narastający ryk syren. Zerknął w górne lustro i zobaczył trzech policjantów ścigających go na motorach. Oczywiście wyobraźni ujrzał rozwścieczonego pułkownika gorączkowo wydzwanającego do podwładnych w całym mieście i każącego im zatrzymać jego białego mercedesa. Włączył wbudowaną w deskę rozdzielczą radiostację i rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami usłyszał jego podniesiony głos, z którego – jeśli miałby to oceniać – była nutka głębokiego upokorzenia. Parsknął śmiechem i na poważnie zajął się zarówno spowalniającym go ruchem, jak i pędzącymi za nim motocyklistami.

Jego umysł momentalnie przekładał na wektory wszystkie informacje, jakich dostarczały oczy. Jak w grze w szachy na wielką skalę, przewidywał trzy, cztery ruchy naprzód, widział, gdzie otworzy się luka między samochodami i gdzie zamknie się jak kłapa. Poza tym chronił go doskonale stalowo-tytanowy pancerz mercedesa.

Zjechał na lewy pas, przyspieszył, zatrąbił i lekko stuknął jadący przed nim wóz. W lusterku zobaczył przerażoną twarz kierowcy, który rozpaczliwie próbował uciec przed rozpędzoną limuzyną.

Motocykliści, bardziej zwrotni na swoich maszynach, szybko się zbliżali. Co wcale go nie zmartwiło, przeciwnie – właśnie na to liczył. Jadący przed nim samochód gwałtownie skręcił, zahaczając o tylny zderzak sąsiada z prawej.

Jason dodał gazu, a chcący go dogonić, jadący przodem motocyklista zrobiło to samo. Bourne zerknął w boczne lustro i w jego umyśle wektory prędkości

i odległości znów zbiegły się w jednym punkcie.

I w chwili, kiedy motocyklista do tego punktu dotarł, Jason ostro zahamował. Mercedes gwałtownie wytracił pęd, opony zaprotestowały przenikliwym piskiem. Motocykl był za blisko i prowadzący go policjant nie zdążył zareagować. Uderzył w tył limuzyny tak mocno, że wystrzelił w powietrze jak pocisk armatni. Podczas gdy zgnieciony siłą uderzenia motocykl zwałił się na jezdnię, policjant zrobił salto, spadł na maskę wozu jadącego przed Bourne'em i zsunął się na asfalt.

Czy to mercedes przejechał go pierwszy, czy któryś z samochodów prowadzonych przez ogarniętych paniką kierowców, tego Jason nie wiedział. Natychmiast przyspieszył i wykorzystując narastający chaos, otwierającymi się przed nim lukami przebijał się naprzód.

Ruch się zmniejszył, ponieważ jadące za nim samochody utknęły w korku na miejscu wypadku, ale Bourne miał na głowie jeszcze dwóch motocyklistów. A ci – będąc świadkami okrutnej śmierci kolegi – wyjęli broń i otworzyli ogień. Jednak równie dobrze mogli strzelać do pancernego shermana, skutek byłby taki sam.

Bourne znowu skręcił, lecz po chwili natrafił na uciążliwy korek, przez który za nic nie mógł się przebić. Musiał zwolnić i wtedy dogonił go drugi motocyklista.

Jadąc z boku, w drapieżnym uśmiechu wyszczerzył żółte zęby i spróbował wybić okno ręką pistoletu. Jason odbił w lewo i przygniótł go do ściany tunelu. Metal zazgrzytał o beton, buchnął snop iskier, fragmenty zdartych płytek ceramicznych fruwały wokół jak ostre szrapnele.

Policjant odruchowo podniósł ręce, żeby zasłonić twarz, i Bourne wykorzystał to, przygniatając go do ściany jeszcze mocniej. Mimo wciąż fruujących odłamków policjant zdołał przytknąć lufę pistoletu do bocznej szyby.

Kula roztrzaskała co prawda szkło, lecz siła odrzutu cisnęła go na ścianę. Stracił równowagę i spadł. Momentalnie zmiażdżyło mu nogę, zdarło z niej mięśnie, skórę i ścięgna.

Mimo to jakimś cudem wstał i krzywiąc się z bólu wycelował w głowę Bourne'a. Jason gwałtownie otworzył drzwi. Uderzyły policjanta jak lecąca cegła. Ten zatoczył się do tyłu, wyrznął głową w ścianę, a potem, osuwając się na ziemię, w tylne koło motocykla.

Dwóch leży, pomyślał Jason. Jeden wciąż jedzie.

Tak jak poprzednio, starcie między mercedesem i motocyklem rozproszyło blokujący go korek, bo samochody albo pierzchały na boki, albo gwałtownie przyspieszały, żeby jak najszybciej uciec z tunelu.

Bourne usłyszał głucho dudnienie trzeciego motocykla, zanim go zobaczył – maszyna zygakowała między stojącymi pojazdami, które zostawił za sobą. Ludzie wysiadali, patrząc z niedowierzaniem na wrak motocykla i zakrwawione ciało poharatanego policjanta.

Nagle uświadomił sobie, że odkąd wjechał do tunelu, nie słyszy głosu pułkownika Suna. Podkręcił głośność radia, ale nie, od czasu do czasu słychać było jedynie ostre trzaski. Poczł ciepło spływające w dół po twarzy, z lewej strony. Pochylił się w prawo, spojrzł w górne lusterko i zobaczył strużki krwi ciekącej ze skaleczeń w miejscach, gdzie ugodziły go ostre kawałki rozbitej szyby.

Słyszając ryk ostatniego motocykla, usiadł prosto i w bocznym lusterku ujrzał jego rosnącą sylwetkę. Odbił w prawo, motocykl pojechał za nim. Kierowca był bystry na tyle, żeby nie podjeżdżał zbyt blisko, po prostu naśladował jego ruchy, zdecydowany trzymać się go za wszelką cenę.

Wyjazd z tunelu zbliżał się bardzo szybko. Ale coś tu nie grało. Był o wiele za jasny, jakby gigantyczna ręka zmiotła nagle cały ruch.

A potem mercedes wyjechał na światło dzienne. Bourne natychmiast spostrzegł, że ścigający go motocyklista gwałtownie skręca w bok. Gorączkowo myśląc, zrozumiał wreszcie, dlaczego radio zamilkło, dlaczego ten trzeci jechał za nim do ostatniej chwili i dlaczego nie ma przed nim ani jednego pojazdu.

Trzy minuty później w kierunku mercedesa pomknął pocisk przeciwpancerny wystrzelony z naramiennej wyrzutni rurowej. Trafił i wybuchł. Skutki eksplozji widać było w promieniu kilku kilometrów.

Rozdział 8

Jidan jest spokojny jak płaz, pomyślała Maricruz, leżąc w olbrzymiej, ozdobnej wannie. Krany i kurki z jadeitu i lazurytu, korpus z wielkiego bloku litego jaspisu – jak na jej gust, łazienkę urządzono zbyt kiczowato, ale Maceo Encarnación taki już był: lubił oszałamiający przepych.

Wygięła plecy i gdy z wody jak dwa ciekawskie morskie stwory wychynęły ciemne sutki jej ciężkich piersi, pomyślała, że właśnie dlatego pokochała Jidana. Był dokładnym przeciwieństwem wszystkich tych porywczych samców, wśród których się wychowała, nieokiełznanych macho, którzy najpierw działali, a dopiero potem myśleli.

Na początku to właśnie spokój nauczyła się doceniać. W porównaniu z nieustannym zgiełkiem znanych jej miast, Mexico City i Pekinu, zaprojektowane i zbudowane przez Jidana wnętrza były oazami nabożnej ciszy, którą czasem przerywały tylko głośne okrzyki i jęki rozkoszy Maricruz. Ale te dni już dawno minęły.

Jej duże oczy koloru kawy pojaśniały na widok jadeitowej szkatułki, którą dostała od męża przed wyjazdem z Pekinu. Tak, to, że udało mu się ustalić tożsamość jej matki – której nie znała, z której ramion wyrwał ją ojciec, by wychować tak, jak chciał – zakrawało na cud, ale to, że matka wciąż żyła, przekraczało granice wyobraźni Maricruz. Chociaż otworzyła szkatułkę, jak dotąd nie rozłożyła jeszcze karteczki i nie przeczytała nazwiska matki. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek to zrobi.

Jej serce rozdzierały złożone uczucia: pragnienie, by matka wzięła ją w ramiona, gniew, że pozwoliła odebrać sobie córkę, i ciekawość, dlaczego przez tyle lat nie próbowała nawiązać z nią kontaktu.

Szkatułka błyszczała, a dwa misternie wygrawerowane na niej stojące dęba smoki zdawały się z niej szydzić. Oczywiście wiedziała, że kiedy ojciec podjął jakąś decyzję, żaden człowiek, tym bardziej kobieta, nie śmiałyby mu się przeciwstawić. Matka nie miała wyboru, mogła tylko pogodzić się z jego wolą. Mimo to...

Nagle usłyszała szelest w pokoju kąpielowym za zamkniętymi drzwiami łazienki.

– Wendell?! – zawołała. – To ty?

– Tak. Przepraszam, że przeszkadzam. Szukam dokumentów ojca.

– Może będę mogła ci pomóc?

– Może. Kiedy skończysz się kąpać.

– Już skończyłam.

– Nie rozumiem...

– Nie wstydź się, wejdź.

– Myślę, że to zły pomysł, Maricruz.

Po jego głosie poznała, że stoi pod drzwiami.

– A ja, że dobry.

Gałka drgnęła i zaczęła się obracać, najpierw powoli, potem szybciej, a jeszcze potem Marsh pchnął i otworzył drzwi. Stał w progu, pochłaniając oczami jej bujne, jędrne ciało.

Rozdziawił usta.

– Boże... – szepnęła.

– Wendell – powiedziała, nie zwracając uwagi na jego otwarte usta. – Właśnie zdałam sobie sprawę, że prawie nic o tobie nie wiem. Oczywiście czytałam twoje CV, ale człowiek to coś więcej niż osiągnięcia naukowe. Nie sądzisz?

Marsh milczał. Ujrawszy boginię, złocistą Meduzę, zamienił się w kamień.

– Chyba odjęło ci mowę – powiedziała ze znaczącym uśmiechem. – Nieważne. Uważam się za bardzo dobrą znawczynię ludzkiego charakteru. Powiem ci, jaki jesteś. Odpowiadaj tylko „tak” lub „nie”. – Przekrzywiła głowę i ściągnęła usta. – Temu chyba podołasz.

Marsh sucho odkaslnął. Chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł.

Maricruz zmierzyła go wzrokiem od stóp po głowę i znowu skupiła wzrok na jego twarzy.

– Zobaczmy... Jesteś albo rozwiedziony, albo się nie ożeniłeś. Tak czy inaczej, nie masz dzieci.

– Rozwiedziony – wykrztusił. – I nie mam dzieci.

– Ani dziewczyny – dodała. – Przynajmniej od jakiegoś czasu.

Marsh przełknął ślinę i jak automat kiwnął głową. Nie odrywał wzroku od błyszczących półkul jej nagich piersi.

– Hm... Więc jak to robisz? – Spojrzała wymownie na wybrzuszenie w jego spodniach. – Aseksualny nie jesteś, to widzę. – Nagle usiadła i jej piersi zakowały

się prowokująco. – No więc? Dziwki, prostytutki, dziewczyny na telefon, panie z agencji towarzyskich? Trafiłam? Chyba trafiłam, prawda?

Marsh nie odpowiedział, lecz intensywne rumieńce na jego twarzy świadczyły, że Maricruz go przejrzała.

– Po co ten wstyd, Wendell? Seks jest naturalną potrzebą każdego człowieka. – Wstała i nie wycierając się ręcznikiem, lekko wygięta do tyłu, z wyprostowanymi ramionami, przeszła przez łazienkę, by przywrzeć do niego nagim, błyszczącym ciałem i silnymi udami.

Marsh wydał zduszony jęk, lecz się nie cofnął. Z leniwym uśmiechem Maricruz wsunęła rękę między jego nogi i ścisnęła nabrzmiewającą męskość.

– Ładny – szepnęła mu do ucha. – Gruby. Podoba mi się.

Pchnęła go lekko i Marsh zrobił krok do tyłu. Przyklejeni do siebie, on w mokrym już ubraniu, dotarli do wielkiej sypialni ojca. Gdy natrafił nogami na łóżko, napała na niego i upadł na plecy.

Wtedy usiadła na nim i zaczęła go rozbierać. Z jej włosów i sterczących sutków kapiała woda. Marsh podniósł powoli trzęsące się ręce, żeby objąć jej piersi.

– Podobają ci się? – Ściągnęła z niego mokrą koszulę. – Oj, chyba tak.

Ścisnął jej sutki, a ona przymknęła oczy.

Jej ręce przyspieszyły, rozpięła mu rozporek i pasek, zsunęła spodnie. Rozbierała go, jakby rozkładała origami.

Pochyliła się i jej płaski brzuch lekko zafalował.

– Powiem ci, co lubię...

•••

Fala uderzeniowa po wybuchu pocisku, który trafił w limuzynę pułkownika Suna, dopadła go na jezdni, przetoczyła po asfalcie i wepchnęła do rowu odwadniającego. Rów osłonił Bourne'a przed straszliwymi skutkami poranienia fragmentami rozerwanego na strzępy samochodu, które rozprysnęły się jak miniaturowe pociski.

Odrętwiały i chwilowo głuchy leżał bez ruchu, patrząc, jak rozwiewa się dym, jak pomarańczowe niebo powoli szarzeje, by w końcu ustąpić miejsca błękitowi, który widział tuż po wyjeździe z tunelu.

Spróbował otrząsnąć się z odrętwienia, lecz czuł jedynie głuche dudnienie. A potem nagle coś głośno pyknęło, wrócił mu słuch i w tym samym momencie

zobaczył nadlatujący śmigłowiec.

Z trudem wstał i pobiegł w stronę pomalowanych na czerwono domków, złoconych szyldów i wąskich uliczek Huangpu.

•••

Śmigłowiec musiał wylądować w bezpiecznej odległości, bo szczątki białego mercedesa wciąż płonęły. Gdy helikopter usiadł, pułkownik Sun pchnął drzwi i zeskokczył na ziemię. Tuż za nim wysiadł mężczyzna w wojskowym mundurze.

– Kto to zrobił?! – krzyknął Sun, wskazując ogarnięty płomieniami wrak. – Nazwisko!

Jeden z oficerów podszedł do niego, zasalutował i wskazał żołnierza, który wystrzelił pocisk. Kiedy Sun ruszył w jego stronę, pod żołnierzem ugięły się nogi.

– Coś ty sobie myślał?

– Wykonywałem rozkazy, panie pułkowniku – wykrztusił przerażony winowajca.

Sun przeszył go wzrokiem.

– Miałeś celować przed samochodem, a nie w samochód!

Uderzył go w twarz, pozostawiając krwawy ślad na policzku. Pomyślał, co będzie musiał powiedzieć ministrowi Ouyangowi, i uderzył jeszcze raz, potem ponownie, aż w końcu nieszczęśnik osunął się na kolana. Bourne miał żyć, nie mógł jeszcze zginąć, nie tutaj, nie teraz. Pułkownik kopnął żołnierza tak mocno, że ten upadł na plecy.

– Zabierzcie tego psa! – warknął do oficera. – Nic chcę go widzieć.

Gdy żołnierza pospiesznie zabrano, zwrócił się do towarzyszącego mu wojskowego.

– Kapitanie Lim, kiedy tylko ogień się wypali, przyślijcie tu techników. Niech jak najszybciej zidentyfikują kierowcę.

•••

– O Chryste... – Leżąc na łóżku zmarłego szefa, zlany potem Marsh spojrział na nieskazitelnie gładkie plecy Maricruz. – Kiedy to powtórzymy?

Maricruz roześmiała się.

– Czyżbyś brał mnie za jedną ze swoich dziwek, Wendell?

– Nie, po prostu pytam, czy...

– Od zadawania pytań jestem ja. Dobrze by było, gdybyś to zapamiętał.

Marsh trochę się przestraszył. Był w obcym kraju, który przyprawiał go o ciarki, w sytuacji, którą nagle przestał rozumieć. Dlatego po prostu czekał, słysząc świst powietrza wchodzącego i wychodzącego z jego na wpół otwartych ust. Wreszcie cisza stała się nie do zniesienia.

– Nie chciałem cię urazić.

– Ależ oczywiście, że chciałeś – odparła. – Taki już jesteś. Po prostu nie wiesz, jak należy traktować kobietę, nie zdążyłeś się tego nauczyć.

Na pewno nie taką jak ty, pomyślał Marsh, lecz zatrzymał tę uwagę dla siebie.

Maricruz ciężko westchnęła.

– Byłeś bardzo, ale to bardzo niegrzecznym chłopcem.

Marshowi drgnęło serce. Usiadł i podłożył pod plecy poduszkę.

– Nie rozumiem.

– Naprawdę myślałeś, że przyjadę na spotkanie, nie zebrawszy o tobie wszystkich możliwych informacji? Sprzeniewierzyłeś pieniądze mojego ojca, prawda?

Marshowi momentalnie podskoczyło ciśnienie. Poczul, że zalewa go fala nieprzyjemnego gorąca, że pełźnie po nim jak niewidzialny wąż.

– Chciałem wszystko oddać. Wszystko, co do centa. Zacząłem już nawet...

– Dlaczego to zrobiłeś? – Maricruz odwróciła się, a on zadrzał na widok jej emanującej siłą surowej twarzy. – Ojciec ci ufał.

Marsh spuścił głowę.

– Nie wziąłem tych pieniędzy dla siebie, tylko dla siostry. Wyszła za bardzo bogatego i agresywnego mężczyznę. Myślała, że go kocha, że mąż się zmieni, ale... – Wzruszył ramionami. – W końcu namówiłem ją, żeby go zostawiła. Z zemsty nasłał na nią adwokatów, którzy jej grozili, próbowali pozbawić ją wszelkich praw. Nie miałem wyboru, mogłem tylko wynająć dla niej najlepszych obrońców. Problem w tym, że opłacenie adwokatów i prywatnych detektywów znacznie przekraczało moje możliwości.

Maricruz zmarszczyła brwi. Oczywiście wiedziała, że Marsh mówi prawdę, ale bałagan, jakiego narobił, trzeba było sprzątnąć, zanim się rozprzestrzeni.

– Dlaczego nie poprosiłeś go o pieniądze?

– O pożyczkę?

– Na walkę z takim człowiekiem na pewno by ci ją dał.

Marsh uciekł wzrokiem w bok.

– Wstydzilem się.

– I obsłużyłeś się sam.

– Byłem przekonany, że oddam wszystko, zanim ktoś się zorientuje, ale rozwód się przeciągał, a potem potrzebowałem więcej i więcej, aż w końcu było za późno. – Spojrzał na nią. – Dla ciebie też jest już za późno?

Maricruz przyglądała mu się przez chwilę.

– *Teszuwa*. Wiesz, co to znaczy?

Marsh pokręcił głową.

– Nic dziwnego. To po hebrajsku. Znaczy „pokuta”. Tak więc będziesz musiał odbyć *teszuwa*, Wendell.

Marsha zalała chłodna fala ulgi i palący żywym ogniem wąz zniknął.

– Dobrze, oczywiście.

– Pokuta będzie ciężka, nawet niebezpieczna. Ale kiedy ją skończysz, odzyskasz moje zaufanie.

• • •

Wei-Wei, rezydent Elego Jadina, który musiał przełożyć spotkanie z Bourne’em, tłumacząc się tajemniczo niecierpiącymi zwłoki sprawami, mieszkał przy Jiujiachang Road, ulicę od krzykliwej fasady gmachu China City Bank i sklepu z perłami Fanghua. Odległy horyzont szpeciły rzędy pastelowych wysokościowców, brzydkich jak obgryzione paznokcie wyperfumowanych rąk statecznej matrony.

Jego mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze, nad chińskim sklepem z galanterią, gdzie kobiety przymierały wzorzyste jedwabne szaliki. Bourne wciąż był lekko odrętwiały, czuł mrowienie w palcach, nie do końca panował nad swoim ciałem. Po drodze wstąpił do sklepu odzieżowego i po raz drugi tego dnia kupił nowe ubranie. Podartą i nadpaloną policyjną kurtkę, koszulę i spodnie wrzucił do kosza na śmieci obok umywalki w brudnej toalecie. Żałował, że musi rozstać się z mundurem, lecz nie miał wyboru – łachmany cuchnęły spalonymi włosami i rozgrzanym metalem.

Nieco dalej, przy ulicznym stoisku, zjadł szaszłyk z pieczonego boczk, popijając zwierzęce białko dwiema butelkami coli tak zimnej, że pływały w niej

kawałki lodu. Gdy skończył jeść, mrowienie w palcach ustało i wróciła trzeźwość myśli.

Dotarłszy na Jiujiachang Road, przez kilka minut sprawdzał najbliższą okolicę, obserwując przechodniów i podsłuchując strzępy rozmów. Nie dostrzegł ani nie usłyszał niczego podejrzanego. Raz zawyła syrena, lecz w oddali, i szybko ucichła, oddalając się w przeciwną stronę. W końcu wszedł ukradkiem do domu. Drzwi były niewiele węższe od korytarza, w którym czuło się zapach gorącego oleju i seczuańskiego pieprzu. Schody były strome i trzeszczące.

Na podeście pierwszego piętra kuchenne zapachy przybrały na sile. Nawet tutaj piekła go w oczy woń prażonych na patelni ziaren pieprzu. Wei-Wei mieszkał na końcu korytarza. Mijając brudne okno, Bourne wyjrzał i zobaczył wążiutką alejkę, a za nią zachodzące na siebie dachówki stromych dachów sąsiednich domów.

Dzwonek był zepsuty, więc Jason zapukał, najpierw cicho, potem głośniej. Odpowiedziała mu cisza. Przytknął ucho do drzwi. Początkowo słyszał tylko coś, co brzmiało jak szum myszkującego po mieszkaniu powietrza, jakby Wei-Wei zapomniał zamknąć okno. Ale potem, gdy zapukał po raz trzeci, dobiegł go cichy szelest ocierającego się o ciało ubrania. Mimo to Wei-Wei nie otworzył.

Jason cofnął się, wyważył drzwi kopniakiem i stanął oko w oko z szanghajskim policjantem celującym w niego z pistoletu.

– Kim pan jest? – spytał Chińczyk afektowanym, oficjalnym tonem. – Dlaczego włamuje się pan do czyjegoś domu?

– Wei-Wei to mój dobry znajomy – odparł Bourne. Pokazał policjantowi paszport na nazwisko Carla Hallidaya. – Od czasu do czasu robimy interesy.

Policjant zmrużył oczy.

– Jakże? – Lufa pistoletu ani drgnęła, wciąż mierzyła w pierś Jasona.

– Oj, takie tam. Wei-Wei dostarcza mi gumę.

– Gumę?

– Do żucia. – Bourne wyjął z kieszeni paczkę tej, którą kupił na lotnisku. – Chińskie zioła. Widzi pan? Kanadyjczycy mają szmergla na ich punkcie. – Zmarszczył brwi i schował gumę. – Ale gdzie on jest? Gdzie jest Wei-Wei?

Policjant skinął na niego wolną ręką i weszli do małej sypialni, gdzie mężczyzna znany jako Wei-Wei wisiał na przywiązanej do krokwi sznurze.

– Pewnie konkurencja go dopadła – powiedział Chińczyk. Machnął pistoletem. – Muszę pana prosić, żeby pan wyszedł. Zaraz będą tu nasi technicy. Przesłucham

pana na korytarzu.

Bourne już miał zaprotestować, gdy wtem usłyszał dźwięk podobny do tego, jaki wydaje zamykane pudełko. Policjant wybałuszył oczy, wyszczerzył połówkę od nikotyny zęby i runął w jego ramiona.

Z boku szyi sterczała mu malutka strzałka.

Rozdział 9

Szef Biura Wywiadu Dani Amit wszedł do gabinetu dyrektora Jadena z ponurą miną. Naprzeciwko Jadena siedział Amir Ofir.

– Zgubiliśmy Davidoffa – oznajmił Amit.

Dyrektor zmarszczył brwi.

– Jak to? Nie ma go w Szanghaju?

– Może i jest – odparł Amit. – Nie wiadomo.

– Lepiej nam to wyjaśnij – rzucił Ofir.

Amit ledwo na niego spojrział. Wyjął tablet i na wielkim monitorze zajmującym prawie całą ścianę naprzeciwko biurka wyświetlił krótki film, który pokazywał Bourne'a przechodzącego przez kontrolę paszportową.

– Lotnisko w Szanghaju – powiedział Amit. – Wsiadł do samolotu z biletem, który mu daliśmy, odleciał i, jak widzicie, ze sprokurowaną przez nas tożsamością jako Lawrence Davidoff bezpiecznie wylądował w Szanghaju.

Jadin rozłożył ręce.

– Zatem w czym problem?

Amit wytarł ręką czoło.

– Wygląda na to, że od tej chwili chodzi po mieście bez żadnego celu, zatrzymując się tu, to tam zupełnie na chybił trafił.

– Masz spis tych miejsc?

Amit dotknął tabletu, film zniknął i na ekranie ukazała się lista adresów.

– Może próbuje zgubić ogon? – myślał na głos Ofir.

Amit pokręcił głową.

– Od tyłu godzin?

Czoło dyrektora pokryło się głębokimi zmarszczkami.

– Nasz rezydent jeszcze się nie zameldował. – Zerknął na zegarek. – Powinni się zaraz spotkać. – Oderwał wzrok od ekranu i spojrział na podwładnych. – Dajcie mu trochę więcej luzu. I czasu.

– A jeśli się urwie? – spytał Amit. – Urywał się już Amerykanom, mielibyśmy powtórkę z rozrywki, to niebezpieczne.

– On za dużo wie, panie dyrektorze. – Słowa te zabrzmiały neutralnie, lecz w głosie Ofira słychać było delikatną nutę nagany za to, że Jadin zawierzył

obcokrajowcowi. – Tak jak mówiłem, ten człowiek nie jest jednym z nas.

Dyrektor słuchał z uwagą. Nagle zmieniła mu się twarz. Podjął decyzję.

– Amit – powiedział – tu chodzi o zwykłą obserwację. Niech zajmie się tym twój wydział.

Ofir nie chciał do tego dopuścić.

– Panie dyrektorze, samolot Recacha za godzinę wyląduje w Szanghaju.

– Recach to zabójca – zaprotestował Amit.

– Nie tylko – odparł Ofir, upierając się przy swoim, żeby nie odebrano mu zadania. – Poza tym ma doświadczenie, działał w Chinach wiele razy.

Jadin zastanawiał się przez chwilę.

– Amir, na razie nic nie rób. Jasne?

– *Elef achuz.* – Na tysiąc procent, odparł Ofir, dyskretnie wybierając za plecami numer Recacha.

•••

Był taki czas, myślała Maricruz, siedząc obok Wendella Marsha na tylnym siedzeniu dobrze chronionej i potężnie opancerzonej limuzyny, kiedy nie mogłaby się doczekać takiej konfrontacji. Co więcej, kiedy poprosiłaby ojca, żeby zabrał ją zamiast brata, który nie miał wojskowego umysłu. A teraz był to zwykły interes. Teraz mieszkała daleko stąd, w kraju należącym do basenu Oceanu Spokojnego. Teraz żyła, pracowała i spiskowała z dorosłymi.

Ci wieczni chłopcy ze swoimi pistoletami, nożami i maczetami byli ołowianymi żołnierzami wyżywającymi się na słabych, zastraszonych i bezbronnych. Do wściekłości doprowadzało ją to, że mordowali nie tylko mężczyzn. Od 2008 roku do dzisiaj tylko w samym Ciudad Juárez zniknęło bez śladu lub zostało zabitych tysiące kobiet i dziewcząt. I chociaż część z nich zginęła podczas kłótni rodzinnych, większość padła ofiarą karteli narkotykowych.

Tylko co ich przywódcy wiedzieli o świecie istniejącym poza spływającymi krwią granicami Meksyku? Działali i reagowali w jeden sposób. Ale to, że Maricruz potrafiła przewidzieć ich ruchy i decyzje, bynajmniej nie znaczyło, że są mniej niebezpieczni. Ich broń była zawsze nabita, wściekłość nieokiełznana, palce zawsze spoczywały na spuście, w każdej chwili gotowe za niego pociągnąć. Wiedziała, że nie zawahają się zabić, zawsze i każdego. Byli nie tylko bezkarni, ale i okrutni. Po prostu mieli wszystko w dupie.

Zamyślona patrzyła w małe, kwadratowe okno. Kuloodporną szyba była tak gruba, tak gęsto poprzytykana tytanowymi nitkami, że przesuający się przed oczami świat jej dzieciństwa zupełnie nie przypominał tego, który pamiętała.

Pomacała ręcznie dopasowaną rękojeść lekkiego, półautomatycznego pistoletu Bersa Thunder kalibru dziewięć milimetrów tkwiącego w kaburze u pasa. Mniejszy, kalibru sześć trzydzieści pięć, był przypięty rzepami do nogi, tuż nad prawym butem. Miała przy sobie więcej broni niż idący do boju rzymski centurion.

Bo rzeczywiście szła do boju. Zadzwoiła z komórki do Felipe Matamorosa, szefa Los Zetas, barona narkotykowego, z którym musiała porozmawiać. Los Zetas zdziesiątkowali członków Kartelu z Zatoki do tego stopnia, że zostały tylko niedobitki, a jeśli chodzi o Sinaloa – wciąż największy pod względem liczebności – Los Zetas od kilku miesięcy kawałek po kawałku przejmowali ich terytorium. Wszyscy wiedzieli, że już niedługo Raul Giron, szef Sinaloa, straci kontrolę nad tym, co mu jeszcze zostało, że to tylko kwestia czasu. Wywodzący się ze starej szkoły baronowie narkotykowi, chłopcy z pochodzenia, nie radzili sobie ze strategiami działania opracowanymi przez paramilitarne umysły przeciwników. Wprowadziwszy w sprawę Marsha, Maricruz wyszła z nim przed dom, gdzie czekał piętnastoosobowy kontyngent uzbrojonych po zęby ochroniarzy i opancerzona limuzyna. Wsiedli i wyruszyli w drogę do miejsca, które wskazał im Matamoros.

Marsh wyrwał ją z zamyślenia.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytał.

– Ale co? – Nie zrozumiała.

– Dlaczego mnie uwiodłaś?

Spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

– Jak inaczej mogłabym sprawdzić, jakim jesteś człowiekiem?

– Zatem to była próba?

– Tak, bo nie wiedziałam, czy cię zatrzymać, czy odprawić.

Marsh z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nie rozumiem, co mogłaś...

– W porывach namiętności mężczyźni ujawniają cechy, z których istnienia nie zdają sobie sprawy. Coś w sobie masz, Wendell, masz coś, czego nie chciałabym się pozbywać.

– Czyli mogę ci się przydać.

– To nieodpowiednie, niezbyt ściśle określenie. Wyczułam, że mogę ci zaufać, że ten występek czegoś cię nauczył.

– To prawda.

Maricruz posłała mu uśmiech, który zgasiłby każdą kobietę i przyprawił o dreszcze każdego mężczyznę.

– Cóż, w takim razie nasze zbliżenie dało coś nam obojgu.

Marsh wbił wzrok w metalową podłogę pod nogami. Maricruz wyczuła, że opadły go czarne myśli, i postanowiła działać, zanim ogarnie go strach.

– Doskonale nadajesz się do tej małej zabawy.

– Zabawy? Nazywasz tak spotkanie z najgroźniejszym człowiekiem w Meksyku?

Położyła mu rękę na ramieniu.

– *Cálmate, Juanito, por favor.* – Uśmiechnęła się ujmująco. – Wszystko jest zapisane w górze. Potęga mojego ojca ochroni nas lepiej niż ci uzbrojeni goryle.

– To po co ich zabrałaś?

Maricruz uśmiechnęła się szerzej.

– *Machismo*, Wendell. Żyłam z tym hasłem od urodzenia. Nie miałam wyboru. Dlatego postanowiłam wyjechać z Meksyku, który wciąż nie jest miejscem dla zwykłych kobiet. Ale wróciłam jako obywatelka świata. Ludzie tacy jak Matamoros go nie znają. Świat poza granicami Meksyku jest dla nich tajemnicą. Wiedzą to, co wiedzą, i tyle. Swoją świat znają doskonale i czują się w nim bezpiecznie. Ale takie podejście bardzo ogranicza.

– Matamoros jest inny – powiedział Marsh. – Wyszkolili go meksykańscy wojskowi.

– Myślisz, że wojskowi różnią się od tych z karteli? – Maricruz pokręciła głową. – Jeśli już, to tylko sposobem prowadzenia wojny. Ale widzisz, mimo przewagi w uzbrojeniu, mimo tych wszystkich śmigłowców i liczby żołnierzy, nie są żadnym przeciwnikiem dla karteli, których główną siłą jest zapal i determinacja. Naginają to państwo do swoich potrzeb jak chcą, a państwo im ulega. Wszystko inne to sprawa uboczna, coś, co zupełnie ich nie interesuje. Tymczasem ja mogę dostarczyć im środków do osiągnięcia celu – narkotyków i bogactwa. Tu, w Meksyku, są to jedyne rzeczy, które się szanuje.

Dojechali już do północnych dzielnic Distrito Federal. Skręcili w prawo, potem jeszcze raz w prawo, następnie w lewo. Na końcu ulicy był kręty podjazd prowadzący do wielkiego domu w stylu meksykańskiej hacjendy, o ścianach

zdobionych bladuróżową sztukaterią. Kiedy pod kołami limuzyny zachrząścił żwir zmieszany ze zmiażdżonymi pancerzykami morskich skorupiaków, spod cienistych palm wokół domu wyszło kilkunastu mężczyzn. Mieli ponure twarze i byli uzbrojeni, ale zachowywali się spokojnie. Wyglądali jak rozstawione na podjeździe posągi, lecz Maricruz nie dała się zwieść. Wiedziała, że z najbliższego powodu mogą zamienić się w miny lądowe.

Limuzyna zatrzymała się przed wiejskim portykiem. Jej ludzie wysiedli jako pierwsi, lecz zgodnie z rozkazem trzymali się na długość ręki od samochodu.

– Chodź – rzuciła do Marsha i postawiła nogę na ziemi kartelu.

Frontowe drzwi były pomalowane na charakterystyczny odcień błękitu, który Meksykanie nazywali *azul*. Otworzyły się do środka i w progu stanął potężnie zbudowany mężczyzna. To pewnie Juan Ruiz, pomyślała, jeden z najbliższych pomagierów Matamorosa. Był wielki jak zapaśnik sumo i – według jej informatora – niebezpieczny jak żmija sykliwa.

Jakiegokolwiek wahanie zostałoby poczytane za oznakę słabości, dlatego ruszyła w jego stronę zdecydowanym krokiem. Nie przesadziła, mówiąc Marshowi, że ojciec miał na tych ludzi wielki wpływ, jednak umniejszyła być może znaczenie tego, że w świecie zdominowanym przez prymitywną zbrodnię i zezwierzęcenie jako kobieta cieszyła się daleko mniejszym poważaniem. Musiała podtrzymać reputację ojca, co przysięgła sobie w chwili, gdy do Pekinu dotarła wiadomość o jego śmierci.

– Juan Ruiz? – spytała.

Gdy stanęła przed drzwiami, Ruiz niemal niedostrzegalnie skinął głową. Potem przeniósł kamienny wzrok na Marsha.

– Kto to? – spytał. – Po co?

Konwersowanie nie należało do jego mocnych stron. Wiedziała, że od tego jest Diego de la Luna, prawa ręka Matamorosa.

– Juanie Ruiz, miło mi przedstawić panu Wendella Marsha.

– Señor Matamoros powiedział jedna osoba. Są dwie.

– Señor Marsh był wieloletnim doradcą mojego ojca, a teraz jest moim. Nigdzie się bez niego nie ruszam.

Olbrzym zamknął oczy, jakby nagle zasnął na stojąco. Ale Maricruz wiedziała, że spod spuszczonej powieki uważnie przygląda się Marshowi. W końcu skinął głową, znowu prawie niezauważalnie, a potem odsunął się na bok, zapraszając ich do środka.

I nagle znaleźli się w pałacu współczesnego imperatora. Tylko w wysokim na dwa piętra holu i ciągnącym się za nim przepastnym korytarzu liczba kryształowych żyrandoli, jaspisowych stolików, marmurowych posągów, porcelanowych waz, azteckich masek z jadeitu, przyborów z kości słoniowej, olmeckich kamiennych głów, rzeźb z zębów wieloryba i zegarów ze złotawego stopu miedzi i cynku była tak duża, że Maricruz szybko przestała je liczyć. Na piętro prowadziły wijące się majestatycznie mahoniowe schody z balustradą, której nie powstydziliby się pałac wersalski.

– Broń – rzucił Juan Ruiz w swoim monosylabicznym stylu.

Maricruz podała mu obydwie pistolety.

Ruchem masywnego podbródka olbrzym wskazał Marsha.

– A on?

– Wendell nie ma broni.

– Ręce.

Gdy podnieśli ręce, obszukał ich szybko i wprawnie, poklepując i przesuwając dłońmi po całym ciele. Nic nie znalazłszy, poprowadził Maricruz i Marsha przez hol, salon, elegancką bibliotekę i pokój dzienny, pomieszczenia, z których każde było większe i bogatsze od poprzedniego, wypełnione skarbami jak z ukrytych kufrów najwspanialszego muzeum na świecie. Nadmiar tych wszystkich skarbów zmęczył Maricruz, zanim dotarli do gabinetu, i pewnie o to chodziło. Felipe Matamoros chciał zademonstrować jej swoje bogactwo i władzę w jak najbardziej namacalny sposób.

Stał tyłem do drzwi, patrząc na szmaragdowy trawnik opadający łagodnie w stronę skrzącego się w słońcu basenu. Na jego jednym końcu był wodospad, a na drugim wylegiwała się grupa niepokojąco młodych dziewcząt w bikini, opalonych na brąz i błyszczących od olejku. Matamoros trzymał obie ręce z tyłu. W jednej miał duży, staromodny kielich najprzedniejszej – jak domyśliła się Maricruz – tequili.

Kiedy Juan Ruiz ich wprowadził, z cienia po prawej stronie wyszedł smukły mężczyzna. Wyszedł i z takim samym staromodnym kieliszkiem w rękę przystanął na dywanie, który kiedyś był pewnie klejnotem kolekcji z Tabrizu.

– Señorita Encarnación – powiedział. – Czy mogę zaproponować państwu coś do picia?

– Teraz już señora – poprawiła go obojętnie Maricruz.

– A tak, oczywiście. Señora Ouyang, prawda?

– Poproszę tequilę – odparła z naturalnym uśmiechem. – Dwa razy.

– Już podaję.

Mężczyzna podszedł do niskiego kredensu. Przez cały ten czas Matamoros ani drgnął. Zdawało się, że przestał nawet oddychać.

– Wciąż jestem córką mojego ojca – powiedziała, gdy tamten nalewał im drinka. – W moich żyłach wciąż krąży krew Encarnaciónów.

Dopiero wtedy Matamoros się odwrócił. Był przystojnym mężczyzną o surowej, mrocznej urodzie. Miał ciemne, czyste, inteligentne oczy, orli nos, drapieżne usta i policzki ze śladami po ospie albo z bliznami; w przyćmionym świetle trudno było powiedzieć.

– Bardzo dobrze. – Głęboki, tubalny głos niósł się jak grzmot w górskich dolinach. – Nie pozółkła pani skóra i nie ma pani skośnych oczu.

– Co za ulga! – wykrzyknęła Maricruz.

Cienkie, okrutne usta drgnęły w czymś na kształt lekkiego uśmiechu. Albo szyderczego uśmieszku, pomyślała, ale teraz ważniejsze było co innego. Matamoros mógł ją podpuszczać, sprawdzać jej odporność psychiczną i siłę.

Ten szczupły przyniósł im drinki.

– Poznałam pańskiego brata, señor de la Luna – powiedziała, gdy podawał jej kieliszek.

Kieliszek zadrżał mu w ręku, co znaczyło, że zdobyła cenny punkt.

– Mojego brata... – powtórzył, próbując zyskać na czasie i ochłonąć.

– Elizondo de la Lunę. – Maricruz upiła łyk tequili, spoglądając na niego znad brzegu kieliszka. – To pański brat, prawda?

De la Luna popatrzył na nią jak na pluskwę w łóżku.

– Gdzie go pani spotkała?

– W Manili. – Maricruz zastanawiała się, jak tam jest, bo ani razu nie była na Filipinach. Nie ma to jak dobry wywiad, pomyślała, zwłaszcza w chwilach takich jak ta. – Rozumiem, że nie widzieliście się od dłuższego czasu – dodała, delektując się paletą smaków starego trunku.

– Señora Encarnación – wtrącił Matamoros z kocim uśmiechem. – Żeby się z panią spotkać, przyleciałem aż z Nuevo Laredo. Mamy do omówienia ważne sprawy.

Maricruz skinęła głową, nie odrywając oczu od de la Luny, który chyba zbłądł.

– Tak, w Manili – powtórzyła – gdzie Elizondo i jego podwładni z Interpolu zamykali właśnie nielegalną wytwórnę farmaceutyków. – W końcu przeniosła

wzrok na szefa Los Zetas. – Ma pan szczęście, señor, że prowadzi pan interesy tylko w Meksyku.

Tym razem Matamoros naprawdę się uśmiechnął, choć bardzo nieprzyjemnie.

– Jakoś sobie radzę. – Wskazał dwa fotele obite skórą w kolorze tytoniu. –

Proszę.

Maricruz usiadła tyłem do przeszklonych drzwi z widokiem na basen, tak że popołudniowe słońce padało na jej plecy. Matamoros usiadł naprzeciwko niej. Marsh i Juan Ruiz stanęli obok siebie jak strażnicy, a de la Luna znowu zniknęła w cieniu.

– Pani ojciec był dobrym człowiekiem – zaczął Matamoros. – Szanowałem go. Proszę przyjąć moje szczere kondolencje. Wielka szkoda, że odszedł.

– Przecież pan go nie znał.

– Robiliśmy interesy przez pośrednika.

– Przez Tulio Vitosę. Azteka.

Matamoros skinął głową.

– Zgodnie z życzeniem ojca.

– Don Tulio też już nie żyje. A pan przejął jego organizację.

– Cóż... – Matamoros rozłożył ręce. – Co mogłem zrobić? Bez Azteka i cennych rad pani ojca ludzie zostali bez sternika. Giron wziął ich na muszkę. Nie mogłem pozwolić, żeby do niego trafili. – Dopił tequilę i odstawił kieliszek. – Co postawiło pani rodzinę w niezręcznej sytuacji, bo wypadliście ze świata karteli.

Wiedząc, że chwila ta prędzej czy później nadejdzie, Maricruz odparła:

– Powiedziałabym, że w niezręcznej sytuacji znalazł się pan, bo straciliście dostęp do naszych towarów.

– Mam własnych dostawców.

– Ale nie takich, którzy zaopatrują się bezpośrednio w Chinach. Musi pan opłacać licznych pośredników, a ponieważ każdy z nich chce uszczknąć coś dla siebie, wasze dochody są dużo mniejsze.

– Bez przesady.

Maricruz wiedziała, że Matamoros kłamie, lecz wcale nie oczekiwała, że powie prawdę. W każdym razie nie na tym etapie negocjacji.

– Zastanawiam się – ciągnęła – jakie ponosi pan koszty. Metamfetamina to przyszłość, rozumiem więc, że gwałtownie rosną.

Matamoros milczał, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, jak to rozegrać.

Maricruz nie czekała na odpowiedź.

– Pańskie dochody byłyby dużo większe, gdyby nie to, że metamfetamina jest jak na razie produktem niszowym, prawda? – Upiła łyk tequili. – A ja mam dostęp do wszystkich niezbędnych chemikaliów i mogłabym dostarczać je praktycznie w nieograniczonej ilości.

– Dzięki mężowi...

– ...który jest członkiem chińskiego Politbiura. Sam pan widzi, jakie to korzystne.

– Owszem, señora, widzę. I to bardzo wyraźnie. – Matamoros kiwnął głową.

De la Luna wyszedł z cienia z pistoletem w ręku. Mierzył w Marsha.

– To dobrze, że przyprowadziła pani swojego *abogado* – ciągnął Matamoros. – Dobrze dla mnie, ale nie dla pani. Bo teraz albo da mi pani wszystko, czego zażądam, i przekaże tajemnice waszego kartelu, albo ten człowiek umrze.

Rozdział 10

Odpychając zwłoki na bok, Bourne dostrzegł przez otwarte okno sylwetkę uciekającego człowieka. Natychmiast stanął na parapecie i zszedł na stromy dach. Zaokrąglone dachówki były zdradziecko gładkie i ześlizgnął się prawie na okap. Tuż przed nim była wąska przerwa między domami, a poniżej alejka, którą widział przez okno w korytarzu.

Zebrał siły, skoczył, wylądował na sąsiednim dachu i chwycił się anten, żeby nie spaść. Odzyskawszy równowagę, puścił się w pogoń za uciekinierem, który pokonał już szczyt dachu i zniknął.

Chwilę później, już na szczycie, zobaczył go znowu i szybko wykalkulował, którędy pobiec, żeby przeciąć mu drogę, zanim za bardzo się oddali. Puścił się biegiem na skos i przeskoczył na sąsiedni dach, mniej więcej równoległy do trasy, którą pędził tamten. Widać było, że zmierza do określonego celu.

Szybko stwierdził, że obniżenie środka ciężkości znacznie ułatwia bieg po śliskich dachówkach. Mimo to facet był szybszy – pewnie znał się na dachach lepiej od niego, zwłaszcza tych charakterystycznych dla starej dzielnicy Szanghaju.

Na wpół biegnąc, na wpół się ślizgając, skręcając to w lewo, to w prawo jak tropiący zająca pies, pokonywał stromizny i spadki i przeskakiwał nad zaułkami cuchnącymi kapustą i rozkładającymi się zwierzęcymi szczątkami. Człowiek, którego ścigał, zdawał się mieć niewyczerpany zasób energii.

W pewnej chwili obejrzał się przez ramię i widząc, że Bourne wciąż za nim biegnie, zsunął się z dachu i zniknął za krawędzią. Jason poszedł w jego ślady i znalazł się w wąskiej uliczce pełnej prowizorycznych straganów z owocami, warzywami i pirackimi płytami DVD z amerykańskimi filmami.

Zabójca śmigał ciasnymi przesmykami, przeciskając się przez tłum jak karaluch. Bourne prawie go doganiał, gdy wtem mężczyzna skręcił za róg. Kiedy Jason tam dobiegł, po facecie nie było już śladu. Bourne spojrział w górę i zobaczył, że tamten jak mała wspina się po rynnie.

Widząc, że rynna nie utrzyma ich obu, wpadł do budynku na rozchwierutane schody. Pokonując po trzy stopnie, wbiegł na ostatnie piętro, wyważył kopniakiem drzwi do jakiegoś mieszkania, wśród krzyków ogarniętych paniką lokatorów wybił okno i stanąwszy na parapecie, chwycił się okapu.

Podciągnął się, wdrapał na górę i zobaczył, że tamten jest już dwa dachy dalej. Z gzymsu sąsiedniego domu wystawała metalowa rura – chwycił się jej jak cyrkowego drążka, rozhuśtał, skoczył, wylądował na dachu, po którym uciekał zabójca, i znowu mignęła mu jego twarz. Lecz nagle mężczyzna przystanął, znieruchomiał, gwałtownie zadrżał i z jego ust dobył się krótki, zdławiony krzyk.

Bourne przyspieszył, dopadł go tuż za szczytem i chwycił od tyłu, podświadomie odnotowując, że jest dziwnie wąski w pasie. Obrócił go do siebie i stwierdził, że to wcale nie mężczyzna, tylko młoda dziewczyna, najwyżej dwudziestoletnia, drobna jak nastolatka.

Miała ściągniętą z bólu twarz. Bourne spojrział w dół i zobaczył, że jej prawa stopa tkwi w morderczych szczękach pułapki na niedźwiedzie.

•••

– Naprawdę? – spytała Maricruz. – A więc tak chce pan to rozegrać?

– A da się inaczej? – spytał Matamoros. – Najlepsze są zawsze stare i sprawdzone sposoby, señora. Tak było kiedyś, tak jest teraz.

Maricruz wstała i bez słowa podeszła do Marsha.

– Nikt nie będzie mi groził. Prawda, Wendell?

– Nikt – odparł Marsh.

Maricruz spojrzała z pogardą na de la Lunę i grubym, ciężkim kieliszkiem uderzyła Wendella w twarz. Gdy oszołomiony i skonsternowany zatoczył się do tyłu, pomiędzy piersi wyjęła mały sztylet i wbiła mu go w szyję.

Potem cofnęła się, chociaż prawie nie było krwi. Marsh upadł na dywan. Przez kilka chwil w gabinecie słychać było tylko upiorne gulgotanie, gdy próbował wciągnąć powietrze do płuc. Maricruz obserwowała go obojętnie. Kto raz zdradził, myślała, zdradzi ponownie. Choćby zaprzeczał temu tysiąc razy, nie mogła mu już ufać. Ale odegrał przynajmniej swoją rolę, odpokutował winy.

W końcu, kiedy konwulsje osłabły, a potem zupełnie ustały, spojrzała na Matamorosa, który zerwał się z fotela, lekko pochylił i rozstawił nogi w klasycznej pozycji bojowej ulicznego zabijaki.

– No chodź. – Maricruz pokiwała na niego złożonymi w miseczkę dłońmi. – Chciałeś tego, odkąd tylko tu weszłam.

•••

– Mam na imię Yue – wysapała.

– Co tu robi ta pułapka?

Bourne widział, że dziewczyna bardzo cierpi. Stalowe zęby przebiły ciało aż do kości.

– Używają ich do chwytania niedźwiedzi malajskich. – Aby złagodzić ból, brała długie, głębokie oddechy. – Teraz to nielegalne, ale kłusownicy trzymają je czasem na dachu.

Jason ukląkł na jedno kolano i zerwał z dachu luźną dachówkę. Wcisnął jeden koniec między szczęki pułapki, piętą zgiętej nogi jak dźwignią naparł na drugi i powoli, z bolesnym wysiłkiem, rozwarł zakrwawione szczęki na tyle, że Yue zdołała uwolnić nogę. Sekundę później dachówka pękła i pułapka zatrasnęła się tuż przy jego stopie.

Yue próbowała stanąć na krwawiącej nodze.

– Kurwa!

Jason podtrzymał ją, boby upadła. Ważyła tyle, co nic. Podniósł ją i stanął na skraju dachu. W wąskim zaułku poniżej piętrzyła się sterta wielkich plastikowych worków z odpadkami.

– Trzymaj się – powiedział i skoczył.

Spadając, mocno ją obejmował. Wylądowali na workach, a wtedy przetoczył się przez lewe ramię, żeby złagodzić siłę uderzenia.

Dziewczynynie wypadł pistolet. Natychmiast go podniosła, ale wyrwał go jej z ręki. Pistolet wyglądał dziwnie i Jason szybko zrozumiał, że to z niego wystrzeliła strzałkę, która utkwiała w szyi policjanta.

– Skąd to masz?

Yue usiadła na worku, skrzyżowała ręce na kościstej piersi i spojrzała na niego z wojowniczością nieprzystającą do jej wieku.

Spróbował z innej beczki.

– Dlaczego zabiłaś tego policjanta?

Dziewczyna odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się. Szczerze, prosto z trzewi.

Gdy zaczęła obrzucać go wyzwiskami, ścisnął mocniej jej chude nadgarstki i przyciągnął ją bliżej.

– Znam twój język – powiedział idiomatyczną chińszczyzną. – Lepiej ze mną nie pogrywaj.

W odpowiedzi wysunęła dolną wargę. Była bardzo drobna, lecz szybka jak błyskawica, i okazało się, że równie szybko myśli.

– Po co przyszedłeś do Wei-Weia? – spytała.

– Bo mnie prosił.

– Niby dlaczego?

Bourne przyjrzał się jej uważnie.

– Chciał mi coś powiedzieć.

– Nie wierzę. Nigdy nie zaprosiłby cię do domu.

– Dlaczego?

– Bo dom był dla niego święty. Nigdy nie prowadził tam interesów.

Jason pomyślał o liście, który kelnerka dała mu w restauracji, i kiwnął głową.

– Chodźmy. Znasz kogoś, kto może cię opatrzyć?

– Mama zabroniła mi rozmawiać z obcymi.

Bourne westchnął i wyjął z kieszeni list.

– To jego pismo?

Yue wyrwała mu kartkę z rąk.

– Nie, nie jego. – Oddała mu list. – Tak myślałam.

– Jak to?

– Bo to nie był policjant. To był zabójca. Zaskoczyłeś go i nie zdążył wymknąć się z mieszkania. Śledziłam go, ale mnie wyprzedził. Spóźniłam się. Wtedy przyszedłeś.

– I odwróciłem jego uwagę na tyle, że zdążyłaś oddać celny strzał – zauważył Bourne.

Dziewczyna uciekła wzrokiem w bok.

– Dla kogo pracujesz?

Znowu posłała mu to zjadliwe spojrzenie.

– Miałeś się z nim spotkać, tak? Z Wei-Weiem.

– Tak, w herbaciarni. – Podał jej nazwę i adres.

Przyjrzała mu się z mniej sceptyczną miną.

– Co miałeś powiedzieć na powitanie?

Jason lekko się zawahał i podał jej ustalone przez Mosad hasło.

Z jej oczu zniknęło wreszcie coś mrocznego i groźnego.

– No dobrze – powiedziała krótko i rzeczowo. – Zaprowadź mnie do Tak Sina. To tuż za rogiem.

– Schowaj to – rzucił Matamoros do de la Luny, czujnie obserwując Maricruz. – Przydadzicie się wreszcie na coś. – Machnął ręką w stronę basenu. – Weź Ruiza i idźcie. Pogadajcie z dziewczynami, śmiertelnie się nudzą. – Pogardliwie prychnął. – I zabierzcie to gównno, zanim zniszczy mi dywan.

Kiedy de la Luna i Ruiz wynieśli ciało Marsha, Matamoros wyprostował się, westchnął, kopnął leżącą na podłodze szklanę, podszedł do kredensu i nalał im solidną porcję tequili.

– Ojciec dobrze panią wychował.

Maricruz wytarła zakrwawioną klingę i odłożyła sztylet.

– Ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

– *¡Ay de mí!* – Matamoros podał jej drinka. – *Cálmate, mi princesa guerrera. Usted ha ganado la batalla.* – Uspokój się, waleczna księżniczko. Wygrałaś bitwę.

Podniósł skrzący się kieliszek jak do toastu i tręcili się szkłem. Wypili prawie do dna. Matamoros westchnął.

– Szczerze mówiąc, cieszę się, że taka pani jest, bo widzę w pani żołnierza równie bitnego jak moi ludzie i dużo bardziej pomysłowego.

– Jakoś panu nie wierzę.

Matamoros stłumił śmiech i pokręcił głową.

– *Mujer*, nigdy dotąd nie spotkałem takiej kobiety. Chcę kupić pani towar. Czy można być bardziej szczerym?

– Niepokoję się o spadek po ojcu.

Matamoros zmarszczył brwi. Był zbity z tropu, pierwszy raz, odkąd zaczęli rozmawiać.

– Chodzi o pieniądze?

– Nic pan nie rozumie.

– To niech mnie pani oświeci. – Podniósł kieliszek. – Proszę.

Gdy Maricruz nie odpowiedziała, jeszcze bardziej zmarszczył czoło i nagle jakby przejrzał na oczy. Kiwnął głową.

– Rozumiem. Myśli pani, że nie warto ze mną rozmawiać, że to strata czasu.

Odwrócił się i usiadł w fotelu, w którym wcześniej siedziała. Promienie słońca omywały mu ramiona, tworząc jasną aureolę nad jego głową.

– Ale myli się pani, zakładając, że jestem głupi.

Maricruz usiadła naprzeciwko niego.

– Tak? To niech mnie pan wyprowadzi z błędu. Proszę.

Posłał jej drapieżny uśmiech, który teraz, po tym krwawym starciu, zdawał się bardziej frapujący niż niebezpieczny.

– Będąc dzieckiem, ciężko zachorowałem. Mieszkaliśmy wtedy w górach, w małej wiosce, w chacie z klepiskiem zamiast podłogi. Ojciec harował od świtu do nocy. Kiedy umarł, płuca miał czarne od węgla, który wydobywał w kopalni.

Właśnie tego dnia zachorowałem. Miałem dziesięć lat, trawiła mnie gorączka, która nie chciała ustąpić. Nikt nie wiedział, co mi jest, ani wiejski lekarz, który przepisał mi zioła, ani stara wiedźma, która rzucała czary i uroki. Dosłownie nikt.

Po dwóch tygodniach gorączka zaczęła mnie zabijać. Wtedy Marissa, moja starsza siostra, zaprowadziła mnie nad rzekę, wzięła na ręce i weszła do wody. Było tam miejsce, które bardzo lubiła, prawie okrągła sadzawka z dala od głównego nurtu. Kiedy zanurzyła mnie w czystej, chłodnej wodzie, poczułem, że unoszę się na lekkiej fali.

Trzymała mnie na rękach wiele godzin. Pamiętam przesuające się po niebie chmury – wyglądały jak mityczne bestie, które mnie strzegły. Słyszałem nawoływania ptaków, ale dźwięki były zniekształcone i dochodziły z oddali, jak ze snu.

Słońce zaszło, a ona wciąż mnie trzymała i łagodnie kołysała. Kiedy zapadła ciemność, zaczęła śpiewać. Wszedł księżyc. Patrząc na twarz siostry, myślałem, że to on. Chyba zasnąłem, bo nagle niebo pojaśniało i wstał świt. Wtedy Marissa powiedziała: „No proszę. Uśmiechasz się”.

Tego dnia, a może następnego, już nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy od dwóch tygodni jadłem porządny posiłek, usiadła obok mnie i powiedziała: „*Joven*, niewiedza omal cię nie zabiła. Od tej chwili zawsze pamiętaj, że głupota to rodzaj śmierci”. Nigdy tych słów nie zapomniałem, *mujer*. Nigdy, bo widzisz, moja siostra jest boginią. Odtąd każdą wolną chwilę poświęcałem na naukę.

Dopił drinka.

– A teraz chodźmy. Zjedzmy coś dobrego i zastanówmy się, jak ocalić spuściznę Maceo Encarnacióna.

Rozdział 11

Recach wylądował w Szanghaju i z marszu zabrał się do pracy. Zwerbowano go do Mosadu, kiedy miał siedemnaście lat. Trzy lata później skierowano go do Metsady. Sławę w Kidonie zdobył, zabijając Muhammada, szefa syryjskiego programu nuklearnego, którego zastrzelił z łodzi, gdy ten opalał się na plaży w Tartusie. Ugruntował swoją pozycję tym, że przedostawszy się do Damaszku, zlikwidował Imada Mughniję, jednego z najważniejszych przywódców Hezbollahu, odpowiedzialnego za zamach bombowy na ambasadę amerykańską w 1983 roku. Zaszył niewielki ładunek C-4 w zagłówku jego samochodu i odpalił go zdalnie komórką.

Tamto zadanie szczególnie go interesowało, dlatego zaciekle o nie walczył. Jedną z ofiar zamachu był jego młodszy brat, oficer łącznikowy w ambasadzie. Zemsta była kwestią honoru rodziny, dlatego Amir Ofir, wtedy świeżo mianowany szef Metsady, spełnił jego prośbę. Zrobił to również dlatego, że chciał go od siebie uzależnić. Recach o tym wiedział, a jeśli nie, dowiedział się wkrótce potem, gdy Ofir, potajemnie i nielegalnie, zlecił mu kolejne zabójstwo. Recach nie zaprotestował, szczerze mówiąc, nawet się z tego ucieszył. Mosad był jak rodzina, tym bardziej Metsada. A to, że Ofir uważał go za kogoś w rodzaju syna, uznawał za wielki zaszczyt.

W drodze z lotniska wyjął komórkę i zaczął wydzwaniać. Miał kontakty w każdym większym mieście. Żaden z nich nie wiedział, że jest Izraelczykiem, tym bardziej agentem Mosadu. Płacił im z własnej kieszeni, bo nie chciał, żeby ktoś – nawet Ofir – odkrył ich istnienie. Nie dbał o pieniądze; służyły mu jedynie do kupowania informacji. Nie dbał również o rzeczy materialne, które każdy dorosły człowiek nieuchronnie gromadzi z biegiem lat. Kiedyś był żonaty i miał dziwne dziecko, które odwiedzał raz w roku.

On też był dziwny. Dużo później, po lekturze wielu książek i materiałów, zrozumiał, że jest pozbawiony empatii. Fakt, że naukowcy uważali to za jeden z objawów typowych dla psychopatów, wcale go nie martwił. Ludzie nauki żyli w zupełnie innym świecie. W świecie, który jak faraona chroniono przed tym, co działo się na ulicy. Cóż wiedzieli o jego potrzebach?

Zebrawszy wszystkie informacje, jakie tylko mógł zdobyć za pierwszym podejściem, wysiadł z taksówki przy zatłoczonej Shanxi Road w Huangpu i doszedł piechotą do Dongbei Ren, hałaśliwej, tętniącej życiem restauracji, popularnej zarówno wśród miejscowych, jak i turystów. Wskazał jeden z dużych, okrągłych stołów i zrobiono mu miejsce między sześciuosobową chińską rodziną i miejscowym grubasem z błyszczącym od tłuszczu podbródkiem. Kłujący w oczy czerwono-żółcisty wystrój, umundurowane kelnerki ze ściągniętymi w kucyk włosami – to miejsce wyglądało jak za czasów rewolucji Mao.

– Co by tu zamówić, co by tu zamówić... – wymamrotał, przeglądając opasłe menu.

– Niech pan weźmie pijane krewetki – poradził mu gruby szanghajczyk.

– Jestem na nie uczulony – odparł Recach, nie odwracając głowy.

– Niech pan żałuje. Są tak świeże, że ruszają się w ustach.

Zamówił zielone kluski na parze, udziec jagnięcy i dzbanek herbaty z kwiatów chryzantemy. Odłożył menu i spytał:

– Widział go pan?

Grubas jeszcze raz zerknął na zdjęcie Bourne'a, które Recach przysłał mu na komórkę.

– Nie – odparł. – Ale zaraz będzie tu ktoś, kto go widział. – Głośno beknął, wstał, a resztki jedzenia posypały się jak śnieg na jego tęgie kolana. – Tymczasem proszę się dobrze bawić, ale niech pan będzie ostrożny. Mają tu tak pyszne żarcie, że można się zażreć na śmierć.

Recach parsknął śmiechem i kiedy tylko podano mu kluski, połał je ostrym sosem, wziął pałeczki i zaczął łapczywie jeść.

•••

Tak Sin prowadził aptekę, jaką można znaleźć tylko w Chinach. Po lewej i prawej stronie stały rzędy drewnianych szafek z szufladami pełnymi przeróżnych ziół, mielonych rogów nosorożca, tygrysiich zębów, suszonych niedźwiedziich łap i temu podobnych. Apteka była długa, wąska i ciemna jak tunel metra.

Gdy Bourne wszedł tam z Yue na rękach, stojąca za ladą stara kobieta podniosła wzrok znad liczydeł i klnąc, pobiegła na zaplecze. Chwilę później

wycłapał stamtąd brzuchaty Chińczyk o łzawiących oczach. Był w papuciach i miał siwą, cienką brodę.

Przez grube okulary przyjrzał się ranie, a potem zerknął z naganą na Jasona. Następnie skrzywił się, odwrócił i gestem ręki wskazał zaplecze. Ciągnął się tam labirynt pokoi, które w przeciwieństwie do zakurzonej, pełnej zapachów apteki były nienagannie czyste i jasno oświetlone.

Tak Sin kazał Bourne'owi położyć dziewczynę na długim stole.

– Wujku, on mnie uratował – powiedziała Yue. – I mówi po naszymu.

– Naprawdę? – Chińczyk czyścił już i dezynfekował jej ranę i nawet nie podniósł wzroku. – W coś ty się wpakowała, siostrzyczko?

Yue roześmiała się i nagle skrzywiła, bo nogę przeszył ostry ból.

Tak Sin pokręcił głową.

– Wiedziałem, że nie wolno ci dawać wyciągu z passiflory.

– Cyjanek? – spytał Jason.

– Ano cyjanek. Ale widzi pan, mam do niej słabość. – Oczyszczył ranę, owijał jej stopę gazą nasączoną antybiotykiem ziołowym. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się tajemniczo. – Co ja na to poradzę?

Bourne wziął Yue za rękę i pomógł jej usiąść.

– Ten, którego zastrześliś. Kto to?

– Ten przebrany za policjanta? Zawodowy zabójca.

– Kto go wynajął?

– Taki jeden z Pekinu. Ale od tygodnia jest tutaj, w Szanghaju. Nazywa się Sun.

Pułkownik Sun.

Jason zeszczywniał.

– Znasz go?

– Tak, od dawna – odparł w zamyśleniu Bourne. – Ale po co miałby zabijać Wei-Weia?

– Nie wiem. – Yue zeskoczyła na podłogę. Poraniona kostka nie wytrzymała i Bourne skoczył dziewczynie na pomoc. Objął ją, a ona przytrzymała się stołu. Spojrzała na niego i dodała: – Ale znam kogoś, kogo mógłbyś o to spytać.

•••

– Ma pan problem – powiedziała Maricruz, odsuwając talerz pełen skorupki krewetek. – Poważny problem.

Felipe Matamoros wytarł z tłuszczu grube usta.

– Tak? Niby jaki?

– MEL Petroservicios.

Matamoros usiadł wygodniej z twarzą kamienną i tajemniczą jak oblicze Sfinksa.

Trafiła w dziesiątkę, wiedziała, że trafi.

– Krótko mówiąc, Amerykanie wygryźli ich z interesu.

– A mnie dotyczy to, bo...?

– Niech pan nie udaje. Wykorzystywał pan tę spółkę, a raczej była spółką, do prania brudnych pieniędzy, nielegalnych zysków Los Zetas. I został pan na lodzie.

– Widzę, że jest pani lepiej poinformowana, niż myślałem, *mi princesa*. – Matamoros przekrzywił głowę. – Ale jakoś sobie radzimy. Ci durni gringos ciągle z czymś wyskakują, już do tego przywykliśmy. Życie w Meksyku to jedno wielkie gówno. Nikt go nie ceni. Myśli pani, że tylko my siedzimy w narkotykach? Nie, nie, *mujer*. Siedzi w nich również policja, magnaci przemysłowi, a przede wszystkim politycy, którzy jednym kącikiem ust głoszą te wszystkie frazesy, a drugim jedzą z mojego talerza.

Rozłożył szeroko ręce.

– A teraz słucham. Co może pani dla mnie zrobić? Zaproponuje mi pani, żebym prał brudne pieniądze w firmie komputerowej ojca?

– Wykluczone. SteelTrap jest stuprocentowo legalna i taka pozostanie.

– W takim razie nie rozumiem, jak...

– Sztuka, señor Matamoros, sztuka. Nowa chińska klasa wyższa wyda każde pieniądze, żeby się dowartościować. – Maricruz rozejrzała się po wystawnie urządzonej gabinecie, pełnym kosztownych artefaktów z meksykańskiej przeszłości, i ponownie spojrzała na Matamorosa. – Choć to żalosne, takie realia panują dzisiaj w Państwie Środka.

– Urodziłem się jako biedak, *mujer*. Z miejsca, gdzie siedzę, świat wygląda zupełnie inaczej.

– Możliwe. – Maricruz zatoczyła ręką łuk. – Ale czy na pewno jest to spuścizna godna kogoś ambitnego? Czy na pewno nie chce pan pozostawić po sobie czegoś większego i wspanialszego?

– Proszę mówić dalej – powiedział po chwili Matamoros.

– Korzystne dla pana jest to, że w przeciwieństwie do rynków świata cywilizowanego chiński rynek sztuki jest zupełnie nieprzejrzysty. Prawdziwe

dzieła sztuki mieszają się z falsyfikatami i nikt nie widzi różnicy. Wszystko kupuje się po astronomicznych cenach i sprzedaje po cenach astronomicznie podbitych.

– Tak więc za nasze pieniądze kupowałyby pani w Pekinie dzieła sztuki i sprzedawałyby je chińskiemu biznesmenom, żeby wróciły do nas czyste. Oczywiście za stosowną prowizję.

– Piętnastoprocentową. Oraz za połowę zysku z każdej transakcji, a proszę mi wierzyć, że zysk będzie bardzo, ale to bardzo przyzwoity. – Maricruz uśmiechnęła się z błyszczącymi oczami. – Układ jest prosty i niezawodny. A najlepsze jest to, że Amerykanie nie będą mogli tknąć ani pana, ani pańskich pieniędzy.

Matamoros wstał i obszedł pokój, dotykając każdej azteckiej i olmeckiej rzeźby, jakby do niego przemawiała, jakby pomagały mu podjąć decyzję. W końcu się odwrócił.

– Nawet jeśli się zgodzę, jest jeszcze pięciu pozostałych.

– Umysł zbiorowy. Doskonale to rozumiem.

Ale Matamoros miał kamienną twarz.

– Przede wszystkim jesteśmy komandosami, *mi princesa*, elitą meksykańskiej armii, co, przyznaję, brzmi jak kiepski dowcip. Ale jesteśmy również kregosłupem Los Zetas, ponieważ dobrze nas wyszkolono, bo postawiliśmy sobie za cel opanowanie tajników sztuki wojennej. Co więcej, dezercerując, zabraliśmy ze sobą zaawansowaną broń i wszystkie kontakty. Jest nas sześciu. Stanowimy kadrę. Dlatego jesteśmy silni. Dlatego jesteśmy niepokonani.

– W takim razie niech pan mi ich przedstawi. Przekonam ich tak, jak przekonałam pana.

Matamoros uśmiechnął się, wyjął cygaro z bogato rzeźbionego humidora, poczęstował ją, a kiedy odmówiła, włożył koniuszek do ust i niespiesznie je przypalił.

– Ponieważ pani ojciec przedwcześnie odszedł – powiedział, wydmuchując kłęby błękitnego dymu jak żelazna lokomotywa – współpraca z kartelami spadła na pani barki. Dobrze to rozumiem. Ale wiem również, jakie musi to być dla pani trudne. Ostatecznie to nie pani branża: obraca się pani wśród elity biznesmenów, polityków i artystów na drugim końcu świata. Tymczasem tutaj codziennie grozi pani niebezpieczeństwo, chyba nie muszą tego pani uświadamiać.

– Wątpię, czy uda się panu mnie zastraszyć, señor Matamoros.

– Felipe, *por favor*. – Odchylił do tyłu głowę i wydmuchał dym w stronę ozdobionego kasetonami sufitu. – Oczywiście ma pani rację. I wcale nie zamierzałem pani straszyć. – Podniósł rękę. – Ale muszę panią ostrzec, że moi *compadres* to ludzie brutalni i obcesowi. Może się okazać, że dla nich nie jest pani osobą tak czarującą jak dla mnie. I w przeciwieństwie do mnie mogą nie dostrzec pani inteligencji.

– To już moje zmartwienie – powiedziała Maricruz.

– Proszę mnie nie obrażać, *mujer*. Jest pani moim gościem. Jeśli wyruszymy w tę podróż, będzie pani pod moją opieką. Jestem odpowiedzialny za pani bezpieczeństwo.

Na to zobowiązanie czekała. Nadeszła pora dokończyć dzieło i zobaczyć, jak Matamoros zareaguje.

– Bardzo dziękuję, Felipe. Ale skoro już mamy spotkać się z kadrą Los Zetas, myślę, że powinniśmy również porozmawiać z szefami Sinaloa.

Matamoros znieruchomiał.

– ¡*Mujer, por favor!*

– Mówię zupełnie poważnie, Felipe.

– Chce pani, żebyśmy zasiedli do stołu z naszymi śmiertelnymi wrogami. To szaleństwo. Prowadzimy z nimi wojnę i ją wygrywamy. I kiedyś...

– No właśnie, „kiedyś”. Ilu waszych ludzi będzie musiało zginąć, zanim to „kiedyś” nastąpi? – Maricruz wciąż się uśmiechała, lecz w jej sercu wzbierało coś zimnego i mrocznego. Nie miała w tym kraju przyjaciół i wiedziała, że nigdy ich mieć nie będzie. Ale pozostawi po sobie ślad. Tu, w Meksyku. Była tego pewna. Nachyliła się ku niemu. – Niech pan mnie posłucha. Niech pan pomyśli o śmiertelnych ofiarach, jakie wzajemnie ponosicie. Wojna, którą jakoby wygrywacie, nie pozwala wam spokojnie zarabiać.

Uważnie sondowała jego oczy, sprawdzając, jaki efekt wywarły na nim te słowa.

– Jak pan myśli, dlaczego *el presidente* robi tak niewiele, żeby popsuć wam szyki? Bo jesteście, jak pan twierdzi, niepokonani? Możliwe, ale wątpię. *El presidente* siedzi wygodnie na złotym tronie i cierpliwie czeka, dobrze wiedząc, że prędzej czy później wy i Sinaloa wzajemnie się pozabijacie, że to jedynie kwestia czasu. A wtedy rzuci do boju te wszystkie czołgi i śmigłowce i przypisze sobie całą zasługę za oczyszczenie kraju z bandziorów i zniszczenie mocno osłabionych karteli.

Natomiast jeśli wy i Sinaloa połączycie siły... Niech pan pomyśli, jaką mielibyście władzę, jaką bylibyście potęgą. Rządzilibyście Meksykiem bez żadnych strat własnych, bez strachu przed odwetem. Chcę, żeby zapomniał pan o rozlewie krwi. Chcę wprowadzić pana w dwudziesty pierwszy wiek. Niech pan pomyśli o czekającej pana chwale.

W jadalni zapadła cisza. I nagle Matamoros wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i serdecznie, prosto z trzewi, wreszcie wytarł łzy.

– *¡Ay de mí!* Ma pani złote usta, *mujer*, sprzedalaby pani wełnę owczarzowi. *Es la verdad*.

– Niemniej decyzja należy do pana.

– Pozwoli pani, że wykonam kilka telefonów. – Machnął ręką w stronę kredensu. – Proszę napić się kawy, czego tylko pani chce.

– Dobrze pan wie, czego chcę.

Matamoros uśmiechnął się i wyszedł, ciągnąc za sobą smużkę pachnącego dymu z hawańskiego cygara.

Maricruz miała ochotę zadzwonić do Jidana, lecz powstrzymała ją świadomość, że to niebezpieczne. Ani w tej olbrzymiej willi, ani nawet w ogrodzie nie mogła mieć pewności, że ktoś jej nie podsłuchuje. Dlatego, zamiast sięgnąć po telefon, zaczęła kreślić w myślach perwersyjne scenariusze erotyczne.

Matamoros wrócił po dwudziestu minutach. Wszedł do jadalni i bez słowa skinął głową.

Maricruz ulżyło, zalała ją fala podniecenia. Nawiązywać nowe porozumienia, tworzyć nowe przymierza, śmielsze od najśmielszych marzeń ojca – po to tu przyjechała, po to się urodziła.

– Pójdziemy do przodu, Felipe. – Sięgnęła ponad stołem i uściśnięła jego twardą, zgrubiałą dłoń. – Przyszłość należy do nas.

•••

Yue prowadziła go wąskimi, niemożliwie zatłoczonymi uliczkami, coraz mniej utykając i nie chcąc pomocy. Szli prawie od pół godziny, a ona ani razu nie przystanąła.

W końcu weszła do małego, lecz ekskluzywnego sklepu, nad którego drzwiami wisiał szyld z napisem CHIŃSKIE PERŁY MORSKIE i który bardziej pasowałby do eleganckiej dzielnicy Pudong. Ale może właśnie na tym polegała cała tajemnica,

ponieważ w środku kłębił się tłum turystów – najwyższej jakości perły kosztowały tu mniej niż w niebotycznie drogich salonach jubilerskich na Bundzie. Sklep był owocem wyobraźni Sam Zhanga, który wyszedł do nich, gdy tylko Yue o niego spytała. Wyszedł, a raczej się wytoczył, lekko zdyszany po spacerze z Dongbei Ren, gdzie zostawił Recacha i jego zielone kluski na parze.

Zhang prowadził skomplikowane życie, chwilami irytująco trudne. Pomysł napuszczania jednej strony na drugą przyszedł mu do głowy w ciemnym kinie, gdy patrzył, jak Clint Eastwood właśnie w ten sposób pozbywa się z miasta dwóch rywalizujących ze sobą band przemytników. Oglądał *Za garść dolarów* niemal co tydzień, aż zapamiętał każdą scenę i mógł zacytować każdą linijkę dialogu.

Zaczerpnięta z filmu lekcja ustawiła go prawie na dwadzieścia lat. Kroczenie ścieżką wąską jak równoważnia i dużo bardziej niebezpieczną odstraszyłoby większość ludzi, ale on uwielbiał gwałtowne skoki adrenaliny. Przynajmniej kiedyś. Bo ostatnio coraz częściej nie mógł spać, coraz częściej myślał o życiu mniej skomplikowanym, najlepiej gdzieś z dala od zatłoczonych Chin.

Ze względu na swój kapitalistyczny charakter Szanghaj stał się głównym ośrodkiem lewych interesów prowadzonych zarówno przez Wschód, jak i Zachód. A on to wykorzystywał. I położenie geograficzne swojego rodzinnego miasta.

Powitał Yue ciepło; darzył ją wielką sympatią, co było u niego rzadkie. W podwójnej grze, jaką prowadził, związek emocjonalny z klientką groził katastrofą, jednak jej historia bardzo go poruszyła. On też był dzieckiem ulicy, tak jak ona. Tak jak ona, był sierotą i aby przeżyć, musiał polegać na swoim sprycie i dobroci obcych. Lata ciężkich prób zahartowały go, sprawiły, że zmądrzał i nabrał pewności siebie – wszystkie te cechy widział w Yue. Choć z nim niespokrewniona, duchowo była dla niego jak córka, której nie miał.

Jej rana, a także okoliczności wypadku, szczerze go zatrwożyły. Potem zauważył towarzyszącego jej mężczyznę i zatrwożył się jeszcze bardziej, ponieważ natychmiast rozpoznał go ze zdjęcia, które pokazał mu Recach. Gdy powiedziała, że człowiek ten uratował jej życie, od razu wiedział, że popełnił wielki błąd. Recach czekał już w Dongbei Ren. Prowadząc gości do biura, Zhang zastanawiał się, jak go odwołać bez wzbudzania podejrzeń.

Na bładozielonych ścianach biura wisiały czarno-białe zdjęcia poszukiwaczy pereł nurkujących i wynurzających się z morza w zastygłych bez ruchu fontannach wody, wyłuskujących perły z delikatnego, mięsistego wnętrza muszli

i z uśmiechem demonstrujących swoje trofea. Za prostym biurkiem stał sejf i szafka na dokumenty. Fotel obrotowy zatrzeszczał pod ciężarem Zhanga.

Wskazał im krzesła z siedzeniami z juty i choć zdenerwowany, choć coraz szybciej biło mu serce, uśmiechnął się i spytał:

– Jak mogę ci pomóc, siostrzyczko?

– Dziś po południu zamordowano Wei-Weia, ale pewnie o tym wiesz, bo wiesz o wszystkim, co dzieje się w Szanghaju.

Zhang nie zaprzeczył z fałszywą skromnością. Rzeczywiście wiedział o wszystkim, co działo się w mieście, a przynajmniej o tym, co było ważne.

– Mów dalej – rzucił.

– Trzy dni temu Wei-Wei poprosił mnie, żebym go ochraniała.

Zhang skinął głową, przyglądając się jej uważnie.

– Nawaliłam – ciągnęła żałośnie Yue. – Zabił go Amma. Znasz Ammę.

– Znam. – Nie było sensu zaprzeczać.

– Znał pan – poprawił go Bourne. – Yue zastrzeliła go strzałką nasączoną w pochodnej cyjanku.

Zhang ucisnął palcami powieki, próbując odpędzić narastający za nimi ból.

– Dlaczego pułkownik Sun kazał mu zabić Wei-Weia? – spytał Jason.

Chińczyk lekko się zawahał.

– Wie pan, dla kogo Sun pracuje?

– Dla Ouyang Jidana.

Zhang z uznaniem skinął głową.

– Tak więc zna pan głównych graczy.

– Ale nie wszystkich.

– Zatem pozwoli pan, że ich opiszę. – Grubas poprawił się w fotelu. – Ouyang toczy śmiertelną bitwę z Cho Xilanem, swoim nemezis. Obydwaj są członkami Biura Politycznego, ale na tym podobieństwa się kończą. Cho jest sekretarzem potężnej frakcji partyjnej z Chongqing, składającej się z reakcjonistów pragnących cofnąć Chiny o trzydzieści albo i więcej lat. Natomiast Ouyang należy do zwolenników postępu.

– A przy okazji handluje z Meksykiem narkotykami – dodał Bourne. – Tkwi w tym po uszy.

Zhang podniósł gruby palec.

– W tym właśnie rzecz. Cho od lat próbuje go na tym przyłapać, jednak Ouyangowi zawsze udawało się go przechytryć. Ale niedługo odbędzie się zjazd

partii, który wybierze nowych członków Biura i wytyczy kierunek rozwoju kraju na następne dziesięć lat, a wtedy bitwa osiągnie punkt kulminacyjny.

Choć zrobi wszystko, żeby ujawnić nielegalne interesy Ouyanga z meksykańskimi kartelami, i niewykluczone, że właśnie znalazł pęknięcie w jego zbroi. Niedawna śmierć Maceo Encarnacióna wszystko zmieniła. Do tej pory Encarnación był tarczą Ouyanga, dzięki czemu Ouyang był nie do ruszenia. Jednak Encarnación zginął i Cho, wyczuwając zwycięstwo, szykuje się do zadania decydującego ciosu. Oprócz tego jest tak zdesperowany, że może się odsłonić, co Ouyang na pewno wykorzysta.

Yue pokręciła głową.

– Co to ma wspólnego z zabójstwem Wei-Weia?

– Cóż – odparł Zhang – największe bitwy zawsze zaczynają się za kulisami, poza zasięgiem wzroku dowódców. Zgodnie z życzeniem tych ostatnich.

Wyjął butelkę, rozlał whisky i podał im szklanki. Wypił swojego drinka jednym haustem i od razu nalał sobie podwójną porcję.

– Wei-Wei był człowiekiem Ouyanga...

– Zaraz – przerwał mu Bourne. – Przecież Wei-Wei był agentem Mosadu.

– Witamy w Szanghaju, szanowny panie – powiedział z uśmiechem Zhang. – Pochłonął whisky i głośno mlasnął. – Byliśmy świadkami pierwszego starcia w wielkiej wojnie: Amma to człowiek kapitana Lima, podwładnego pułkownika Suna. A zapewne wie pan, czym podwładnym jest pułkownik Sun.

– Ouyanga – odparł Jason. – Ale jeśli to prawda, Ouyang rozkazał zlikwidować własnego agenta. Co znaczy, że Wei-Wei zaczął mu zagrażać.

W tym momencie weszła kobieta, którą widzieli w sklepie. Była tak poruszona, że nawet nie zapukała. Podbiegła do Zhanga, pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha.

Grubasowi rozszerzyły się oczy. Odprawił ją i gdy zostali sami, odsunął na bok fotel i przywołał ich bliżej.

– Mówiąc o kapitanie, zawezwaliśmy diabła.

– On tu jest? Lim?

Zhang kiwnął głową.

– Z żołnierzami, otoczyli sklep. – Przywołał ich jeszcze bliżej. – Chodźcie, chodźcie! Nie ma czasu do stracenia.

Wskazał mały dywan, na którym stał fotel. Bourne złożył go i zobaczył sprytnie ukrytą klapę z mosiężnym uchwytem.

– Drabina – powiedział Zhang, gdy Jason ją otworzył. – Do piwnicy. Schodząc, w niszy w ścianie znajdziecie lampę naftową i pudełko zapalek. W piwnicy jest wejście do tunelu z mnóstwem odgałęzień. Zawsze skręcajcie w lewo, tylko w lewo. – Ostrzegawczo poniósł palec. – I uważajcie: tunel jest stary, grozi zawaleniem.

Sprzed sklepu dobiegały odgłosy zamieszania, warkliwy głos kapitana Lima i zawodzenie kobiety, która uprzedziła ich o jego przybyciu.

– Szybko! – rzucił Zhang. – Idźcie już, idźcie! Armię naszego przyjaciela zostawcie mnie.

Bourne stanął na niemal pionowej drewnianej drabinie i wziął na ręce Yue. Gdy zeszli niżej, dziewczyna pociągnęła za sznur i zamknęła klapę. Chwilę później zza desek podłogi tuż nad ich głowami doszedł gniewny, sfrustrowany głos kapitana, a potem huk wystrzału.

Rozdział 12

Sam Zhang nie wiedział, że Recach jest Izraelczykiem, tym bardziej agentem Kidonu. Znał go jako Jessiego Longa i chociaż domyślał się, że jest to fałszywe nazwisko, prawdziwe go nie interesowało. Nie miał zwyczaju grzebania w prywatnym życiu swoich klientów. Gdyby dowiedzieli się, że węszy, jego interes trafiłby szlag, i to z dnia na dzień.

W rezultacie kapitan Lim wiedział o Recachu dużo mniej niż Zhang, który wiedział jednak, że Sun – za pośrednictwem Lima – szuka Bourne’a, dlatego skontaktował się z kapitanem i kazał mu przyjść do Dongbei Ren na spotkanie z „Jessiem Longiem”. Lim i Long natychmiast się zniechęcili, a kiedy okazało się, że obydwoj ściągną tego samego człowieka, uczucie to jeszcze się pogłębiło.

Gdy kapitan spytał Longa o powód poszukiwań, ten odpowiedział tak mętnie, że Lim założył – choć fałszywie – iż Long jest agentem Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Lim, którego ludzie próbowali namierzyć Bourne’a po incydencie w tunelu Huangpu, nie miał zamiaru dzielić się z nim informacjami. Powiedział, że nic nie wie, lecz podejrzewał, że Long mu nie uwierzył. Jego sceptycyzm okazał się uzasadniony, bo odkrył, że Long go śledzi. Miał jednak pecha, ponieważ odkrycia tego dokonał dopiero wtedy, gdy kazał swoim ludziom otoczyć sklep Sam Zhanga.

Dostrzegł Longa w tłumie gapiów zbierających się na ulicy. Zastanawiał się przez chwilę, czy go nie aresztować, lecz uznał, że nawet najmniejsza zwłoka może umożliwić Bourne’owi ucieczkę.

Wszedł do sklepu i kazał podwładnym usunąć wszystkich klientów, co okazało się trudniejsze, niż przewidywał. Kupujące perły cudzoziemki, żony wpływowych biznesmenów i polityków, były bardzo bogate. Nie przywykły do tego, żeby policjanci – w dodatku chińscy – otaczali je i wypychali na ulicę, wystawiając na widok jak mały w klatce.

Rozgorzał pojedynek na krzyki. Potem jedna z klientek odepchnęła policjanta, który podszedł za blisko, i rzuciła się na niego z pięściami. Tłum ryknął, a gdy ruszył ławą naprzód, Lim zdał sobie sprawę, że to dopiero początek kłopotów. Wysłał na ulicę swojego najbardziej zaufanego porucznika – który miał zażegnać

narastający kryzys – a sam przeszedł przez prawie opustoszały sklep, gwałtownie otworzył drzwi do biura i wpadł do środka.

Zobaczył taki oto widok: za biurkiem siedział wielki jak wieloryb Sam Zhang ze szklanką whisky w ręku. Druga szklanka stała obok butelki i kiedy Lim wszedł, grubas pochylił się do przodu i nie zważając na głośne protesty fotela, nalał whisky do trzeciej szklanki, po czym przesunął ją po blacie w jego stronę.

– Witam pana kapitana! Cóż za niespodzianka!

– Na pewno – mruknął jadowicie Lim.

– Proszę – powiedział z uśmiechem grubas – niech pan spocznie i napije się.

Whisky koi nerwy.

Lim wziął się pod boki.

– Gdzie on jest?

– Ale kto?

Kapitan zrobił krok do przodu.

– Nie udawaj. – Wyjął z kabury pistolet. – Jason Bourne.

– Nie znam tego nazwiska – powiedział zgodnie z prawdą Zhang.

– Widziano go tu.

Zhang wzruszył ramionami.

– Więc pewnie już wyszedł. Mnie odwiedziła tylko moja siostrzyczka Yue...

– Nie przeginaj, Zhang.

– Jest ranna, ktoś...

Lim podniósł pistolet i wypalił w sufit. Na biurko posypał się tynk. Zhang ledwo zdążył zabrać szklankę, ale ta, którą nalał dla Suna, była pełna pyłu i gruzu.

– Zmarnował pan szklankę bardzo zacnego trunku, kapitanie. – Pokręcił głową. – To niewybaczalne.

Lim opuścił broń.

– Następną przeszyje ci serce.

– I co by to panu dało? Mówię prawdę. Tego, którego pan szuka, tu nie ma.

– A gdzie jest?

– Skąd mam wiedzieć?

Kapitan cmoknął.

– Znajdę go, Zhang. To mogę ci obiecać.

– Pańskie poczynania mało mnie obchodzą – rzucił Zhang do pleców znikającego za drzwiami Lima.

Kiedy policjanci odeszli i sklep znowu należał tylko do niego, wyjął z kieszeni dużą chustkę do nosa i wytarł czoło.

O bogowie i demony, pomyślał. Jestem na to za stary.

•••

W zupełnej ciemności Bourne wymacał lampę i zapalki, które dostrzegł, zanim Yue zamknęła klapę. Wziął dziewczynę na ręce, a ona podniosła wysoko płonąca lampę, żeby jak najlepiej oświetlić piwnicę.

Zeszli na dół i znaleźli się w małej, ciasnej komorze, tak niskiej, że Bourne nie mógł się wyprostować.

– Postaw mnie – szepnęła Yue.

Stała na podłodze i ostrożnie sprawdziła kostkę. Kiwnęła głową i bezgłośnie poruszyła ustami.

– W porządku.

Jednak gdy ruszyli w stronę wejścia do tunelu, Bourne spostrzegł, że opierając ciężar ciała na rannej nodze, dziewczyna krzywi się z bólu. Wiedział, że daleko nie zajdzie, nie wspominając już o tym, że w razie konieczności nie będzie mogła biec.

Piwnica, wypełniona zabitymi gwoździami skrzyniami i obwiązany grubym sznurem pudłami, wyglądała jak magazyn. Przeszli wąskim przejściem między sięgającymi sufitu stertami. W pewnym momencie noga Yue nie wytrzymała i dziewczyna musiała przytrzymać się zakurzonego pudła. Bourne chciał jej pomóc, lecz odmówiła.

– Nie chcę być ciężarem – syknęła. – Dla nikogo.

W końcu zobaczyli wejście. Kiedyś otwarte, teraz zabite zbutwiałymi już deskami, wciąż wzmocnionymi krótkimi żelaznymi płaskownikami, których nikomu nie chciało się pozbyć. Bourne podniósł dwie deski i poruszając nimi, wyrwał łączący je płaskownik, który miał czterdzieści pięć centymetrów długości i wciąż był solidny.

Wreszcie dotarli na miejsce. Nawet Yue musiała się schylić, żeby wejść do tunelu. W środku cuchnęło nieczystościami, metaliczną wodą, zgnilizną i wiekami ludzkiej nędzy. Jason wziął od Yue lampę i ruszył przodem. Tunel początkowo opadał stromo, lecz po chwili poziom się wyrównał. Wyglądało na to, że wykopano go ręcznie, a następnie zabezpieczono grubymi drewnianymi podporami. Nad głową mieli podłogę sąsiadujących ze sobą piwnic. Środkiem, po

ubitej jak klepisko ziemi, płynął strumyk wody, dlatego trudno im było iść. Bourne słyszał czasem ciche skrobanie i widział pary czerwonych oczu. Gdy podnosił wyżej lampę, spod jego nóg czmychały duże i ruchliwe szczury.

Nagle doszedł go inny hałas, odwrócił się więc i zobaczył, że Yue znowu się potknęła. Mimo protestów, wziął ją na rękę i poszedł dalej.

– Cholera jasna – sapnęła. – Dam sobie radę!

– Przecież cię boli.

– Co ty wiesz o bólu?

Doszli do pierwszego rozgałęzienia i zgodnie ze wskazówkami Zhanga skręcili w lewo.

– Skoro nic nie wiem, to mi opowiedz – odparł, żeby przestała o tym myśleć.

Dziewczyna umilkła. A potem cichym, drżącym głosem powiedziała:

– Mój ojciec był pisarzem, dysydem. Pisał o korupcji w Politbiurze, o tajnych farmach, gdzie najwyżsi działacze partyjni zaopatrywali się w żywność, podczas gdy zwykli ludzie musieli jeść produkty skażone metalami ciężkimi i chrzczone melaminą.

Pewnie domyślasz się, co się stało. Aresztowano go na podstawie spreparowanych zarzutów i skazano na dwadzieścia lat ciężkich robót. Matka zaczęła protest w dniu, kiedy wydano wyrok. Dwa tygodnie później zabrali ją, oskarżyli o działalność wywrotową i wywieźli Bóg wie gdzie.

Miałam wtedy siedem lat. Podziwiałam rodziców, ale ani ja, ani moje życie ich nie obchodziło. Oddano mnie pod opiekę bratu matki. Nienawidził mojego ojca za to, co jej zrobił. Nie mając na kim się wyżyć, bił mnie, głodził i zamykał w komórce. Pewnego dnia uciekłam i już tam nie wróciłam. Miałam jedenaście lat. Mieszkałam z nim cztery. To były cztery lata piekła. – Yue oddychała jak po ciężkim biegu.

Na drugim rozwidleniu Bourne znowu skręcił w lewo. Pomyślał o latach, które spędził w swoim piekle, piekle nieświadomości, kim jest, kim są jego rodzice i skąd pochodzi. Przypomnieli mu się ludzie, do których się zbliżył i którzy już nie żyli. Ale przede wszystkim myślał o Rebecce, o spędzonych z nią chwilach, o jej odwadze i determinacji. Przypomniało mu się, jak włókł ją kanałem w Mexico City – co było upiornie podobne do sytuacji, w jakiej znalazł się teraz z Yue – nie mogąc zatamować krwawienia z rany od noża w jej boku. Przypomniało mu się, jak wykrwawiała się na tylnym siedzeniu taksówki, gdy pędził po pomoc, która nadeszła za późno. Czuł dotyk małej gwiazdy Dawida, którą jej zabrał, z którą nie

mógł się rozstać podczas nabożeństwa żałobnego w Tel Awiwie, i którą zawsze miał przy sobie, bo wciąż nie był w stanie zapomnieć.

Myślał o tym podczas rekonwalescencji w Cezarei, próbował jakoś to sobie poukładać, lecz nie zdołał. Wciąż nie wiedział o sobie tylu rzeczy. Nie licząc umiejętności, jakie wpojono mu podczas szkolenia w ramach projektu Treadstone, nie miał pojęcia, kim jest ani co nim kieruje poza nadrzędnym poczuciem sprawiedliwości i głęboko zakorzenionym gniewem, niemal rozpaczliwym. Czasem zastanawiał się, czy nie wykazuje braku empatii, co byłoby symptomem psychozy. Ale wtedy pojawiała się Rebeka – albo ktoś taki jak ona – i przez pewien czas współodczuwał silnie i w pełni, zapominając o swoich obawach. Potem ten ktoś zawsze umierał, a on znowu zostawał sam, przysięgając sobie, że już nigdy nie zaangażuje się uczuciowo. Żył jak na huśtawce nieustannie bujającej się między dwoma nieprzewidywalnymi punktami, pozbawiającej go spokoju i równowagi. Był jak człowiek na uszkodzonym, na w pół rozbitym statku, który nocą, w gęstej mgle uniemożliwiającej wytyczenie jakiegokolwiek kursu, zdryfował tak daleko, że nie było widać brzegu. Cichy stukot sprowadził go z powrotem do tunelu. Zabrzmiało tak, jakby ktoś potrącił niechcący mały kamyczek.

– Ktoś tam jest – szepnęła Yue.

Dochodzili do trzeciego, przedostatniego rozgałęzienia. Ale zamiast skrócić w lewo, Bourne skręcił w prawo. Kopniakiem odpędził parę szczurów, a gdy te czmychnęły, ostrożnie postawił Yue przed lampą, tak żeby zasłoniła światło, i odwrócił się w stronę, z której przyszli.

•••

Recach zaczekał, aż kapitan Lim i jego ludzie wyjdą ze sklepu i zaczną przeczesać pobliskie ulice. Wtedy wszedł do środka i wmieszał się w tłum kosztownie ubranych cudzoziemek, które nie zrezygnowały z zakupów, mimo że szanghajska policja potraktowała je jak bydło. Między innymi właśnie dlatego tłoczyły się w sklepie: żeby okazać pogardę władzom.

Recach wślizgnął się razem z nimi. Natychmiast stwierdził, że dwie sprzedawczynie są tak zajęte, że przedostanie się na zaplecze będzie dziecinną igraszką. Na pewno go nie zauważą ani nie zatrzymają.

Nie zwracając sobie głowy pukaniem, po prostu pchnął drzwi i stanął w progu. Zaskoczony Zhang podniósł wzrok. W pierwszej chwili go nie poznał,

potem głośno westchnął.

– O co chodzi, panie Long? Miałem ciężki dzień.

– Rozumiem. – Recach wszedł do pomieszczenia. – Ale zajmę panu tylko chwilę.

– Staął obok biurka.

– Co pan robi? – spytał Zhang.

– Wie pan, co to jest uraz po ciosie tępym narzędziem? – odparł Recach i ręką rękawiczką krótkolufowej beretty Px4 Storm uderzył go w głowę.

Zhang odchylił się tak mocno, że Recach musiał go podtrzymać, by nie spadł z fotela. Gdy nabiegłe krwią oczy Chińczyka oprzytomniały, Recach przystawił łufę do jego skroni i z palcem na spuście dziewiątki powiedział:

– Bourne tu wszedł, ale nie wyszedł. Gadaaj, gdzie jest.

Zhang podniósł wzrok.

– Tak jak mówiłem kapitanowi Limowi...

– Nie jestem kapitanem Limem. Za chwilę twój mózg rozbryzgnie się na ścianie, a potem przetrząsnę twój zasrany sklepik i go znajdę.

Zhang nie mógł złapać tchu.

– Nie chcę, żeby coś stało się Yue.

– Jakiej Yue?

– Jest dla mnie jak córka, poszła z nim.

– Twoja córka gównu mnie obchodzi.

– Nie zrobisz jej krzywdy?

– Nie będziesz ze mną negocjował.

– Właśnie, że będę – oświadczył stanowczo Zhang. – Chętnie oddam za nią życie.

Recach spojrział mu w oczy, sprawdzając, czy grubas nie kręci. Doszedł do wniosku, że nie.

– Zgoda. Nic jej nie zrobię.

Teraz z kolei Zhang spojrział głęboko w oczy człowiekowi, od którego zależało jego życie.

– Skąd mam wiedzieć, czy można ci zaufać?

– A ja? – odparł Recach. – Skąd mam wiedzieć, czy można zaufać tobie? Czasem potrzeba trochę wiary. – Oczywiście kłamał. Nie mając empatii, nie wierzył w nic ani nikomu. Ale postanowił, że zrobi, co się da, żeby nie mieszać w to dziewczyny.

Zhang podjął decyzję.

– Odepchnij mnie.

– Co?

– Fotel. Z tym żelastwem przytkniętym do głowy nie mogę się poruszyć.

Recach opuścił pistolet i gruby Chińczyk odsunął się z fotelem do tyłu.

– Pod dywanem – rzucił z rozpaczliwym westchnieniem. – Skręcaj tylko w lewo.

– Latarka – warknął tamten, patrząc w ciemny otwór.

Zhang dał mu latarkę. Nie miał wyboru.

•••

Bourne przykucnął i zastygł bez ruchu. Po tym pierwszym odgłosie nie usłyszał już nic więcej, nie licząc smętnego kapania wody i nieustannego chrobotania przemykających szcurów. Ale w strumieniu przepływającego tunelem powietrza zaszła delikatna zmiana, co wskazywało, że coś go częściowo blokuje. Chwilę później zobaczył zbliżający się w ich stronę srebrzysty snop światła. Czekał ukryty na tyle głęboko w prawym rozwidleniu, że w kręgu światła omiatającego lewe rozwidlenie był niewidoczny.

Gdy podskakujący z każdym krokiem snop światła znalazł się bliżej, przygotował się do ataku. W pewnym momencie tamten skierował latarkę w lewo i Bourne zobaczył jego sylwetkę.

Nie wiedział, kto to jest, ale kimkolwiek był, siedł równym i spokojnym krokiem. Jason policzył do piętnastu, wstał i po cichu wrócił do korytarza prowadzącego w lewo. Próbował kierować się teraz węchem, lecz nie wyczuwał żadnego zapachu. Nie, człowieka tam nie było, tylko kamienie, sącząca się woda i czarna ziemia.

To niemożliwe, pomyślał. Musi tu być, i to blisko.

W tym samym momencie spostrzegł, że coś metalowego zatacza łuk nad jego głową i usłyszał huk wystrzału.

Rozdział 13

Lecieli jego samolotem. Poza nimi na pokładzie było trzech ludzi Matamorosa, trzech jej oraz pilot. Wystartowali z ukrytego prywatnego lotniska niecałe dwa kilometry od jego domu w Malacates i wzięli kurs na San Luis Potosí.

– Toczmy tam najzacieklejsze wojny terytorialne z Raulem Gironem i Sinaloa – mówił Matamoros.

– A teraz stoczmy tam ostatnią bitwę i zawrzemy nowe przymierze.

Matamoros spojrział przez okno na szylkretowe niebo i falujące wzgórza północnej części Distrito Federal. Maricruz pomyślała, że czuje się pewnie jak aztecki bóg, jak Quetzalcoatl, pierzasty wąż.

– Przez tyle lat Sinaloa byli królami Meksyku – powiedział w zadumie. – Mierzyli wysoko i nikt im nie zagrażał. Potem ci z Kartelu z Zatoki złożyli kilku z nas propozycję, której nie sposób było odrzucić, i zdezerterowaliśmy z elitarnych sił zbrojnych naszej armii. Dobry pomysł, zły skutek.

Przez jakiś czas pracowaliśmy dla nich, zabijając żołnierzy Sinaloa i zajmując ich teren, aż zorientowaliśmy się, co i jak. Wtedy odeszliśmy, utworzyliśmy własny kartel i zwróciliśmy się przeciwko naszym byłym szefom. Kartel z Zatoki jest teraz cieniem samego siebie. Przejęliśmy ich teren, przejmujemy coraz więcej terenu tych z Sinaloa. Ale Sinaloa są silniejsi, lepiej zorganizowani, mają mądrzejszych przywódców i znajomości wśród odpowiednich polityków. Umieją walczyć. Mimo to, powoli, lecz konsekwentnie, wypieramy ich, zajmując coraz więcej i więcej ich terenu. – Spojrział na Maricruz. – Ale tak, to prawda. Pani propozycja wyraźnie pokazuje, że płacimy za to zbyt wysoką cenę. Teraz mamy panią, niezawodny sposób prania brudnych pieniędzy i bezpośredni dostęp do nieograniczonych zapasów opium i chemikaliów. Moi *compadres* całkowicie się ze mną zgadzają.

Od tej chwili jesteśmy z tobą, *mi princesa*. Już nie musimy układać się z tymi odrażającymi bydlakami, którzy zwą się liderami politycznymi, z szefami policji, którzy aż się ślinią, kiedy dobijam z nimi targu. Teraz możemy wysłać ich wszystkich na drzewa, o czym marzyliśmy od lat.

Najgorsze w chciwości jest to, pomyślała Maricruz, że ten grzech ogłupia. Co gorsza, sprawia, że skażony nim człowiek staje się nieostrożny. A ze szklistych

oczu Matamorosa była biała czysta chciwość. Znowu nieświadomie się zdradził. Maricruz się cieszyła, lecz była za mądra, by triumfować. Wciąż groziło jej wielkie niebezpieczeństwo. Aby przeżyć kilka najbliższych godzin, musiała wykorzystać całą swoją roztropność i przebiegłość.

Samolot zniżał lot i poczuła, że zmienia się ciśnienie. Spojrzała w okno i na małym, odizolowanym lądowisku zobaczyła oddział uzbrojonych ludzi stojących wokół dużego, czarnego SUV-a, którzy z zadartymi głowami obserwowali podchodzący do lądowania samolot.

Kiedy koła maszyny dotknęły pasa, Matamoros zwrócił się w jej stronę i powiedział:

– Moi *compadres* upoważnili mnie do negocjowania w ich imieniu. Nie ma potrzeby, żeby pani się z nimi spotykała.

Z tymi tajemniczymi słowami rozpiął pas, nie czekając, aż samolot dokołuje, wstał, minął jej ludzi, wszedł do kokpitu, pochylił się i długo mówił coś do pilota, ale tak cicho, że nikt w kabinie tego nie słyszał.

Jego ochroniarze sięgnęli po broń. Uzbrojeni w geście solidarności rozdali karabiny jej ludziom. Wracał Matamoros. Idąc, uśmiechał się do sześciu żołnierzy.

– Czy to konieczne? – spytała Maricruz.

– Ochrona musi być – odparł. – Dopóki nie zawrzemy przymierza.

Samolot zatrzymał się na końcu pasa, lecz pilot nie wyłączył silników. Jeden z ludzi Matamorosa przekręcił dźwignię, otworzył drzwi i rozłożył metalowe schody. Zszedł jako pierwszy, w ciemnych okularach. Po nim zeszli jego koledzy, a następnie ochroniarze Maricruz.

Słońce już zachodziło i niebo płonęło czerwono-pomarańczowym ogniem. Wolny od straszego smogu nękającego Mexico City owal słońca był czysty, wyraźny i gorący, chociaż nadchodził wieczór. Maricruz i Felipe Matamoros przystanęli na szczycie schodów, by spojrzeć na widniejący przed nimi żywy obraz: ich gotowi na wszystko ludzie, żołnierze Sinaloa z papierosami w ustach i przełożonymi przez szeroką pierś karabinami. Niektórzy mieli maczety. Patrzyli na nich spode łba.

– Widzi pani tego drugiego od lewej? – spytał Matamoros, nie wskazując ręką ani nawet ruchem głowy.

Maricruz zerknęła na korpulentnego Meksykanina. Był niższy, niż się spodziewała, i miał wąsy à la Zapata, które na twarzy innego mężczyzny

wyglądałyby komicznie. Innego, ale nie na jego. Miał również małe, zaokrąglone uszy, jak małpa, garbaty nos i czarne, głęboko osadzone paciorkowate oczy.

– To Raul Giron – ciągnął Matamoros. – Osobowość ma wymalowaną na gębie.

– Nie szanuje go pan – zauważyła Maricruz.

– Szanuję, nie szanuję, co to za różnica? Mam ochotę rozgnieść jego łeb jak żuka.

– Lekko zadrżał mu głos.

– To uczucie należy już do przeszłości, Felipe. Od tej chwili musi mieć pan przed oczami wizję przyszłości.

– Skurwysyn skurwysynem pozostanie. Cóż, pora stawić mu czoło.

– Tylko spokojnie. Rozmowę proszę zostawić mnie. To wszystko.

– Jasne, oczywiście. – Matamoros uśmiechnął się i zaczęli schodzić.

Byli już prawie na dole, kiedy drzwi czarnego SUV-a otworzyły się i z samochodu wysiadł mężczyzna przystojny jak aktor z telenoweli. Majestatycznie wysoki, o przyprószonych srebrzystą siwizną włosach, był w idealnie dopasowanym garniturze i kosztownych butach z jaszczurczej skóry. Miał nienagannie wypiełgnowane wąsy i fotogeniczny uśmiech. Wyglądał tak, jakby wyszedł przed chwilą z pryczepy charakteryzatorki na planie jakiegoś filmu.

Maricruz poczuła, że Matamoros lekko zadrżał, jak gdyby przeszedł go prąd.

– Carlos Danda Carlos – szepnęła. – Szef meksykańskiej agencji antynarkotykowej.

– Co on tu robi?

Matamoros puścił to pytanie mimo uszu.

– Tezcatlipoca. Tak go niektórzy nazywają. Tezcatlipoca to aztecki bóg opatrności, zła, ciemności, zemsty, grzechu i czarnej magii.

W końcu stanęli na ziemi. Spięci, czujni i mocno zniecierpliwieni ochroniarze poruszyli się niespokojnie.

– Raul Giron jest szefem Sinaloa, ale to tylko figurant. – Matamoros ruszył w ich stronę zdecydowanym krokiem. – Wykonuje rozkazy Carlosa Dandy Carlosa. To on jest prawdziwym panem i władcą kartelu.

•••

Yue podkraśla się bliżej za plecami Bourne'a i spróbowała podciąć Recachowi nogi, dlatego gdy pociągnął za spust, kula utkwiała w suficie. Mężczyzna

odruchowo wierząc i przypadkiem trafił ją w skałeczoną kostkę. Yue krzyknęła, przetoczyła się na bok i zwinęła w kłębek.

Jason, choć z bolącą od ciosu głową, zareagował błyskawicznie, zadając mu trzy szybkie proste w bok. Recach opuścił pistolet, ale Bourne był na to przygotowany. Jedną ręką chwycił go za nadgarstek i uderzył w niego kantem drugiej. Tamten jęknął, pochylił się, grzmotnął go ramieniem w pierś i całym ciężarem ciała pchnął na ścianę.

Wpadli na nią obydwaj i zasypał ich deszcz ziemi i kamyczków. Recach rzucił Bourne'em o ścianę jeszcze raz i deszcz przeszedł w ulewę przegniłych kawałków drewna. Coś nad nimi stęknęło. Gdy Recach pchnął Jasona na ścianę po raz trzeci, wyrzuszyły się deski sufitu, a te najbardziej przegniłe zatrzeszczały, jakby były z balsy.

Bourne zatoczył się, a wtedy on odwrócił go tyłem do siebie, prawą ręką założył mu dźwignię na szyję i zablokował ją nasadą lewej dłoni. Tego morderczego chwytu uczono rekrutów w Kidonie – miał błyskawicznie skrócić ofierze kark.

Jason natychmiast przewidział jego zamiary i obcasem buta zmiażdżył mu stopę. Szok wstrząsnął Recachem jak potężne uderzenie prądu i zadrżała mu lewa ręka. To Bourne'owi wystarczyło. Chwycił rękę przeciwnika, oderwał od szyi, uderzył nią w ścianę i odchylił do tyłu kciuk tak mocno, że pękła kość.

Znowu posypała się ziemia. Recach skrzywił się, lecz nie wydał żadnego dźwięku, choć zabierając drugą rękę, obrywał cios za ciosem. Szybkim ruchem wyprostował złamany kciuk, wcisnął go pod zakrzywione palce i zacisnął pięść.

Chociaż Bourne nie przestawał go atakować, wyciągnął nóż z paskudnie ząbkowaną klingą i hakiem na końcu, który – gdy wyszarpywało się go z ciała – rozdzierał mięśnie, ścięgna i włókna nerwowe, powodując straszliwe rany.

Zrobił zwód i lewą ręką wyprowadził cios w prawe ucho Jasona. Gdy Bourne podniósł rękę, żeby odparować cios, Recach dźgnął na wprost, mierząc między trzecie i czwarte żebro. Jason dostrzegł ten manewr w ostatniej chwili i odchylił się, kantem dłoni odbijając nóż w lewo.

Niewrażliwy na ból Recach uderzył go pięścią ze złamanym kciukiem i wymierzył nożem w jego bok. Bourne chwycił przeciwnika za nadgarstek i mocno wykręcił mu rękę, lecz bez względu na to, co robił, tamten nie chciał wypuścić broni. Skupił na niej całą uwagę, na nożu i impecie niezbędnym do zadania skutecznego ciosu. Ale zmiażdżona stopa spowalniała go i utrudniała mu

ruchy i Jason to wykorzystał. Używając łokci i kolan, odwrócił go i pchnął na ścianę.

Kolejny już wstrząs przeważył szalę. Deski pękły z ogłuszającym trzaskiem i sufit – który był jednocześnie podłogą piwnicy bezpośrednio nad nimi – zawalił się, grzebiąc ich pod zwałem drewnianych belek, zbitej ziemi, skrzyń, pudeł, puszek i butelek.

Rozdział 14

Ouyang Jidan był w trakcie spotkania roboczego w jednym z błyszczących wielofunkcyjnych wieżowców na nadbrzeżu, gdy do sali konferencyjnej wszedł pułkownik Sun. Ponieważ minister rozkazał, żeby mu nie przeszkadzać – chyba że w sprawie absolutnie priorytetowej i wymagającej natychmiastowej interwencji – przerwał negocjacje z przedstawicielami federacji farmerów i przemysłowców, którzy zaopatrywali go w surowce i chemikalia do produkcji metamfetaminy w Meksyku.

Przeprosił ich, wstał i odszedł od stołu z drewna paulowni, zastawionego dzbankami, filiżankami, na wpół opróżnionymi butelkami whisky i niskimi, staromodnymi szklankami.

– Co jest? – rzucił szorstko. Rozmowy osiągnęły punkt kulminacyjny, dlatego niechętnie przerywał naradę w tak ważnym momencie.

Pułkownik ruchem głowy dał mu znak, że powinni wyjść na korytarz, i gdy zamknęły się za nimi ciężkie drzwi, mocno przyciszonym głosem zameldował:

– Do Szanghaju przyjechał wysłannik Cho Xilana.

Ouyang drgnął. „Wysłannik”, czyli „zabójca” – tak brzmiał ich prywatny kryptonim.

– Chce przeszkodzić mi w negocjacjach?

– Nie wiadomo – odparł Sun.

– Co Cho Xilan o nas wie?

Pułkownik wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, ale twarde dowody wskazują na to, że wie o przyjeździe Bourne'a, chociaż nie wiadomo, czy zna cel jego misji.

– Jak to możliwe, że w ogóle coś zwęszył?

Pytanie to zawisło między nimi, zatruwając powietrze toksycznymi wnioskami.

Pułkownik wziął głęboki oddech.

– Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że mamy przeciek.

– Na pierwszy rzut oka? – powtórzył gniewnie minister. I przypomniawszy sobie, gdzie są, zniżył głos. – Zaraz po negocjacjach polecę do Pekinu i nie spocznę, dopóki nie znajdę sprawcy.

- A co z tym wysłannikiem?
- Co o nim wiemy?
- Że podróżuje z kobietą, która podaje się za jego żonę.
- Wyrafinowana przykrywka jak na Cho Xilana. - Ouyang pokręcił głową. - Niech pan się nim zaopiekuje i nie dopuści go do Bourne'a. Ja zatkam przeciek.

Minister odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i wrócił do sali konferencyjnej, aby zapewnić sobie następne dziesięć lat prosperity.

•••

Podchodząc do Carlosa Dandy Carlosa, Maricruz spostrzegła, że oczy rozbłyskują mu jak miniaturowe słońca. O tak, jeszcze zanim wyciągnął do niej rękę, zanim pochylił się, żeby ucałować jej dłoń, zanim otworzył usta, aby niczym przedstawiciel biura podróży powitać ją w słonecznym San Luis Potosi, niemal namacalnie czuła, że każdy z nich pożąda jej lub pożądał: najpierw Wendell Marsh, potem Matamoros, a teraz Carlos Danda Carlos. No i oczywiście Ouyang Jidan. Pragnął jej ciała, a ona oddawała mu się chętnie i lubieżnie. Kiedy się kochali, mogła być tą, której akurat chciał, dosłownie każdą. W zamian dostawała to, czego pragnęła. Tak, przede wszystkim niezależność, ale i władzę oraz bogactwo przewyższające bogactwo ojca, którego zarówno kochała, jak i nienawidziła.

Jidan wiedział najlepiej, jak wielkie dochody przynosi im handel z Meksykiem i teraz, gdy zabrakło Macea, potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem – jako osłony, którą dotychczas zapewniał teść, tarczy, za którą mógł potajemnie działać. Nie miał w Meksyku żadnych kontaktów. A żeby zaspokoić swoje aspiracje polityczne, musiał mieć idealnie czyste ręce. W tej kwestii całkowicie zdał się na nią. I w końcu doszło do tego, że przestała go kochać, że tylko go potrzebowała.

- Señora Ouyang... - Carlos Danda Carlos oderwał wilgotne usta od jej dłoni. - Jestem bardzo ciekawy, dlaczego zwołała pani to spotkanie.

A oni? - pomyślała. Wszyscy oni chcą wykorzystać kanał przerzutowy ojca, kanał, który poszerzyła i udoskonaliła podczas pobytu w Pekinie.

- Zaskoczył mnie pan, señor - odparła oschle. - Nie miałam pojęcia, że...
- Wezwanie córki Maceo Encarnacióna - przerwał jej Raul Giron. - W dodatku z dalekich Chin. Jak mogliśmy odmówić?

Dostrzegła jawną wrogość w jego oczach, całkowitą pogardę. Nie podobało jej się to „wezwanie”.

Ale Carlos Danda Carlos uśmiechał się swobodnie, ściskając rękę Matamorosowi i mruczając „Miło mi”, jakby byli na przyjęciu. Potem spojrzał ostro na Girona i znowu zwrócił się do niej.

– Proszę wybaczyć temu żołnierzowi. Od tak dawna żyje w dziczy, że zapomniał dobrych manier. – Przeniósł wzrok na Girona. – Raul, zechciej, proszę, zająć się swoimi ludźmi. Niech się odprężą. Przecież jesteśmy wśród przyjaciół. Prawda, señora Ouyang?

– Oczywiście – odrzekła. – To mogę zagwarantować.

– Widzisz, Raul? – Carlos zatoczył ręką łuk. – To cywilizowani ludzie. Racz o tym pamiętać, rozmawiając z naszym gościem.

Giron wymamrotał coś pod nosem i zaczął wydawać rozkazy podwładnym.

– Musi pani być cierpliwa, señora Ouyang – ciągnął konfidencjonalnie Carlos. – Ci ludzie wszędzie widzą wrogów i reagują odruchowo. Są w tym mistrzami, inaczej by nie przeżyli. Trudno im się dziwić. Rozlew krwi i nieustanne akty okrucieństwa, do jakich dochodzi między Sinaloa i Los Zetas, są powszechnie znane.

– Już nie bezustanne, señor Carlos – odparła. – Po to tu przyjechałam. Proponuję trwale zawieszenie broni. Co więcej, proponuję fuzję waszych karteli.

– Dlaczego mielibyśmy brać to pod uwagę?

– Dlatego że w krótkim czasie skończyłoby się bezsensowne zabijanie waszych ludzi i ludzi señora Matamorosa.

Carlos pokręcił głową.

– Wątpię, czy uda mi się namówić Girona i szeregowych żołnierzy na...

– Chodzi o pełną władzę – wtrącił Matamoros. – Los Zetas, którzy od roku spychają was do defensywy, mają do stracenia więcej niż Sinaloa.

– Na dłuższą metę – ciągnęła Maricruz – zjednoczenie Sinaloa i Los Zetas doprowadzi do tego, że cały Meksyk znajdzie się w rękach nowego kartelu. Poza tym będziecie mieli do dyspozycji kanał przerzutowy kontrolowany przeze mnie i mojego męża, fundament waszych interesów.

Carlos Danda Carlos zmarszczył brwi.

– Dobrze, a proszę mi powiedzieć, kto kierowałby tym nowym kartelem.

– Właśnie po to się zebraliśmy – odparła. – Żeby dopracować szczegóły.

– W których tkwi diabeł – zauważył Carlos.

– Sranie w banię! – Giron zrobił krok w ich stronę z wojowniczą miną i wysuniętym jak pałka podbródkiem. – To podpucha. Oni chcą nas wykorzystać.

– Myli się pan – powiedziała Maricruz. – Ale dobrze pana rozumiem. Myśli pan tak, ponieważ historia karteli sphywa krwią.

Jego przerażający uśmiech przyprawił ją o dreszcze.

– Nie bardziej niż inne. Mężczyźni lubią się bić i narzucać swoją wolę. Duży teren działania to konieczność.

– A kobiety? – spytała, ruszając powoli w jego stronę. – Co z kobietami?

– W was płynie inna krew – odrzekł rzeczowo. – Wasza daje życie. I tak powinno być. Ale na polu bitwy nie ma dla was miejsca. To powszechnie znany fakt, takie już jesteście. – Wzruszył ramionami. – Bóg tak chciał, i nie bez powodu. Bo kto doglądałby rannych, grzebał i oplakiwał zmarłych?

Maricruz musiała wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie wydrapać mu oczu. Jaką sprawiłoby jej to przyjemność! Ale nie, natychmiast wróciła do rzeczywistości. Innym razem. Nie tutaj, nie teraz.

Jakby czytając w jej myślach, Carlos Danda Carlos stanął między nimi i powiedział:

– Jeśli zostaniemy tu jeszcze trochę, umrzemy z pragnienia. – Zapadł już wieczór, gasząc resztki przyćmionej poświaty zachodzącego słońca. – Proponuję kontynuować rozmowę...

– ...w restauracji, którą ja wybiorę – dokończył Matamoros.

– Jak pan sobie życzy, señor – zgodził się bez wahania Carlos. I z przyjaznym uśmiechem podniósł rękę. – *Ubi tu, Caius, ibi ego Caia.*

Rozdział 15

Kiedy drgnął, zsunęła się z niego lawina gruzu. Natychmiast znieruchomiał. Prawie nie mogąc oddychać, powoli, centymetr po centymetrze, przesuwał do góry prawą rękę i macał palcami, dopóki nie poczuł na skórze chłodnego powietrza. Wtedy strząsnął z siebie tyle gruzu, ile tylko mógł, a potem przebił się ramionami przez mrok i wychynął z rumowiska.

Z piwnicy na górze sączyło się słabe światło. Powietrze było gęste od tumanów pyłu, który nie zdążył jeszcze osiąść. Bourne rozejrzał się i w półmroku zobaczył stopy i nogi napastnika. Nic więcej nie było widać. Ale najbardziej martwił się o Yue. Podczas walki leżała zwinięta w kłębek pod ścianą naprzeciwko i całkowicie ją przysypało.

Wyrzebał się z grobu, który niedawno zamknął się nad nim w ułamku sekundy, przeszedł, potykając się, przez rumowisko i mosiężnym zawiasem zaczął odgarniać to, co spadło na nich z góry. Wciąż nie mógł znaleźć Yue, chociaż co chwila do niej wołał.

Coraz bardziej zdenerwowany kopał szybciej i szybciej, odciągając na bok kawały drewna, rozgarniając sterty ziemi i drobnych kamieni. W końcu natrafił na fragmenty dwóch mocno przegniłych belek. Teraz musiał zachować ostrożność, bo drewno mogło się w każdej chwili rozpaść. Wyciągnął je, odłożył, zajrzał do dziury i wreszcie zobaczył prawe ramię dziewczyny. Wciąż leżała w pozycji embrionalnej. Zawołał do niej, najpierw cicho, potem głośniej i bardziej stanowczo, lecz nie odpowiedziała ani się nie poruszyła. Nie wiedział, czy oddycha.

Szybko odgarnął więcej gruzu i powiększył otwór na tyle, że mógł wsunąć pod Yue rękę, objąć ją i podnieść jej głowę, aby mogła złapać oddech. Wolną ręką rozproszył pył, który osiadał na jej twarzy, wymacał palcami tętnicę szyjną i z ulgą wyczuł słaby puls. Otworzył jej usta, odchylił do tyłu głowę, żeby otworzyć drogi oddechowe, pochylił się i zaczął tłoczyć powietrze do jej płuc.

Co kilka chwil przestawał, aby sprawdzić, czy jej pierś unosi się i opada normalnym rytmem. Serce biło trochę szybciej, ale pierś ledwo się poruszała. Zabrał się do pracy z nowym zapałem, pompując powietrze niczym miech.

Nagle drgnęła, otworzyła oczy, odepchnęła go i cicho wychrypiała:

– Co ty robisz?

Bourne usiadł na piętach i uśmiechnął się wesoło.

– Tunel się zawalił.

Wyciągnęła szyję.

– Na to wygląda. Gdzie ten skurwiel?

– Tam. – Jason wskazał stopy mężczyzny. – Nie żyje.

– Mam, kurde, nadzieję.

Bourne roześmiał się.

– Teraz już wiem, że nic ci nie jest. – Wstał, podał jej rękę. – Jak noga?

– W porządku.

– Pewnie boli i piecze jak cholera.

– Idź do diabła. – Yue uśmiechnęła się szeroko.

Odpowiedział jej takim samym uśmiechem.

– Już u niego byłem.

– Myślisz, że uda nam się wydostać z tego syfu? – Zerknęła w górę. – Zaraz będą tu gliniarze.

– Najpierw sprawdzę, kto nas śledził i dlaczego.

– Będziesz gadał z trupem? Powodzenia. – Krzywiąc się z bólu, podeszła z nim do sterty gruzu, pod którą leżał mężczyzna.

Bourne zaczął kopać.

– Z doświadczenia wiem – powiedział – że martwi bywają bardzo elokwentni. Czasem nawet bardziej niż żywi.

Oparłszy się o pochyłe rumowisko, Yue mu pomogła i już kilka minut później mógł wyciągnąć tamtego spod zwałü ziemi i kamieni. Zabity zostawił za sobą smugę krwi błyszczącej jak śluz ślimaka.

Jason szybko go obszukał. Znalazł zwitek banknotów i prawo jazdy na nazwisko Jessi Long – oczywiście fałszywe – nie znalazł jednak portfela, paszportu ani niczego, co mogło go zidentyfikować. Wyrzebując spod ciała nóż i komórkę, nagle znieruchomiał i przekrzywił głowę: syreny. Zawodziły ledwo słyszalnie, w oddali.

Schował rzeczy do kieszeni, wziął Yue na rękę, wszedł na najwyższą stertę gruzu i wdrapał się do piwnicy nad nimi.

W wybranej przez Matamorosa restauracji, długiej, niskiej i słabo oświetlonej, pachniało tequilą, plackami kukurydzianymi, wielokrotnie odsmażaną fasolą i zwietrzałym piwem. Pod sufitem wisiał rząd karnawałowych światełek w kształcie małych kolorowych latarek. Przed szafą grającą, w rytm *Addicted to You* Shakiry, tańczyła samotnie jakaś kobieta.

Przy długich drewnianych stołach prawie nie było gości, bo jeśli w ogóle tu przychodzili, woleli siedzieć na dworze, co tylko potwierdzało bolesną prawdziwość frazesu „Nędza lubi towarzystwo”.

Ochroniarze obstawili frontowe drzwi, a Matamoros poprowadził gości do pustego stołu na końcu sali. Właściciel wypadł z kuchni jak wystrzelony z armaty, podbiegł do nich, rozdał menu i przyjął zamówienie na drinki.

Wkrótce podano piwo i zostali sami, we czworo. Matamoros i Raul Giron łypali na siebie spode łba jak dwa wilki krążące wokół padliny.

– Señora – zaproponował Carlos – może wyjdziemy na taras, gdzie będziemy mogli spokojnie wypić *cerveza*?

Gdy wstali, wstał i Matamoros.

– Nigdzie nie pójdziecie – powiedział. – Wypuszczę ją stąd i zdejmie ją wasz snajper.

– Señor Matamoros – zauważył obojętnie Carlos – to pańskie królestwo i to pan trzyma wszystkie karty. My jesteśmy tylko gośćmi, których zaprosiła ta urocza dama. Proszę zrobić mi tę grzeczność i...

– Wszystko w porządku – przerwała mu Maricruz, biorąc szklanekę. – Nic mi nie grozi.

Jednak wychodząc na szeroki taras za restauracją, wcale nie czuła się bezpiecznie. Stało tam kilka stołów z grubo ciosanego drewna i takie same krzesła. Nad głową niespokojnie łopotała wyblakła od oślepiającego słońca pasiasta markiza. Widoczny z tarasu północny skraj miasta był zakurzony i szary.

– Nie należy pani do kobiet, które palą cygara, prawda?

Z kamienną twarzą przeszła go wzrokiem.

– Tak myślałam. – Przypalił hawanę z wielkim ceremoniałem, jak przystało na kogoś o jego statusie. – Opowiem pani pewną historię.

– Czy to konieczne?

– Proszę mi zrobić przyjemność. – Wypuścił dym. – Dziadek Girona miał współnika, cudzoziemca. Gringo naobiecował mu mnóstwo rzeczy i z czasem

spełnił wszystkie obietnice. Obydwaj bardzo się wzbogacili, ale pewnego dnia gringo zniknął i dziadek odkrył, że został z niczym.

Maricruz wciąż patrzyła na niego z kamienną twarzą.

– Tu nie ma cudzoziemców.

Carlos energicznie kiwnął głową.

– To prawda, to prawda, oboje to widzimy. Ale Giron to zupełnie inna sprawa. Dla niego jest pani kimś gorszym niż gringo. Jest pani Meksykanką, która porzuciła swój kraj, outsiderką, kimś, kto już do nas nie należy. Odszczepieńcem.

– Pan też tak uważa?

– Ależ skąd, już mówiłem. – Westchnął. – Co nie zmienia faktu, że mam go na głowie.

– To pański problem – odparła krótko Maricruz.

– Tak, señora, ale kiedy kartele się połączą, pani też od niego nie ucieknie.

Zapadła cisza. Z szafy grającej sączyła się nostalgiczna ranchera. Maricruz widziała młodą, samotną kobietę, która kręcąc rytmicznie biodrami, obejmowała w tańcu wyimaginowanego kochanka. Jakież smutne musiało być jej życie.

Zebrała myśli.

– Rozumiem, że zaprosił mnie pan tu, żeby zaproponować rozwiązanie.

Carlos Danda Carlos popatrzył w dal na mrugające światła miasta, małe i nic nieznaczące na tle nocy.

– Widzi pani... Czy mogę mówić pani po imieniu?

– Oczywiście.

Wyraźnie ucieszony kiwnął głową.

– Maricruz, chociaż to prawda, że wszyscy mi zazdroszczą, to podwójne życie jest bardzo trudne.

– Czyżby chciał pan wypłakać się na moim ramieniu?

Uśmiechnął się, wciąż nie odrywając wzroku od mglistej konstelacji światel wiszących nad miastem jak widmo.

– Będzie się pani śmiała, ale kiedy nie mam z kim porozmawiać, myślę czasem: Co ja tu robię? Po co to wszystko?

– Nie ma pan rodziny?

– Żona jest w domu, z dziećmi. Myśli pani, że szepczę jej do ucha o tym, co tu robię?

– Pewnie w ogóle ich pan nie odwiedza.

Wtedy odwrócił się i przeszył ją długim, świdrującym spojrzeniem.

– Żonie mówię mniej niż kochance, czyli nie mówię nic.

– Bardzo mądrze.

W jego oczach dostrzegła coś złego.

– A więc nie ma pan nikogo.

– Nikogo. Ludzie, z którymi pracuję, to idioci.

– Jednak mnie się pan zwierza. Komuś zupełnie obcemu.

– Pani nie jest kimś zupełnie obcym.

– Ale obcym.

– Czasem łatwiej jest rozmawiać z kimś z zewnątrz.

– Zatem tak mnie pan widzi.

– Widzę panią jako kogoś, kto oprócz pieniędzy nie ma w tym żadnego interesu.

Drgnęło jej serce.

– Czyżby próbował mnie pan zwerbować?

– Próbuję utorować sobie drogę, przebić się przez animozje między Gironem i Matamorosem.

– Możemy...

Ale on już kręcił głową.

– Przelano zbyt dużo krwi, wymordowano zbyt wielu ludzi, członków rodzin i krewnych, za dużo w tym nienawiści i żądzy krwi. Bez względu na to, co mówił pani Matamoros, nie da się tego wymazać ani o tym zapomnieć.

– Nie rozumiem.

Carlos podszedł bliżej i jeszcze bardziej zniżył głos.

– Giron i Matamoros są pod jednym względem tacy sami: obydwaj należą do przeszłości. Ich czas bezpowrotnie minął. – Wciąż mówił cicho, lecz teraz z przejściem. – A my, Maricruz, pani i ja, należymy do przyszłości. To jest nasza chwila. Wystarczy wyciągnąć rękę i ją schwytać.

•••

Otrzymawszy przez radio meldunek o zawałisku w sklepie z jedwabiami, kapitan Lim zajrzał do szczegółowego planu miasta, stwierdził, że to ledwie sześć ulic od sklepu z perłami Sam Zhanga i zadziałał instynktownie.

Zawezwał przez radio swoich ludzi, rozkazał, żeby tam pojechali i otoczyli sklep.

– Zatrzymać każdego, kto będzie tam wchodził lub wychodził – mówił. – Ale pod żadnym pozorem nie wchodzić do sklepu, dopóki nie przyjadę.

Potem wsiadł do samochodu, podał szoferowi adres i zaczęli się przebijać przez zatłoczone szanghajskie ulice.

– Szybciej! – warknął, pochylając się do przodu.

Gdy dojechali do rogu i zobaczył sklep, wyjął pistolet.

Rozdział 16

Dwie prawie zepsute mrugające jarzeniówki rzucały oszalałe cienie na ściany i podłogę na wpół zawalonej piwnicy. Syreny wyły tak głośno, że policja musiała być tuż-tuż. Ominąwszy schody prowadzące do sklepu na górze, Bourne skręcił w stronę prawego kąta. Tam dostrzegł mniej strome schody. Pokonując po dwa stopnie naraz, wpadł na podest i wyważył ramieniem drzwi. Otworzyły się na oścież i wszedł do środka.

Yue, która jak dotąd dzielnie znosiła ból, w końcu się poddała i leżała w ramionach Bourne'a z bezwładnie zwisającą głową. Jason ruszył do tylnego wyjścia, ale przez półprzezroczystą szybę zobaczył poruszające się cienie i usłyszał policyjne rozkazy. Zawrócił, zbiegł schodami na dół i wskoczył do piwnicy tuż przed tym, jak tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem i na podłodze zadudniły ciężkie buciory.

Zsunąwszy się po stercie gruzu, wpadł do tunelu, położył Yue na ziemi i zaczął kopać, dopóki nie przedostał się na drugą stronę zawaliska. Wrócił po Yue i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszli, byle dalej od wąskiego przełazu i zawalonej piwnicy. Nie miał lampy, podłoga było nierówne i zasypane kamieniami i skalnymi odłamkami, które z upływem lat wykruszyły się ze ścian.

Nagle coś usłyszał. Przystanął, wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Tak, to był odgłos kroków. A potem zobaczył snop światła z latarki, które przecięło korytarz za nimi.

•••

Kapitan Lim rozkazał podwładnym przeczesać każde piętro, każde mieszkanie, każdą szafę i kryjówkę, ale sam do nich nie dołączył. Zostawił ich i zbiegł schodami do piwnicy.

W migotliwym świetle buczących jarzeniówek natychmiast zobaczył ogrom zawaliska. Ostrożnie podszedł bliżej, spojrział w czeluść, poświecił latarką i ujrzał

leżącego na brzuchu mężczyznę. Po smugach zakrzepłej już krwi poznał, że ktoś musiał go tam przywlec. Przesunął latarkę i nieco dalej dostrzegł dziurę, z której pewnie go wygrzebano.

Czy to Bourne? Mógł to sprawdzić tylko w jeden sposób. Z latarką w zębach, na wpół zszedł, na wpół zsunął się na dół, poświecił wokoło i stwierdził, że stoi przed wejściem do tunelu. Co więcej, wyglądało na to, że tunel prowadzi aż do sklepu Zhanga.

Zatem to tak Bourne mu zwiął...

Spojrzał na martwego mężczyznę, ukucnął i przewrócił go na plecy. Long. Kapitan Lim zaklął pod nosem. Jak to możliwe, że dał się mu wyprzedzić? Lecz nagle załała go fala ulgi. To nie był Bourne. A zgodnie z rozkazem pułkownika Suna miał zatrzymać Bourne'a. Gdyby dostarczył jego zwłoki, rozpętałoby się piekło, a on znalazłby się w samym jego środku. Aż się wzdrygnął na tę myśl. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby zadzierać z pułkownikiem.

Wstał, poświecił przed siebie i od razu zobaczył świeżo wykopany przełaz. Przeszedł przez zawałisko, wszedł do tunelu i ruszył naprzód, zakładając, że tę samą trasę wybrał Bourne.

•••

Ze śpiącą Yue w ramionach Jason dotarł do piwnicy pod sklepem Sam Zhanga, lecz stawiając nogę na pierwszym stopniu drabiny, usłyszał głosy. Policja! Kapitan Lim był na tyle sprytny, żeby na wszelki wypadek zostawić na górze dwóch podwładnych. Bourne znieruchomiał. Tamci rozmawiali, zdawkowo i bez entuzjazmu.

- Co ja mu zrobiłem, że wpakował mnie w to gówno?
- Ciesz się, że w ogóle żyjesz.
- Przecież to czysty obłąd. Ten *gwai* tu nie wróci, jest pewnie sto kilometrów stąd.
- Ty to wiesz i ja to wiem. Szkoda tylko, że Lim ma to gdzieś.
- Lim to kutas. Wojskowy. Nawet nie jest stąd.
- To zwierzę polityczne, jak wszyscy z Pekinu.
- Nic, tylko podciera dupę temu Sunowi.
- Inaczej nie awansowałby na kapitana.
- Ja to walę. Nikomu nie będę lizał tyłka.

Zapadła krótka cisza.

– Długo jeszcze?

– Godzinę z minutami. Potem będziemy mogli wrócić do domu i zapomnieć o tym palancie.

Bourne przykucnął i oparł Yue o ścianę. Spokojnie spała. Potem wstał i podszedł do drabiny. Nie mógł czekać godziny ani nawet piętnastu minut. Lim mógł w każdej chwili zdać sobie sprawę, że go zgubił albo – co gorsza – że zamiast pójść dalej, Jason zawrócił.

Szybko wbiegł na górę, pchnął ramieniem klapę i gdy się otworzyła, wyskoczył na zewnątrz. Jednego policjanta uderzył łokciem, drugiego zaatakował nożem, który znalazł w tunelu – jeden padł, ale drugi wyciągnął pistolet, więc Bourne dzielił go w nadgarstek kantem dłoni. Kiedy policjant upuścił broń, Jason uderzył go w szyję i mundurowy osunął się na podłogę. Bourne odwrócił się, kopniakiem wytrącił komórkę z zakrwawionej ręki tego pierwszego i gdy ten drugi sięgnął po pistolet, pozbawił go przytomności ciosem w skroń.

Dopiero teraz rozejrzał się i zobaczył przerażonego Zhanga. Był zakneblowany i przywiązany do fotela, który przesunięto w kąt biura. Z obłędem w oczach patrzył to na Bourne'a, to na policjantów.

– Co pan tu robi? – spytał przyciszonym głosem, kiedy Jason wyjął mu knebel.
– Gdzie jest Yue?

Bourne przeciął nożem sznury.

– Wróciłem – odparł. – Pomyślałem, że gdzie jak gdzie, ale tutaj Lim nie będzie mnie szukał.

Zhang niepewnie kiwnął głową, wyciągnął rękę i trzymał ją tak, dopóki Jason nie nalał mu whisky. Chińczyk wyrwał mu szklanke i jednym haustem wypił wszystko do dna. Głośno sapnął, otrząsnął się jak mokry pies i poprosił o dolewkę.

– Gdzie jest Yue? – powtórzył, gdy Bourne sięgnął po butelkę.

– W piwnicy. Śpi.

Zhang upił łyk trunku.

– Jak się czuje?

– Zaraz po nią pójde – odrzekł Jason, nie chcąc przedwcześnie zdradzać, że „siostrzyczka” omal nie zginęła w zawalisku.

Chińczyk dopiero teraz zauważył, że Bourne jest zakurzony i uwalany ziemią.

– Zaraz. Co tam się stało?

Uchyliwszy się od odpowiedzi, Jason wrócił do piwnicy, wziął Yue na rękę, wniósł ją na górę i posadził na krześle. Nawet się nie obudziła.

– O matko! – Zhang z trudem wstał, bo od długiego siedzenia drżały mu nogi. – Wygląda gorzej niż pan!

– Nic jej nie jest – zapewnił go Bourne. – Tunel się zawalił. – I zanim Chińczyk zdążył coś powiedzieć, szybko dodał: – Ktoś za mną szedł, ale go zasypało.

Chwiejąc się niebezpiecznie, Zhang ukląkł, objął Yue i szepnął:

– Moja siostrzyczka, moja mała siostrzyczka...

– Kto to był? – spytał Bourne.

Chińczyk wpatrywał się w twarz dziewczyny. Nie odpowiedział.

– Zhang! – rzucił ostrzej Jason. – To przez niego omal nie zginęła.

Grubas drgnął jak smagnięty batem.

– Obiecał, że nic jej nie zrobi – wychrypiął płaczkliwie, ściskając drobną rękę dziewczyny. – Nie wiem – dodał czule, jakby mówił do niej. – Nigdy przedtem go nie widziałem. Pytałem, ale był zbyt zajęty zabawą z pistoletem nad moją głową. – Ciężko westchnął. – Nie powinienem był ulegać. Nie powinienem był mówić mu, gdzie pan poszedł.

– Nie miał pan wyjścia.

– Jak to tchórz, prawda?

Bourne położył rękę na jego mięsistym ramieniu.

– Proszę pomyśleć, ile bólu zaoszczędził jej pan tym, że pan przeżył.

Zhang usiłował się roześmiać, ale tylko zachlipał. Jason wywłókł policjantów z biura i zostawił ich w cuchnącym zaułku. Kiedy wrócił, Zhang zmywał krew z podłogi.

– Chodźmy – powiedział Bourne, gdy tamten skończył. Wziął Yue na rękę. – Pogadamy w jakimś spokojniejszym miejscu. Tam się pan nią zajmie.

Chińczyk kiwnął głową, tylnymi drzwiami wytoczył się z biura, wyjął komórkę i wezwał swojego szofera.

•••

Amir Ofir dopracowywał ostatnie szczegóły logistyczne misji ratunkowej na Synaju. Grupa bojowników Hamasu zatrzymała trzech Izraelczyków, którzy wspinali się na górę Synaj, biorąc ich za agentów Mosadu. Właśnie wprowadzał

poprawki do raportu sytuacyjnego, gdy zadzwoniła komórka. Ofir wstał, wyszedł na korytarz i odebrał.

– Chwileczkę.

Wszedł do toalety, sprawdził wszystkie kabiny, a gdy okazało się, że są puste, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, żeby nikt mu nie przeszkodził.

– Mów.

Im dłużej słuchał, tym bardziej chmurzyła mu się twarz.

– Recach nie żyje? Na pewno?

Przewrócił oczami i nieświadomie zamlaskał. Sytuacja, początkowo tylko niebezpieczna, była teraz katastrofalna. Bo jak wyjaśni to potknięcie dyrektorowi? Jadin nie słynął z pobłażliwości dla nieudaczników, a Ofir nie miał zamiaru dobrowolnie lec na ołtarzu ofiarnym. Dobrze znał los tych, którzy legli, bo nie mieli innego wyboru.

Ale on wybór miał, choć trudny do przełknięcia. Prawdopodobieństwo, że będzie musiał uruchomić plan awaryjny, było dotychczas nikłe albo nawet zerowe, jednak śmierć Recacha, który zginął najpewniej z ręki Bourne'a, zmuszała go do zmiany planów.

Nie, nie miał wyjścia. Żadnego.

Wrócił do biura, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Rozdział 17

Dyrektor stał przed obrazem Alighiero Boettiego składającym się z liter, głównie angielskich, choć były tam również litery arabskie. Tak skomponowane nabierały innego, bardziej artystycznego znaczenia, niemal impresjonistycznego wymiaru, stojącego w ekscytującej sprzeczności z konkretnością języka. Jadin nawet się nie odwrócił, gdy u jego boku stanął Ofir. O tej porze w mieszczącym się w surowym, postmodernistycznym gmachu Muzeum Sztuki nie było prawie nikogo. Tu i ówdzie snuli się tylko ochroniarze dyrektora przechadzający się nonszalancko i udający, że oglądają wiszące na ścianach obrazy.

– Czy byli tu nasi kryptolodzy? – spytał Jadin. – Od lat podejrzewam, że ukryto tu jakąś wiadomość.

Ofir nie odpowiedział, nie zawracał sobie głowy. Wiedział, że obraz interesuje dyrektora podobnie jak jego, czyli wcale.

– Melduj – rzucił Jadin tak zimno, że Ofir zadrżał.

– Bourne urwał się ze smyczy, na sto procent. – Było mu niedobrze na myśl, że nie wie, jaką operację prowadzi dyrektor. – Ostrzegalem pana. Amerykanie nie mogli nad nim zapanować i nie wiem, dlaczego myślał pan, że panu się uda.

Jadin milczał.

– Znalazł lokalizator w paszporcie – ciągnął Ofir. – Kiedy tylko wylądował w Szanghaju, przyczepił go do podwozia taksówki i szukaj wiatru w polu. Wodзил nas za nos, ale w końcu się zorientowaliśmy...

– Spryciarz, nie?

– Co pan mówi? To niewybaczalne.

Dyrektor odwrócił się dopiero teraz.

– Zrobił dokładnie to, czego się spodziewałem.

Ofirowi odebrało mowę.

– Jak to? Nie rozumiem.

Jadin wzruszył ramionami.

– Amir, mój przyjacielu, to prawda, jest tak, jak mówisz. Nim nie da się sterować. Nie będzie pracował na smyczy. Amerykanie nie mogli tego zrozumieć. Próbowali go oswoić, wpasować do formy, którą dla niego ulepili. I kiedy z niej uciekł, postanowił, że już nigdy do nich nie wróci.

– W takim razie do czego może się nam przydać?

Dyrektor, wciąż ze splecionymi z tyłu rękami, ruszył przed siebie.

– Widzisz, chociaż Bourne'a nie da się wziąć na smycz, można nim pokierować. Jest jak kula. Wyceluj, wystrzel i znajdzie cel. Właśnie to zrobiłem: skierowałem go na właściwą drogę. To, jak będzie nią szedł, zupełnie mnie nie interesuje. – Skinął kudłatą głową. – Jadę na żagle. Chcę trochę popływać, pomartwić się i zebrać myśli.

– A ja?

– Dopnij tę sprawę z Synajem, zanim zrobi się gorąco. Wydostań naszych obywateli z rąk wrogów i jeszcze przed północą sprowadź ich bezpiecznie do domu. Czy to jasne?

– Całkowicie, Memune.

– I zapomnij o Bournie. Już swoje powiedziałeś. Teraz zostaw go mnie.

• • •

Dyrektor wraz z orszakiem ochroniarzy wyszedł z muzeum. Ofir odprowadził go wzrokiem i też wyszedł. Na placu przed muzeum zobaczył trzy odjeżdżające samochody i zdziwił się, że kawalkada się rozdzieliła. Samochody z ochroniarzami pojechały w jedną stronę, a samochód dyrektora w drugą – ale bynajmniej nie w kierunku przystani, gdzie kołysała się jego żagłówka.

Zaintrygowany Ofir usiadł za kierownicą i ruszył za nim. Ucieszył się, słysząc, że Jadin jedzie popływać. Dyrektor był błądy i wymizerowany, i czy rzeczywiście schudł, czy tylko mu się wydawało?

Samochód Jadina skręcił w ulicę Weizmanna i zaparkował przed szpitalem miejskim.

Co się dzieje, do licha? – pomyślał Ofir, gdy Jadin wszedł do budynku. Znalazł wolne miejsce, wysiadł, wbiegł na podjazd, pchnął drzwi i znalazł się w cichym, chłodnym holu.

W informacji spytał o pacjenta ambulatoryjnego nazwiskiem Eli Jadin. Stojący za granitową ladą recepcjonista skierował go do stanowiska po prawej stronie wielkiego przeszklonego wejścia.

Z siedzącej tam kobiety, młodej i wysportowanej, biła pewność siebie, jaką mogła zyskać tylko w izraelskim wojsku.

– Czym mogę służyć? – spytała z wyuczonym uśmiechem.

– Szukam Elego Jadina – odparł Ofir. – Jest chyba waszym pacjentem.

Ambulatoryjnym.

– Jaki oddział?

– Nie wiem.

Kobieta zmarszczyła czoło i upstrzony piegami nos.

– Proszę pana, mamy ich tu szesnaście.

Ofir potarł czoło.

– Niech pani sprawdzi na onkologii.

Kobieta wpisała nazwisko do komputera.

– Przykro mi, ale nie mamy takiego pacjenta.

– Nie może pani poszukać na innych oddziałach?

Recepcjonistka zawahała się z niepewną, trochę podejrzliwą miną.

– Mogę, ale...

Ofir pokazał jej legitymację służbową. Nie chciał się przedstawiać, ale nie dała mu wyboru.

Długo przyglądała się dokumentowi, w końcu powiedziała:

– Zobaczę, co da się zrobić.

Jej palce zatańczyły na klawiaturze.

– Przykro mi. – Energicznie pokręciła głową. – Nie mamy pacjenta o takim nazwisku.

– Musicie mieć. – Ofir był zbity z tropu.

– Zrobiłam, co mogłam – odparła recepcjonistka i odwróciła się, żeby odebrać telefon.

Oczywiście, pomyślał Ofir, schodząc podjazdem na ulicę. Jeśli Jadin zarejestrował się pod innym nazwiskiem, nie sposób go znaleźć. Ale kiedy wsiadł do samochodu i ruszył, natychmiast przestał zaprzętać sobie głowę małą tajemnicą dyrektora. Kazano mu bezpiecznie sprowadzić do domu trzech Izraelczyków więzionych przez Hamas i musiał jeszcze raz przeanalizować swoje ostatnie decyzje.

•••

– Carlos jest po naszej stronie – powiedziała Maricruz, gdy wraz z Matamorosem wróciła do warowni Los Zetas.

Stali na długiej werandzie, sącząc mescal viejo i patrząc na liście palm ocierające się o siebie na wietrze.

– Długo rozmawialiście.

– Zazdrosny?

Matamoros prychnął.

Minęła północ. Rogaty księżyc pokazał się i ukrył za szybko przesuwanymi się chmurami, które sprowadziły wilgotny wiatr zapowiadający ulewę. Uzbrojeni ochroniarze patrolowali teren za wysokim na dwa i pół metra zdobionym sztukaterią murem otaczającym kompleks budynków. Inni spacerowali po ogrodzie i wśród przypominających oazy kęp palm. Nie licząc grania cykad, skrzeczenia rzekotek i głośnego poszczekiwania ulicznych psów, noc tonęła w aksamitnej ciszy, jak w ośrodku wypoczynkowym na wybrzeżu Majów. Brakowało jedynie szumu morskich fal.

– Było całkiem miło – powiedziała Maricruz. – To biznesmen. Rozumie korzyści płynące z mojej propozycji i nie gwiazdorzy.

– Rozmawialiście o Gironie?

– Nawet o nim nie wspomnieliśmy. – Dopła mescal. – Jutro o dziewiątej spotykamy się we troje, żeby sfinalizować umowę.

Matamoros kiwnął głową. Sprawiał wrażenie rozkojarzonego. Kiedy weszli do środka, do wyłożonego boazerią korytarza, wskazał jej pokój, po czym zamknął się w swoim.

W jej sypialni, słusznych rozmiarów i też wyłożonej drewnem, stało podwójne łóżko i duże meble, a na ścianach wisiała dziwna kolekcja rycin przedstawiających walki byków i egzotyczne tancerki. W przylegającej do sypialni kąpiącej luksusem marmurowej łazience była kabina prysznicowa i wanna, z której gość mógł patrzeć na oświetlony ogród.

Maricruz rozebrała się, weszła pod prysznic i czekając, aż strumienie wody zmyją z niej pot i kurz, zamknęła oczy i odrzuciła do tyłu głowę. Nie myślała o niczym.

Po prysznicu wytarła się i położyła, na wpół spodziewając się, że zapuka do niej Matamoros. Ale nie zapukał i nie wiedziała, czy ku jej uldze, czy rozczarowaniu.

Tej nocy śniło jej się, że pływa we krwi – duszący sen, nie tyle przerażający, ile wyczerpujący. Kiedy powoli wyłoniła się z niebytu i otworzyła oczy, miała wrażenie, że słyszy huk wystrzałów. Ale gdy już w pełni rozbudzona usiadła na

łóżku, usłyszała jedynie poranne pianie kogutów i szczekanie psów szwędających się po ulicach San Luis Potosi.

Wstała, skorzystała z toalety, szybko się ubrała i wyszła z sypialni. Rozejrzała się po korytarzu i opustoszałym salonie i poszła do kuchni. W kuchni też nikogo nie było. Coraz bardziej zaniepokojona wróciła na korytarz i otworzyła drzwi do pokoju Matamorosa. Pusto. I nietknięta pościel.

Wpadła do swojego pokoju, wyjęła beretkę, sprawdziła, czy jest nabita, pobiegła do wejścia, otworzyła frontowe drzwi i wyszła na dziedziniec. Nikogo, ani jednego ochroniarza. Wszędzie panowała śmiertelna cisza, jak w jej duszącym śnie.

Szybkim krokiem przeszła przez ogród, minęła kępy palm i otworzyła bramę wjazdową. Sto metrów dalej stał duży, czarny SUV. Promienie wschodzącego słońca odbijały się od przedniej szyby, dlatego nie widziała, czy ktoś w nim jest.

Popatrzyła w lewo, potem w prawo i ostrożnie podeszła bliżej. Przystanęła przed drzwiami od strony pasażera, lekko się pochyliła i zajrzała do środka, ale nie, nic z tego, szyby były zbyt przyciemnione.

Rozejrzała się jeszcze raz z nadzieją, że zobaczy Matamorosa czy kogoś z jego ludzi, lecz nie zobaczyła nikogo. Walcząc z pokusą, żeby nie uciec, wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi.

Spomiędzy jej rozchylnych ust wydobył się stłumiony okrzyk przerażenia. Samochód był wypchany czternastoma mężczyznami. Nie mieli głów. Coś wytoczyło się z wnętrza i odbiwszy się od progu, spadło na ziemię. Maricruz odskoczyła i spojrzała pod nogi.

Patrzyły na nią wytrzeszczone, szare i szkliste oczy Raula Girona.

•••

– Musi pan się schronić w bezpiecznym miejscu, gdzie nie znajdzie pana ani kapitan Lim, ani nikt inny. – Sam Zhang klepnął szofera w ramię, powiedział coś tak cicho, że Bourne i Yue go nie usłyszeli, a potem wyprostował się, ściskając ich jak sardynki. – Znam takie miejsce. Właśnie tam jedziemy.

Yue leżała na tylnym siedzeniu z głową na piersi Jasona.

– Lim nam przerwał – przypomniał mu Bourne.

– Tak? O czym rozmawialiśmy?

– O Ouyang Jidanie.

Chińczyk ściągnął grube usta.

– Nie pamiętam.

– Podobno tu jest.

– Dlaczego to pana niepokoi?

– Mamy rachunki do wyrównania. Kazał zabić kogoś, kogo dobrze znałem.

Zhang odwrócił głowę.

– Lakonicznie i tajemniczo, tak jak trzeba. – Wzruszył ramionami. – Minister

Ouyang odpowiada za śmierć wielu ludzi.

– Mnie obchodzi tylko jedna.

Przejechali przez most i znowu znaleźli się w Pudongu, skrzęcej się nowoczesnością części Szanghaju. Skręcili na nabrzeże i zatrzymali się przed stalowo-szklanym gmachem jednego z najlepszych hoteli w mieście.

Gdy ubrany w uniform boy otworzył drzwi, Zhang poprosił go o wózek. Bourne posadził na nim Yue i we czworo, wraz z pchającym wózek boyem, weszli do środka. Przeciąwszy hol pełen wypolerowanego na błysk marmuru i birmańskiego jadeitu, doszli do wind i w milczeniu wjechali na dwudzieste piętro.

– Dalej poradzimy sobie sami. – Zhang dał boyowi napiwek i położył ręce na uchwytach wózka.

Boy został w windzie, a oni wyszli na korytarz. Gruba, miękka wykładzina, długi rząd płonących łagodnym światłem stożkowatych lamp – stanęli przed podwójnymi drzwiami do apartamentu. Zhang włożył do czytnika kartę, wszedł do środka i wrócił po wózek.

Przestąpiwszy próg, Bourne poczuł, że coś ukłuło go w szyję. Chciał się odwrócić, ale to, co mu wstrzyknięto, zdążyło już spowolnić jego odruchy. Ugięły się pod nim nogi i byłby upadł, gdyby ktoś nie podtrzymał go od tyłu. Za nic nie mógł odzyskać równowagi, widział jak przez mgłę, myśli odpłynęły w dal jak ławica ryb.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była Yue, która z drapieźnym, a może lubieżnym uśmiechem szybko wstała z wózka. Pocałowała go w usta, a potem uderzyła w twarz tak mocno, że stracił przytomność.

Księga druga

Rozdział 18

Jin zablokował nogą drzwi windy i gdy się rozsunęły, nacisnął przycisk awaryjnego zatrzymywania. Wytężył słuch. Z korytarza dobiegał cichy turkot kół wózka.

Pochylił się, z kabury nad kostką wyjął pistolet – chiński QSZ-92 kalibru 5,8 milimetra – a z kieszeni małą krótkofalówkę.

– Panie kapitanie – szepnął podekscytowany, z trudem panując nad głosem – upieklśmy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Jest tu i wysłannik Cho Xilana, i Jason Bourne.

– Zachowaj ostrożność – zabręczał mu w uchu głos Lima. – Moi ludzie już tam są, lada chwila będą na górze.

– Niech zawiadomią dyrektora hotelu i oczyszczą sąsiednie pokoje, to wystarczy. Inaczej zamiast pomagać, będą mi tylko przeszkadzali. – Jin wyszedł na pusty już korytarz.

– Nie zostawię cię bez obstawy.

– Z całym szacunkiem, panie kapitanie, ale proszę się o mnie nie martwić. Nie zna mnie pan. – Jin uśmiechnął się do siebie. – Lepiej poradzę sobie sam.

– Tu nie ma miejsca na błędy.

– Ja ich nie popełniam, panie kapitanie.

– Wiesz, co masz robić? Pamiętasz rozkazy?

– Pamiętam. Zatrzymać Bourne’a, nie robiąc mu krzywdy.

– Dobrze. – Lim zrobił krótką pauzę. – W takim razie do zobaczenia.

Jin przerwał połączenie i na palcach, ze skierowaną do góry lufą pistoletu, wyszedł na korytarz. Pod drzwiami do apartamentu zatrzymał się, dobre dwadzieścia sekund stał bez ruchu, a potem przytknął ucho do wypolerowanego drewna.

•••

– Wracaj do łazienki i zamknij drzwi – rozkazała Yue mężczyźnie, który przyjechał z nią z Pekinu jako jej mąż. Ten kiwnął głową i wyszedł.

Kiedy zostali sami, spojrziała na bezwładne ciało leżącego u jej stóp Bourne'a.

– Grasz w bardzo niebezpieczną grę – powiedziała.

Zhang ciężko westchnął i usiadł w mandaryńskim fotelu.

– To ty mnie ostrzegasz, czy Cho Xilan?

Usta drgnęły jej leciutko w czymś na kształt uśmiechu.

– Napuszczanie jednych na drugich bywa niebezpieczne. Spójrz tylko na Wei-Weia.

– Musiałaś go zabijać?

– Sam, wszystko, co robię, z definicji robię z przymusu.

– A sierżant Amma?

– Uczciwy gliniarz to niebezpieczny gliniarz, dobrze o tym wiesz.

Zhang pokręcił głową.

– Kłopot z tobą polega na tym, że jesteś niemoralna.

– Przeciwnie, jestem bardzo moralna. Nie mam tylko wyrzutów sumienia, za co bogom niech będą dzięki.

Zhang zadarł głowę i przemówił do sufitu.

– Za jakie grzechy wpadłem w to bagno?

– Nie oszukuj się, Sam. – Yue kopnęła Bourne'a, aby upewnić się, czy wciąż jest nieprzytomny. – Tak jak ja, robisz wszystko, żeby w tym bagnie przetrwać.

Spojrziała na Jasona.

– W sumie to nawet go lubię. Płonie w nim coś wartościowego. Zazdroszczę mu.

– Gdy Zhang chrząknął, podniosła wzrok. – On naprawdę uratował mi życie.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Zgodnie z rozkazem, musimy przekazać go pułkownikowi Sunowi.

– Jeszcze nie. – Yue ukucnęła i położyła rękę na głowie Bourne'a. – On mnie intryguje.

– Przestań, siostrzyczko, ciebie nikt nie intryguje.

– Ale on tak. Naprawdę. Ma na pieńku nie tylko z Sunem, ale i Ouyangiem. – Uśmiechnęła się. – To jest dopiero intrygujące. – Poglaskała Bourne'a po głowie. – Nie puszczę go, dopóki się nie dowiem, o co im poszło i czy mogłabym coś z tego mieć.

Zhang obliznął usta.

– I kto tu gra w niebezpieczną grę?

Yue stłumiła śmiech.

– Różnica polega na tym, że ja sobie radzę, a ty nie bardzo.

– To prawda – przyznał ze smutkiem Zhang. – Jestem coraz starszy.

– Ale się nie starzejesz – zauważyła. – To duża różnica.

Zhang uśmiechnął się.

– Czasem naprawdę mnie zaskakujesz.

– Czasem myślę, że wyklułam się z jaja.

– Zaobserwowałem, że twój gadzi mózg jest bardzo rozwinięty.

Yue przyglądała mu się przez chwilę.

– Tylko ty jeden mnie znasz.

– Na tyle, na ile można znać smoka z Komodo.

Yue uśmiechnęła się szyderczo i dźgnęła Bourne'a w bok.

– No, pora wziąć się do roboty.

Zhang nachylił się ku niej, uciskając potężny brzuch.

– Jak chcesz to załatwić?

– A jak myślisz? – Yue podniosła nóż, który Bourne zabrał z tunelu.

Zhang po raz pierwszy poważnie się zaniepokoił.

– Rozkazy pułkownika Suna są bardzo wyraźne. Bourne ma być cały i zdrowy.

Minister Ouyang chce przesłuchać go osobiście.

– Minister Ouyang wrócił do Pekinu, żeby poszukać podwójnego agenta w najwyższych kręgach władzy.

– To ty o tym wiesz?

– Uczę się od ciebie, Sam. Sieć moich kontaktów szybko się rozrasta.

Zhang westchnął.

– Posłuchaj, siostrzyczko. Nie pierwszy raz przychodzi mi do głowy, że to spiskowanie, wszystkie te awantury, że może to nie dla nas.

Yue przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

– Przecież zawsze tego chciałeś. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym nasze życie nie należy do nas.

– Tak nam wmawiano. A kłamstwo powtórzone sto razy staje się prawdą.

Powiedz: czy takie życie ci odpowiada?

Yue zmierzyła go podejrzliwie wzrokiem.

– Mówisz tak, jakbyśmy mieli jakiś wybór.

– Bo mamy.

Pokręciła głową.

– Iluzja.

– Możemy to rzucić.

Spojrzała na niego pytająco.

– Rzucić?

– Tak. Wyjechać. Mamy za co.

– Niby mamy, ale... dokąd byśmy pojechali? Znalezliby nas w każdym zakątku Chin, nawet w najodleglejszym, gdzie, szczerze mówiąc, wolałabym już podciąć sobie żyły, niż żyć.

– Siostrzyczko, poza granicami Chin rozciąga się wielki świat. Jest tak duży, że w okamgnieniu moglibyśmy się w nim zgubić.

– To ty tak uważasz. Cho Xilan ma długie ręce i wielkie wpływy.

– Tu, w Chinach. To prawda. Ale o świecie leżącym poza Państwem Środka wie bardzo niewiele. W tym punkcie minister Ouyang ma nad nim wielką przewagę strategiczną. Cho jest taktykiem, co znaczy, że umie prowadzić finezyjne rozgrywki w Politbiurze. Na tym się skupia. On i jego reakcyjniści mają ciasne poglądy, są krótkowzroczni. Interesuje ich tylko kraj. Poza granicami Chin praktycznie nic nie znaczą.

Yue zakołysała się na piętach.

– Ty mówisz poważnie.

– Jak najbardziej. – Zhang przeciągnął ręką po szerokiej twarzy. – Chodzi nie tylko o to, że się starzeję, siostrzyczko. Mam dość takiego życia, nadszkakiwania innym, zbijania dla nich fortuny w zamian na nędzne okruchy z ich stołu. Ostatnio uświadomiłem sobie, że w ogóle nie myślę o sobie. Że nie mam na to czasu. Ty pewnie też nie.

Spojrzał na Bourne'a.

– Zacznijmy od tego, że zwrócimy mu wolność.

Yue zmarszczyła brwi.

– On wie coś o Sunie i Ouyangu, coś, co w razie potrzeby moglibyśmy wykorzystać. Jest naszą polisą ubezpieczeniową.

– A więc zgadzasz się?

W tym momencie kula roztrzaskała zamek u drzwi.

• • •

– Co pan zrobił? – wykrztusiła Maricruz, widząc Matamorosa idącego ku niej przez błady świt. – Co pan, do cholery, zrobił?

– Ja? – Matamoros dźgnął się palcem w pierś. – Nic. Ale nie wierząc, w przeciwieństwie do pani, że Raul Giron jest gotów poświęcić niezależność Sinaloa, moi *compadres* postanowili wziąć sprawę w swoje ręce.

Maricruz zerknęła na głowę leżącą u jej stóp.

– Giron nie miał tu nic do gadania. Wszystko było uzgodnione z Carlosem. Przecież panu mówiłam.

– Zaraz po kolacji Carlos wrócił do Mexico City. Teraz zastanawia się pewnie, jak panią zabić.

– Zabić? Mnie?

– Jest pani bardziej niebezpieczna niż Los Zetas. Z nami się dogada, ale pani to zupełnie co innego. Zagraża pani równowadze sił w tym kraju. Carlos nie może do tego dopuścić.

Maricruz spojrzała na bezgłowych mężczyzn w samochodzie.

– Felipe, to jest burdel do kwadratu!

– *Mujer, por favor*. Ponieważ jesteśmy na moim terenie, pozwoli pani, że wytłumaczę pani zawilosci tej sytuacji. Po pierwsze, mój przyjaciel Giron nie zamierzał nikomu ulegać, a już na pewno nie pani. Jeśli uwierzyła pani w tę bajeczkę, żyje pani w innym świecie.

Kopnął leżącą na ziemi głowę jak piłkę. Poszybowała w powietrzu, uderzyła w pień palmy, odbiła się i spadła. Oczy Girona były już zmętniałe jak oczy martwej ryby.

– Po drugie, Carlos pochodzi z bogatej rodziny. Nigdy nie ubrudził sobie rąk krwią, nigdy nie mieszkał w gnoju, jak ja i moi przyjaciele. Nic nie wie ani o nas, ani o tym, jakimi kierujemy się pobudkami. Po trzecie, to ostatni kutas, kłamca i złodziej. I, co najgorsze, tchórz. A tchórze stoją w miejscu, usilnie chcą utrzymać swoje status quo. Żeby go nie stracić, chowają się za spódnicą mamusi, a w jego przypadku – rządu. To *el presidente* dał mu tę pracę, to *el presidente* go ochrania. Bo tylko on może. Carlos chętnie zbiera śmietankę z dochodów Sinaloa, ale kiedy wyczuje, że robi się gorąco, zerwie wszystkie kontakty i da nogę, może pani być pewna.

– Cholera jasna, dlaczego nie powiedział mi pan tego wczoraj?

– A uwierzyłyaby mi pani po waszym milutkim tête-à-tête na werandzie? – Matamoros przyjrzał się jej uważnie. – Tak więc musimy stawić czoło nowej rzeczywistości. Zmianie, ale niezupełnie takiej, o jaką pani chodziło.

– Skoro pana *compadres* zajęli się Gironem i jego porucznikami, Los Zetas bez trudu pokona teraz Sinaloa.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić, *mi princesa* – odparł Matamoros.

Ale nie sprawiał wrażenia zadowolonego i Maricruz wiedziała dlaczego.

– Carlos stał się problemem, to dobrze i źle – ciągnął. – Zamiast wojować z całym kartelem, przyjdzie nam stoczyć bój z jednym człowiekiem. Ale ponieważ Carlos nie znosi zmian, rzuci przeciwko nam, przeciwko pani i mnie, znaczne siły rządowe. I chociaż do tej pory bez trudu odpieraliśmy ataki *federales*, ta wojna jest dla niego wojną osobistą. Czekają nas ciężkie chwile.

– W takim razie możemy zrobić tylko jedno – powiedziała Maricruz. – Musimy go zabić, zanim on zabije nas.

Matamoros odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

– Zaufałem pani i widzę, że miałem rację.

Podniósł rękę. Maricruz odwróciła się i zobaczyła jego *compadres*, resztę kadry Los Zetas: wojskowe panterki, szerokie ramię przy szerokim ramieniu – szli ku nim groźni i po zęby uzbrojeni, jak siedmiu wspaniałych.

•••

Jin pchnął drzwi, wpadł do pokoju i wycelował w Zhanga i Yue. Nie zwrócił uwagi na mężczyznę leżącego bezwładnie między nimi. I to był błąd.

Gwałtownym ruchem Bourne wyrwał dziewczynie nóż i rzucił nim w intruza, który stał w klasycznej pozycji strzeleckiej z palcem na spuście. Klinga wbiła się po rękkość w jego pierś.

Jin spojrzał zdumiony na tryskającą z rany krew i osunął się na podłogę. Wtedy Jason wyszarpnął broń z jego ręki, przetoczył się na bok i wymierzył w Yue.

– No i doszliśmy do sedna sprawy – powiedział. – Gdzie jest pułkownik Sun i minister Ouyang?

Yue patrzyła na niego obojętnie. Jeśli zaimponował jej swoim wyczynem, zupełnie tego po sobie nie pokazała.

– Sun i jego przydupas Lim wraz z grupą ciężko uzbrojonych żołnierzy jadą już pewnie na górę. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Powinniśmy iść...

– Nigdzie z tobą nie pójde – warknął Bourne.

– Jeśli chcesz dorwać Ouyanga, to pójdziesz. – Uśmiech zmienił się z tajemniczego w drapieżny.

Chciała pomóc mu wstać, ale odtrącił jej rękę.

– Dość już zrobiłaś.

Zhang z trudem dźwignął z fotela swoje tłuste cielsko.

– Zajrzyj w głąb duszy, a może jej wybaczysz. Yue ma umysł gada i serce drapieżnika.

Otrząsnąwszy się z ostatnich skutków działania narkotyku, Jason wyprowadził ich na dziwnie cichy korytarz.

– Ewakuowali całe piętro.

Yue kiwnęła głową.

– Widzisz? A nie mówiłam?

Bourne ruszył w stronę wind.

– Gdzie idziesz? – syknęła. – Wszystkie już dawno zatrzymali.

Bourne przeszył ją morderczym spojrzeniem, minął ostatnią windę, przystanął przed wąskimi drzwiami w ściennej niszy i sforsował zamek. Za drzwiami ziała czeluść czterech szybów.

– Pan chyba żartuje. – Zhang zajrzał w otchłań. Pocił się jak szwankujący klimatyzator. – Nic z tego, to nie dla mnie.

– Ma pan lepszy pomysł? – spytał Jason.

– Sam – powiedziała z naciskiem Yue – wszystkie windy stoją. Działa tylko jedna, ta, którą jadą tu żołnierze. Lada chwila otworzą się drzwi i będzie po nas.

Bourne wszedł do szybu i po wąskiej betonowej półce przesunął się w stronę ostatniej windy po prawej stronie.

– Chodź, Sam. – Yue dosłownie wepchnęła go do środka.

Chińczyk cicho krzyknął, zachwiał się, ale Jason przytrzymał go i wciągnął na półkę. Grubas zakołysał się jak wańka-wstańka. Yue weszła do szybu i zamknęła drzwi. Bourne przyciągnął Zhanga do siebie, żeby zrobić jej miejsce.

– Sam, tylko nie patrz w dół – ostrzegła dziewczyna.

Ale było już za późno. Otchłań przyciągała wzrok jak karambol na autostradzie. Wydawało się, że nie jest w stanie spojrzeć gdzie indziej i w końcu Jason uderzył go na odlew w twarz.

– Na mnie – powiedział. – Patrz na mnie i nic ci nie będzie.

– A może coś być? – spytał Chińczyk drżącym głosem.

– Może, bo musimy zejść na dół.

Widząc, że Zhang zaraz wrzaśnie, Jason zatkał mu usta.

– Zamknij się, Sam! – syknęła Yue. – Chyba że chcesz trafić na przesłuchanie do Suna.

Zhang zadygotał, ale chyba się trochę uspokoił. Bourne zabrał rękę.

– Na dół? – wyjąkał przerażony grubas. – Ale jak?

– Tą drabinką. Mechanicy z obsługi technicznej przechodzą nią z piętra na piętro. Yue pójdzie pierwsza. Pan za nią, a na końcu ja. Niech pan się nie martwi. Będę panu mówił, gdzie stawiać nogi. Kiedy wejdzie pan na drabinkę, niech pan patrzy na ścianę i schodzi, dopóki nie powiem, żeby się pan zatrzymał. To wszystko.

Zhang stłumił szloch.

– Posłuchajcie – wychlipał – to nie dla mnie. Zostawcie mnie tu i idźcie. Jakoś sobie poradzę.

– Akurat – mruknęła Yue i wraz z Bourne’em ostrożnie poprowadziła go w stronę najbliższej drabinki. – Niby jak?

Zhang nie odpowiedział, żałośnie patrząc, jak dziewczyna schodzi na dół. Znieruchomieli, gdy z czełusci sąsiedniego szybu wyłoniła się kabina windy. Stała na ich piętrze. Usłyszeli szelest otwierających się drzwi i czyjś przytłumiony głos wydający rozkaz, żeby obstać drzwi do apartamentu.

– Znajdą tam tylko idiotę, z którym tu przyjechałam – szepnęła Yue. – Mało brakowało i wpadłabym przez niego już na lotnisku. Nie wiem, co z nim zrobią, ale w pełni na to zasługuje.

– Teraz pan – rzucił Bourne. – Śmiało.

Położył dłonie Zhanga na żelaznych podłużnicach i pomógł mu stanąć na szczeblu. Chińczyk przywarł do drabinki jak sparaliżowany i ani drgnął, dopóki Jason nie pchnął go lekko w dół.

– Niech pan pamięta, co mówiłem. – Między innymi dlatego nie lubił współpracować. Najlepiej radził sobie sam, lecz podczas akcji zdarzały się sytuacje, których nie sposób było przewidzieć ani uniknąć. Niestety, ta do nich należała. Jednak czuł, że Zhang i Yue będą cennymi źródłami informacji. Pod warunkiem że uda mu się utrzymać ich przy życiu.

Na piętrze, z którego przed chwilą uciekli, wybuchła gwałtowna strzelanina i Zhang, już i tak do nieprzytomności zdenerwowany, puścił szczebel i jak padające drzewo odchylił się do tyłu.

Rozdział 19

Yue podniosła rękę i mocno podparła Zhanga otwartą dłonią. W tym samym momencie Bourne chwycił go, wyprostował i centymetr po centymetrze przyciągnął do drabinki.

– Spokojnie, Sam – powiedziała łagodnie Yue. – Nic ci nie grozi. Oni są daleko. Jesteś bezpieczny.

Zhang, który oddychał tak szybko, jak szybko biło mu serce, głośno przełknął ślinę, oparł czoło o chłodny żelazny szczebel i zamknął oczy, próbując dojść do siebie.

– O bogowie – wysapał. – Jeśli wyjdę z tego żywy, przysięgam, że się zmienię.

– Trzymamy pana za słowo. – Bourne zerknął na Yue.

Dziewczyna krótko skinęła mu głową i domyślił się, że są to najbardziej wylewne przeprosiny, na jakie ją stać. Odpowiedział tym samym. Wymienili pozdrowienia jak żołnierze z przeciwnych stron barykady, szanujący się wzajemnie za swoje dokonania. Zawarli wymuszone zawieszenie broni, ale czy trwale, tego nie wiedział nikt.

Schodząc, minęli nieruchomą kabinę windy i otworzyła się przed nimi jeszcze głębsza czeluść. Bourne podniósł rękę i zastygł bez ruchu.

– Wiesz, jak się stąd wydostać? – spytała Yue. – Sun na pewno kazał otoczyć hotel.

– Kuchnia – odparł Jason. – To nasz pierwszy przystanek.

Zhang jęknął.

– Popieram Sama – powiedziała Yue. – To cholernie daleko. A raczej głęboko.

– Zależy, jak się tam dostaniemy. – Bourne wskazał ręką. – Do góry.

– Co takiego? – nie rozumiał Zhang. – Jak to „do góry”?

– Do góry, do góry. Szybciej, Yue. Nie ma czasu.

Wspinali się szybciej, niż schodzili. Bourne zrównał się z kabiną i wskoczył na jej dach. Ukucnął i wyciągnął ręce, a Yue przytrzymała Zhanga za szerokie biodra. Wtedy Jason wtaszczył go na dach i posadził. Zaraz potem dołączyła do nich Yue.

– To nowoczesne windy – powiedział Bourne. – Sterowane elektronicznie siecią bezprzewodową. – Otworzył małą kasetę przytwierdzoną do dachu. W środku była miniaturowa klawiatura komputerowa. Wyjął komórkę i poszukał

odpowiedniego ekranu. – Telefon wykrył już sieć. Teraz wystarczy włamać się do sieci i winda będzie nasza.

Yue wyciągnęła rękę.

– Daj, spróbuję.

Jason podał jej komórkę i palce dziewczyny zatańczyły na wirtualnych klawiszach. Była tak skupiona, że pociemniała jej twarz, a z ust wysunął się czubek języka.

– Gotowe. – Oddała mu telefon. – Weszłam.

Podziwiając jej wprawę, Bourne wprowadził zhakowane hasło.

– Trzymajcie się. – Nacisnął klawisz. Winda lekko zadygotała, a potem bez żadnych wstrząsów ruszyła w dół.

•••

Wracali już do willi, gdy poranną ciszę przerwało odległe dudnienie helikopterowych silników. Wkrótce na niebie wykwitły ciemne sylwetki czterech śmigłowców i wszyscy puścili się biegiem.

Matamoros chwycił Maricruz pod rękę, kierując ją w stronę samochodu pancernego, którym przyjechała z lotniska.

– Pięćset metrów na północny zachód stąd jest las – powiedział. – Między drzewami będziemy bezpieczni. – Drgnęły mu usta. – Jeśli w ogóle tam dolecą.

Maricruz nie miała pojęcia, o co mu chodzi, ale kiedy silnik samochodu ożył i kiedy z karkołomną prędkością wypadli na ulicę, przez grubą kuloodporną szybę bocznego okna zobaczyła, że *compadres* Matamorosa nie jadą za nimi. Dwóch przyniosło już naramienne wyrzutnie pocisków ziemia-powietrze, a pozostali właśnie je uzbrajali.

Gdy się oddalili, usłyszała podwójny huk i w powietrze wzbily się dwie białe smugi. Samochodem targnęła potężna fala uderzeniowa, ale kierowca nie zwolnił. Dwa śmigłowce z głowy, pomyślała.

Miała zasłonięty widok z przodu, więc nie widziała drogi. Ale kiedy okolicą wstrząsnęła trzecia eksplozja, samochód zaczął podskakiwać na wybojach, a ona wraz z nim, co znaczyło, że zjechali z asfaltu na bitą drogę. Chwilę później okno wypełniła bujna zieleń i Maricruz z ulgą westchnęła. Las. Byli bezpieczni.

W tym samym momencie rozległo się głośne szuuu! i zieleń zmieniła się w czerwień. Jeden ze śmigłowców zdołał ominąć rakiety. Leciał teraz tuż nad

lasem, a załoga podpałała teren miotaczami ognia. Z nieba lały się płomienie, zewsząd dochodził trzask i huk walących się drzew. Jęzory ognia strzelały coraz wyżej.

To, co było kiedyś bezpiecznym azylem, trawił wielki pożar. Maricruz i Matamoros utknęli w pułapce.

...

Zjechali aż do spa, na najniższy poziom. Po drodze Yue opisała im rozkład hotelu. Kiedy winda się zatrzymała, Bourne wyciągnął rękę, wdrapał się na drabinę i wspiął do wąskich drzwi wychodzących na poziom kuchennej restauracji.

Ponieważ byli już blisko ziemi, Zhangowi wróciła odwaga i, o dziwo, sam wszedł na drabinę, po czym podążył za Bourne'em. Jako ostatnia wspinała się Yue. Kilka chwil później cała trójka wyszła z szybu.

– Wciąż nie wiem, jak się stąd wydostaniemy – szepnęła dziewczyna. – Ludzie Suna wystrzelają nas jak kaczki.

Jason puścił tę uwagę mimo uszu i korytarzem serwisowym, oddzielającym hotelowe restauracje od kuchni, zaprowadził ich do łazienki, gdzie umyli się i w miarę ogarnęli.

Potem wyszli, przemknęli przez zaparowaną kuchnię, w której panowała gorączkowa krzątanina, i znaleźli się w korytarzu, tym razem już nie serwisowym. Na końcu były podwójne drzwi wychodzące chyba na ulicę. Za drzwiami stał hotelowy strażnik, bezmyślnie dłubiąc w zębach.

Kilka kroków bliżej, tuż za rogiem korytarza, na wywóz czekały duże, głębokie wózki, w tym dwa wypełnione wielkimi stosami brudnych obrusów i serwet. Do jednego z nich Bourne szybko wepchnął Zhanga i gdy Chińczyk ukucnął, przykrył go serwetami. Yue wskakiwała do drugiego, gdy usłyszeli zbliżające się kroki i czyjś ostry głos.

– Jeśli to nie ostatnie, to...

– To co? – przerwał mu ktoś ze śmiechem. – Rzucisz robotę? Pieprzenie.

Jason dał susa do wózka, w którym przycupnęła Yue. Ukryli się pod warstwą skłębionych obrusów. Chwilę później usłyszeli piskliwy turkot kół wózka wiozącego Zhanga, a zaraz potem ruszyli także oni. Korytarz, zakręt, jakiś wybój

i nawet przez górę brudnych obrusów Bourne poczuł, że gwałtownie rośnie wilgotność i temperatura, jakby znaleźli się na rozżarzoną grillu.

Znowu czyjeś głosy – byli na rampie załadunkowej. Wózek podskoczył i wjechali do dużej ciężarówki. Trzasnęły drzwi, sączące się przez obrusy światło zgasło. Przestali cokolwiek widzieć.

Ciemność. Potem zgrzytnęła skrzynia biegów i ciężarówka ruszyła. Wózki zakołysały się. Hotel został za nimi.

•••

– Wsiadaj! – krzyknął Matamoros. – Wsiadaj!

W samochodzie pancernym było gorąco jak w piecu. Jeden z ludzi otworzył drzwi i wyskoczyli. Wokoło szalał pożar, ale podwładni Matamorosa poprowadzili ich korytarzem między drzewami, których jeszcze nie objął ogień.

W górze, ponad rykiem pożogi, niosło się rytmiczne łup-łup-łup wirnika – brzmiało tak, jakby maszyna wisiała tuż nad nimi. Fala podmuchu podsycala płomienie, a te szybko pochłaniały korytarz, którym biegli, żarłocznie lizały pnie drzew tuż za nimi i zaczęły parzyć ich w plecy, jakby chciały spalić ubrania.

Wciąż pędzili za żołnierzami Matamorosa, którzy skręcili ostro w prawo, chcąc dotrzeć na skraj pożaru i wyprzedzić płomienie nieustannie podsycane przez załogę śmigłowca.

– Nasza nemezis nie traci czasu – wysapała Maricruz, przedzierając się przez suche krzewy.

– Nic go nie powstrzyma. – Matamoros ścisnął w rękach karabinek szturmowy MP5 Heckler & Koch, który dał mu któryś z żołnierzy. Biegł, co chwila spoglądając w górę, wypatrując luki między wierzchołkami drzew, przez którą mógłby ostrzelać śmigłowca.

– Tak jak mówiłam – powiedziała Maricruz. – Musimy go zabić, zanim on zabije nas.

W prześwicie między drzewami kilkadziesiąt metrów dalej ujrzeli nagle smugę niebieskawego światła, dużo ostrzejszego od bijącego zewsząd ognistego blasku. Maricruz zadarła głowę, zobaczyła błysk metalu i zza drzew wyłoniło się niebieskozielone cielsko śmigłowca, lśniące w ogniu jak pancierz gigantycznego owada.

Matamoros podniósł karabin i wycelował, lecz w tej samej chwili rakietę trafiła maszyna w ogon, roztrzaskując go na kawałki. Śmigłowiec stanął dęba, zawirował jak szalony i runął w dół, prosto na małą polankę, gdzie stali Maricruz i Matamoros.

Rozdział 20

– Mamy dla pana propozycję. – Sam Zhang spojrział przez stół na Yue, która siedziała naprzeciwko ze spuszczoneymi oczami, obejmując rękami filiżankę herbaty jaśminowej i z uwagą przyglądając się jej klarownej zawartości.

– Chyba pan żartuje. – Bourne wymownie potarł bok szyi, miejsce, gdzie wstrzyknięto mu narkotyki. – Po tym wszystkim nie zasługujecie nawet na odrobinę dobrej woli z mojej strony, ani pan, ani ona.

– Dobrze pana rozumiem – przyznał Zhang. – Poza tym jeszcze nie podziękowaliśmy panu za uratowanie życia.

Jason spojrział na Yue.

– Może pozwólmy Yue mówić za siebie.

Na dźwięk swojego imienia dziewczyna drgnęła, lecz nie oderwała wzroku od filiżanki.

Siedzieli w zapuszczonej herbaciarni przy starej, zakurzonej uliczce w Zhujiajiao na przedmieściach Szanghaju. Dzielnica, Perłowy Strumień, jak nazywali ją mieszkańcy, miała kształt wachlarza poprzecinanego błyszczącymi kanałami, których brzegi spinały niezliczone mosty z drewna, kamienia i marmuru, ozdobione zwiniętymi smokami albo drapieżnymi lwami z perłami w otwartej paszczy. W wodzie igrały sinawe promienie zachodzącego słońca. Popołudniowy upał nieco zelżał, pokonany przez ożywczą bryzę. Przybyli tu, wyskoczywszy z ciężarówki, zanim ta wjechała do pralni. Zhang zadzwonił z komórki Jasona po rykszę i wkrótce potem byli już na miejscu.

Chińczyk przekrzywił głowę.

– Siostrzyczko?

– Chcesz coś powiedzieć? – ponaglił ją Bourne. – Czy nie?

Yue milczała. Od kilku minut siedziała bez ruchu, wydawało się nawet, że nie oddycha.

Jason spojrział znacząco na Zhanga.

– Przepraszam – rzucił grubas. – Ta herbata przepłynęła przeze mnie jak przez sito.

Gdy wyszedł, Bourne delikatnie oderwał jej palce od filiżanki. Yue podniosła wzrok dopiero wtedy, gdy odsunął naczynie na bok.

– Raz komuś zaufałam – powiedziała w końcu. – Poprzysięgam sobie, że już nigdy tego nie zrobię.

– Zhangowi też nie ufasz?

– Sam to oportunistą. Na pierwszym i ostatnim miejscu stawia tylko siebie, zawsze i wszędzie.

Jason tego nie skomentował. Dzień powoli mijał, a wraz z nim mijał towarzyszący ucieczce strach i zamęt. Tu, w tej cichej, spokojnej herbaciarni, trudno było sobie wyobrazić, że ledwie kilka kroków dalej rozciąga się nieokielznana metropolia, która przed paroma godzinami chciała ich bezlitośnie pożreć.

– Ciągłe zadaję sobie jedno i to samo pytanie – powiedziała Yue. – Czego ten facet ode mnie chce?

– A jak myślisz?

– No właśnie. Nie wiem.

– Już ci mówiłem: próbuję wytropić Suna i Ouyanga. – Bourne odczekał chwilę. – Aha, rozumiem. Nie wierzysz mi.

Yue położyła ręce na stoliku, płasko, jakby chciała wstać i uciec.

– A powinnam? Dlaczego?

Pytanie było celne i słuszne, a Jason nie miał na nie odpowiedzi. Zostawiając za sobą długi, błękitny ślad na wodzie, minęła ich mała łódź wypełniona aromatycznymi ziołami i herbatą. Bourne obserwował twarz dziewczyny, nie wiedząc, jak to rozegrać. W końcu powiedział:

– Ten, kto w nic nie wierzy, dźwiga na barkach straszny ciężar. Zwłaszcza ktoś tak młody jak ty.

Z jej oka spłynęła pojedyncza łza. Yue wytarła ją szorstko, niemal gniewnie.

– Sun i Ouyang są winni śmierci dziewczyny, na której bardzo mi zależało – ciągnął Jason. – Mam wobec niej dług i póki go nie spłacę, nie będę mógł normalnie żyć.

– Narażasz się dla niej na niebezpieczeństwo. Nawet nie dla niej, tylko dla wspomnień.

– Bo nic innego mi nie zostało.

Yue uciekła wzrokiem w bok, jakby się zastanawiała, czy opuścić gardę.

– Tak głęboka troska musi boleć.

Bourne bardzo jej współczuł.

– Ból sprawia czasem satysfakcję, a nawet przyjemność.

Yue obserwowała kelnerki, które jak baletnice kręciły się po sali z tacami zastawionymi filiżankami z pachnącą herbatą i wiklinowymi koszykami z *dim sum*, tradycyjnymi chińskimi przekąskami. Długą chwilę siedziała zagubiona w myślach. W końcu przeniosła wzrok na Bourne'a.

– Miłość to rodzaj wiary, prawda?

– Nigdy tak o tym nie myślałem, ale może masz rację.

Dolała sobie herbaty, lecz jej nie tknęła.

– Mieszkając w Chinach, można łatwo stracić wiarę – wyszeptała. – Nawet jeśli ktoś się z nią urodził, ten kraj powoli mu ją odbierze.

– Ty się urodziłaś?

– To było tak dawno temu, że już nie pamiętam.

– Nie wierzę.

Spojrzała na niego z twarzą drapieżną jak oblicza kamiennych lwów na okolicznych mostach.

– Wolę nie pamiętać, dobra?

– Nie, nie dobra – odparł Bourne i nie zważając na to, że dziewczyna łypie na niego spode łba, dodał: – Dla mnie pamięć byłaby zaszczytem, przywilejem, czymś bezcennym. Bo widzisz, ja nic nie pamiętam. Mam amnezję.

Wyraz twarzy Yue gwałtownie się zmienił.

– Nie wiesz, kim są twoi rodzice ani skąd pochodzisz?

– Nie wiem.

– Kurczę! – prychnęła – To dar nad dary!

– Nie mówiłabyś tak, gdyby w ułamku sekundy odebrano ci wszystkie wspomnienia.

Znowu spojrzała w bok, a potem na niego.

– Może masz rację, chociaż wątpię.

– Nareszcie – powiedział. – Skrawek błękitu na zachmurzonym niebie.

I wtedy uśmiechnęła się lekko nieśmiałym uśmiechem dziecka. Ale natychmiast spowaźniała i uśmiech skrył się szybko pod kamienną maską.

– Przepraszam – wymamrotała, tuż zanim wrócił Zhang.

Grubas popatrzył na nią, potem na Jasona, potem znowu na nią.

– Widzę, że napięcie spadło. – Zatarł pulchne ręce. – Czy to znaczy, że możemy kontynuować?

– Interes przede wszystkim – mruknęła Yue. – Jak zawsze.

Ta uwaga sprawiła mu chyba przyjemność.

– Widzieliście *Glengarry Glen Ross*? Moją ulubioną postacią jest Blake. Wiecie dlaczego? Bo wyznaje zasadę ZDT: zawsze dobijaj targu. – Dźgnął się palcem w pierś. – On i ja jesteśmy... jak by to powiedzieć... pokrewnymi duszami.

Nie pytając, czy są głodni, zamówił jeszcze jeden dzbanek herbaty i kilka koszyczków *dim sum*.

– No więc? – Rozłożył ręce. – Przejdziemy do rzeczy? Chce pan informacji o pułkowniku Sunie i ministrze Ouyangu. Natomiast my chcemy uciec z Chin. Quid pro quo.

– Niech pan zażąda czegoś, co da się załatwić – odparł Jason.

Zhang nachylił się ku niemu.

– Proszę posłuchać. Chce pan dopaść Suna. W tej chwili to niemożliwe. Musi pan natychmiast wyjechać z Szanghaju, my też. Mam kontakty, dla mnie to kaszka z mleczkiem. Ale ucieczka z Chin to zupełnie co innego.

– I myśli pan, że dla mnie to drobnostka, tak?

– Może nie drobnostka, ale panu z pewnością pójdzie łatwiej niż nam.

Umilkł, bo kelnerka przyniosła herbatę i *dim sum*. Potem wrzucił do ust pierożek *sui mai*, przeżuł go i przełknął.

– Ouyanga już tu nie ma – wymlaskał. – Wczoraj wieczorem wrócił do Pekinu i dopóki tam jest, nikt mu nic nie robi. Nie zbliży się do niego ani pan, ani żaden inny cudzoziemiec.

– W takim razie do czego może mi się pan przydać? – spytał Bourne.

– Minister ma wielu wrogów. Mógłbym znaleźć w Pekinie sympatyka Cho Xilana i zlecić to jemu.

– Po pierwsze, wątpię, czy coś by z tego wyszło. Po drugie, ten dług muszę spłacić osobiście.

– Do Ouyanga można dotrzeć inaczej – wtrąciła Yue. – Jest pewien sposób. Wątpię, czy go znasz.

Zhang wytrzeszczył oczy. Wszystko wiedział, a jakże!

– Niby jaki? – spytał Jason.

– Niech pan zje *sui mai*. – Grubas wskazał koszyk. – Są pyszne.

Bourne chwycił go za koszulę i przyciągnął do siebie.

– Mam cię dość, Zhang. Zamknij się i pozwól jej mówić.

Spojrzał na Yue i zobaczył, że dziewczyna uśmiecha się z lekkim podziwem. Skinął głową.

– Ouyang ma żonę.

– Wiem. Cudzoziemkę imieniem Maricruz, tak?
– Tak. Meksykankę.
– Co ty wyprawiasz, siostrzyczko? – przerwał im Zhang. – Podkopujesz naszą pozycję przetargową.

– To nie są już negocjacje, Sam – odparła Yue i przeniosła wzrok z powrotem na Jasona. – Otóż nie wszyscy wiedzą, że Maricruz jest córką Maceo Encarnacióna.

Bourne zeszytniał. Serce waliło mu jak młotem.

– Encarnación miał tylko jedno dziecko, syna, który też już nie żyje.

– Nie. Miał także drugie, z kobietą nazwiskiem Constanza Camargo, córkę, którą odebrał jej i ukrył. Tą córką jest Maricruz.

– Przestań! – krzyknął Zhang. – Rozdajesz informacje za darmo, to szaleństwo!
Ale Bourne całą uwagę skupił na Yue.

– Która wyszła za Ouyanga.

– Otóż to.

Jason zmarszczył brwi. Jeśli dziewczyna nie zmyślała, nareszcie zrozumiał, co tak naprawdę łączyło Encarnacióna z chińskim ministrem.

– Dobrze, tylko co mi to da?

– Ouyang ją uwielbia, żona jest jego słabym punktem. – Yue znowu się uśmiechnęła, szczerze i nieśmiało, jak mała dziewczynka. – I tak się przypadkiem składa, że nie ma jej teraz w Pekinie.

– A wiesz, gdzie jest?

– Wiem. W Mexico City. Musi uporać się z konsekwencjami śmierci ojca i jego układów z tamtejszymi kartelami.

Zrozpaczony Zhang zakołysał się na krześle.

– Siostrzyczko, siostrzyczko... To takie ważne informacje, a ty je zmarnowałaś. Dlaczego?

– Dlatego, Sam – odparła dziewczyna – że mu ufam. A w życiu trzeba mieć trochę wiary, choćby tylko czasem.

•••

Dwóch towarzyszących im żołnierzy przygniótł wrak śmigłowca – na szczęście dla Maricruz i Matamorosa, ściąwszy wierzchołki kilku drzew, maszyna spadła po drugiej stronie polany. Meksykanie zginęli natychmiast, bo uderzył w nich wielki fragment kadłuba.

Maricruz i Matamoros uniknęli ich losu, w ostatniej chwili cofając się poza zasięg fruwających w powietrzu szczątków. Ale gdy odwrócili się, żeby pobiec dalej, wirujący odłamek gorącego metalu uderzył w pień pobliskiego drzewa, odbił się, trafił Matamorosa w ramię i zwałił go z nóg.

Biegąca przodem Maricruz pochyliła się nisko i zawróciła. Matamoros był w szoku, miał szkliste oczy i zakrwawioną rękę. Maricruz ściągnęła z niego marynarkę, oderwała rękaw koszuli, zrobiła zeń prowizoryczny bandaż, a gdy w pobliżu buchnęły płomienie, osłoniła go własnym ciałem. Po kilku sekundach Matamoros otrząsnął się z zamroczenia, zobaczył ją i skrzywił się z bólu.

– Szybko, wstawaj! – Pomogła mu się podnieść.

Z trudem utrzymywał się na nogach, ale dzięki jej sile woli i temu, że go podtrzymywała, szedł na oślep przez ogień i dym w stronę odległego skraju lasu. Kilka razy musieli przystanąć, żeby złapać oddech, a wtedy zalewały ich fale gęstego, duszącego sosnowego dymu. W pewnym momencie dym zgęstniał do tego stopnia, że Maricruz pchnęła Matamorosa na ziemię, każąc mu iść na czworakach, i chociaż w pozycji tej skręcał się z bólu, przynajmniej posuwali się do przodu i mogli oddychać względnie czystym powietrzem.

Po kilku minutach usłyszeli w oddali czyjeś podniesione głosy, więc chwyciła karabin i wymierzyła w majaczące cienie. Nagle za nietkniętymi przez ogień krzakami zobaczyła żołnierzy Matamorosa, pewnie tych, którzy zestrzelili czwarty śmigłowiec *federales*. Od razu ją poznali – na szczęście, ponieważ na widok rannego dowódcy gotowi byli najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

Dwadzieścia minut później ona i Matamoros siedzieli w samochodzie pancernym, strzeżonym przez konwój dżipów z karabinami maszynowymi i uzbrojonymi po zęby żołnierzami.

Żołnierze chcieli ich rozdzielić, ale Matamoros pokręcił głową.

– Zostawcie ją – wychrypiął spieczonymi ustami. – Dajcie jej spokój.

Maricruz napiła go wodą z plastikowej butelki, a potem sama wypiła łącznie kilka łyków, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak bardzo jest odwodniona. Jechali leśnymi duktami. Nie miała pojęcia dokąd, ale było jej wszystko jedno – chciała tylko uciec jak najdalej od pożaru.

Gdy Matamoros pokiwał do niej zakrzywionym palcem, zbliżyła ucho do jego ust, żeby cokolwiek usłyszeć w ryku potężnych silników.

– Ma pani rację – powiedział. – Musimy zabić Carlosa. Nie ma innego wyjścia. Tylko jak? – Samochód przechylił się na zakręcie. Matamoros oblizał usta. – Teraz żaden z moich ludzi się do niego nie zbliży. Ten skurwiel będzie się pilnował.

– Niech pan zostawi to mnie. – Maricruz podniosła mu głowę i spojrzała w jego rozszerzone ze zdziwienia oczy.

– To znaczy? – spytał.

– Wróć do Mexico City. Mnie też próbował pan zabić, ale udało mi się zbiec. To moja legenda.

– On tego nie kupi.

– Kupi, kupi, proszę mi zaufać. A dlaczego? Bo myśli, że tylko dzięki mnie może zniszczyć Los Zetas, że lepsza okazja nigdy mu się nie trafi. – Uśmiechnęła się znacząco. – Będzie pan musiał mnie pobić.

– Nie, *mujer!* Nie!

– Felipe, dobrze pan wie, że tak trzeba.

Skrzywił się boleśnie.

– Zabraniam...

– To nie od pana zależy. – Delikatnie dotknęła jego policzka. – Sam pan powiedział: nie ma innego wyjścia.

Oczy pociemniały mu i stały się błyszczące. Zagryzł usta. W końcu kiwnął głową i z dziwnym smutkiem spojrzał ponad jej ramieniem.

Maricruz nie odrywała od niego wzroku. A potem coś eksplodowało z tyłu jej głowy. Straciła przytomność.

• • •

– Izraelski? – zrzędził jak zwykle Zhang. – Nie amerykański?

– Życie jest pełne niespodzianek.

– Może to i lepiej – mruknął Chińczyk. – Słyszałem, że ludzie pułkownika Suna obserwują konsulat amerykański dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– No to jesteście usadzeni. – Bourne wskazał blok papieru na stole. – Niech pan spisze wszystko, co wiecie o nim i o ministrze Ouyangu. Jeśli będę zadowolony, zabiorę was do konsulatu i wywiozą was z Chin.

– Daje pan gwarancję?

– Nie bądź durniem, Sam – wtrąciła stanowczo Yue. – Zamknij się i pisz.

Zhang skrzywił się, kiwnął głową i niechętnie sięgnął po długopis. Tymczasem Jason przepytował Yue. Dwie godziny później, gdy nad skrzącym się światłami miastem zapadł wieczór, byli już w pobliżu New Town Mansion przy Lou Shan Guan Road numer pięćdziesiąt pięć.

– Zostańcie tu – rzucił Bourne.

Zostawił ich w mrocznym zaułku i przez następne czterdzieści pięć minut przeczesywał okolicę, sprawdzając bramy, parkujące i przejeżdżające ulicą samochody oraz dachy pobliskich domów. W końcu, upewniwszy się, że budynku nikt nie obserwuje, wrócił po Yue i Zhanga i szybko zaprowadził ich do konsulatu.

W środku poprosił o spotkanie z konsulem generalnym, jednak okazało się, że o tej porze jada on kolację. Jason podał kod, który dostał od Elego Jadina w Tel Awiwie, i kilka chwil później asystent dyżurny wprowadził ich do gabinetu konsula. Zaraz potem zadzwonił stojący na biurku telefon. Asystent podniósł słuchawkę i rozpoznawszy głos szefa, podał ją Bourne'owi.

– Awi Brun. Słucham.

– Mówi Jason Bourne.

– *Boker tow Elijahu!* – rzucił kwaśno konsul. Miło, że pan się pokazał! – Był zły, że przerwano mu kolację, i wcale tego nie ukrywał. – Ale nie możemy kontynuować bez...

Jason podał mu drugą część hasła.

Brun odchrząknął.

– Żąda pan natychmiastowej ewakuacji z Szanghaju.

– Tak.

– Wszystko jest przygotowane.

– Nie jestem sam.

– Słucham? – Konsul nie zrozumiał.

– Jest ze mną dwoje Chińczyków. Obiecałem, że ich ewakuujecie i dacie im azyl.

Zapadło milczenie. Konsul długo sapał do słuchawki jak astmatyk, w końcu powiedział:

– Nie mogę tego zatwierdzić.

– Ale dyrektor Jadin może. Proszę do niego zadzwonić.

– Nie sądzę, żeby...

– Proszę zadzwonić – przerwał mu beznamytnie Jason. – Albo ja zadzwonię.

– *Ejze balagan!* – Co za bałagan!

– *Awarnu et Paro, na'awor gam et ze* – powiedział Bourne. Pokonałiśmy faraona, pokonamy i to.

– Co? – rzucił konsul. – To nagle z Żydem gadam? – Ale powiedział to o wiele łagodniej, co znaczyło, że zmiękł.

– Proszę powiedzieć dyrektorowi, że moi goście dysponują cennymi informacjami o kimś, kto go bardzo interesuje.

– Hm... No dobrze, dobrze, już dzwonię. Zostańcie na miejscu, zaraz się odezwę.

Jason zostawił Yue i Zhanga w kompetentnych rękach asystenta i wyszedł na cichy korytarz w poszukiwaniu toalety. Zamknął się w kabinie i wyjął z kieszeni rzeczy, które zabrał mężczyźni z zawałonego tunelu. Nóż, który oddała mu Yue, był niezły, ale niewiele mu powiedział, bo należał do standardowego wyposażenia żołnierzy sił NATO.

Zabrał mu także komórkę. I teraz, nareszcie bez świadków, ją włączył. Lista kontaktów była pusta. Poza tym stan baterii wskazywał, że prądu wystarczy tylko na jedno połączenie. Nacisnął przycisk ponownego wybierania i jeden po drugim na ekranie pojawiły się numery. Numer kierunkowy kraju: Izrael. Numer kierunkowy miasta: Tel Awiw.

Bourne'a zmroziło. Mosad, pomyślał.

I wtedy odezwał się czyjś głos.

– Recach? Gdzieś ty, do diabła, się podziewał? Myślałem, że jesteś... – Mężczyzna urwał, po czym z nutą podejrzliwości i niepokoju spytał: – Kto mówi?

Jason rozłączył się. Wiedział, że Recach to nazwisko kryptonim, po hebrajsku słowo to znaczyło „morderstwo”. A teraz wiedział również, kto go na niego nasłał.

Wyłączył komórkę, schował ją do kieszeni, wstał i wyszedł z toalety. Gdy wrócił do gabinetu, Yue i Zhang spojrzeli na niego ciekawie.

– Odezwał się?

Asystent pokręcił głową.

– To musi trochę potrwać.

– Nie, nie musi. – Jason wskazał telefon. – Niech pan do niego zadzwoni.

Mężczyzna zawahał się.

– Widzę, że się panu nie spieszy. – Bourne podniósł słuchawkę, sprawdził numer ostatniego połączenia przychodzącego i wystukał go na klawiaturze. Odebrał Brun.

– Właśnie miałem do pana dzwonić. Rozmawiałem z Elim. – Powiedział to z wyraźnym bólem w głosie. Ciężko westchnął. – Mam nadzieję, że pańskim gościom spodoba się w Tel Awiwie. Długo tam zostaną.

Rozdział 21

Amir Ofir oderwał komórkę od ucha i cisnął nią w ścianę, jakby była groźnym owadem. Telefon roztrzaskał się na kawałki. Natychmiast otworzyły się drzwi i do gabinetu zajrzał młody asystent.

– Wszystko w porządku, panie dyrektorze?

– Oczywiście, że tak! – ryknął. – Dlaczego miałyby być inaczej? – Przeszył go tak morderczym spojrzeniem, że ten zbladł i uciekł, zamykając za sobą drzwi.

– Kurwa mać! Niech to szlag! Niech to szlag!

Dusiło go w gardle. Wstał i wyszedł z biura, nie mówiąc nikomu, gdzie idzie i po co. Jazda windą trwała wieki. Piekły go oczy, paliło gardło.

Dopiero na dworze, gdy szybkim krokiem ruszył w stronę portu, udało mu się zebrać myśli na tyle, by odrobiną rozsądku okiełznać narastającą panikę.

Recach nie żył. Fatalnie. Jeszcze gorsze było to, że odbierając telefon, Ofir ujawnił swoją tożsamość temu, kto zabił Recacha. Tak, ale tylko pod warunkiem, że zabójca rozpoznał jego głos, bo numer komórki był nie do wytropienia.

Panika wróciła ze zdwojoną siłą. Jednak, myślał, zabójca mógł rozpoznać kierunkowy kraju i nie trzeba było geniusza, by się domyślić, że Recach pracował dla Mosadu. W nieodpowiednich rękach informacja ta mogła mieć katastrofalne skutki nie tylko dla niego, ale i dla całej służby. A jeśli komórka Recacha nie trafiła do Bourne'a, tylko do Chińczyków... Ofir zadrżał.

I szybko cofnął się na gniewny dźwięk klaksonu. Nie patrzył, gdzie idzie, i omal nie wpadł pod samochód. Niecierpliwie czekając na zielone światło, wytarł ręce o spodnie, a potem przeszedł na drugą stronę ulicy.

Natychmiast poinformować dyrektora, że doszło do naruszenia tajemnicy służbowej – takie rozwiązanie byłoby najbardziej logiczne. Ale Eli spytałby, jak to się stało, że Recach w ogóle zginął, a on nie miał na to odpowiedzi. Przyznanie się do winy nie wchodziło w rachubę, przynajmniej na razie.

Gdyby tylko ten dzwoniący do niego anonim cokolwiek powiedział, ale nie, cholera, nie powiedział ani słowa. Ofir zamknął oczy. Jak on się w to wpakował? Decyzja o wszczęciu poszukiwań Bourne'a wydawała się początkowo logiczna i uzgodnił ją nawet z Jadinem, który ją zatwierdził. Ale teraz rozumiał, że popełnił duży błąd, nasyłając na Bourne'a zabójcę z Kidonu. Powinien był

posłuchać dyrektora i przekazać sprawę Amitowi, szefowi Biura Wywiadu, ale nienawiść do Bourne'a wypaczyła jego trzeźwość myślenia.

Nie, nie miał zamiaru zachowywać go przy życiu. I tak, celowo nie wykonał bezpośredniego rozkazu. Zaciśnął pięści. Za późno na wyrzuty sumienia, poczucie winy jest zresztą bezproduktywne. Musiał obmyślić plan, niezawodny plan... Głowił się nad tą zagadką przez całą drogę do portu. Dopiero tam, na przystani, odetchnąwszy świeżym, słonym powietrzem, wyraźnie zobaczył coś, co cały czas miał przed oczami.

Istniał tylko jeden sposób na to, żeby plan był niezawodny: musiał zrealizować go sam.

•••

Obudził ją ból. Był tak silny, że czuła, jak drżą jej kości. Nieprzytomnie szczękała zębami. Siłą woli zaciśnęła usta, otworzyła sklezione powieki i zobaczyła sufit furgonetki pędzącej gdzieś na złamanie karku. Leżała na brudnym kocu i rzucałoby ją na wszystkie strony, gdyby nie żołnierz, który przyciskał ją ręką do podłogi. Poznała go. Był to jeden z *compadres* Felipe Matamorosa, jeden z przywódców Los Zetas. Miał wąsy, gęstą, kędzierzawą brodę i okrutne oczy.

Uśmiechnął się do niej.

– Witamy w świecie żywych, *mujer*.

– Żywych? – powtórzyła głosem cichym jak szept wiatru igrającego na polu pszenicy. – Czuję się jak trup.

– Jeśli ten skurwysyn Carlos coś zwietrzy, pożałuje pani, że pani nie umarła.

Spróbowała się uśmiechnąć, lecz nie zdołała. Miała spuchnięte usta. Tak, chyba miała. Jak strach na wróble: tak chciała wyglądać, to był jej pomysł. Jej własny pomysł... Samochód podskoczył na wyboju i jęknęła, ale tak cicho, że prawie niesłyszalnie.

– Co takiego? – spytał *compadre*.

Spróbowała oblizać wargi, ale język też był spuchnięty. Kleiło jej się w ustach.

– Wody – wychrypiała.

– Pani nowy przyjaciel panią napoi. – Kierowca coś krzyknął i żołnierz podniósł wzrok. – Dobra – rzucił i znowu spojrzał na nią. – Dojeżdżamy, *mujer*.

Reszta jest w pani rękach. – Puścił do niej oko i otworzył tylne drzwi. – Niech pani rozluźni mięśnie.

Furgonetka zwolniła, a wtedy kopnął ją w plecy i wyrzucił na jezdnię. Gdy potoczyła się po asfalcie, krzyknął do kierowcy, który gwałtownie przyspieszył i z piskiem opon skręcił w najbliższą ulicę.

Maricruz leżała bez życia, brudna, zakurzona i zakrwawiona. A potem obsiadły ją żarłoczne muchy, chmara brzęczących much.

•••

– Trzy sprawy – zameldował generał Hwang Liqun, odebrawszy ministra Ouyanga z sali dla VIP-ów na lotnisku w Pekinie. – Po pierwsze, konserwatyści z Chongqing rozpoczęli zmasowaną kampanię, która ma na celu wyniesienie Cho Xilana do roli kandydata na przyszłego prezydenta. Po drugie, wśród dowódców wojskowych, najbardziej wpływowych biznesmenów i potomków rodzin rewolucyjnych, choć tych jest już niewiele, coraz częściej dochodzi do sporów o przyszłość kraju. Wszystkie koalicje zerwane. Panuje toksyczna atmosfera.

– Śmiertelnie toksyczna? – spytał Ouyang. Byli już na parkingu.

– Podobno ci z Chongqing tak uważają.

Ubrany w liberię szofer otworzył drzwi i wsiedli do chłodnej, ciemnej limuzyny.

– A trzecia sprawa? – Minister rozsiadł się wygodnie na tylnym siedzeniu.

– Cho Xilan zniknął. Od pana wyjazdu nie pokazuje się publicznie.

– A prywatnie?

Generał poruszył się niespokojnie. Wyjechali na ulicę.

– Moi ludzie nic nie słyszeli.

– Więc straciliśmy go z oczu, tak?

Hwang patrzył przed siebie bez słowa.

– Zawiódł mnie pan, generale. – Ouyang spojrział w okno. – Czy mam pana zdegradować?

Hwang drgnął.

– Jest też dobra wiadomość. Chodzą słuchy, że Cho jest chory, być może ciężko.

Dlatego nie pokazuje się...

– Bzdura! – krzyknął minister. – Znam go. Nie przyszedł na obchody Narodowego Dnia Popularyzacji Nauki na Chińskim Uniwersytecie Rolniczym

i nie uczestniczy w żadnych innych głupich uroczystościach, bo nie chce tracić czasu, bo jest zbyt zajęty bieganiem od frakcji do frakcji i kleceniem koalicji na tyle dużej, żeby mogła uniemożliwić mi przejęcie władzy.

Spojrzał na generała.

– To oczywiście jak pańska skonsternowana mina. I boli mnie, że muszę otwierać panu oczy.

Nagle pochylił się do przodu.

– Zatrzymaj się – rozkazał szoferowi.

– Ale panie ministrze, jesteśmy na głównej autostradzie do miasta, tu nie ma pasa awaryjnego, gdzie można by...

– Przecież widzę, do cholery! – ryknął Ouyang. – Zatrzymaj ten zasrany samochód!

Szofer wykonał polecenie i natychmiast utworzył się za nimi korek. Ale nikt nie trąbił, limuzyna była symbolem władzy.

– Tu pan wysiada, generale – rzucił minister.

Hwang wybałuszył oczy tak mocno, że omal nie wyszły mu z orbit.

– Słucham?

– Wysiadaj, ty nędzna kanalio! – Ouyang pchnął go na drzwi. – Ale już!

Opadł na oparcie, zamknął oczy, poczuł, że generał wysiada, i chwilę później trzasnęły drzwi. Ciężko westchnął. Wyjął komórkę i zadzwonił. Wbrew temu, co powiedział pułkownikowi Sunowi, jego największym zmartwieniem było utrzymanie kontroli nad wszechpotężnym Stałym Komitetem Biura Politycznego. Kiedy będzie miał w kieszeni jej najważniejszych członków, pokona Cho Xilana bez względu na jego machinacje.

Xilan nie miał pojęcia, jak niebezpieczną podjął grę. Spuszczając ze smyczy skrajny nacjonalizm i zarażając nim masy, wsiada się na grzbiet tygrysa z ponurą perspektywą, że w razie potrzeby trudno będzie z niego zsiąść.

– Mamy problem – rzucił do telefonu.

– Czy ten problem ma nazwisko?

– Generał Hwang Liqun.

– Hm, szkoda.

– Przeciwnie. Ulga. Myślę, że od jakiegoś czasu generał pracuje dla Cho Xilana.

– Czystki są ważną częścią naszej historii. Jak lewatywa. Spuszczają gówna do kibla.

Ouyang roześmiał się pierwszy raz, odkąd Maricruz wyjechała do Meksyku. Tak bardzo za nią tęsknił! Nikt nie rozumiał go tak jak ona. Żył niczym rekin w akwarium. I tylko jej mógł całkowicie zaufać.

– Jak się miewa stary Patriarcha? – spytał.

– Wciąż tryska energią.

– To mój następny przystanek. – Patriarcha miał w ręku ponad połowę głosów niezbędnych do tego, żeby na zjeździe partii zreformować Stały Komitet Biura Politycznego. – Przed chwilą wysadziłem z samochodu Hwanga. Zaraz wyślę ci niemiary. Weź SUV-a. Kiedy rozwiążesz problem, przyjeżdż do wieży. Będę czekał.

Jego rozmówca stłumił śmiech.

– Zatem lewatywa. Już słyszę szum wody w kiblu.

• • •

Maricruz, bynajmniej nie martwa, była oszołomiona, lecz nie zdezorientowana. Dokładnie wiedziała, co musi zrobić i kiedy. Miała w głowie szczegółowy plan, precyzyjny jak plan kampanii wojskowej.

Przez kilka minut słyszała jedynie warkot samochodów i, od czasu do czasu, czyjeś zrzędlive narzekanie. Zaszczekał pies. Podszedł do niej, zaczął węszyć i muchy odleciały. Potem usłyszała stukot kroków na marmurowych schodach i znowu głosy, tym razem podniesione. Ktoś odpędził muchy i psa.

– *Dios mio*, wezwijcie karetkę!

– Na miłość boską, zabierzcie ją z ulicy!

Dwie pary silnych rąk podniosły ją z asfaltu. Marmurowe schody, otwarte drzwi, masywne dębowe biurko, drzwi z drewna oliwnego – aby dalej od duszącego upału.

Potem było ośmiokątne przejście skrzące się światłem z wielkiego kryształowego żyrandola. Przez krótką chwilę czuła zapach kwiatów. Jeszcze potem, na końcu długiego korytarza wyłożonego boazerią, był pokój z dywanami i oknami witrażowymi. Tam położono ją ostrożnie na przykrytej narzutą sofie.

Zapadła się w miękkie poduszki z cichym westchnieniem.

Ktoś wykrzyknął:

– Boże, jak ona wygląda!

– Ciii! – zgañił go ktoś inny. – Jeszcze cię usłyszysz.

Ogarnęło ją wielkie znużenie – przygniatało ją, coraz głębiej wciskało w rozkoszną miękkość poduszek. Ciężące jak ołów powieki w końcu się zamknęły i zapadła w przyprawiający o zawrót głowy głęboki sen, z którego nie chciała się obudzić.

Rozdział 22

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, otwierając oczy, była oślepiająco biała ściana. Jednocześnie uderzył ją przyprawiający o mdłości słodki zapach środków odkażających. Doszło ją również miarowe popiskiwanie aparatury monitorującej tętno i ciśnienie krwi. Lekko przesunęła wzrok i zobaczyła igłę wbity w zgięcie łokcia. Od igły odchodziła cienka rurka. Do żyły sączył się przezroczysty płyn.

– Spokojnie – powiedział znajomy głos. – To tylko roztwór nawadniający.

Podniosła oczy i zobaczyła Carlosa Dandę Carlosa w eleganckim letnim garniturze. Siedział przy łóżku.

– Gdzie... – Słowa utknęły jej w gardle i oblizała popękane, spieczone usta. Zamknęła i otworzyła oczy. – Gdzie ja jestem?

– W szpitalu Ángeles Pedregal – odparł. – Ciężko panią pobito. – Przekrzywił głowę. – Pamięta pani?

Weszła pielęgniarka i go odpędziła.

– Jak się pani czuje? – spytała z uśmiechem i zaczęła zmieniać bandażę na jej ramieniu, klatce piersiowej i prawym biodrze. Było widać, że odpowiedź jej nie interesuje, ale Maricruz to nie przeszkadzało. Nie miała ochoty na głupie rozmowy.

Pielęgniarka zerknęła przez ramię.

– A pan – rzuciła służbiście do Carlosa – pan niech zaraz wyjdzie. Pacjentka potrzebuje spokoju.

– *Niñera* – spytał Carlos – czy wie pani, kim jestem?

– Dla mnie może pan być samym Panem Bogiem – odparła pielęgniarka. – To mój szpital, moja pacjentka i moje zasady.

Carlosowi drgnęły usta. Lekko pochylił głowę i zapomniał o pielęgniarce, kiedy tylko wyszła. Znowu skupił uwagę na Maricruz, ale tym razem nie usiadł, chcąc przywrócić panującą w pokoju hierarchię.

– Wróciła pani pamięć?

Maricruz czuła się tak źle, że nie wiedziała, czy słyszy w jego głosie nutę wrogości, czy z troskania, i to, że nie umiała tego ocenić, bardzo ją martwiło. Zdawała sobie sprawę, że aby osiągnąć cel, będzie musiała maksymalnie

wykorzystać wszystkie swoje umiejętności analityczne. Przechytrzenie Carlosa nie byłoby łatwe, nawet gdyby tryskała zdrowiem, co na razie nie wchodziło w grę.

– Jestem zmęczona – odrzekła zgodnie z prawdą. – Proszę pozwolić mi zasnąć.

Przez krótką przerażającą chwilę Carlos przyglądał się jej badawczym okiem kolekcjonera. Potem znowu drgnęły mu usta i skinął głową.

– Na korytarzu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę będzie czuwał jeden z moich ludzi. Kiedy poczuje się pani na siłach, proszę dać mu znać i porozmawiamy, tym razem dłużej. – Z ręką na kłamce odwrócił się do niej i błysnął zębami. – Życzę słodkich snów, señora.

• • •

Podczas lotu do Tel Awiwu Bourne miał sen. Śniło mu się, że stoi na zalanej słońcem plaży. Za nim wznosiły się wyszczerbione ruiny rzymskiego miasta. Krzyczały mewy. Słońce dopiero weszło i znad bezkresnej równiny morza wiał świeży wiatr.

Podeszła do niego od tyłu i usłyszał jej kroki, chociaż była na bosaka.

– Tęskniłeś za mną? – spytała.

Chciał odpowiedzieć, lecz słowa utknęły mu w gardle.

Objęła go i przywarła do niego całym ciałem, ciepła jak promienie porannego słońca na jego twarzy.

– Ja tęskniłam.

– Długo cię nie było – wychrypiał.

– Byłam bardzo daleko.

Chciał się odwrócić, ale coś go powstrzymało.

– Jak tam jest?

– To kraina cieni. Pamiętam tylko tyle.

Ścisnęło mu się serce.

– Ale wróciłaś. Tylko to się liczy.

Odwrócił się w jej ramionach, lecz zamiast Rebeki ujrzał twarz Maricruz Encarnación. Uśmiechała się drapieżnie.

– Już niedługo będziesz tęsknił za mną – powiedziała.

Odepchnął ją gwałtownie. Zatoczyła się, upadła i natychmiast pochłonął ją piasek, przysypując ją, jakby nigdy nie istniała. A on znowu stał na opustoszałej

plaży, woda znowu omywała mu palce u nóg i wysysała mokry piasek spod stóp. Był daleko, bardzo daleko, na zupełnym odludziu...

Obudził się i stwierdził, że tuż obok siedzi Yue.

– Przyszłam sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Dlaczego miałoby nie być? – Przed oczami wciąż miał ostatnie obrazy dziwnego snu i był zły, że mu przeszkodziła.

– Mówiłeś przez sen.

– Tak? Co?

– Wołałeś ją.

Rebekę? – pomyślał.

– Kogo?

Yue zmrużyła oczy.

– Maricruz.

Spojrzał w okno, ale nie zobaczył tam nic oprócz twarzy Rebeki.

– Dzięki, że nas uratowałeś – powiedziała Chinka. – Mam nadzieję, że te informacje komuś się przydadzą. – Zrobiła pauzę i było widać, że pomyślała o czymś nieprzyjemnym. – Ci Izraelczycy... Nie znamy ich. Są dla nas obcy. Nie wiemy, czym się kierują. Nie możemy im ufać.

– Mów otwarcie, Yue.

– Będziemy rozmawiać tylko z tobą. Z nimi nie.

– To oni wyciągnęli was z Chin.

– Wyciągnąłeś nas ty. Oni tylko to zorganizowali.

Po jej minie poznał, że nie ma sensu się kłócić. Kiwnął głową.

– Dobrze, powiem im.

– Mówię serio.

– Wiem. – Chcąc ją uspokoić, zmienił temat. – Skąd wiesz tyle o żonie Ouyanga?

Uśmiechnęła się chytrze.

– Z podziemia. Nawet w Chinach kobiety potrafią wyciągnąć informacje o innych kobietach.

Roześmiał się i resztki sennych obrazów rozwiały się jak dym.

– Uniwersalna prawda.

– Tak jak wiara – powiedziała Yue.

Niecałe osiem godzin później Carlos znowu stanął przy jej łóżku. Ale tym razem Maricruz siedziała, skończywszy śniadanie składające się z jajek na miękko, grzanki i kawy. Pokój był wielki i bardziej przypominał apartament hotelowy niż szpitalną separatkę. Podejrzewała, że tego rodzaju serwis Carlos zapewnia tylko najważniejszym gościom.

– Przejąśnięto mi się w głowie – powiedziała normalnym tonem. Nie kłamała. Sen działał cuda: umysł miała trzeźwy, myślała szybko i sprawnie, tak jak zwykle.

– Wspaniała wiadomość. – On z kolei powiedział to głosem przypominającym Maricruz głos właściciela zakładu pogrzebowego, który zajmował się sprowadzeniem do kraju zwłok jej ojca. – Możemy porozmawiać szczerze?

– Oczywiście. – Zaczyna się, pomyślała.

– Znakomicie. Pamięta pani, co się stało?

– Doskonale. – Zadrżała i wcale nie musiała udawać. Dobrze wiedziała, że Carlos ją podejrzewa, i opracowała już najlepszą strategię działania. Przybrała wzywającą minę, w przeciwieństwie do tego, czego się pewnie spodziewał. – W tym kraju trudno zawiera się przyjaźnie.

Carlos odchrząknął.

– Tak, przyjezdni zawsze się na to skarżą.

– To tylko takie małe sprostowanie.

– Chyba zapomniała pani, o czym rozmawialiśmy w restauracji, na werandzie. – Nie potrafił ukryć nutki gniewu w głosie. – Co się stało?

– Pobito mnie – odparła. – Jak sam pan widzi.

– Wzrok mam dobry, señora. Ważniejsze jest to, kto panią pobił.

Odwrociła głowę. Chciał wyciągnąć to z niej szybko i łatwo, ale ona miała inne plany. Musiał się trochę wysilić, inaczej stałby się jeszcze bardziej podejrzliwy.

– Nie chce pani powiedzieć? – Podeszedł bliżej i stanął tuż przy łóżku. – Ciekawe dlaczego. – Skrzyżował ręce na piersi i jak zniecierpliwiony nauczyciel zastukał nogą w podłogę. – Śmiało, señora, śmiało. Nie pora na powściągliwość. Dlaczego pani milczy?

– Bo... – odrzekła ze stosownym wyrzutem w głosie. – Bo to dla mnie poniżające.

Wypowiedziane przez nią słowa – które na pewno bardzo chciał usłyszeć – podziały jak zapalnik. Położył rękę na jej kolanie.

– Maricruz, w tym pokoju, w mojej obecności, poniżenie pani nie grozi.

Zwrócił się do niej po imieniu i był to klucz, który otworzył pierwsze drzwi. Przeszła przez nie, zmierając prosto do jego serca. Udało jej się wzbudzić w nim współczucie, nawiązać silną więź, fundament dalszej rozmowy.

– Trudno nie być poniżonym, kiedy zdradza cię przyjaciel – powiedziała powoli.

– Może raczej znieważonym? Tak, to mogę zrozumieć. – Uśmiechnęła się lekko. – Bo widzi pani, przez panią tak się właśnie czułem.

– Przeze mnie? Dlaczego?

– Kilka godzin po moim wyjeździe z San Luis Potosi Los Zetas zmasakrowali Raula Girona i jego poruczników, skutecznie burząc infrastrukturę Sinaloa.

Maricruz zrobiła zaskoczoną minę.

– Ale... ale czy nie o tym rozmawialiśmy na werandzie?

– Jak to?

Kompletnie go zaskoczyła i uśmiechnęła się w duchu do siebie. Pobicie przynosiło owoce.

– Przecież sam pan powiedział, że Giron i Matamoros należą do przeszłości, a my do przyszłości.

– Tak, ale...

– Musiałam od czegoś zacząć. No i Giron nie żyje.

Wytrzeszczył oczy.

– A pobito panią...

– ...ponieważ Matamoros myślał, że dogadawszy się z panem, ściągnęłam tam rządowe śmigłowce. Był przekonany, że wyjechał pan tak szybko, bo zawarliśmy układ. – I zachęcona jego zaszokowaną miną dodała: – W tym punkcie się chyba nie mylił. – Wzruszyła ramionami. – A w ramach nauki dla nas obojga kazał mnie pobić i wyrzucić przed pańskim domem.

– W takim razie musimy dać naukę jemu. Niech wie, że nie wolno nas karać. – Położył dłoń na jej dłoni. – Ale teraz musi pani odpocząć. Porozmawiamy, kiedy nabierze pani sił. – Podszedł do drzwi i uśmiechnął się do niej z ręką na klamce. – Nie przestaje mnie pani zaskakiwać, Maricruz. To dobrze. To bardzo dobrze.

•••

W Tel Awiwie Bourne spotkał się z dyrektorem Jadinem i Amirem Ofirem. Nie chciał tego spotkania, ale musiał je jakoś znieść. Ofir nasłał na niego Recacha za

zgoda Jadina lub bez niej. Tak czy inaczej, nie mógł im ufać, ani jednemu, ani drugiemu. I znowu, tak jak wiele razy przedtem, stąpał po ruchomych piaskach. I znowu otoczyło go stado zdradzieckich wilków. Mógł zaufać tylko sobie i swoim instyngtom.

– Powiniennem pana wyrzucić! – zagrmiał dyrektor na jego widok. – Wyciął nam pan taki numer, że...

– Znalazłem lokalizator w paszporcie, nie daliście mi wyboru – przerwał mu Jason.

– Zawsze chronimy naszych agentów – powiedział Ofir. – To standardowa procedura.

– Nie jestem waszym agentem – warknął Bourne.

– To co pan tu robi? Nie dość, że prosił pan o ewakuację z Szanghaju, to jeszcze przywłókł pan ze sobą dwoje wątpliwej wartości Chińczyków.

– Wiedzą o Ouyangu i Sunie dużo więcej niż wy, ale chcą rozmawiać tylko ze mną.

– Widzi pan, panie dyrektorze? – rzucił wyraźnie zdegustowany Ofir. – Od początku mówiłem, że nie powinniśmy byli go wysyłać, że to błąd.

– Teraz wiemy, na czym stoimy – zauważył Jason.

– Teraz pańscy chińscy przyjaciele należą do nas. Zrobimy z nimi, co zechcemy.

– To są ludzie, nie rzeczy.

– Będą tym, czym chcemy!

– Dość tego! – Jadin kipiał gniewem. – Przestań, Amir!

– Ale panie dyrektorze...

– Żadnych „ale” – uciął Jadin. – Zostaw nas samych.

Po chwili wahania Ofir wyszedł, ale przedtem posłał Bourne’owi jadowite spojrzenie. Jason zmarszczył brwi. Czy to tylko wyobraźnia, czy dostrzegł w jego oczach cień strachu?

Gdy zostali sami, Jadin westchnął.

– Kiedyś – powiedział, obchodząc biurko – nikt nie musiał tego znosić. – Usiadł ciężko w fotelu. – Złe maniery były czymś nie do pomyślenia. Nikt o nich nie słyszał, tym bardziej nie tolerował.

– Więc co się zmieniło?

– Wszystko. – Dyrektor wskazał mu krzesło. – Arabowie, my, cały świat. Nic nie jest już takie jak kiedyś. Stare sojusze się rozpadają, przyjaciele odchodzą w noc, zbierają się wokół nas coraz nikkzemniejsze cienie.

Podparł się łokciami i zetknął czubki palców. Miał wyblakłe oczy i ponurą twarz.

– Zastanawia się pan pewnie, dlaczego ciągle go tu trzymam. Amira.

– W świecie tajnych organizacji nic nie jest takie, na jakie wygląda. Nie ma w nim miejsca na racjonalne myślenie.

Jadin pokiwał kudłatą głową.

– To prawda. Cóż, ale i tak panu powiem. – Bezradnie rozłożył ręce. – Długi, nieuchronny spadek w otchłań chamstwa: oto najgorsze świadectwo tego, co się z nami stało.

Bourne milczał.

Dyrektor ponownie kiwnął głową.

– Zgoda, nie tylko pan popełnił błąd. My też.

– Nie mogłem pozwolić, żebyście śledzili mnie w Szanghaju.

– Wysłaliśmy tam kogoś. – Jadin powiedział to niemal z roztargnieniem. – Ale Amir go odwołał.

To najlepsza chwila, żeby powiedzieć mu o jego zdradzie, pomyślał Jason. Ale nie, był inny sposób. Lepszy.

Dyrektor zabębnił palcami w biurko.

– Jeśli chodzi o tych Chińczyków...

– Proszę nie dopuszczać do nich Ofira i pielęgnować ich jak ogród, a wydadzą owoce.

– Nie może pan ich przesłuchiwać – powiedział Jadin. – To chyba zrozumiałe.

– Nieważne. Jutro już mnie tu nie będzie.

Jadin uniósł brwi.

– Dokąd się pan wybiera?

Bourne tylko się uśmiechnął.

Rozdział 23

Deng Tsu mieszkał w chmurach, dosłownie i w przenośni. Jego pałacowa rezydencja zajmowała najwyższe, bo leżące dwieście czterdzieści metrów nad ziemią, piętro biurowca Fortune Plaza. Biura jego powiązanych ze sobą firm mieściły się dziesięć pięter niżej, dzięki czemu mógł jeździć do pracy i z powrotem bez konieczności wychodzenia na dwór i wdychania trującego pekińskiego powietrza.

U progu osiemdziesiątego siódmego roku życia Patriarcha najbardziej wpływowego rewolucyjnego rodu w plejadzie tych, które nigdy nie narzekały na brak wpływów, wciąż cieszył się witalnością pięćdziesięciopięciolatka. Codziennie pływał w prywatnym basenie z morską wodą, ćwiczył tai-chi i aikido z najlepszymi mistrzami, a rano i wieczorem przez godzinę medytował. Nigdy nie chorował i doskonały stan zdrowia przypisywał temu, że rygorystycznie przestrzegał ustalonego porządku dnia, zawsze był na bieżąco – do najdrobniejszego szczegółu – w sprawach biznesowych zarówno swoich, jak i całego kraju, oraz temu, że trzy razy w tygodniu brał do łóżka inną kobietę.

Oczywiście ważna też była dieta – nabożnie jej przestrzegał – ale jak by sobie radził bez sproszkowanego rogu nosorożca i liofilizowanej tygrysyj łapy, dzięki którym był jurny jak nastolatek?

Ministra Ouyanga przyjął w tradycyjnym mandaryńskim stroju, który nosił tylko w domu. W pracy, dziesięć pięter niżej, zawsze widywano go w eleganckim garniturze od Huntsmana, w butach z ozdobnie dziurkowanym noskiem od Johna Lobba i bawełnianej koszuli od Hilditcha & Keya.

– Herbata i ciasteczka już czekają – powiedział bez wstępów, prowadząc gościa do czegoś, co nazywał werandą, oszklonego solarium, gdzie na grządkach pod ścianami rosły dziesiątki przepięknych róż i storczyków.

Na środku pomieszczenia stał niski stolik z drewna paulowni, starannie zastawiony kompletem naczyń z laki oraz talerzykami z czymś, co Deng nazywał „ciasteczkami”, a co tak naprawdę było pieczonymi morskimi wodorostami. Patriarcha nie tolerował cukru.

Usiedli. Deng rozlał herbatę zgodnie z rytuałem starych mandarynów. Pierwszą filiżankę wypili w błogim milczeniu. W łagodnym, wilgotnym powietrzu,

przesyconym zapachem róż z płatkami otwartymi jak przyjazne ramiona, hałaśliwe, brudne, zapyłone, zanieczyszczone i przeludnione miasto zdawało się rozciągać tysiące kilometrów pod nimi.

– Dobrze, młodszy bracie – zaczął Patriarcha, dolewając im herbaty. – Co sprowadza cię do mojego gniazda? – W jego świecie przy drugiej filiżance zadawało się pytania, przy trzeciej się dyskutowało, a przy czwartej wyciągało wnioski.

– Myśli pan pewnie, że Chao i jego konserwatyści – odparł Ouyang – ale oni stanowią jedynie część problemu.

– Zechciej mówić jaśniej.

– Chodzi o śmierć syna Linga.

– Tak, straszna tragedia. Ale te włoskie samochody – to było chyba ferrari, prawda? – bardzo trudno się prowadzi.

– Zwłaszcza kiedy kierowca jest pod wpływem alkoholu. I wiezie dwie rozbawione dziewczyny.

– O co ci konkretnie chodzi, młodszy bracie?

– Te dziewczyny są w krytycznym stanie.

– To nie moja sprawa.

– Przeciwnie, Patriarcho. Tak jak straszliwie spartaczona próba jej zatuszowania.

Deng spojrział w okno na wierzchołki wieżowców tonące w mgłę gęstej jak burza piaskowa na pustyni Gobi.

Ouyang powoli sączył herbatę, która była tak wyborna, że w innych okolicznościach pewnie nie pozwoliłaby mu zebrać myśli.

– Ten incydent to skaza dowodząca rozwiązłości elit, wielki skandal, o którym słyszał nawet prezydent.

Patriarcha ściągnął ciemnoczerwone usta.

– To prawda, że Ling jest kombinatorem politycznym i jego protegowanym...

– To wydarzenie już osłabia pozycję prezydenta. Rzuca na niego niekorzystne światło człowieka skorumpowanego, by nie powiedzieć: głupiego.

Dengowi z wściekłości posiniała twarz.

– Nie masz prawa stawiać tak oburzających zarzutów!

– Powtarzam jedynie pogłoski – odrzekł Ouyang.

– Nie ty pierwszy zwracasz mi na to uwagę.

– Lekceważąc tę sprawę, dużo pan ryzykuje, Patriarcho.

Deng zamrugął jak sowa. Ciężko westchnął.

– Rozumiem, że znalazłeś rozwiązanie tego problemu.

– Pański przodek zawarł kiedyś pakt z narodem.

Patriarcha lekko skłonił głowę.

– Znany jako Wielki Układ.

– Właśnie. On, a teraz my, obiecał podnieść standard życia i zmodernizować gospodarkę w zamian za to, że bez zadawania zbędnych pytań utrzymamy się przy władzy.

– To był dobry układ. Właściwy. Jedyny, jaki mogliśmy zaproponować.

– Oczywiście, nie da się temu zaprzeczyć. – Ouyang odstawił pustą filiżankę, którą Deng natychmiast napełnił. – Jednak bieżące wydarzenia dowodzą, że układ się rozpada. Stare sposoby działania były dla nas korzystne przez dziesiątki lat, ale teraz sprawiają, że naród postrzega nas jako wrogów. Chińczycy są dziś bogatsi, lepiej wykształceni i coraz przychylniejszym okiem spoglądają na świat poza granicami Państwa Środka. Co więcej, dzięki dostępowi do internetu zmądrzeli politycznie. Uwierzyli w prawa jednostki, a z tym nie da się walczyć.

Patriarcha dołał sobie herbaty.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ kota, który uciekł z worka, można zapędzić z powrotem tylko w jeden sposób: trzeba go zabić.

Sącząc w zamyśleniu herbatę, Deng długo patrzył na spowijający miasto smog. W końcu przeniósł wzrok na ministra.

– Więc co radzisz, młodszy bracie?

– Moja rada się panu nie spodoba.

– Już i tak nie podoba mi się to, co widzę poza ścianami mojego domu.

Kontynuuj.

Nadeszła pora na czwartą filiżankę.

– Jest tak, jak pan mówi. W tamtych czasach Wielki Układ był układem dobrym i właściwym. Ale czasy się zmieniły. Nie wierzą już w skuteczność zwrotu ku kapitalizmowi z jednoczesnym utrzymaniem starego systemu politycznego. Wśród ludzi narasta niepokój. Alarmująco wzrasta także liczba skandali wśród elit, co wzmacnia gniew obywateli.

– To wszystko wiemy – powiedział Patriarcha. – Miałeś zaproponować rozwiązanie, młodszy bracie.

– Musimy wyprzedzić tę sytuację. Podjąć kroki, które nie tylko złagodzą gniew ludu, zanim rozleje się na cały kraj i nas pochłonie, ale i całkowicie go uśmierzyć, raz na zawsze. Uważam, że jedynym sposobem jest wystąpić na zjeździe partii z propozycją radykalnych zmian. Wyłonić całkowicie transparentny rząd, który będzie pracował dla ludu.

– Wiem, że masz serce po właściwej stronie, młodszy bracie, ale żądasz niemożliwego. Zjazd nigdy nie zatwierdzi takich zmian. Jest wśród nas zbyt wielu takich, którzy ponad prawo przedkładają swój elitarny status. Stare nawyki trudno wykorzenić, czasem to w ogóle niemożliwe.

– Zmiany gospodarcze wprowadzone przez pańskiego przodka przyniosły owoce – zauważył Ouyang. – Bez względu na to, czy są gorzkie, czy słodkie, trzeba je zebrać.

– Mów jaśniej, młodszy bracie.

– Wprowadzenie kapitalizmu miało swoje konsekwencje, być może nieprzewidziane. Nie możemy zawrócić. Nie możemy również przymykać oczu na to, co dzieje się wśród coraz bardziej niespokojnej ludności i członków naszych elit politycznych, z których wielu żyje ponad stan, bez pardonu przywłaszczając sobie to, co chcą i kiedy chcą. Nie można tego dłużej tolerować.

– Nikt cię nie posłucha, młodszy bracie. Pokonają cię dwie bliźniacze siły, inercja i przywileje.

– W takim razie przeważy głos ludu. Posłuchaj, Patriarcho. Chce pan tego czy nie, Wielki Układ ze społeczeństwem lada chwila wygaśnie. I albo wypracujemy nowy, taki, który je zadowoli, albo będziemy musieli stawić czoło otwartemu buntowi. To mogę zagwarantować.

Deng odstawił filiżankę.

– Wnioski?

– Po pierwsze, trzeba unieszkodliwić Cho i jego partię. Po drugie, zjazd musi wybrać mnie na nowego prezydenta Chin. Z pańską pomocą utworzę silną koalicję, która wytrzyma wszystkie wstrząsy towarzyszące zmianom koniecznym do tego, żebyśmy mogli dalej rządzić krajem.

Deng pokręcił głową. Jego oczy wypełnił bezbrzeżny smutek.

– Nigdy do tego nie dojdzie, młodszy bracie. Nie może. Jesteśmy jak pociąg, nasze tory biegną prosto.

Ouyang wstał.

– Posłuchaj, Patriarcho. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku Związek Radziecki był imperium zła. – Trzęsły mu się ręce. Nigdy dotąd tak do niego nie mówił. – Jeśli nie zmienimy kursu, już wkrótce przyjdzie nasza kolej.

– Czy nie widzisz, młodszy bracie, że właśnie tego tak żarliwie pragnie Cho i jego zwolennicy? Chcą odizolować nas od świata. Zachód jest dla nich śmiertelną zarazą, plamą rozlewającą się na nieskazitelnym obliczu Państwa Środka. Oni chcą Chiny oczyścić, żeby były takie jak kiedyś.

– Nic nie będzie już takie jak kiedyś, Patriarcho. Kto jak kto, ale pan powinien o tym wiedzieć. Proszę tylko zwrócić uwagę, gdzie odbędzie się tegoroczny zjazd partii. W Beidaihe, na wybrzeżu. Dotąd zawsze odbywał się w Pekinie. Podobno nie zdążono z remontem sali kongresowej, ale obaj wiemy, że to bzdura. Boimy się demonstracji na ulicach stolicy. A jeszcze pięć lat temu problem w ogóle by nie istniał.

– Jidan, Jidan... Jesteśmy tylko liśćmi, które niesie wiatr.

Ouyang spojrział na starca, po raz pierwszy widząc go takim, jakim naprawdę był, a nie takim, jakim go sobie wyobrażał. Jeśli jest za stary, pomyślał, jeśli brakuje mu silnej woli, muszę mu ją dać. Zebrał myśli, by przystąpić do ostatniego szturm.

– Tak jak nasi przodkowie, przez całe życie tworzyliśmy historię. To niezwykle, to wyjątkowy dar. I wciąż możemy ją tworzyć, lecz sposobność ta szybko wymyka nam się z rąk. Jeśli nie zmienimy kursu, stracimy ją na zawsze, bo odbierze nam ją lud. A wtedy będziemy skończeni. Tak więc właśnie to musimy zrobić, Patriarcho. Musimy okiełznać wiatr.

•••

Ofir siedział w biurze, częściowo zasłonięty przez ekrany trzech monitorów. Nie podniósł wzroku, lecz Bourne widział, że ramiona zeszytywniały mu, jakby szykował się do ulicznej bójki.

– Zabiłeś go. – Powiedział to bez emocji, z gorzkim wyrzutem w głosie.

– Bo go na mnie nasłałeś.

– Nieprawda. Złamałeś obietnicę, zerwałeś się ze smyczy i za zgodą dyrektora miał cię namierzyć.

– Nie lubię chodzić na smyczy – powiedział Jason. – A ty nie mogłeś wiedzieć, że coś komuś obiecałem. Ważne jest co innego: agent Kidonu i zwykła inwigilacja?

Nie uważasz, że to trochę podejrzane?

– Po pierwsze, agenci Kidonu nie są bandą zabójców. Zajmują się zarówno inwigilacją, jak i organizowaniem akcji ratunkowych. Tak się przypadkiem składa, że mój wydział prowadzi właśnie skomplikowaną i bardzo poufną misję, której celem jest uwolnienie trzech izraelskich obywateli z rąk Hezbollahu.

– Obywateli? – powtórzył Bourne. – Czy agentów?

Ofir puścił tę uwagę mimo uszu.

– Po drugie, człowiek, którego wysłałem, był akurat pod ręką i dobrze znał Chiny. Zwłaszcza Szanghaj.

– Po pierwsze – odparł Jason – jego kryptonim znaczy „morderstwo”. Po drugie, zaatakował mnie i młodą dziewczynę, z którą akurat byłem. Miał oczywiste zamiary.

– W takim razie przekroczył swoje uprawnienia. Tylko dlaczego miały to robić? – Ofir nie odrywał oczu od pikselowatych obrazów na monitorach.

– Bo kazałeś mu mnie zabić.

Podniósł wzrok dopiero teraz.

– Nie masz na to żadnych dowodów.

Jason pokazał mu komórkę Recacha.

– Ten człowiek dzwonił do ciebie tuż przed wejściem do tunelu, gdzie chciał mnie zlikwidować.

– To kłamstwo...

Bourne rzucił na biurko nóż.

– Próbował zrobić to tym.

Ofir spojrział na nóż jak na jadowitą żmiję. Obliznął usta.

Jason zabrał nóż i wraz z komórką podniósł go do góry.

– Czy mam to dać dyrektorowi Jadinowi, czy poprosisz mnie, żebym usiadł?

Ofir posłał mu zjadliwe spojrzenie i wskazał krzesło.

– Jak sobie życzysz.

Bourne roześmiał się i usiadł.

– Potrzebuję zbrojmistra.

Ofirowi wyraźnie ulżyło, jakby pomyślał: to wszystko?

– Żaden problem. Mamy kilku naprawdę świetnych. Tu, w naszych podziemnych laboratoriach.

– Ci mnie nie interesują. Chodzi o Mexico City.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko głosy asystentów i sekretarek za ścianą, przytłumiony gwar, który to narastał, to opadał jak morskie fale. Ktoś upuścił szklankę. Szklanka roztrzaskała się na wyłożonej terakotą podłodze, posypały się przekleństwa i głosy ucichły.

Ofir odchrząknął.

– Dyrektor Jadin tego nie zatwierdzi.

– Dlatego przyszedłem z prośbą do ciebie.

– To nie jest prośba.

Bourne patrzył na niego nieruchomymi oczami.

Ofir otrząsnął się jak pies, który wyszedł z mulistej wody.

– Rozumiem, że chodzi o pistolet.

– O wszystko, od pistoletu po granatnik, oczywiście z amunicją.

– Nie wiem, czy...

– Poza tym sprawa musi być *sza! sza!* Utrzymana w tajemnicy.

– *Gilita et America* – mruknął Ofir. Odkryłeś Amerykę. – Coś jeszcze? – rzucił z sarkazmem. – Może przyda ci się czółg? Albo myśliwiec?

– Innym razem.

Ofir podniósł ręce, jakby się poddawał.

– Dobrze, już dobrze, zobaczymy. – Spojrzał na ekran monitora. – Mexico City...

Tak, mam tam kogoś niezłego. J.J. Hale, to jego pseudonim. Tak wygląda. Nic więcej nie musisz o nim wiedzieć. – Sięgnął po notes, coś napisał, wyrwał kartkę i podał ją Jasonowi. – Poczynając od jutra, przez pięć dni punktualnie o ósmej wieczorem będzie czekał w tej kawiarni. Pod spodem masz hasło i odzew.

Uśmiechnął się i dodał:

– Czy mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

– Dam ci znać. – Bourne wstał i wyszedł.

...

Kiedy został sam, napisał do Hale'a zaszyfrowany e-mail z instrukcjami i dopiskiem: „Czekaj na przesyłkę zwykłym kanałem”.

Wysławszy e-mail, zdjął z szyi klucz, otworzył najniższą szufladę po prawej stronie biurka i wyjął czarną teczkę. W teczce była taśma z odciskiem palca Bourne'a, który J.J. Hale zdjął ze szklanki w hotelowym pokoju w Cezarei.

Przyglądał się jej przez chwilę z lekkim uśmiechem. Bourne nie do końca wiedział, jak pracuje Mosad – i bardzo dobrze. Nóż i komórka Recacha wcale nie były tak obciążające, jak myślał. Ich obecność dałoby się wytłumaczyć Jadinowi. Zgoda, może niełatwo, ale by się dało. Nie, ze strony Bourne'a nic mu nie groziło, przynajmniej jeśli chodzi o tę sprawę, ale zamiast mu to powiedzieć, wpadł na lepsze rozwiązanie. Takie, które doprowadzi Bourne'a do zguby.

Ostrożnie włożył taśmę do małej koperty i zapieczętował ją woskiem. Potem tę małą włożył do większej, napisał instrukcje dla Hale'a, wrzucił kartkę do koperty, którą też zapieczętował woskiem, a następnie umieścił w bezpiecznym opakowaniu używanym przez Mosad.

Skończywszy, zadzwonił po kuriera.

Rozdział 24

Przed wejściem do wieżowca Patriarchy czekał biały SUV z włączonym silnikiem i gdy Ouyang podszedł bliżej, otworzyły się tylne drzwi. Minister wszedł i natychmiast ruszyli.

– Wszystko poszło zgodnie z planem – zameldował wysoki, chudy mężczyzna. Sądząc po twarzy, w jego żyłach płynęła mandżurska krew. Miał długie palce i delikatne ręce chirurga albo pianisty.

Cóż, pomyślał Ouyang. Ostatecznie jest artystą.

– Jak ci poszło na szczycie, u władcy Państwa Środka?

W ustach kogoś innego pytanie zabrzmiałoby zgryźliwie – kogoś innego, lecz nie jego.

– Kai – odparł minister – niewykluczone, że Patriarcha jeszcze się nawróci, ale na razie buja w obłokach.

– Szkoda. – Kai westchnął. – Kiedyś był niezwykle przydatnym wizjonerem.

– Myślę, że jego czas jeszcze nie minął – powiedział Ouyang może trochę za ostro.

– Czas jest czymś, czego mamy najmniej. Za niecały tydzień zjazd wybierze nowe Biuro Polityczne, które wytyczy Chinom drogę na najbliższe dziesięć lat. Jeśli nie zareagujemy, natychmiast i zdecydowanie, nie będzie drugiej okazji.

Minister poruszył się niespokojnie. Wiedział, że sytuacja zmusza go do zajęcia stanowiska, czego tak bardzo nie chciał robić.

– Obyś się mylił, Kai, ale jest coraz bardziej oczywiste, że musimy jak najszybciej przystąpić do działania.

•••

Bourne przyleciał do Mexico City ponurym rankiem, szarym od mgły i trującego smogu. W powietrzu unosił się zapach ludzkich ekskrementów, na których uprawiano tu owoce i warzywa.

Miasto znał dobrze. Chociaż na swój sposób był bliżej Rebeki, miejsca, gdzie umarła, świadomość ta nie przynosiła mu ukojenia. Mexico City było dla niego nekropolią cieni, koszmarnych wspomnień i złowróżbnego poczucia niebezpieczeństwa.

Kiedy taksówka wjechała do śródmieścia, przez mgłę przebiła się brzydka, jasnobrązowa kula słońca, ale zaraz przesłonił ją smog wiszący nad miastem jak półprzezroczysta maska.

Bourne podał kierowcy adres domu w Coyoacán, dzielnicy leżącej osiem kilometrów od Colonia Centro. Nazwa dzielnicy pochodziła od azteckich słów Náhuatl Coyohuacán, znaczących „miejsce kojota”, być może dlatego, że tubylcy, lud Tecpaneca, nienawidzili azteckich najeźdźców do tego stopnia, że z otwartymi ramionami powitali Hernána Cortésa, co doprowadziło do unicestwienia Azteków, ich historii i kultury.

Wysiadł w alei Francisco Sosa, niedaleko miejsca, gdzie mieszkali kiedyś Frida Kahlo i Diego Rivera, brukowanej przelotówki, głównej arterii dzielnicy, i doszedł piechotą do Caballo Calco numer dwadzieścia trzy, piętrowej kamienicy otynkowanej bielonym cementem, ozdobionej terakotą i ogrodzonej misternym białym płótem z kutego żelaza.

Nacisnął guzik mieszkania numer jedenaście, obok którego nie było nazwiska lokatora, i od razu wpuszczono go do środka. Mieszkanie mieściło się na piętrze i miało okna wychodzące na ulicę. Niemal dokładnie naprzeciwko wznosił się kościół Iglesia de Coyoacán, bardzo zapuszczony, u stóp porośnięty zielskiem, upstrzony graffiti i obsypany stertami cegieł, które wykruszyły się ze ścian.

Gdy 808Azul otworzyła drzwi, w pierwszej chwili jej nie poznał. Jakże różniła się od gniewnej, zagubionej dziewczyny, której przed rokiem pomógł uciec z domu Maceo Encarnacióna w Polanco.

Proponował, żeby wyjechała z Meksyku, ale ona nie chciała. Wołała zmienić nazwisko i zostać pierwszorzędną hakerką, której bano się i którą szanowano.

W internecie znano ją pod nickiem 808Azul, lecz dla niego zawsze była Anunciatą. Jej matkę, wieloletnią kucharkę Encarnacióna, otruto. Wtedy pomógł Anunciacie uciec.

Wyrosła na piękną kobietę o szczerej, uśmiechniętej twarzy, szeroko rozstawionych czekoladowych oczach i bujnych czarnych włosach, które błyszczały teraz w świetle lamp w jej dużym, przestronnym mieszkaniu. Zdjęcia jej matki stały na półkach, jak również w jej sanktuarium, wokół komputerów,

potężnych laptopów, smartfonów i tabletów. Rząd drewnianych żaluzji po prawej stronie częściowo skrywał długi, wąski balkon z widokiem na Caballo Calco.

– Jason! – wykrzyknęła, obejmując go na powitanie. – Tak się ucieszyłam, kiedy zadzwoniłeś. Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę.

– Jak widzisz, pozostałem w kontakcie.

Roześmiała się.

– Dobrych przyjaciół spotyka się równie rzadko jak zęby u kury. – Gestem ręki zaprosiła go do środka. – Chodź, pewnie zgłodniałeś. Wiem, jak karmią w samolocie. Zrobiłam enchiladas z ryżem i czarną fasolą.

Zaprowadziła go do dużej kuchni, gdzie na zniszczonym drewnianym stole czekał posiłek.

– Czuje się rękę mistrzyni – powiedział, kiedy zaczął jeść. – Gotujesz jak twoja mama.

Anunciata przyniosła kilka piw z lodówki.

– Jak żyjesz, Jason?

– Jakoś muszę.

– Jesteś smutny, ale chyba zawsze taki byłeś.

Wymienili spojrzenia i zapadła cisza.

– Nie zdążyłam podziękować ci za to, że zabiłeś mojego ojca. – Te pełne emocji słowa wypowiedziała spokojnie i rzeczowo.

– Nie trzeba.

– Trzeba.

Bourne pochylił głowę. Rozumiał ją aż za dobrze. Rodzice Anunciaty ukrywali przed nią tożsamość jej prawdziwego ojca. Ale kiedy matka odkryła, że Encarnación uwiódł dziewczynę i tym samym sypia z własną córką, zagroziła, że go zabije. Gest odważny, lecz głupi.

Anunciata odłożyła sztucce.

– Zatem co cię sprowadza do Meksyku?

– Coś poważnego.

– Wiem, inaczej byś nie przyjechał.

– Szukam córki Maceo Encarnacióna.

– Córki Encarnacióna? – Roześmiała się nerwowo. – Patrzysz na nią.

– Miał drugą. Maricruz.

– Aha, Constanza Camargo się kłania.

Bourne kiwnął głowę.

– Znasz ją?

– Nie miałam tej przyjemności – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Ale krążą o niej różne opowieści. Obrosła legendą.

– Jest tu. Muszę ją znaleźć.

Anunciata zmarszczyła czoło.

– Zaczekaj.

Wstała i podeszła do komputerów. Usiadła, włożyła słuchawki i jej palce zatańczyły na klawiaturze laptopa. Kilka chwil później, nie przerywając pisania, zaczęła z kimś rozmawiać, zadawać mu pytania i potakiwać.

Jason podszedł do niej, gdy mówiła:

– Nie gadaj. Naprawdę?

Zerknęła na niego, uniosła brwi i znowu skupiła się na rozmowie.

– Potrzebuję kogoś wewnątrz... Nie, nie, dosłownie wewnątrz, kogoś absolutnie pewnego... Jasne, że za kasę. – Spojrzała na Bourne'a, a on kiwnął głową. – Rozumiem. Nie, kwota nie ma znaczenia, najważniejsze, żeby to był ktoś stuprocentowo pewny... Cieszę mnie twoje zapewnienia, ale jeśli mój klient wpadnie w zasadzkę, znajdę cię i wpakuję ci jaja do gardła, a wierz mi, nie ma nic gorszego, jak udusić się własnymi jądrami. – Zerknęła na Jasona i puściła do niego oko. – Dobra, mam. Na razie.

Napisała coś na kartce, wstała i podała ją Bourne'owi. Zrobiła mu zdjęcie komórki i wysłała je swojemu informatorowi.

– Masz farta – powiedziała. – Wygląda na to, że moja przyrodnia siostra ma poważne kłopoty. Przyjechała dopiąć sprawy kartelu ojca i trafiła w sam środek wojny między Los Zetas i Sinaloa. Nie może być aż tak głupia, więc musiała mieć jakiś plan, chociaż to czyste szaleństwo.

Wiedząc, że Ouyang dostarczał Encarnaciónowi surowce do produkcji metamfetaminy, Jason pomyślał, że w tym szaleństwie jest metoda i że Maricruz po prostu musiała przyjechać do Meksyku.

Anunciata wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co się stało, ale ciężko ją pobito. Leży w szpitalu, w Ángeles Pedregal. Zapisalam ci adres. Wygląda na to, że ma tu potężnych przyjaciół. Pod drzwiami jej pokoju stoją *federales*, a odwiedza ją tylko Carlos Danda Carlos, szef agencji antynarkotykowej.

Bourne roześmiał się cicho, a ona, zaintrygowana, przekrzywiła głowę.

– To nie są żarty. Co cię tak rozbawiło?

Polepszyło jej się do tego stopnia, że dwa razy dziennie chodziła na fizykoterapię, sama, nie korzystając z wózka, który cierpliwie pchała za nią pielęgnarka. Nogi miała pokryte sińcami, ale najgorzej było z rękami, zwłaszcza z barkiem, który wymagał artroskopii.

Bywały takie chwile, kiedy nienawidziła Matamorosa, przekonana, że jego ludzie wyładowali na niej swój gniew, bijąc ją mocniej, niż było to konieczne. Ale potem przychodził Carlos, widziała na jego twarzy szczerzy smutek i poczucie winy, że oberwała tak przez niego, i wiedziała już, że gdyby pobito ją choćby odrobinę źzej, Danda nie wyzbyłby się podejrzeń.

W końcu doszła do wniosku, że jednak Matamoros załatwił to po mistrzowsku: nie powodując trwałego kalectwa, jego ludzie pobili ją na tyle mocno, że Carlos dał się oszukać. Poza tym, nie licząc kilku zadrapań i siniaków, oszczędzili jej twarz, za co była im wdzięczna.

W sumie powinna się cieszyć, bo wszystko poszło zgodnie z planem. Tak, Matamoros okazał się dużo bardziej inteligentny, niż myślała. Co więcej, wprost desperacko chciał wykończyć Carlosa – niemal tak desperacko, jak Carlos jego.

A ona znalazła się w miejscu najlepszym z możliwych: dokładnie między nimi. Obydwaj jej ufali i nie groziła jej dekonspiracja. Uśmiechnęła się do siebie. Nigdy nie była naiwna na tyle, by myśleć, że zdobędzie tę pozycję tanim kosztem, lecz nie przypuszczała, że przybierze to taki kształt i będzie musiała aż tyle wycierpieć.

Myślała o tym podczas ćwiczeń z terapeutką, jednakowo trudnych i bolesnych. Ale musiała przyznać, że choć obolała, czuła się po nich dużo lepiej. Kilka minut po tym, jak zaczęły, salowy przywiózł na wózku siedmioletnią dziewczynkę. Robiła wrażenie zagłodzonej i ledwo żywej, ale najgorsze było to, że miała zupełnie martwą twarz. Zapadnięte policzki, wielkie, czarne, puste oczy – ciągle patrzyła w dal na coś, co widziała tylko ona. Maricruz obserwowała ją ukradkiem do końca ćwiczeń. Od czasu do czasu terapeuta kuczał przed małą, próbując z nią rozmawiać, raz wziął ją nawet za rękę, lecz dziecko nie reagowało.

Gdy po godzinie Maricruz skończyła, dziewczynka wciąż siedziała bez ruchu, patrząc przed siebie. Nie drgnął jej ani jeden mięsień, wyglądała niepokojąco, niemal upiornie. Mimo to było w niej coś, co utkwilo w świadomości Maricruz jak haczyk w pysku ryby – utkwilo i za nic nie chciało wyjść.

– Ta dziewczynka... – spytała. – Dlaczego nikt się nią nie zajmuje?

– Próbowaliśmy – odparła terapeutka, wcierając krem w rękę Maricruz. – Chyba wszyscy, jednak nikt nie może do niej dotrzeć. To katatonია. Była na oddziale psychiatrycznym, ale ponieważ lekarze sobie nie radzili, przeniesiono ją tutaj.

– Co jej się stało?

Terapeutka westchnęła.

– Podobno jej ojciec był „mułem”. Wie pani, ktoś proponuje im łatwe pieniądze i robią to, zamiast pójść do porządnej pracy. Tak czy inaczej, coś nie wyszło, jak zawsze. Nie wiem co. Tysiące rzeczy mogły pójść nie tak. – Złożyła ściereczkę i rzuciła ją na blat. – W każdym razie przyszli i zabili jej rodziców i dwóch starszych braci. Na jej oczach. Obcięli im głowy maczetą.

Maricruz przestała oddychać.

– Ale kto?

– Los Zetas, Sinaloa, miejscowy diler na usługach tych karteli, kto to wie? – Terapeutka odwróciła się z odrazą. – Zresztą, co to za różnica? – Pokręciła głową. – Z tymi ludźmi nie sposób się dogadać, nie można ich przekonać. Są tak chciwi, że nic innego dla nich się nie liczy, nawet rodzina.

– Jak pani może być tak bezduszna? Dziecko ma odpowiadać za grzechy ojca? Tak nie można.

– Señora, czy wie pani, ile takich dzieci widzimy tu co roku? Trudno je zliczyć. Gdybym każdemu współczuła, wypaliłabym się jak świeca kosztem własnej rodziny.

Maricruz patrzyła na dziewczynkę, jakby chciała wyrwać ją z tego stanu siłą woli.

– A kiedy stąd wychodzą? – spytała. – Co się z nimi dzieje?

– Zabiera je jakiś wujek, ciotka czy kuzyn. Jeśli nikogo nie mają, przechodzą pod opiekę państwa.

– A ona?

– Skąd mam wiedzieć?

Gdy wróciła do pokoju, Tygrys odłożył gazetę, wstał i uśmiechnął się do niej drapieźnie.

– Jak poszło, señora?

– Nieźle – odparła tępo. Wciąż myślała o dziewczynce.

Otworzył jej drzwi. Ochroniarze Carlosa pracowali na trzy zmiany, on pracował na drugiej. Oczywiście nie nazywał się Tygrys, ale tak jak ten

z rysunków A.A. Milne'a, do złudzenia przypominał pluszową przytulankę. Wyglądał groźnie i jednocześnie zabawnie. Jak to robił, tego nie wiedział nikt, a już na pewno nie on sam.

– Pewnie niedługo pani wyjdzie, co?

– Żałuję, że w ogóle tu trafiłam – odparła, ale widząc jego minę, złożyła usta w ciup i pogłaskała go po szczeciniastym policzku. – Och, Tygrysku – wymruczała. – Kiedy wyjdę, na pewno będziemy się widywać. Zażądam, żebyś został moim przybocznym ochroniarzem. Co ty na to?

Od razu pojaśniały mu oczy i teraz naprawdę wyglądał jak pluszowy tygrys, rozradowany i skory do pomocy.

– *Muchas gracias, señora.* – Nie zważając na pielęgniarkę i bezużyteczny wózek, wprowadził ją do pokoju. – Estefan już przyszedł. Czy mogę zrobić dla pani coś jeszcze?

– Nie, dziękuję. – Maricruz położyła się niezdarnie, próbując nie krzywić się z bólu. – Masz przerwę, więc biegnij się zabawić.

Tygrys roześmiał się i wyszedł. Pielęgniarka krzątała się służbiście wokół łóżka, poprawiając pościel i napełniając plastikowy dzbanek wodą z butelek, które przynieśli ludzie Carlosa.

– Dość tego, wystarczy! – krzyknęła w końcu Maricruz. – Proszę dać mi święty spokój!

Pielęgniarka nawet nie mrugnęła, wyszła szybko i dyskretnie. Najwyraźniej miała już do czynienia z ważnymi pacjentami, z ich napadami złości i frustracją, i wiedziała, kiedy się wycofać.

Maricruz opadła na poduszkę wściekła, że brakuje jej tchu, że ramię boli jak jasna cholera, że utknęła w tym przeklętym szpitalu. Wściekła na myśl o dziewczynce, której odebrano dzieciństwo, a może nawet i życie.

Jedną z rzeczy, której nauczyła się od męża, była cierpliwość. Ponieważ w jej żyłach krążyła latynoska krew, przedtem nie знаła tego słowa i na pewno nie należała do osób odznaczających się tą cechą. Ale teraz przypomniała sobie to, co wpoił jej Ouyang, długie godziny medytacji zazen, gdy próbowała opróżnić umysł z myśli, uczuć i tego, co się z nimi łączyło.

Powoli, mozolnie wyrzuciła z siebie cały gniew i frustrację, ale przede wszystkim przestała myśleć o swoich planach i zamiarach, co było najważniejsze i najtrudniejsze. Jej umysł wypełnił się pustką, jak klepsydra, z której wysypał się

piasek, i poczuła, że ogarnia ją błogi spokój nicości, że unosi ją i zabiera do innego wymiaru istnienia.

Nagle otworzyły się drzwi i czar prysnął.

Rozdział 25

Bourne spotkał się z Tygrysem przed wejściem do szpitala. Zmęczone słońce przedwcześnie udało się na spoczynek pokonane przez mżawkę, która zaciemniła chodnik i jezdnię. W oddali przetoczył się grzmot, zwiastun potężnej ulewy.

Jason dał mu kopertę. Tygrys otworzył ją, zgrubiałym kciukiem popieścił plik banknotów i uśmiechnął się, demonstrując rząd przypominających nagrobki brązowych zębów.

– Dolary. Amerykańskie.

– Niech pan to schowa – rzucił Bourne.

Tygrys schował kopertę i gestem ręki kazał mu iść za sobą. Przeszli przez urazówkę, gdzie wszyscy byli zbyt zajęci, by zwrócić na nich uwagę i spytać, czego tu szukają. Zamknęli się w magazynie i Tygrys dał mu lekarski kitel.

– Ma pan identyfikator?

Ochroniarz kiwnął głową.

– Ona pana zna?

– Nie, ale widział mnie Carlos. Niech pan zostanie w holu. Kiedy się pokaże, wyśle pan do mnie SMS-a.

– *Bueno*. – Tygrys przypiął mu do kieszeni identyfikator i dla szpitalnego personelu Bourne był teraz doktorem Francisco Javierem. – Spoko – rzucił potem i wyrecytował numer pokoju. – Może pan iść. Estefan pana nie zaczepi – dodał z szerokim uśmiechem. – Panicznie boi się lekarzy.

Jason wjechał windą na wysoki parter, podszedł do stanowiska pielęgniarek, poprosił o kartę Maricruz i dyżurna dała mu ją, ledwo na niego spojrzawszy.

Szedł korytarzem, przerzucając kartki. Informator Anuntyaty nie przesadzał: Maricruz rzeczywiście pobito, i to ciężko.

Podniósł wzrok i zobaczył Estefana, który pisał SMS-a, pijąc kawę z automatu i robiąc głupie miny. Ochroniarz zauważył go, zerknął na identyfikator, stwierdził, że zdjęcie pasuje do twarzy, wzdrygnął się i odsunął od drzwi.

Gdy Bourne wszedł do pokoju, Maricruz spojrzała na niego szklistymi oczami. Lekko oszołomiona szybko zamrugała i zmarszczyła brwi.

– Kolejny doktorek? Nigdy tu pana nie widziałam.

– Kilka razy zaglądałem, ale była pani nieprzytomna. – Bourne głośno zamknął teczkę z kartą. – Pomagałem panią zacerować. Miała pani zerwane ścięgna w ramieniu.

– Zacerować? Tak się to fachowo nazywa?

Jason roześmiał się krótko i po lekarsku.

– W rozmowie z pacjentami wolę używać normalnego języka.

– Co za miła odmiana. Lekarze zawsze próbują dowieść swojej wyższości, bo zdają sobie sprawę, że niewiele wiedzą. – Maricruz przekrzywiła głowę. – Co wyczytał pan w karcie?

– Ponieważ niewiele wiem, i tak mi pani nie uwierzy.

– Bardzo zabawne. No więc?

Jason spowaźniał.

– Obrażenia dobrze się goją, szybciej niż normalnie. Jesteśmy bardzo zadowoleni z pani postępów.

– Kiedy będę mogła stąd wyjść?

– Mogę usiąść? – Bourne przysunął sobie krzesło.

– Skoro pan chce. Niech przynajmniej panu będzie miło.

– Wolę, żeby miło było moim pacjentom. – Założył nogę na nogę i z łokciami na teczce pochylił się do przodu. – Maricruz... Mogę mówić pani po imieniu?

– Już pan zaczął – odparła, ale powiedziała to dużo łagodniejszym głosem, z lekko podniesionymi kącikami ust.

– Maricruz, czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

– To ważne? – spytała zaskoczona.

Bourne wzruszył ramionami.

– Lubię rozmawiać z pacjentami, lepiej ich poznawać.

– Proszę, proszę, pan naprawdę jest inny.

– Więc zaspokoi pani moją ciekawość?

Zmarszczyła brwi.

– Czy to jakiś eksperyment psychologiczny?

– Ależ skąd – odparł ze śmiechem Jason.

– Spadłam z roweru.

– I przejechałam panią samochód?

– Co takiego?

– Nie mogła pani doznać takich obrażeń, spadając z roweru.

– Najechałam na wybój, spadłam i stoczyłam się z nasypu.

Jason otworzył teczkę i jeszcze raz przejrzał kartę.

– Jest tu policyjny raport. Świadek twierdzi, że ktoś wyrzucił panią z samochodu i szybko odjechał. – Podniósł wzrok. – Czyżby pani przyjaciele?

Rozszerzyły jej się oczy i odwróciła głowę.

Bourne przerzucił kartkę.

– Hm, dalszych meldunków brak...

– Sprawę prowadzi Carlos Danda Carlos – ucięła.

Jason zamknął teczkę.

– Aha, rozumiem. Wysoko postawieni przyjaciele.

Uśmiechnęła się lekko.

– Coś w tym rodzaju.

– Carlos Danda Carlos... Proszę mi powiedzieć, jak go pani znajduje?

Teraz to ona się roześmiała, cicho i dźwięcznie, śmiechem brzmiącym jak dzwonki na górskiej przełęczy.

– Zależy, co pan rozumie przez słowo „znajduje”.

– Po prostu krąży o nim wiele plotek i nie wiem, czy im wierzyć. Na przykład, myśli pani, że to dobry człowiek?

Maricruz drgnęła.

– Naprawdę jest pan lekarzem?

– Nie rozumiem...

– Zaczynam myśleć, że Carlos kazał panu mnie przesłuchać.

Wiedząc, że pora skierować rozmowę na inne tory, Jason wstał.

– Bardzo panią przepraszam, señora. Nie chciałem sprawiać wrażenia...

– Pracuje pan dla niego?

– Nie, widziałem go tylko raz, i to przelotnie – odparł zgodnie z prawdą Bourne.

– To wszystko.

Maricruz przyjrzała mu się uważnie.

– Niech pana siada, doktorze.

Zawahał się odpowiednio do sytuacji i usiadł, lecz tym razem na brzegu krzesła, sztywno i z lekko pochylonymi ramionami.

– Spokojnie, nie ugryzę pana.

– Na pewno nie zrobi mi pani krzywdy, mówiąc mi po imieniu, jak moi przyjaciele.

– To jestem teraz pana przyjaciółką? Myślałam, że pacjentką.

– Niedokładnie się przedtem wyraziłem. Była pani moją pacjentką na urazówce. Pani lekarzem prowadzącym jest doktor Fernandez.

– Mimo to przyszedł pan mnie odwiedzić.

– Już mówiłem. Przywiązuję się do pacjentów.

– To musi być męczące.

– Lepsze to, niż traktować ich jak kawał mięsa. Takie podejście znieczuła nie tylko serce, ale i duszę.

Pierwszy raz, odkąd przyszedł, spojrzała na niego innym wzrokiem, jakby nagle rozchyliła się kurtyna, odsłaniając coś, co zawsze za nią było, lecz czego dotąd nigdy nie widziała.

Ale wtedy do pokoju weszła pielęgniarka z tacą pełną jedzenia, którą postawiła na szafce nocnej z ruchomym blatem. Obróciła blat i gdy znalazł się nad kolanami Maricruz, uśmiechnęła się szelmowsko i wyszła.

Bourne wstał.

– Nie będę pani przeszkadzał.

Maricruz spojrzała na niego znad tacy.

– Jedzenie przyrządza kucharz Carlosa. Jest przepyszne, ale zawsze przynoszą mi więcej, niż mogę zjeść.

– Czyżby zapraszała mnie pani na lunch?

– Tylko niech pan czegoś sobie nie pomyśli.

– Mam obchód... – Bourne zajrzał pod metalową pokrywkę półmiska z daniem głównym i doszedł go smakowity aromat. – Ale dopiero za kilka minut.

• • •

– Dobrze wiesz, że to czyste szaleństwo.

– To zależy od definicji „szaleństwa”. – Kai patrzył w okno, ale przesuwający się miejski krajobraz chyba go nie interesował. – Moja brzmi tak: zmniejszyć liczbę członków Stałego Komitetu Biura Politycznego z dziewięciu do siedmiu. – Spojrzał ostro na przyjaciela. – Aha, widzę, że Patriarcha zapomniał ci o tym powiedzieć.

Ouyang zesztyniał.

– To pewna informacja?

– Stuprocentowo. Być może stara gwardia odejdzie za tydzień, ale przedtem zrobi wszystko, żeby utrzymać wpływy. A jeśli zmniejszą liczbę członków, młodzi

i bardziej postępowi kandydaci nie będą mieli większości.

– I wszystkie przełomowe propozycje szlag trafi.

– Komitet zatańczy, jak mu zagrają.

Ouyang pokręcił głową.

– Masz rację. Oto jak wygląda prawdziwe szaleństwo.

– Jidan, przyjacielu, mam dość tych przygnębiających rozmów. Zapraszam cię do mojego klubu, co ty na to? Damy nura do basenu pełnego nagich Japoneczek.

– Chcesz iść, to idź. Ja jestem żonaty.

– Żonaty! – prychnął drwiąco Kai. – Twoja żona jest tysiące kilometrów stąd.

– Co to za różnica?

– Powiedziałbym, że wielka – odparł z lubieżnym uśmiechem Kai.

– Ale ja ją kocham.

– Nie rozumiem, jak można żyć z cudzoziemką z Zachodu i w dodatku ją kochać. Te, z którymi spałem, okropnie cuchnęły.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Kai usiadł wygodniej i westchnął.

– Twój kłopot polega na tym, że masz kij w tyłku. Musisz się wyluzować, Ouyang, chociaż na parę godzin zapomnieć, kim jesteś.

– Nie mogę. Mam to we krwi.

– Co to, do diabła, znaczy?

– To znaczy, że każda chwila bez Maricruz jest dla mnie torturą. – Ouyang skrzyżował ręce na piersi. – Nie wiesz, o czym mówię, prawda?

Kai wzruszył ramionami.

– Dla mnie kobiety są najbardziej jednorazowe ze wszystkich towarów jednorazowego użytku. Od czasu do czasu mój penis się nimi interesuje i wtedy za nim podążam. Ale zrobiwszy swoje, natychmiast o nich zapominam. Bo niby dlaczego miałbym cokolwiek pamiętać? W tym akcie, po części mechanicznym, po części biologicznym, nie ma nic ciekawego.

– A w biorącej w nim udział kobiecie?

– Kobiety pamiętam najmniej. Jedno ciało zlewa się z drugim, a jeśli chodzi o twarze, szczerze mówiąc, nie przypominam sobie ani jednej.

– Wiesz – powiedział ze śmiechem Ouyang – wypad do klubu dobrze ci zrobi. Kto wie, może tym razem spotkasz taką, którą zapamiętasz.

– Wątpię. – Kai oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy. – Odechciało mi się, pewnie dlatego, że za długo z tobą gadam.

– To świetnie! – wykrzyknął wbrew sobie Ouyang. Dał znak szoferowi. – Pojedziemy do biura i pomyślimy, jak usunąć Cho Xilana.

Ponieważ nic im nie przeszkadzało, ani ludzie, ani pogoda, Kai wyjął mały szczyryk i delikatnie wsunął czubek noża pod paznokcieć.

– Co ty robisz?

– Pozbywam się resztek generała Hwanga Liquna.

Ouyang zmrużył oczy i zobaczył cienkie półksiężycy zaschniętej krwi pod wymanikiuowanymi paznokciami Kaia.

– Tylko wrzuc to do popielniczki – powiedział. – Pobrudzisz mi wykładzinę.

– Nie ma sprawy. – Kai czyścił już drugi paznokieć.

– Co mu zrobiłeś? – rzucił obojętnie Ouyang.

– Lepiej nie pytaj. – Kai wrzucił do popielniczki ciemnoczerwony półksiężyc. – Nie chciałem, żeby wyglądało to na egzekucję, więc... narobiłem trochę bałaganu.

Uśmiechnął się, podniósł wzrok i dodał:

– Jak... Hm, jak by to powiedzieć? Jak szalenieć.

Ouyang wzdrygnął się i pomyślał: czy to tylko moja wyobraźnia, czy rzeczywiście jest to uśmiech umysłowo chorego?

Wijąc się na czubku noża jak coś żywego, nad popielniczką zawisł kolejny półksiężyc zaschniętej krwi.

Rozdział 26

– Jest pani daleko od domu – powiedział, gdy skończyli jeść.

– Daleko od męża. To nie to samo.

Znając Ouyanga tak, jak go znał, Bourne zastanowił się nad sensem jej słów.

– Dlaczego wyjechała pani z Meksyku?

– Nie mogłam dłużej tolerować wszechobecnego maczyzmu. – Uśmiechnęła się.

– Słysząc go jak bicie bębnow, a ja jestem nowoczesną kobietą.

– Zauważyłem.

Maricruz wytarła serwetką usta i odsunęła tacę.

– Proszę mi powiedzieć, Javvy, czy jest ktoś, kogo pan kocha?

– Nie.

– Smutno jest być samemu, prawda? Wiem, bo długo byłam sama.

– Jeszcze smutniej jest kogoś stracić.

Przyglądała mu się dłużej, niż wypadało.

– Przykro mi. Pańska żona musiała być wyjątkową kobietą.

– Zmarła tutaj, w Mexico City. – Dlaczego jej o tym mówił? Nagle zdał sobie sprawę, że zaraz wpadnie w pułapkę, którą sam na siebie zastawił.

– Zachorowała?

– Zadźgano ją nożem.

– Straszne.

Widział, że Maricruz jest autentycznie wstrząśnięta, co wywołało w nim gwałtowny przypływ dziwnej, stłumionej przyjemności, jakby Rebeka wstała nagle z martwych, jakby znowu była obok niego.

– Dzwoniła do mnie, ale wykrwawiła się, zanim zdążyłem przyjechać.

– To pan ją znalazł?

– Tak. – Spojrzał na swoje ręce. – Mimo całej swojej wiedzy nie zdołałem jej uratować.

– Ale przynajmniej był pan przy niej. Kiedy zamordowano mojego ojca, ja byłam na drugim końcu świata.

Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Jak to się stało?

– Nie udało mi się ustalić. Okoliczności były niejasne. Wiem tylko, że wpłatała się w coś niedobrego i już z tego nie wyszedł.

– Szkoda.

– Nie, chyba nie. Wiedział, co robi i w co się pakuje. Wiedział także, jakie grożą mu niebezpieczeństwa i jakie czekają go nagrody. Ciekawe, ilu z nas może to powiedzieć pod koniec życia?

– Pewnie niewielu – przyznał Bourne.

Powoli wyrabiał sobie o niej zdanie. Myślał, że jest zupełnie inna, i to go niepokoiło. Zakładanie czegoś z góry było ryzykowne, zwłaszcza w przypadku kogoś takiego jak ona. Jakiż ta kobieta miała rodowód! Córka Maceo Encarnacióna i żona Ouyang Jidana: w każdym znaczeniu tego słowa była cennym rarytatem i tak ją zamierzał traktować. Wiedział, że dopóki Maricruz nie pozna jego prawdziwej tożsamości, jakoś sobie poradzi.

– Myślę – powiedziała – że smutek jest najbardziej samotnym uczuciem. Zamykamy się w nim i staje się ono więzieniem, do którego zapomnieliśmy klucza. A czasem dobrowolnie ten klucz ukrywamy, żeby nie móc wyjść na wolność.

Jason podniósł wzrok.

– Tak się pani teraz czuje?

Odpowiedziała mu tylko lekkim uśmiechem.

– Chyba już pójdę.

– Oczywiście.

Wstał i podszedł do drzwi, a wtedy stalowym głosem dodała:

– Żal mi pana, Javvy. Nie potrafi pan uciec przed smutkiem. Pana żony już nie ma. Kochał ją pan, ale teraz jest tylko wspomnieniem.

Zatrzymał się, lecz się nie odwrócił.

– Pora zapomnieć, Javvy.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Tel Awiwu zdał sobie sprawę, że tonie, że śmierć Rebeki coś w nim poruszyła, coś bardzo ważnego, wykraczającego poza czystą chęć zemsty.

– Muszę iść. Zajrzę do pani jutro.

– Wiem, że pan nie potrafi. – Maricruz odwróciła się do ściany. – Mężczyźni są pod tym względem słabi.

– Ufasz jej? – spytał Diego Salazar.

Felipe Matamoros przypalił cygaro i właśnie sprawdzał, czy dobrze się żarzy.

– Dlaczego miałbym jej ufać?

– Jest na to lekarstwo.

Siedzieli w El Ángel przy Venustiano Carranza i przed paroma minutami skończyli jeść lunch. Sześć rozstawionych wokół nich stolików zajmowali żołnierze Los Zetas, bacznie wypatrujący *federales*.

Matamoros założył nogę na nogę, usiadł wygodnie i wydmuchał smugę dymu w powietrze pachnące piwem i prażonym pieprzem.

– Lekarstwo można znaleźć na wszystko – odparł. – Ale w przeciwieństwie do ciebie, wiem, że nie musi to być morderstwo. Ktoś ma na nią oko.

– *Compadre*, obydwoj szkoliliśmy się w siłach specjalnych. Kto głosował za dezercją, kiedy skontaktowała się z nami starszyzna Kartelu z Zatoki? Tą decyzją zabezpieczyliśmy naszą przyszłość i majątek.

– A teraz nasza przyszłość i majątek zależą od Maricruz Encarnación.

– Ouyang – mruknął Salazar. Smukły i śmiertelnie niebezpieczny jak rapier, miał pociągłą twarz, zapadnięte policzki, od dzieciństwa naznaczone głębokimi śladami po ospie, oraz ciemne błyszczące i czujne jak u kruka oczy. – Teraz jest to señora Ouyang.

– Krew to krew. Jest córką Encarnacióna. Inaczej nie wróciłaby do Meksyku.

– Musi dbać o interesy męża.

– I o spadek po ojcu. – Matamoros spojrział na ulicę, której środkiem ciągnął się rząd palm. – Dopóki interesy męża będą zbieżne z interesami zmarłego ojca, będzie ich pilnowała. Ale coś mi mówi, że jeśli, lub kiedy, się rozejdą, Maricruz pójdzie w ślady Encarnacióna.

Salazar zmarszczył brwi.

– Myślisz, że się rozejdą?

– Może nie. – Matamoros przeniósł wzrok na swojego *compadre*. – W każdym razie nie bez naszej interwencji.

Salazar uśmiechnął się, zapalił papierosa i wciągnął do płuc dawkę uspokajającej nikotyny.

– Widzę, że masz już jakiś plan.

Matamoros kiwnął głową.

– Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego zestrzeliliście śmigłowiec *federales* akurat wtedy, kiedy wisiał dokładnie nad nami. Tam, w lesie, na

polanie.

Salazar drgnął.

– Nie rozumiem, *compadre. Federales* atakowali was miotaczami ognia. To chyba oczywiste, że kazałem odpalić rakietę.

– Tak, ale spadając, śmigłowiec zabił kilku naszych. Mógł zabić mnie i Maricruz.

– Co miałem zrobić? Byłem między młotem i kowadłem.

Matamoros zdjął nogę z nogi i pochylił się do przodu, napierając brzuchem na blat. Wyjął cygaro z ust i gdy Salazar odruchowo na nie spojrział, Matamoros pociągnął za spust wyposażonego w tłumik pistoletu, który trzymał pod stołem. Salazar był tak zaskoczony, że jego twarz sparaliżował wyraz najwyższego zdumienia, a zaraz potem osunął się bezwładnie na podłogę.

– Próbowaleś mnie zabić, korzystając z zamieszania – powiedział Matamoros. – Mogłeś przynajmniej zaczekać.

Jego żołnierze otoczyli stolik i wynieśli ciało tak szybko i sprawnie, że żaden z gości nie zorientował się, co się stało; myśleli, że Salazar upił się lub nagle zachorował.

Pamiętając, żeby wytrzeć przedtem krew, na krzesło usiadł Octavio Luz, kolejny *compadre* z Los Zetas.

– Felipe – powiedział – jeśli tak dalej pójdzie, Carlos nie będzie miał nic do roboty.

– Przetrywamy pod warunkiem, że będziemy trzymać się razem. – Matamoros spokojnie palił cygaro. – Niebezpieczeństwo nadchodzi wtedy, kiedy ktoś z kadry zaczyna działać na własną rękę. Ale tak, patrząc na to z innej strony, niewykluczone, że Carlos celowo próbuje nas podzielić.

– To znaczy?

– Podejrzewam, że Maricruz jest dla niego lisem, którego wpuścił do kurnika. Nie muszę ci chyba przypominać, że kiedy stanęła w drzwiach, niektórzy z nas stanowczo zaprotestowali przeciwko temu, z czym przyszła.

– Salazar był przekonany, że jest agentką Carlosa i ma nas skłócić.

– Bardzo wątpię, żeby córka Maceo Encarnacióna, kobieta niezwykle inteligentna, dała sobą pogrywać jak pionkiem. Nigdy by na to nie poszła, chociaż tak, skłócić nas, skłóciła. Ale decyzję, żeby pozbyć się mnie tylko po to, aby trzymać ją na dystans, mógł podjąć jedynie szaleniec. Na sercu leży mi wyłącznie dobro Los Zetas.

– Ja ci wierzę. – Octavio Luz przysunął się z krzesłem bliżej. – *Pero, dígame, compadre*, są wśród nas tacy, którzy podejrzewają, że ta Encarnación owinęła cię sobie wokół palca.

Matamoros splunął na podłogę.

– Co to znaczy?

– Że się w niej zadurzyłeś, że... Nie wiem, jak to powiedzieć... Że rzuciła na ciebie urok.

– Co takiego? Że niby to jakaś *bruja*, czarownica?

– Ja tylko powtarzam, co mówią, Felipe, przychodzę jako przyjaciel.

– Nie, nie, *compadre*, ty ich popierasz, tych nędznych tchórzów zbyt bojaźliwych, żeby powiedzieć mi to prosto w twarz.

Luz cofnął się jak spoliczkowany.

– Bez względu na to, co uważają, sam widzisz, co ta kobieta z nami robi. Jeden z nas już nie żyje, zaczynamy skakać sobie do gardeł.

– Jeśli się pokłócimy, to nie przez nią, wierz mi – powiedział z naciskiem Matamoros. – Pokłócimy się, bo jest w nas głęboka ryna, pęknięcie w szeregach.

Octavio Luz, mężczyzna zbudowany i umięśniony jak zawodowy zapaśnik, pokazał ręką w dół.

– We mnie też celujesz?

Matamoros położył pistolet między talerzami, tak że nikt inny go nie widział.

– *Ay, compadre*, za kogo ty mnie masz?

– Mówię ci, Felipe, czasem trudno cię wyczuć.

Matamoros roześmiał się i poczęstował go cygarem.

– Proszę.

Luz odgryzł koniuszek i przypalił cygaro powoli, omiatając płomieniem drugi koniec.

– Przecież razem chodziliśmy do szkoły – ciągnął Matamoros. – Razem uganiał się za dziewczynami, razem biliśmy się z tymi, którzy chcieli pobić nas.

– Tak, byliśmy jak bracia. Próbujesz przekonać przekonanego, *compadre*. O nic tej kobiety nie podejrzewam, ale masz rację, jest wiele powodów, żeby jej nie ufać.

– I wiele, aby zaufać. Jej propozycja jest kusząca, to dobry interes dla nas wszystkich. Wierzę, że chce utrzymać spuściznę po ojcu. Gdybyś był synem Maceo Encarnacióna, pragnąłbyś tego samego.

– Tak, ale ona od niego uciekła, uciekła z kraju. A teraz wraca i proponuje nam dokładnie to, czego chcemy.

– Przyjacielu, myślę, że przeceniasz Carlosa. Danda to nie Machiavelli.

– Zgoda. – Luz poprawił się na krześle. – Ale co zrobimy z nią? Co zrobimy z Maricruz Encarnación?

Rozdział 27

Gdy Bourne – a dla niej Javvy – wyszedł, opadła na poduszkę. Pomacała wokoło w poszukiwaniu pilota sterującego łóżkiem, ale nie mogła go znaleźć. Ot, niby drobiazg, a jednak ponad miarę zdenerwowana zadzwoniła po pielęgniarkę.

– Chcę się położyć.

Patrzyła, jak kobieta podchodzi do niej i opuszcza oparcie łóżka. Nie znosiła o nic ją prosić. Dzięki Bogu, że pierwsze dni, kiedy musiała wspierać się na pielęgniarce, idąc do toalety, miała już za sobą. Zadrżała. Tak, była wtedy słaba i bezbronna jak dziecko.

– Czy jeszcze coś, señora?

Czyżby zobaczyła szyderczy uśmiech na jej twarzy? Innym razem i w innych okolicznościach od razu by się wściekła, ale teraz miała to gdzieś.

– Nie, to wszystko.

Gdy cicho cmoknęły drzwi, zamknęła oczy. Chciała przeanalizować ostatnią rozmowę z Carlosem, jednak myślami, które zwykle trzymała na krótkiej smyczy, ciągle wracała do Javvy'ego. Javvy... Ciekawa kombinacja siły i smutku, co u mężczyzny jest niezwykle frapujące, zwłaszcza u chirurga, który ją operował.

W jego obecności ogarniało ją intrygujące poczucie seksualnego oddania, jakby mu ulegała. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyła. Nawykła do dominacji, co Jidan bardzo lubił – zaskoczona, dopiero teraz zdała sobie sprawę, że chyba aż za bardzo. To nowe uczucie było dla niej jak *terra incognita* i cofnęło ją do najmroczniejszych dni okresu dorastania, kiedy potężna mieszanka gniewu i szalejących hormonów zmieniła ją w dziewczynę buntowniczą, okrutną i mającą obsesję na punkcie seksu. W tych na wpół zapomnianych nocach i dniach była gotowa spróbować dosłownie wszystkiego, aby tylko poczuć coś – cokolwiek – prawdziwego, czego nie stworzył ojciec.

Małżeństwo było dla niej swoistą transakcją handlową, chociaż doskonale wiedziała, że Jidan ją uwielbia. Transakcją bardzo ciekawą, ponieważ wyszła za kogoś, kto ją bezgranicznie ubóstwiał i kogo zachowanie tak bardzo różniło się od latynoskiego macyzmu, który był dla niej odmianą mizoginii. Zresztą Chinami władała kiedyś kobieta, cesarzowa Wu Zetian, autorka wielu reform społecznych, religijnych i historycznych, które przetrwały po jej śmierci. Nie żeby Chińczycy

byli szczególnie uprzedzeni do kobiet – tego rodzaju uprzedzenia, jawne lub skrywane, można znaleźć we wszystkich zdominowanych przez mężczyzn społecznościach – ale tak, w historii zapisało się wiele takich pań, które nie mogąc rządzić otwarcie, rządziły zza muślinowych zasłon alkowy.

I znowu pomyślała o swoim lekarzu. Javvy... Nie było w nim ani krztyny meksykańskiego macyzmu, dla wielu kobiet nie wiedzieć czemu tak atrakcyjnego, lecz nie dostrzegła w nim również perwersyjnej niejednoznaczności Jidana, graniczącej chwilami z dwupłciowością.

Tak, przyciągał ją jak magnes, jakby nagle straciła wycucie kierunku, co wzbudzało w niej strach, z każdą chwilą gęstniejący jak mgła okrywająca ziemię, po której stąpała.

Zamknęła oczy i już zasypiała, gdy wtem stężoną ciszę zburzył nieludzki wprost krzyk. Gwałtownie usiadła na łóżku. Krzyk zabrzmiał ponownie, niosąc się echem po całym szpitalu.

Maricruz wstała i otworzyła drzwi. Na stanowisku pielęgniarek nie było nikogo, podobnie jak na korytarzu, gdzie nerwowo przestępując z nogi na nogę, stał tylko Julio, jej nocny ochroniarz.

– Co się stało? – spytała.

Julio wzruszył ramionami.

Trzeci krzyk, piskliwy i pełen przerażenia, zdawał się dochodzić z pokoju oddalonego trzydzieści metrów od jej separatki.

– Cholera jasna, gdzie są te wszystkie pielęgniarki?

Julio znowu wzruszył ramionami.

– W nocy to tutaj normalne – odparł. – Między innymi dlatego szef każe nam pani pilnować.

„Między innymi”, pomyślała, kierując się w stronę pokoju.

– Gdzie pani idzie?! – zawołał. – Señora, *por favor!* Stracę przez panią pracę!

Nie zwracając na niego uwagi, stanęła przed drzwiami. Były zamknięte. Krzyk ucichł, ale słyszała teraz ściskające za serce skamłanie, tak głębokie, jakby dobiegało z zakrwawionej piersi. Wzięła się w garść i przekreśliła gałkę.

W pokoju zobaczyła dziewczynkę z fizykoterapii. Siedziała na łóżku w skłębionej pościeli. Maricruz poczuła mdlący smród, a podszedłszy bliżej, spostrzegła, że dziewczynka siedzi we własnych odchodach. Miała odchyłoną do tyłu głowę i odsłoniętą szyję. Patrzyła w sufit i gdy Maricruz stanęła przy łóżku, z niewyobrażalną wprost udręką znowu zawyla jak zwierzę.

W przerwach między tymi strasznymi krzykami Maricruz zawołała ochroniarza. Kiedy zajął do pokoju, spytała:

– Gdzie są pielęgniarki, do diabła?

– Nie wiem, señora, naprawdę.

– Jezu Chryste...

– Señora?

– Chodź tu, Julio. Podnieś ją.

– Co pani robi? – Ochroniarz zatkął ręką nos i usta. – Jak pani może wytrzymać w tym smrodzie?

– Mówisz poważnie? Na miłość boską!

Maricruz pochyliła się i dźwignęła dziewczynkę z łóżka – zimną i sztywną jak marmurowy posąg. Nie zważając na chore ramię, zaniósła ją do łazienki, zdjęła koszulę i tuląc oraz łagodnie przemawiając, zaczęła myć dziecko. Przez cały czas dziewczynka opierała się o jej ramię i Maricruz umierała z bólu, lecz tak jak ten na fizykoterapii, był to dobry ból, wykraczający poza zwykłe skutki pobicia. Wydobywał z niej nią samą.

Myjąc dziewczynkę, poczuła, że coś się w niej zmienia. Zmiana była tak powolna, że początkowo jej nie zauważyła, ale gdy odkładała ręcznik, dotarło do niej, że trupia sztywność ciała chyba ustąpiła i że teraz głowa dziecka spoczywa w zagłębieniu jej ramienia. Dziewczynka już nie krzyczała, ale też nie milczała. Z jej ust, jak pęcherzyki powietrza z ust tonącego, nieustannie dobywały się słowa i urywane zdania. Maricruz uważnie słuchała, lecz brzmiały bezsensownie, jak paplanina raczkującego malucha.

Nie mogła znaleźć drugiej koszuli, więc owinęła dziewczynkę ręcznikiem i wyszła z łazienki. Julio cofnął się na ich widok. Oczywiście. Żalowała, że nie ma Tygrysa, bo on by jej pomógł.

Korytarz był wciąż opustoszały, ale kiedy doszła do swojego pokoju, nareszcie pojawiła się pielęgniarka.

– Señora, co pani robi?

– A jak pani myśli? – Maricruz odepchnęła łokciem Julia i weszła do środka.

Pielęgniarka pobiegła za nią.

– Czy to kolejna pacjentka? Señora, tak nie wolno! Nie może pani...

– Nie mogę? – odparła Maricruz ostrzej, niż zamierzała. – To spróbuj mi ją zabrać!

Pielęgniarka wypadła na korytarz i podniosła słuchawkę telefonu.

– Jeśli pani nie przestanie, będę musiała zadzwonić po ochronę. Trzeba ją zanieść z powrotem do pokoju, to wbrew regulaminowi...

– A czy wasz regulamin pozwala na to, żeby na całym piętrze nie było ani jednego lekarza i pielęgniarki? Żeby pozostawione bez opieki dziecko wyło jak zwierzę, siedząc we własnym gównie? Czy wasz regulamin przewiduje sytuację, w której mała, ciężko znerwicowana dziewczynka zostaje w nocy sama? – Maricruz łypnęła na nią spode łba. – Śmiało, niech pani dzwoni. A ja poproszę, żeby Julio zadzwonił do señora Carlosa i zobaczymy, kto będzie górą.

Nie chcąc do końca stracić twarzy, pielęgniarka stała przez chwilę ze słuchawką w ręce. Gdy ją w końcu odłożyła, Maricruz kazała zawołać salową.

– Niech tam posprząta – rozkazała. – Albo nie. Niech pani tam posprząta, a potem każe wstawić tu drugie łóżko.

– Łóżko można wstawić dopiero jutro – odparła lodowato pielęgniarka. – Magazyn jest w nocy zamknięty.

– To niech pani przyniesie dla niej świeżą koszulę. – Maricruz położyła dziewczynkę na łóżku.

Pielęgniarka przyniosła koszulę i chciała ubrać małą, lecz Maricruz jej nie pozwoliła.

– Ja to zrobię. A pani niech idzie posprzątać.

Pielęgniarka zaważała się, ale wtedy w progu stanął Julio.

– Rób, co señora każe, bo od jutra będziesz salową.

Pielęgniarka wydała zduszony, gardłowy odgłos i odwróciła się na pięcie. Jej buty zapisały na wyłożonym linoleum korytarzu. Szła do pokoju dziewczynki.

Julio zrobił krok do przodu.

– Mogę jakoś pomóc?

Maricruz przeszła go wzrokiem i natychmiast wyszedł, by znowu usiąść na składanym krześle pod drzwiami. Potem rozwinęła ręcznik i ubrała dziewczynkę w świeżą koszulę. Mała leżała bez ruchu, nie odrywając oczu od jej twarzy.

– Jesteś już bezpieczna – szepnęła Maricruz. Pochyliła się, muskając ustami jej chłodne, wilgotne czoło. – Teraz będzie ci ciepło i dobrze.

Gdy się położyła i przykryła kocem, mała znowu zeszywniała, drżąc jak suchy liść podczas burzy.

– Już dobrze – szepnęła Maricruz. – Nic ci nie grozi, już nic ci nie grozi...

Napięcie w drobnym ciele powoli ustępowało, aż w końcu dziewczynka zwinęła się w kłębek i wtuliła w nią jak pies lub kot. Była tak wychudzona, że

opuszkami palców Maricruz wyczuwała każdą kość jej kręgosłupa. Pocałowała małą w czubek głowy.

Dużo później gotowa była przysiąc, że dziecko cichutko mruczy.

•••

Przesyłkę od Amira Ofira, którą przywiózł kurier, Hale odebrał w swoim elegancko urządzonej mieszkaniu w Colonia Roma, na południe od centrum handlowego Zona Rosa. Gdy został sam, otworzył tajemniczy pakunek i uśmiechnął się na widok woskowych pieczęci. Cały Amir, pomyślał.

Długo przyglądał się taśmie z odciskiem palca, potem dwa razy przeczytał instrukcję. Nauczywszy się jej na pamięć, przysunął bliżej popielniczkę, zapalił zapałkę, przyłożył do płomienia róg kartki i zaczekał, aż strawi ją ogień. Potem wstał, wszedł do toalety, wrzucił popiół do muszli i spuścił wodę.

Zabrał się do pracy. Najpierw podszedł do dużej dębowej szafy z trzynastoma długimi, wąskimi szufladami, w jakich artyści i marszandzi przechowują ryciny. Każda szuflada była opatrzona dwiema literami. On otworzył drugą, z C-D, i wyjął plany architektoniczne pałacowej willi Carlosa Dandy Carlosa. Rozłożył je na stole pod lampą z wyginanym ramieniem i studiował przez dobre pół godziny. Zyskawszy pewność, że wie już, w czym rzecz, schował plany do szuflady, wszedł do warsztatu, skompletował wszystkie niezbędne części i złożył je uważnie w jaskrawym świetle innej lampy, z zegarmistrzowską lupą w oku.

Zanim skończył, na wewnętrzzną stronę urządzenia nałożył odcisk palca z przysłanej przez Amira taśmy.

Potem wziął dużą torbę, jedną z tych, jakie noszą hydraulicy, zapakował do niej gotowe urządzenie oraz niezbędne narzędzia i wyszedł z domu. Już od kilku godzin miastem władała noc. Niebo pokrywały niskie, groźne chmury, które odbijając światło, malowały je w upiorne blade wzory. Co kilka sekund grzmiało tak głośno, że drżały szyby w oknach, parę razy niebo rozcięła błyskawica. Powietrze było ciężkie i naładowane nieokiełznaną elektrycznością.

Hale wsiadł do autobusu jadącego skrajem parku Chapultepec. Wsiadł za pomnikiem Diany. Zaczęło padać, najpierw drobna mżawka, a potem lunęło tak mocno, że strugi deszczu odbijały się od chodnika jak od bębna. Aleją prezydenta Masaryka doszedł do Rubén Darío i skręciwszy w cichą, wysadzaną drzewami uliczkę, natychmiast spostrzegł kilku tajniaków wokół rezydencji i parkującego

przy krawężniku SUV-a Carlosa Dandy Carlosa. Świetnie, pomyślał, jest w domu. Willa strzelała w niebo jak średniowieczny zamek za wysokim murem zwieńczonym fioletowymi kwiatami bugenwilli i drutem kolczastym.

Cofnąwszy się do Rubén Darío, Hale ruszył w kierunku następnej uliczki, prostopadłej do alei biegnącej wzdłuż parku, gdzie majaczyły ciemne, posępne drzewa. Przejeżdżające samochody wyrzucały w powietrze fontanny wody z kałuż, ich światła rozbłyskiwały i gasły w oddali.

Skręcił i znalazł się na ulicy równoległej do tej poprzedniej, za domem Carlosa. W głębokim mroku spowijającym okolicę znalazł skrzynkę elektryczną na wpół ukrytą za gęstym listowiem – była dokładnie tam, gdzie według planów architektonicznych willi miała być.

Ukryty przed deszczem i wścibskimi oczami tajniaków włożył gumowe rękawiczki i starannie wytarł torbę, usuwając z niej odciski palców. Postawił ją na ziemi, wyjął narzędzia i zabrał się do pracy. Siedem minut później, gdy przeciął kable, światła w willi zamrugały, a następnie zgasły. Natychmiast rozległy się krzyki oraz nawoływania ochroniarzy. Zostawiwszy otwartą torbę, Hale popędził z powrotem.

Zgodnie z przewidywaniami tajniacy pobiegli do skrzynki i pewnie zagłądali już do torby. Na chodniku przed willą został tylko jeden, ale nawet on spoglądał bezradnie w stronę głównej alei, na próżno próbując cokolwiek wypatrzeć. Rzucił coś do mikrofonu krótkofalówki – pewnie pytał, co się dzieje, i kiedy poprawił słuchawkę w ucho, aby wysłuchać meldunku, Hale ruszył w jego stronę.

Gdy zrównał się z SUV-em, zza rogu wyjechała duża ciężarówka. Wtedy, jak na umówiony znak, pochylił się, przytknął do podwozia samochodu małe pudełko wraz z obciążającym odciskiem palca, wyjął z kieszeni komórkę i wszedł na jezdnię tuż przed ciężarówką. Zatrąbił klakson, tajniak odwrócił się na pięcie, ale w świetle reflektorów dostrzegł jedynie tył jego głowy, bo Hale był już po drugiej stronie ulicy.

– Hej, ty! – krzyknął ochroniarz. – Stać!

Chodnikiem nadbiegło dwóch innych tajniaków. Wtedy, ukryty za stalowym cielskiem ciężarówki Hale nacisnął guzik i zdetonował ładunek. SUV wyleciał w powietrze, zaświszczał grad odłamków. Ochroniarza, który do niego krzyknął, momentalnie ogarnęły płomienie. Biegnącemu przodem tajniakowi siła wybuchu rozerwała pierś i zdarła twarz, a trzecim cisnęła o słup latarni, łamiąc mu kręgosłup.

Tymczasem Hale zniknął w mroku między dwoma domami. Za plecami słyszał podniesione głosy i krzyki, ale miał przygotowaną trasę ucieczki, a ulewa ułatwiła mu zadanie. Niecałe dziesięć minut później wszedł do autobusu, którym dojechał do pomnika Diany i Colonia Roma.

Rozdział 28

Gdy w końcu zasnęła, śnił się jej Jidan, niespokojny sen, w którym ciągle biegła, nieustannie natrafiając na ślepe korytarze bezkresnego labiryntu. Ale gdy się obudziła, pamiętała jedynie fragmenty tych mrocznych obrazów – napełniły ją niewytłumaczalnym strachem, który wprawił ją w gniew i nie opuścił jej aż do rana.

• • •

– Czego ty właściwie chcesz od tej Maricruz?

Bourne pokręcił głową.

– Lepiej nie pytaj.

W okna mieszkania Anunciaty bębnił deszcz. Zagrzmiało i wznoszący się naprzeciwko kościół utonął na krótko w świetle błyskawicy, zimnym jak blask księżycy.

Anunciata wzruszyła ramionami.

– Nienawidzisz tego miasta, co?

– To za mocne słowo.

– Tu umarła ta, którą kochałeś.

Jason położył się na sofie.

– Czuję się jak u terapeuty. Czy mam zapłacić za sesję, pani doktor?

Anunciata roześmiała się.

– Nie, nie musisz mi nic mówić.

– Przyjechałem, bo mam tu robotę.

Podeszła do lodówki, wyjęła dwie butelki piwa, podała mu jedną i usiadła naprzeciwko.

– Nie masz żadnej roboty. Robisz, co chcesz.

– Co muszę. – Bourne odstawił butelkę. – Ty chyba też.

Pociągnęła łyk piwa, podniosła się, zrzuciła buty i usiadła na nim okrakiem.

– Co robisz? – spytał.

– To, co chcę. – Podniosła rękę. – Zdejmij mi podkoszulek.

– To zły pomysł, Anunciato.

Odstawiła butelkę, skrzyżowała ręce i ściągnęła go sama. Nie miała stanika, nie potrzebowała. Jej zwieńczone twardymi, ciemnymi sutkami piersi błyszcząły w miedzianym świetle lampy. Pochyliła się, żeby go pocałować, ale przytrzymał ją za kremowe ramiona.

– Nie podobam ci się? – spytała.

– Przecież wiesz, że tak.

– To w czym problem? – Długo patrzyła mu w oczy. – Aha, rozumiem.

Przepraszam.

– Nie przepraszaj.

Włożyła podkoszulek, lecz nie zeszła z Jasona.

– Jesteś jedynym człowiekiem, który mi pomógł i okazał mi dobroć, nie oczekując niczego w zamian.

Znowu się pochyliła, lecz tym razem wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia. Gdy poczuł, że drży, objął ją i pogłaskał. Jej gorące łyzy parzyły mu szyję.

– Urządziłaś się – szepnęła. – Nauczyłaś się dobrze żyć.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Nauczyłam się, jak przetrwać, to nie to samo. Czasem obijam się o ściany, czując, że zaraz eksploduje mi mózg. I kiedy nie mogę już wytrzymać, idę do baru czy klubu. Czasem kogoś poznaję, czasem nie. A kiedy ktoś mi się naprawdę spodoba, mówię mu, że mam na imię Lolita, chociaż Lolita żyje tylko na kartach mojej ulubionej powieści. Już mam zaprosić go do siebie i nagle myślę: A jeśli to ktoś od ojca? Jeśli szuka mnie, odkąd uciekłam z willi przy ulicy Castelar? Jeśli skończę w ciemnym zaułku z poderżniętym gardłem? Sam widzisz: oprócz hakerskiego nicka nie mam ani rodziny, ani nawet tożsamości.

– Lolita.

– To imię to chory żart.

Ułożył ją obok siebie.

– Nie łatwiej ci po śmierci ojca?

– Nie, chyba nie. Jego wpływy nie umarły wraz z nim, jego ludzie wciąż tu mieszkają. Tym bardziej że jesteśmy w Meksyku. Nie jestem damą jak Maricruz. Pochodzę z biednej chłopskiej rodziny. Nie przyjęto by mnie do jej kręgów.

– Chybabyś nie chciała.

- Mówisz tak, bo sam się w nich obracasz.
- Naprawdę byś chciała?
- Nie wiem, czego chcę – odparła z głębokim westchnieniem. – Wiem tylko, że w moim życiu brakuje czegoś ważnego, dlatego tak mi źle.

Długo milczeli, wsłuchując się w odgłosy kłótni na ulicy i szczekanie psów. W szyby wciąż bębnił deszcz.

- Trudno jest być twardym – powiedział w końcu Jason.

A ona, jakby dał jej pozwolenie, przytuliła się mocniej i poprosiła:

- Opowiedz mi coś – szepnęła. – Coś wesołego. Opowiedz mi o Rebecce.

• • •

- Widziano, jak ktoś podkładał bombę pod pański samochód – zameldował sierżant Rivera.

- Przyjrzelście się mu? – Ubrany w ciemnobrązowy jedwabny szlafrok Carlos Danda Carlos stał przed okazałym marmurowym wejściem do willi. Ochroniarze chcieli przewieźć Carlosa w inne miejsce, lecz zdecydowanie odmówił. Nie zamierzał dać się zastraszyć i wyjść na tchórza, który z byle powodu bierze nogi za pas.

- Niestety – odparł Rivera. – Uciekł i widać go było tylko przez ułamek sekundy, w świetle ciężarówki. Chciałem go ścigać, ale po eksplozji nastął chaos. Zginęło trzech żołnierzy, i przede wszystkim musieliśmy zadbać o pańskie bezpieczeństwo. Poza tym pogoda jest fatalna. Nie dalibyśmy rady go znaleźć.

- Ten sukinsyn wysadził w powietrze mój samochód, zabił trzech moich ludzi – powiedział Carlos, przekonany, że zamach był odwetem za to, co wydarzyło się w San Luis Potosi.

Rivera przestąpił z nogi na nogę.

- Dobrze w tym wszystkim jest tylko to, że na fragmencie z wnętrza bomby znaleźliśmy odcisk palca.

- Jakim cudem?

- W środku była osłona. Technicy mówią, że to bardzo skomplikowana konstrukcja.

- Znajdźcie porucznika Riosa – rozkazał Carlos. – I przyprowadźcie go do mnie.

- Tak jest.

Przywrócono zasilanie i zapaliły się światła, mimo to wciąż nie mógł otrząsnąć się ze złych przeczuc, które naszyły go w chwili, gdy w domu zapadła ciemność. Bojąc się najgorszego, natychmiast zszedł z dziewczyny, z którą był tej nocy. A bał się najgorszego, odkąd Los Zetas wykończyli Raula Girona i jego poruczników, odkąd dostał meldunek, że zestrzelono cztery śmigłowce, które osobiście tam wysłał, i że zginęli wszyscy lecący nimi żołnierze. Rozdzierająca Meksyk wojna karteli przybrała zupełnie nowy, wrogi wymiar. Co więcej, był całkowicie przekonany, że Maricruz Encarnación-Ouyang pomoże mu nie tylko ukrócić ogarniający kraj zamęt, ale także doprowadzić do radykalnych przetasowań między rywalizującymi ze sobą graczami.

Wkrótce przyszedł porucznik Rios, elegancki wąsacz, któremu Carlos ufał i na którym mógł zawsze polegać.

– Chodzi o tę bombę – zaczął Carlos. – Jedź do laboratorium. Niech Amerykanie przepuszczą ten odcisk przez swój system. Ciągłe proponują nam pomoc w walce z kartelami i trzeba to wykorzystać. Niech pokażą, na co ich stać, mają okazję. – Chwycił Riosa za ramiona. – Do wschodu słońca chcę wiedzieć, czyj to odcisk. Chcę wiedzieć, kto chciał mnie zabić.

•••

– A kogo my tu mamy? – powiedział Bourne, wchodząc do separatki mniej więcej o tej samej porze, co poprzedniego dnia.

– Widzę, że miał pan odwagę wrócić – odrzekła Maricruz, obejmując dziewczynkę ramieniem. – To dobrze. Angél, to jest pan doktor Javvy.

– *Hola* – pozdrowił ją z uśmiechem Jason. I, już po angielsku, zwrócił się do Maricruz.

– Skąd ona się tu wzięła?

– Niech pan nie przestaje się uśmiechać.

– Z miłą chęcią.

– I nie zadaje jej żadnych pytań.

– Jak pani sobie życzy.

Maricruz opowiedziała mu pokrótce, dlaczego dziewczynka trafiła do szpitala.

– Dobrze się czuje? – spytał. – Może ją zbadam?

– Badano ją Bóg wie ile razy i nie wiem, jak by zareagowała, zwłaszcza że jest pan mężczyzną.

Bourne kiwnął głową.

– Ma rodzinę?

– Jak dotąd nikt się po nią nie zgłosił.

– A jeśli się nie zgłosi?

– Wtedy się tym zajmę.

Jason ukucnął.

Gdy jego twarz znalazła się na wysokości twarzy dziewczynki, spytał:

– Angél, wiesz, dlaczego wrona siada na najwyższej gałęzi drzewa?

Angél przyjrzała mu się uważnie i powoli pokręciła głową.

– Bo wyżej już się nie da – powiedział z uśmiechem Bourne.

Dziewczynka zachichotała, on się roześmiał, a Maricruz posłała mu dziwne spojrzenie.

– Chcesz jeszcze jedną zagadkę? Może tym razem zgadniesz?

Nieśmiało kiwnęła głową.

– Dobrze, zobaczmy... – ciągnął Bourne z udawanym namysłem. – Co chodzi po ścianie i świeci?

Zmarszczyła czoło.

– Chyba... nie wiem.

– Mucha ze złotym zębem.

Tym razem roześmiała się głośno i serdecznie i Maricruz popatrzyła na nich zaintrygowana.

Gdy Jason wstał, dziewczynka poprosiła go o jeszcze jedną zagadkę.

– Dobrze, jeszcze jedna, chociaż nie znam ich zbyt wiele. Niech pomyślę... Mam.

Mieszka w korycie przez całe życie. Co to jest?

Angél zastanowiła się i uśmiechnęła szeroko.

– Wiem! Rzeka!

– Zgadłaś! – Bourne potargał jej włosy.

– Nie! – ostrzegła go Maricruz.

Ale dziewczynka nie cofnęła się ani nie wzdrygnęła. Co więcej, wzięła go za rękę.

– Lubię pana – powiedziała. – Pan jest śmieszny.

Jason uśmiechnął się i wstał.

– Dziękuję, że znalazł pan dla niej czas – odezwała się Maricruz. – Tak niewielu osobom się chciało.

– Na to wygląda – odrzekł po angielsku. Angéł wciąż trzymała go za rękę. – Nie musi mi pani mówić, jak znalazła się w pani pokoju.

Wiedział, że jeśli tylko dobrze to rozegrać, ktoś, kogo zapewnimy, że nie musi czegoś robić, postąpi odwrotnie.

– Znalazłam ją w środku nocy, siedziała we własnych odchodach. – Maricruz pogłaskała Angéł po głowie. – Potwornie krzyczała. Nie mogłam znaleźć ani jednej pielęgniarki. To było straszne.

– Tak. To straszne. – Bourne wyczuł, że mówią o dwóch różnych incydentach.

Na chwilę spotkali się wzrokiem i Maricruz lekko odwróciła głowę.

– Miał pan rację – wyznała. – Nie spadłam z roweru. Nie było żadnego wypadku. – Znowu spojrzała mu w oczy, tym razem z wyraźną determinacją. – Byłam w San Luis Potosi. Mogę chyba powiedzieć, że gościłam u kogoś, kogo nie powinnam odwiedzać.

W grę wchodzi tylko Felipe Matamoros i Raul Giron, pomyślał Bourne. Obstawiał Matamorosa, potężniejszego z narkotykowych bossów.

– Trudny człowiek.

Spojrzała na niego z ciekawością.

– Agresywny. To odpowiedniejszy przymiotnik.

– Pobił panią?

– Doszło do pewnego... nieporozumienia i widzi pan skutki.

– Ładne mi skutki.

– Ładne nieporozumienie.

Nie wierzył jej i widział, że Maricruz o tym wie. Mimo to wciąż nie chciała się przed nim otworzyć. Nie była jeszcze gotowa i dobrze to rozumiał.

Wziął dzbanek ze stolika na kółkach, nalał wody i podał jej kubek. Siedząca między nimi Angéł była jak most, jak pierwsze zielone pędy kiełkującego między nimi zaufania.

– *Gracias* – powiedziała Maricruz. Wypiła do dna i odstawiła pusty kubek.

Uśmiechnęła się, po raz pierwszy szczerze i ciepło. Było widać, że powoli opuszcza gardę.

– Maricruz, czy ma pani jakieś kłopoty? – spytał.

Natychmiast coś się w niej zamknęło.

– Już mówiłam, doszło do nieporozumienia, to wszystko.

Ale cień niepokoju, który przemknął przez jej twarz, mówił co innego.

Rozdział 29

Siedem minut po tym, jak Carlos Danda Carlos przyjechał do biura, do jego gabinetu wszedł porucznik Rios z cienką kartonową teczką, którą położył na biurku.

– Według naszych techników bomba była bardzo skomplikowana. C-4, profesjonalna robota, na pewno nie tych z karteli.

– Nawet nie Los Zetas?

– Nasi nigdy dotąd czegoś takiego nie widzieli.

Po brzuchu Carlosa rozlała się ciepła fala strachu.

– A więc z importu.

– To jedyne logiczne wytłumaczenie. I pasuje do tego odcisku. W naszej bazie danych nic nie było, ale uderzyliśmy do Amerykanów i trafiliśmy w dziesiątkę.

– Świetnie.

Nocna burza oczyściła ulice i dachy domów. Słońce dopiero wstało i nie zdążyło jeszcze ogrzać powietrza ani wskrzesić smogu, dlatego niebo było czyste i oślepiająco błękitne, bez najmniejszego śladu mgły.

– Nie było łatwo – ciągnął Rios. – Początkowo blokowali nas coraz wyższymi poziomami bezpieczeństwa, żądali certyfikatów dostępu do tajnych informacji, ale kiedy powiedzieliśmy im, o co chodzi, chętnie poszli na współpracę.

Carlos otworzył teczkę, która zawierała tylko jeden wydruk komputerowy ze zrobionym przez teleobiektyw ziarnistym zdjęciem głowy.

– Bourne – mruknął. – Bombę skonstruował Jason Bourne. – I pomyślał: nic dziwnego, że była skomplikowana.

– Chyba się go boją – dodał Rios. – Dużo by dali, żeby nie żył.

– Ja też. – Carlos zwrócił teczkę porucznikowi. – Natychmiast rozpowszechnijcie to zdjęcie. Roześlijcie je do wszystkich oddziałów wojska i policji. W ciągu godziny ma być na wszystkich lotniskach, dworcach autobusowych i kolejowych, postojach taksówek i w wypożyczalniach samochodów. Znajdźcie tego sukinsyna. A kiedy go znajdziecie, od razu zabijcie.

Porucznik Rios wyszedł na korytarz, zawołał sierżanta Riverę i gdy ten wystawił głowę ze swojego boksu, dał mu zdjęcie Bourne'a.

– Roześlijcie to do wszystkich. Ale do wszystkich, jasne? – Przekazał mu rozkazy Carlosa. – Szeef chce, żeby trafiło do ludzi w ciągu godziny.

– Tak jest, panie poruczniku.

Rios obserwował, jak sierżant odchodzi, a potem niespiesznym truchtem zbiegł na dół do głównego holu. Wyszedł na dwór, przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł się w małym parku. O tej porze było tam jedynie dwóch włóczęgów, których przepędził kopniakiem, i gołębie, które chodziły za nim z nadzieją, że je nakarmi.

Zostawszy sam, wyjął z kieszeni jednorazowy telefon na kartę – kupował nowy trzy razy w tygodniu – nacisnął przycisk szybkiego wybierania i przytknął aparat do ucha.

– Coś nowego? – spytał znajomy głos.

– Bardzo ważna wiadomość. Na fragmencie bomby, którą podłożono pod samochód Carlosa, znaleziono odcisk palca Jasona Bourne'a.

– Nie wierzę – powiedział Felipe Matamoros. – Bourne nie byłby tak nieostrożny.

Riosa bardzo ciekawiło, dlaczego Matamoros nie jest zaskoczony obecnością Bourne'a w Meksyku, wiedział jednak, że w tym przypadku ciekawość należy poskromić, bo może być niebezpieczna.

– Wszystkie dowody wskazują na niego. Szeef kazał nam rozdać jego zdjęcie...

– Skąd je, do diabła, wytrzasnął?

– Dostał od CIA.

– Oczywiście. CIA poluje na Bourne'a od lat. Chcą, żeby Carlos odwalił za nich brudną robotę.

Rios rozejrzył się ukradkiem. Podczas krótkich rozmów z człowiekiem, który płacił mu małą fortunę za informacje o Carlosie, zawsze zachowywał wzmożoną czujność.

– Jakież polecenia?

– Nie. Informuj mnie tylko, co z tym Bourne'em.

•••

Maricruz zagryzła dolną wargę.

– Chcę panu ufać, ale chyba nie mogę.

– Zatem rzeczywiście ma pani kłopoty. – Wyraz jej twarzy mówił, że tak jest. –

Może mógłbym pani pomóc.

Spojrzała na niego sceptycznie.

– Niby dlaczego? Jestem tylko zwykłą pacjentką, jedną z wielu...

– Ale Angél nie jest.

To ją zastanowiło.

– Będzie jej potrzebny adwokat – ciągnął Jason. – Tak, przywiązała się do pani, to prawda. Ale teraz jest pani cudzoziemką i pod tym względem niewiele tu pani zdołała.

Maricruz przyciągnęła dziewczynkę do siebie, objęła ją i mocno przytuliła.

– Nie pozwolę, żeby coś się jej stało. Nie pozwolę.

– Kto zrozumie to lepiej niż ja?

Przyglądała mu się długo i intensywnie.

– Co się stało?

– Próbuję pana rozgryźć. Nie wiem, na co pan liczy.

Bourne roześmiał się.

– Na nic, Maricruz, żyję w innym świecie. Jeśli już, to raczej obliczam.

Wskaźniki zgonów.

Maricruz zbliżyła usta do ucha dziewczynki.

– I co o tym myślisz, *guapa*? – szepnęła.

Mała uśmiechnęła się do Bourne'a. Odpowiedział tym samym. Maricruz i ona odbyły krótką rozmowę bez słów i Maricruz kiwnęła głową, jakby się poddawała.

– Pobito mnie celowo – powiedziała powoli, niemal z bólem.

– Oczywiście, że celowo. To był zawodowiec, wiedział, co robi.

Posłała mu smutny uśmiech.

– Ale boję się, że zrobił to na moje polecenie.

Bourne'a trudno było zaskoczyć, jednak to nim wstrząsnęło.

– Na miłość boską, ale... ale dlaczego? Po co?

– Żeby zdobyć zaufanie kogoś, kto miał powody, żeby mnie o coś podejrzewać.

Jason wstał.

– Chyba powinna pani przestać, zanim powie pani coś, czego będzie pani żałowała.

– Javvy, myślałam, że mogę panu zaufać.

– Oczywiście, że tak. Nie powiedziałbym nikomu ani słowa, ale zacznę czuć się trochę nieswojo...

– Niech pan usiądzie. – Wskazała krzesło. – Proszę.

Bourne nadal stał. Musi ją bardziej zachęcić.

– Wracając do tematu. Mówi pani ogólnikami i tak jest chyba mądrzej.

– Naprawdę tak pan myśli?

– Muszę już iść.

Odwrócił się do drzwi i wtedy z mocą powiedziała:

– Chodzi o Carlosa. Muszę się do niego zbliżyć.

Jason zamarł.

– Dlaczego mi to pani mówi?

– Nie wiem.

Przyjrzał się jej krytycznie.

– Chyba pani wie. Zwierzając mi się, robi pani ze mnie współnika.

– Tak.

– Chciała pani tego od samego początku.

Maricruz zawahała się.

– Tak, chyba tak.

– Dlaczego?

Myślała o tym, odkąd obudziła się z poczuciem, a nawet pewnością, że odpowiedzią na to pytanie jest sen, który śniła.

– Chce pan znać prawdę?

– Zawsze.

– Dlatego, że niczego pan się nie boi. I dlatego, że, jak mówiłam, potrzebuję pomocy.

– Ale w czym?

– Raczej z kim.

– Z Carlosem.

– Tak. Z Carlosem.

– Maricruz, skoro już tak otwarcie nawołuje pani do buntu, właściwie dlaczego wróciła pani do Meksyku?

– Musiałam porozmawiać z Felipe Matamorosem i Raulem Gironem.

– A więc chodzi o narkotyki. Skąd pewność, że nie doniosę na panią federalnym?

Uśmiechnęła się słodko.

– I co by im pan powiedział?

– Rzeczywiście. – Jason roześmiał się wesoło, świadom, że ją do siebie przekonał.

Lubi wygrywać, pomyślał. Nie, uwielbia wygrywać. Tylko tym żyje. I właśnie to jest jej słaby punkt.

– Co pan wie o Carlosie? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Tylko to, co piszą o nim w gazetach. Według *el presidente*, to prawdziwy bohater.

– Jasne, ostatecznie sam go wybrał.

– Oportunizm. Rozumiem.

– Tylko tyle?

– A jest coś więcej?

– Pod przykrywką walki z kartelami Carlos czerpie korzyści z ich dochodów.

– Ma pani na to dowód?

– Gdy kilka dni temu spotkałam się w San Luis Potosi z Matamorosem i Gironem, towarzyszył Gironowi. Co więcej, to on był rzecznikiem Sinaloa.

– Czytałem, że Girona zamordowano, jego i jego ludzi. Ale nie wierzę wszystkiemu, co piszą w gazetach.

– Nie, ta wiadomość jest prawdziwa. Byłam tam. Los Zetas mieli dość ich podwójnych gier.

– Ale Carlosa nie tknęli.

– Bo był na tyle sprytny, że nocą wrócił tutaj, do stolicy.

– Uciekł z miejsca zbrodni.

Maricruz kiwnęła głową.

– Jak na tchórza przystało.

– Wtedy namówiła pani ludzi Matamorosa, żeby panią pobili.

– Jestem koniem trojańskim.

– I co teraz?

– Teraz – odparła – pomoże mi pan zabić Carlosa Dandę Carlosa.

Rozdział 30

– Pani żartuje – powiedział, kiedy pielęgniarka wyszła z pokoju z tacą. Mimo namów i próśb Maricruz Angél zjadła bardzo mało, choć trochę więcej niż poprzedniego dnia. – Jestem lekarzem. Dlaczego myśli pani, że pomógłbym pani kogokolwiek zabić?

Dziewczynka szepnęła jej coś do ucha.

– *Claro, sí, guapa.* – Maricruz cmoknęła ją w policzek.

Angél zeskoczyła z łóżka i zerknąwszy na nią przez ramię, pobiegła do toalety.

– Może pan nie uwierzy, ale to dla niej wielki postęp.

– Widzę, że ma nawet swoje łóżko.

– Tak, ale nie chce w nim spać. Nie szkodzi, lubię, kiedy śpi ze mną.

Zapadła cisza.

– A jeśli chodzi o to, co pan przed chwilą powiedział, Carlos Danda Carlos nie jest kimkolwiek – dodała Maricruz.

– Zgoda, ale przysięgałem ratować życie, nie odbierać.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

– Wyjątkowe okoliczności wymagają wyjątkowych środków.

– Dobrze, co przeoczyłem?

– Ktoś musi pokazać ludziom, kim Carlos jest i co zrobił. Miałby pan coś przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie.

– To bardzo chwalebne, Javvy, ale jesteśmy w Meksyku. Nie udałoby się to ani panu, ani mnie, ani nikomu innemu. Nawet gdybyśmy jakimś cudem zebrali wystarczające dowody, natychmiast zostałyby zniszczone, a nas by zabito. – Przekrzywiła głowę. – Mam rację?

– Tak.

– Mimo to zgadza się pan ze mną, że trzeba przerwać tę maskaradę i pokazać światu, że Carlos, bohater narodowy Meksyku, napycha sobie kieszenie krwawymi pieniędzmi.

– Tak, to oczywiste.

– W takim razie jedynym wyjściem jest go zabić, prawda?

– Niech pani przestanie. Ludzie tacy jak my nie zabijają innych, ot tak sobie.

Skrzyżowała ręce.

– Więc proszę zaproponować inne rozwiązanie.

Bourne podziwiał jej dar przekonywania. Wyobraził sobie, jak Maricruz rozmawiałaby z prawdziwym chirurgiem, tym, który operował jej ramię. Oczywiście był gotów natychmiast na to przystać, ale żeby się nie zdradzić, musiał zaczekać, aż Maricruz poda bardziej przekonujący argument. I go nie zawiodła.

– Nie potrafię, co nie znaczy, że...

– Czy jest pan takim samym tchórzem jak on?

– Chyba już pani wie.

Spuściła nogi z łóżka i wyciągnęła do niego rękę, którą ujął, chociaż wydawało mu się, że mogłaby wstać bez pomocy.

– Pochodźmy trochę – powiedziała. – Muszę poćwiczyć.

Z toalety wyszła Angél i szybko zamruła, widząc ją pod rękę z lekarzem. W tym samym momencie do pokoju zjrzał Tygrys, więc dziewczynka szybko wskoczyła do łóżka i schowała się pod kocem.

– *Perdóname, señora* – powiedział ochroniarz. – Dzwonił señor Carlos. Bardzo żałuje, lecz zatrzymały go pilne sprawy i nie może dzisiaj wpaść. – Uśmiechnął się.

– Ale jutro też jest dzień, prawda?

– Oczywiście, dziękuję – odrzekła Maricruz.

Zerknąwszy na Tygrysa, Bourne dobrze wiedział, że wiadomość ta jest przeznaczona również dla niego.

Zaczęli krążyć po pokoju, obchodząc drugie łóżko.

– Jak pani nogi? – spytał.

– Jak pnie drzew. – Roześmiała się cicho i Angél wystawiła głowę spod koca.

Maricruz roześmiała się ponownie, specjalnie dla niej. Dziewczynka odpowiedziała bladym uśmiechem.

Jak pnie drzew? Jason jej nie wierzył. Chodziła krokiem pewnym i równym.

– Wie pan, Javvy – powiedziała, gdy znaleźli się daleko od drzwi – zwierając się z tych wszystkich rzeczy, bardzo panu zaufałam.

– Pani tajemnice są bezpieczne, proszę mi wierzyć.

– Cieszę się, bo widział mnie pan w fatalnym stanie.

– Pani mąż na pewno też.

– Ale nie w takim. Nie posiniaczoną i obolałą. Nie bez makijażu i z niemytymi od wielu dni włosami.

- A rano, zaraz po przebudzeniu?
 - Jidan wstaje o czwartej i pracuje. Kiedy się widzimy, wyglądam już tak jak zawsze. Uważa, że jestem doskonała.
 - Co by pomyślał, gdyby zobaczył panią w tym stanie?
 - Słabą i bezbronną? Straciłabym twarz. Postrzega mnie w określony sposób.
- A ja ciężko pracuję, żeby to wyobrażenie podtrzymać.
- To chyba mało zabawne.
 - Kto powiedział, że małżeństwo jest zabawne?
 - Wiem, ale...
 - Czasem to zwykła praca, proszę mi wierzyć.
 - Lepiej niech Angél tego nie słucha.
 - Jasne – prychnęła Maricruz.

W jego kieszeni zawibrowała komórka. To nie mógł być Tygrys – Tygrys zajrzałby do pokoju, jak przed chwilą.

- Przepraszam, muszę odebrać.
- Oczywiście. – Ona wróciła do Angél, a on wyszedł z pokoju.

Na końcu korytarza była toaleta. Zamknął się w niej i wyjął komórkę. Dzwoniła Anunciata.

- Kłopoty – zaczęła bez wstępów. – Carlos wysłał za tobą list gończy, szuka cię policja. Wszędzie. Obserwują środki transportu publicznego, a nawet wypożyczalnie samochodów.

Jason zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego?
- W nocy wybuchła bomba przed willą Carlosa. Zginęło trzech ludzi, a jego samochód wyleciał w powietrze. Chyba to nie...
- Przestań, oczywiście, że nie ja.
- W liście piszą, że ty. Całe miasto cię szuka. Jesteś ścigany za terroryzm i morderstwo.

Bourne był zaskoczony, że *federales* wiedzą, iż jest w Meksyku.

- Dlaczego podejrzewają akurat mnie?
- Mówią, że na fragmencie bomby znaleziono twój odcisk palca. Bomba była bardzo skomplikowana, zupełnie inna niż te, które podkładają kartele.
- A Los Zetas?
- Nawet dezterterzy nie mają takiej wiedzy i doświadczenia. – Anunciata wzięła głęboki oddech. – Potrzebujesz pomocy, Jason, bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie twojej.
- Co? Dlaczego?
- Nie chcę cię w to jeszcze bardziej mieszać. Wszyscy ci, którzy się ze mną skontaktują, będą od teraz spaleni. Dlatego trzymaj się ode mnie z daleka.
- Przecież nikt nie wie, kim jestem ani gdzie mieszkam.
- I niech tak zostanie. Poradzę sobie. Wiem, jak z nimi pogrywać.
- Ale...
- Przestań!
- Dobrze, już dobrze. Co słychać u Maricruz?
- Jest inna, niż myślałem.
- Ale chyba cię nie uwiodła, nie w twoim stanie...

Bourne wiedział, że Anunciata pije do tego, że odrzucił jej zaloty.

- Nawet ze mną nie flirtuje. Jest za bardzo zajęta układaniem planu zabójstwa Carlosa.

- To do niej podobne.
- Czy ona wie, że ma przyrodną siostrę? - spytał Jason.
- Kto miałby jej powiedzieć? Na pewno nie nasz ojciec, tym bardziej moja matka. Poza nimi nikt więcej nie wie.
- Jest coś jeszcze.
- *Dígame.*

Bourne powiedział jej o Angél.

- Maricruz? Nie do wiary - westchnęła Anunciata. - I ta dziewczynka nie ma żadnej rodziny?

- Nikt się po nią nie zgłosił, a ona jej raczej nie adoptuje.
- Wiesz - powiedziała z wahaniem - jeśli chodzi o dzieci, z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Miałam kiedyś przyjaciółkę, twardą, bezwzględną dziewczynę, która zarzekała się, że nigdy nie będzie mieć dzieci. „Nie jestem stworzona do matkowania”, powtarzała. A potem zaszła w ciążę, urodziła i rozplynęła się jak masło na słońcu.

Bourne wiedział, że nie mówiła ani o swojej przyjaciółce, ani o przyrodniej siostrze. Mówiła o sobie.

Rozdział 31

Pułkownik Sun przyjechał do Mexico City pod przykrywką dyplomatyczną. Kiedy tylko wyszedł z hali przylotów, natychmiast poczuł w ustach obrzydliwy smak. Limuzyna z ambasady zawiozła go do miasta i czterdzieści minut później postawił małą walizkę w pokoju, który wierni sługusi Ouyanga zarezerwowali dla niego w sięgającym nieba nowoczesnym hotelu.

Nigdy dotąd nie był w Meksyku ani nawet w Ameryce Środkowej czy Południowej. Spędził tu niecałą godzinę i zdążył już wszystko znienawidzić, zwłaszcza obce zapachy, od których robiło mu się niedobrze i które pozostawiały kwaśny smak w gardle. Ciągłe przepłukiwał usta wodą mineralną z lodówki. Wziął prysznic, ale na widok tryskającej z sitka brunatnej cieczy, pożałował, że nie polał się wodą z butelki. Może podróż okaże się na tyle krótka, że nie będzie musiał więcej się kąpać, ale bardzo w to wątpił.

Przybył do Meksyku z prywatną misją, ściśle tajną i w sumie nielegalną. Dowiedziawszy się, że Maricruz jest w szpitalu, minister Ouyang bardzo się zaniepokoił stanem zdrowia żony, musiał jednak przestrzegać umowy, że podczas jej pobytu w Meksyku, nie będą się kontaktowali. Oto, do czego doszło, pomyślał gorzko Sun. Śledzę jego żonę jak pieprzony detektyw. Wyposażono go nawet w specjalną komórkę z czułą kamerą, żeby nagrał Maricruz. W wewnętrznych kręgach rządowych obsesja Ouyanga na punkcie żony była wprost legendarna. Jednak Sun współczuł szefowi, który nie mógł nawet zadzwonić do szpitala i spytać, jak ona się czuje. Ale nie, zbliżał się zjazd partii i Cho Xilan gotów był wykorzystać przeciwko niemu najmniejsze nawet uchybienie. Minister musiał bardzo uważać i cierpliwie czekać, chociaż jeśli chodzi o żonę, cierpliwości akurat mu brakowało.

Nie żeby Sun pałał do Maricruz miłością. Nigdy w życiu, jak by mógł! Była przecież obcą, cudzoziemką, jednak ani przez chwilę nie zazdrościł jej tej roboty. Zadrżał. Cudzoziemki były jak zwierzęta.

Pojechał pod pewien adres w Iztapalapa, do podziemnego dilerka, którego znalazło ministerstwo. Brudny, ośliźgły Meksykanin cuchnął kiepskim smażonym żarciem. Wstrzymując oddech najdłużej, jak mógł, pułkownik kupił od

niego nóż taktyczny, dwa pistolety i kilka zapasowych magazynków. Był pewny, że kiedy wychodził, brudas uśmiechał się szyderczo za jego plecami.

Wrócił do hotelu i wsiadł do limuzyny. Wychodząc z brudnej nory Meksykanina, był przekonany, że ktoś go śledzi, wyjął więc jeden z kupionych przed chwilą pistoletów i szybko się odwrócił. Ale nie, jeśli ktoś tam był, zdążył już zniknąć w mrocznej bramie.

Cieszył się, że chroni go limuzyna korpusu dyplomatycznego. Wpadł do ambasady tylko dlatego, że musiał – wymagał tego protokół, kompletna strata czasu. Lecz przy okazji dowiedział się czegoś ciekawego: przed rezydencją Carlosa Dandy Carlosa, szefa tutejszej agencji antynarkotykowej, wybuchła bomba. Zginęło trzech ludzi. Całe miasto postawiono w stan pogotowia. Po drodze minęli kilka dżipów z uzbrojonymi żołnierzami.

– Chociaż oficjalnie jest pan członkiem naszego personelu dyplomatycznego – powiedział mu ambasador – proszę się nie wychylać. Ci ludzie strzelają bez namysłu nawet wtedy, kiedy jest spokojnie, a dzisiaj na ulicach panuje chaos.

No i teraz, już uzbrojony, pułkownik jechał do szpitala Ángeles Pedregal, żeby sprawdzić, co się właściwie stało, i na własne oczy zobaczyć, w jakim stanie jest Maricruz. Sęk w tym, że nie był u siebie. Nie licząc ochrony dyplomatycznej, nie miał w tym kraju żadnych wpływów. Poza tym rzucał się w oczy jak Murzyn na śniegu, chociaż niektórzy Meksykanie, ci z domieszką indiańskiej krwi, mieli nad powiekami takie same fałdy jak on. Trudno mu to było przełknąć, ale tak, ambasador miał rację: musiał zachować dużą ostrożność i chodzić z nisko pochyloną głową. Zadrzeć z *federales*? Była to ostatnia rzecz, jakiej chciałby minister Ouyang.

W końcu przejechali przez miasto i limuzyna stanęła przed tętniącym życiem szpitalem. Sun kazał szoferowi zaczekać, wysiadł, wszedł do środka, poszukał informacji i stanął na końcu krótkiej kolejki. Kiedy doszedł do lady, okazał fałszywy paszport dyplomatyczny i spytał o Maricruz Ouyang.

– Boję się, że nie mamy takiej pacjentki. – Recepcjonistka ledwo zerknęła na paszport.

– Jak to nie macie? – spytał Sun po hiszpańsku z silnym obcym akcentem. – Nie raczyła nawet pani poszukać jej nazwiska. Wiem, że señora Ouyang tu leży.

Kobieta wzruszyła ramionami. Była w średnim wieku, z twarzą jak tygrysia klatka, poprzecinaną zmarszczkami i zamkniętą.

– Żadnych gości – powiedziała z uporem. – Polecenie dyrektora agencji antynarkotykowej.

– To oburzające!

– Niech pan oburza się u nich, ja panu nie pomogę. – Recepcjonistka popatrzyła ponad jego ramieniem. – Następny!

Pułkownik się wycofał. Chociaż nie przywykł do tego, żeby traktowano go jak zwykłego wyrobnika, znał Zachód na tyle, by powstrzymać się od dalszych uwag i zdusić w sobie gniew i poczucie wstydu. Co prawda odbył kilka podróży poza granice Państwa Środka, jednak nie wyczuwał jeszcze tego surowego, chropowatego rytmu zachodniej cywilizacji, choć – jak pomyślał – określenie to było w sumie oksymoronem.

Ostatni raz był na Zachodzie przed ponad rokiem. Pojechał wtedy do Włoch, do Rzymu, tropiąc niejaką Rebeke, agentkę Mosadu, którą minister Ouyang dziwnie się interesował. Namierzył ją i stwierdził, że Rebecę towarzyszy Jason Bourne. A potem był pościg w katakumbach pod Via Appia, który nie skończył się dla niego zbyt szczęśliwie. Dlatego poprzysiągł sobie, że do końca życia nie zapomni Bourne’owi upokarzającej kłęski, jakiej wtedy doznał.

A teraz nie wiedział, co robić. Stał, opierając się o kolumnę w szpitalnym holu, gdy wtem we frontowych drzwiach zobaczył młodego mężczyznę. Był po cywilnemu, ale równie dobrze mógł być w mundurze. Pułkownik natychmiast rozpoznał ten typ człowieka, żołnierza takiego jak on, tyle tylko, że w garniturze. Mijając pilnujących wejścia strażników, mężczyzna z uśmiechem pozdrowił ich gestem ręki, jakby oddawał im honory. Strażnicy pozdrowili jego.

Odepchnąwszy się od kolumny, Sun wsiadł z nim do windy, pojechał na górę, przepuścił go przodem, wysiadł i ruszył za nim. Jedne drzwi, drugie, trzecie – na końcu korytarza zobaczył innego żołnierza, też po cywilnemu. Ten siedział na składanym krześle po prawej stronie kolejnych drzwi, czytając „ContraLineę”, którą odłożył na widok nadchodzącego kolegi. Wymienili pozdrowienia, mężczyzna wziął gazetę i odszedł, a ten, którego śledził pułkownik, usiadł, wyjął komórkę i zaczął pisać SMS-a.

Sun był pewny, że żołnierze pilnują Maricruz. Minął stanowisko pielęgniarek. Strażnik musiał dostrzec go kątem oka, bo natychmiast schował komórkę do kieszeni, wstał i przyjął klasyczną pozycję obronną, blokując drzwi.

– Proszę się cofnąć – rzucił po hiszpańsku, a potem po angielsku. – Proszę zawrócić i odejść.

– Przyszedłem do Maricruz Ouyang – powiedział po angielsku pułkownik.

Żołnierz pokręcił głową.

– Zabłądził pan, señor. – Jego ręka zniknęła złowieszczo pod połą marynarki. – To ostatnie ostrzeżenie.

– Pan nie rozumie. Jestem z chińskiej ambasady. – Sun pokazał mu legitymację.

– Minister Ouyang bardzo niepokoi się o zdrowie swojej żony.

– Señorze Maricruz nic nie dolega.

– Mimo to przebywa w szpitalu, prawda? – Pułkownik przykleił do ust sztuczny uśmiech. – Pan minister przysłał mnie z Pekinu, żebym zobaczył się z nią i porozmawiał.

Żołnierz patrzył na niego jak na skorpioną, który właśnie wylazł spod kamienia.

– Moment. – Wyjął komórkę i wybrał numer. – Szefie, jest tu ktoś, kto twierdzi, że minister Ouyang przysłał go do señory aż z Pekinu... Tak, widziałem jego papiery, wydają się w porządku... Dobrze. – Spojrzał na Suna. – Mój szef dzwoni do waszej ambasady, zaraz zobaczymy... Tak, szefie, jestem... Dobra, jasne, powiem mu.

Żołnierz schował telefon.

– Ma pan pięć minut.

– Nie zdążę nawet...

– Jeśli jest pan tym, za kogo się pan podaje, pięć minut wystarczy, aby zapewnić ministra, że jego żona szybko dochodzi do siebie.

Dobrze, zgoda, pomyślał Sun. Ale co się może w tym czasie wydarzyć?

•••

Na widok wchodzącego do pokoju pułkownika Maricruz miała wrażenie, że serce opadło jej do żołądka.

– Co pan tu robi? – warknęła po mandaryńsku. – Zna pan nasze zasady. Żadnych kontaktów.

– Te zasady obowiązywały, zanim znalazła się pani w szpitalu. Minister się niepokoi. Co się stało? – Mówiąc, pułkownik patrzył na Angél, która skurczyła się jak płonące papierowe zapałki i wczołgała pod ramię Maricruz. – I co to jest?

– W San Luis Potosi wpadłam na wybój i zraniłam się w ramię.

Sun zmarszczył brwi.

– Wygląda na to, że nie tylko ramię. Pobito panią? – Wyjął telefon.
– Co pan robi? – spytała zaniepokojona.
– Zdjęcia.
– Akurat! – warknęła. Chciała odebrać mu komórkę, ale pułkownik cofnął rękę.

– Proszę mi to dać!

– Nie ma mowy.

– Niech pan nie mówi do mnie tym bezczelnym głosem!

Angél wyszczerzyła zęby i zacisnęła szczęki.

Sun podniósł aparat na wysokość twarzy.

– A pani niech odsunie tę małą. Nie chcę mieć jej na zdjęciu.

Maricruz zeszywniała. Słowa te były nie tylko bardzo obraźliwe, ale i wyraźnie wskazywały, że wbrew temu, co powiedział, tak naprawdę nie interesuje go stan jej zdrowia.

– Wyjdź! – krzyknęła. – Jeszcze trochę i wszystko spieprzysz!

– Z tego, co widzę, pani już wszystko spieprzyła.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! Powiedziałam, wyjdź!

Pułkownik uśmiechnął się jak szakał. Wyglądało na to, że świetnie się bawi.

– Posłuchaj. Nie masz pojęcia, jak pilnie cię strzegą w Pekinie, jak bardzo Ouyang cię rozpieszcza. Ale teraz jesteś tutaj, daleko od Państwa Środka, dlatego powiem ci coś, czego w innych okolicznościach bym nie powiedział. Pekin tobą pogardza. Ministrowie uśmiechają się do ciebie, ale za twoimi plecami nazywają cię *chusheng*, zwierzęciem. Mówią, że jesteś *buyao lian de dongx*, czymś bez wstydu i twarzy.

Bez Ouyanga byłabyś nikim, kompletnym zerem. Jesteś tylko tym, kim cię stworzył. Ale ja znam prawdę. Jesteś dla niego kulą u nogi. Ciągłe musi cię chronić, choć powinien walczyć o lepszą pozycję w partii. Ale jak może to robić, skoro wiesz mu u szyi jak kamień? – Złośliwie łypnął okiem na Angél. – A teraz przygarnęłaś to? Meksykańskiego bachora? Myślisz, że zabierzesz tę śmierdzącą gówniarę do Chin? – Ruszył w stronę dziewczynki. – Prędej ją zabiję! Słyszysz? Prędej poderżną jej gardło!

•••

– Kto tam jest? – spytał Bourne, nadchodząc korytarzem. – Señor Carlos?

– Nie. – Podenerwowany Tygrys już wstał. – Ktoś z chińskiej ambasady. Mówi, że przyleciał aż z Pekinu, żeby spytać o zdrowie señory. Dałem mu pięć minut, to wszystko.

– Proszę tu zostać. – Jason otworzył drzwi.

Tygrys energicznie pokręcił głową.

– Chyba się kłóć. To moja działka. Nie chcę, żeby coś się panu stało. – I minąwszy Bourne'a, z ręką na uchwycie pistoletu, gotów wyciągnąć go w razie potrzeby, wszedł do środka.

Pułkownik Sun odwrócił się na pięcie. Maricruz stanęła między nim i dziewczynką.

– Niech pan wraca na swój posterunek – warknął Sun. – To jest oficjalna rozmowa dyplomatyczna. Proszę wyjść albo zamelduję o tym ambasadorowi.

– Nie sądzę – odrzekł Tygrys głosem cichym i spokojnym, niemal aksamitnym. – Gdyby była to oficjalna wizyta, zorganizowałby ją sam ambasador i na pewno bym o tym wiedział. – Ruchem głowy wskazał Maricruz i Angél. – Mam rozkaz chronić señorę i tę dziewczynkę.

– A ja mam z tą kobietą sprawę do omówienia. – Pułkownik powiedział to głosem równie cichym, spokojnym i aksamitnym, ale gwałtownie przybierającym na sile.

– Proszę wyjść – rozkazał dobitniej Tygrys.

– Nie wyjdę, dopóki nie skończę.

– Pięć minut już minęło.

– Miną, kiedy powiem, *shabi*.

Tygrys zeszywniał, zwięzły mu się oczy.

– Jak mnie nazwałś? – Zerknął na Maricruz. – Jak ten *maricón* mnie nazwał?

– *Te llamo una chucha estúpida* – przetłumaczyła. – Głupią cipą.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Tygrys wyjął pistolet i zrobił krok w stronę Suna, pociągając za spust. W tym samym momencie lewa ręka pułkownika opadła, odwracając uwagę Tygrysa, podczas gdy prawa błyskawicznie powędrowała do pasa, a potem do góry. W piersi ochroniarza utkwiał nóż. Głęboko, aż po rękoność.

Z szoku Tygrysowi rozszerzyły się oczy. Zachwiał się, upadł i znieruchomiał z głową u stóp pułkownika. Maricruz zasłoniła Angél swoim ciałem.

Bourne wpadł do pokoju.

– Javvy! – krzyknęła. – Wezwij ochronę!

Nie zwracając na nią uwagi, Jason ruszył w stronę Suna, który zdążył już wyjąć pistolet. Podniósł wzrok, wstrząśnięty rozpoznał Bourne'a i na ułamek sekundy znieruchomiała mu twarz.

Bourne uderzył go przedramieniem w szyję. Pułkownik zatoczył się na parapet, wtedy Jason wyrwał mu broń i pistolet ze stukotem upadł pod łóżko. Sun zacisnął palce na wiązce nerwów między jego ramieniem i szyją i Bourne poczuł, że wiotczeje mu prawa ręka, że od ramienia po czubki palców ogarnia ją całkowity bezwład. Pułkownik natychmiast to wykorzystał, zadając mu silny cios w pierś. Jason omal nie stracił równowagi.

– Zemszczę się – syknął Chińczyk. – Teraz się zemszczę.

Ale Bourne zaatakował go ponownie, lewą ręką, trzema szybkimi, morderczymi ciosami. Nasadą dłoni trafił pułkownika w usta. Trysnęła krew. Jak przez mgłę słyszał krzyk wtulonej w Maricruz dziewczynki.

Sun wyszczerzył zęby i gwałtownym ruchem wyrzucił do przodu pięść, chcąc zadać przeciwnikowi rozstrzygający cios w serce, ale Bourne wykonał cięcie w dół kantem dłoni, gruchocząc mu nadgarstek. Teraz obaj musieli walczyć jedną ręką, a w chwili, gdy Bourne poczuł, że wraca mu czucie w prawym ramieniu, Sun podstawił mu nogę. Jason upadł.

Pułkownik runął na niego, okładając go sprawną ręką. Kątem oka Bourne dostrzegł jakiś ruch: Maricruz zsunęła się z łóżka, Angél za nią. Dziewczynka przeczołgała się po niej, wyprzedziła ją i zniknęła pod łóżkiem, w miejscu, gdzie znajdował się mechanizm sterujący.

Sun uderzył głową Jasona o podłogę i zadał mu cios w gardło. Bourne zakrztusił się, omal nie zwymiotował. Dusząc się własną krwią, chwycił pułkownika za krocze i ścisnął tak mocno, że Sunowi zwilgotniały oczy i omal nie wyszły mu z orbit.

Na skraju pola widzenia Bourne'a znowu pojawiła się Angél. Obiema rękami trzymała pistolet Chińczyka. Podniosła go, wyciągnęła przed siebie i oparła się o łóżko.

– Maricruz! – krzyknął. – Zabierz jej to!

Ale Maricruz tego nie zrobiła. Wstała. Powoli, niemal majestatycznie. Nawet z bosymi stopami wyglądała jak cesarzowa. Patrzyła na pułkownika i gdyby wzrok mógł zabijać, Sun już dawno by nie żył.

Natomiast w oczach Angél widać było wiele rzeczy. Dziewczynka wiedziała, że to, co trzyma, nie jest zabawką. Wiedziała, co będzie, jeśli pociągnie za spust.

Wiedziała, że nie ma już odwrotu. Nie ulegało wątpliwości, że z doświadczenia wie również, jak wielka moc drzemie w tym kawałku metalu.

W kogo mierzyła? W Suna? W Bourne'a? W ich obu? Nie sposób było powiedzieć.

Zamknęła jedno oko i strzeliła. Zrobiła to spokojnie i powoli, tak jak Maricruz wstawała z łóżka, tak jak wiele razy robił to z pewnością jej ojciec i bracia. Pistolet wypalił i siła odrzutu pchnęła ją do tyłu.

Rozpętało się piekło.

Rozdział 32

– Ofir wyjechał z Izraela – powiedział szef Biura Wywiadu Dani Amit.

Jadin kiwnął głową.

– Wiem.

– Pan wszystko wie, Memune.

– Nie podlizuj się, Dani. To takie tanie.

Siedzieli naprzeciwko siebie w portowej kawiarni w Tel Awiwie. W oddali kołysała się żaglówka Jadina. Poruszając się powoli i rozważnie, w sposób charakterystyczny dla wszystkich żeglarzy, czy to zawodowców, czy amatorów, ktoś wnosił na pokład zapasy. Białe bawełniane koszule z krótkimi rękawami, cienkie spodnie, kolorowe tenisówki – Jadin i Amit byli podobnie ubrani i wyglądali jak rodzina, jak ojciec i syn. Pracując w Mosadzie, rzeczywiście byli rodziną, zżytą grupą ludzi dzielących się wzajemnie siłą umysłu i doświadczeniem.

Amit przeturlał oliwkę po talerzu.

– Wie pan, gdzie teraz jest?

– Tam gdzie Bourne.

– Czyli?

– To bez znaczenia.

– Tak bardzo mu pan ufa?

Dyrektor pociągnął łyk mrożonej herbaty.

– Bourne’owi? Całkowicie.

– Ofir go zabije – stwierdził rzeczowo Amit.

– Na pewno spróbuje. – Jadin ugryzł kawałek kanapki z kurczakiem i w zamyśleniu przeżuwał jedzenie. – Tak, na pewno spróbuje.

Amit przyjrzał mu się badawczo.

– Co znaczy, że mu się nie uda. Tak?

Dyrektor usiadł wygodniej i spojrzał w górę na białe, puszyste chmury, które pędził po niebie dość silny wiatr.

– Dobry dzień na żagle. Przed wyjściem w morze wszyscy tak mówią, ale kto wie, co będzie potem. Tuż za horyzontem może czyhać sztorm, chwilowo poza zasięgiem wzroku. Szybko się przesunie i zaskoczy cię, byś nie wiem jak bardzo był czujny i doświadczony.

Na powrót zajął się kanapką, nabierając jej rogiem hummus z miski stojącej między nimi.

– Nie jesz, Dani. Nie masz apetytu?

– Nie mam apetytu na tajemnice...

– To zmień zawód.

– ...które pan przede mną ukrywa.

– Wszyscy mamy takie, które nie powinny ujrzeć światła dziennego, tym bardziej krążyć między ludźmi, nawet między kolegami.

Amit umilkł. Zebrał myśli i w końcu, nie chcąc zepsuć rozmowy, powiedział:

– Po śmierci Rebeki wszystko się zmieniło. – Odczekał chwilę z nadzieją na odpowiedź czy słowo zachęty, ale ponieważ Jadin nie zareagował, parł naprzód, myśląc: gdy powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. – A potem, kiedy przyjechał tu Bourne, wszystko zmieniło się znowu.

– Dziwisz mu się? – Dyrektor sięgnął po szklankę. – Widział, jak umierała.

– Nie wygląda na sentymentalnego.

– Bo chyba taki nie jest. Ale jest człowiekiem. Przyjechał tu, był na pogrzebie, oplakiwał jej śmierć. To bardzo ludzkie.

– A pan, już w trakcie pogrzebu, zastanawiał się, jak go wykorzystać.

– Uważasz, że jestem aż tak nieczuły?

– Więc jak opisałby pan ten proces myślowy?

– Czy to przygana, Dani? Bo widzisz, moim zadaniem jest chronić Izrael, przynajmniej tak to rozumiem. Wszyscy podjęliśmy się tej misji i poświęciliśmy życie Mosadowi. A może się mylę?

– Nie, panie dyrektorze.

– W takim razie postępujemy tak, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia.

– Właśnie w tym problem. Bo w tym przypadku nie ma „nas”. Jest tylko pan. – Amit rozłożył ręce. – Chcę tylko pomóc, Memune. Zawsze byliśmy jak bracia.

Wzrok Jadina powędrował do łodzi i spoczął na szerokich plecach przygarbionego mężczyzny metodycznie zmywającego pokład.

– Ofir i ja też jesteśmy jak bracia. Czy to znaczy, że mam zdradzić mu wszystkie tajemnice? – Dyrektor spojrzał Amitowi w oczy. – Uważasz, że to

mądre?

– Szczerze mówiąc, nigdy nie mogłem się z nim dogadać, przecież pan wie.

– Wiem, bo jak sam powiedziałaś, wiem wszystko. – Jadin westchnął i odsunął talerz. – Chociaż kiedyś mu zawierzyłem, jeden jedyny raz. Ale świat się zmienia, każdy dzień przynosi nowe zagadki do rozwiązania. A teraz wszystko skomplikowało się do tego stopnia, że często czuję się tak, jakbym zgubił się w lesie pełnym nieprzyjaciół chcących rozerwać nas na strzępy.

Amit nachylił się ku niemu.

– Tym bardziej chciałbym panu pomóc, Memune.

– Popeliłem błąd, zwierając się Edenowi – odparł w zadumie dyrektor. – I co? I Eden nie żyje.

– Nie boję się śmierci.

– Nikt z nas się nie boi, Dani. – Jadin dopił herbatę i skinął głową. – Ale dobrze, być może masz rację.

Przez następne kilka minut mówił coś cichym, łagodnym głosem. Amit ani razu mu nie przerwał, nie zadał ani jednego pytania. Z wrażenia dosłownie zaniemówił.

•••

Potem, kiedy Amit wrócił do biura, Jadin uregulował rachunek, włożył czapkę, z rękami w kieszeniach wyszedł na nabrzeże i skręcił na molo, przy którym cumowała jego łódź. Zrobiło się gorąco. Mimo wiatru z nieba lał się żar. Chmury zdawały się uciekać przed nim w popłochu.

Zmywający pokład mężczyzna odwrócił się na jego widok.

– Załatwione? – spytał.

– Załatwione, *aba*.

Ojciec Jadina miał porośniętą gęstymi siwymi włosami szeroką pierś i był wielki jak niedźwiedź. Przed kilkoma laty przekroczył osiemdziesiątkę, mimo to tryskał energią mężczyzny dwadzieścia lat młodszego. Szczera, otwarta twarz, duże uszy – wyglądał jak grecki żeglarz. Albo jak Odyseusz, który stawia żagle przed dożywotnią wędrówką przez morza, gotów pokonać każde wyzwanie chciwych, zazdrosnych i urażonych bogów. Albo jak rybak ze *Starego człowieka*... Hemingwaya.

Mimo że przeszedł na emeryturę przed ponad dziesięciu laty, były dyrektor Mosadu wciąż wygrywał z czasem. I tak jak podwładni Elego, wciąż był na bieżąco ze wszystkimi sprawami. Wbrew fałszywemu przekonaniu Daniego Amita, był także jedynym człowiekiem, któremu Eli się zwierzał.

– Jesteś pewny, że to właściwy krok? – spytał, gdy rzucili cumę.

– Jedyne, jaki można było zrobić.

Ojciec kiwnął głową i Eli uruchomił silnik.

– Naprawdę ci nie zazdroszczę – powiedział ojciec. – Kiedy byłem dyrektorem, miałem przyjaciół w Mosadzie.

– Zmieniły się czasy, zmienił się Mosad.

Starzec położył ręce na ramionach syna.

– Pokonasz ich. Pokonasz ich wszystkich.

– *Be'ezrat ha-szem* – mruknął Eli, biorąc kurs na otwarte wody. Z Bożą pomocą.

Ojciec wprawdzie postawił żagle na wiatr.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego – powiedział. – W przeciwieństwie do Jasona Bourne'a.

Ale jego słowa utonęły w coraz silniejszym wietrze.

Księga trzecia

Rozdział 33

Mimo że Angél była na to przygotowana, siła odrzutu targnęła jej rękami i ramieniem. Z głowy Suna trysnęła mieszanina krwi, kości i mózgu, pułkownik wygiął się w łuk, runął na podłogę i znieruchomiał, oczami martwej ryby patrząc na to, co zobaczył, gdy uszło z niego życie.

Bourne zerwał się na równe nogi, podbiegł do łóżka i już zaczął przesuwając je do drzwi, gdy zamieszanie na korytarzu sięgnęło zenitu. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Estefan, partner Tygrysa, z bronią w rękę.

Ułamek sekundy przedtem Jason krzyknął do Angél, ale było już za późno. Dziewczynka, wstrząśnięta groźbami Chińczyka, przesunęła lufę pistoletu i pociągnęła za spust po raz drugi.

Kula przebiła Estefanowi pierś, a siła impetu wyrzuciła go na korytarz. Bourne zatrzaskał drzwi i zatarasował je łóżkiem, żeby mieć choćby prowizoryczną osłonę przed kolejnymi intruzami.

Tymczasem Maricruz wyjęła pistolet z rąk Angél. Dziewczynka trzęsła się i szlochała, spazmatycznie wciągając powietrze do płuc. Maricruz wzięła ją na rękę i przytuliła.

Jason wpadł do łazienki, chwycił ręcznik, owinął nim rękę, wrócił do pokoju, wybił szybę w oknie i wyjął sterzące z ramy odłamki.

– W porządku – rzucił. – Chodźmy.

– Nigdzie nie pójde – odparła Maricruz.

– Tu są trzy trupy...

– Carlos mnie ochroni.

– Angél zastrzeliła dwóch, w tym obcokrajowca z paszportem dyplomatycznym.

– Powiem, że to pana robota.

– Kiedy padł pierwszy strzał, wielu świadków widziało mnie na korytarzu. Bardziej prawdopodobne jest to, że to panią oskarżą o morderstwo, a wtedy nawet Carlos pani nie pomoże. – Ktoś krzyknął i załomotał do drzwi. – Nie ma pani wyboru. – Jason ruchem głowy wskazał okno. – Idziemy.

– Przez okno?

– A widzi tu pani inne wyjście?

– Kim pan jest? – Maricruz stanęła przy parapecie. – Sun mówił coś o zemście. Skąd pana znał?

Krzyki na korytarzu przybrały na sile.

– Hej, wy tam! Wezwaliśmy policję, już tu jadą... – I znowu ktoś zaczął dobijać się do drzwi, zagłuszając dalsze słowa.

Bourne wziął na rękę Angél, wszedł na parapet i zeskoczył na trawnik. Dziewczynka otworzyła usta w niemym krzyku, policzki miała mokre od łez. Wyglądała jak dziecko chore na malarię. Jason postawił ją na ziemi poza kręgiem odłamków szkła, zadarł głowę i ujrawszy w oknie Maricruz, wyciągnął ręce.

– Skacz! – krzyknął. – Szybko!

Ale gdy Maricruz przygotowywała się do skoku, kątem oka dostrzegł dwóch biegnących ku nim *federales*. Żołnierze wyciągnęli broń. Bourne podniósł z ziemi długi kawałek szkła i prostując się, płynnym ruchem rzucił nim w tego, który biegł przodem. Ostre jak sztylet szkło przebiło materiał munduru i utkwilo w mostku. Żołnierz osunął się na kolana i upadł na twarz.

Drugi wystrzelił, ale pędził tak szybko, że kula trafiła w ścianę. Jason rzucił się w jego stronę. Żołnierz wziął zamach pistoletem, lecz zanim zdążył wyprowadzić cios, Bourne przeturlał się po ziemi, podcinając mu nogi. Mężczyzna zachwiał się, pochylił do przodu, a wtedy Jason grzmotnął go pięścią w kręgosłup. Gdy żołnierz runął jak kłoda na ziemię, Bourne uspokoił go ostatecznie ciosem w tył głowy.

Odebrawszy mu broń, stwierdził, że Maricruz już skoczyła i że podczas lądowania szkło poharatało jej bosc stopy. Podbiegł do niej, przeniósł ją szybko poza krąg błyszczącego szkła i postawił obok Angél.

Dramatyczne wydarzenia znowu wprawiły dziewczynkę w stan bliski katatonii. Leżała na trawie zwinięta w kłębek i nie zareagowała, gdy Maricruz wzięła ją na rękę, zaczęła ją kołysać i uspokajająco szeptać coś do ucha.

Huk wystrzałów spowodował, że okolica opustoszała. Mieszkańcy Mexico City doskonale wiedzieli, że kiedy na ulicy padają strzały, trzeba natychmiast poszukać schronienia w domu. Dlatego, biegnąc do pustego policyjnego radiowozu, Bourne i Maricruz nie natknęli się na ani jednego świadka, nie mówiąc już o tym, że nikt nie próbował ich zatrzymać. *Federales* tak się spieszyli, że nie zatrzasnęli nawet drzwi samochodu.

Jason pomógł wsiąść Maricruz i Angél, wskoczył za kierownicę i odpalił silnik. Ale już kilka ulic dalej siedząca obok niego Maricruz rozkazała:

– Niech się pan zatrzyma.

Bourne nie zareagował, chcąc jak najszybciej oddalić się od szpitala.

Maricruz przytknęła mu do skroni lufę pistoletu.

– Kazałam ci się zatrzymać.

Jason zjechał do krawężnika.

– Nie nazywasz się Javier. Nie jesteś nawet lekarzem. Skoro nie lekarzem, to, kurwa, kim?

– Kimś, kto wyciągnął cię z kłopotów.

– I wpakował mnie w jeszcze większe. Dlatego nie oczekuj podziękowań. –

Przycisnęła lufę do jego skroni. – Gadaj, kim jesteś.

Bourne błyskawicznie odebrał jej broń.

– Następnym razem nie podchodź zbyt blisko celu. – Odłożył pistolet. –

Nazywam się różnie, zależy, kogo spytasz. Carlos Danda Carlos zna mnie jako Jasona Bourne'a.

Maricruz gwałtownie zbladła.

– Pod tym nazwiskiem znał cię również mój ojciec.

– Tak.

– Zniszczyłeś go.

– A nie życie, jakie prowadził?

– Usprawiedliwiał to sobie jak chcesz.

– Ja niczego nie usprawiedliwiam, Maricruz. Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć.

– Liczy się tylko to, że mój ojciec nie żyje.

– Oplakiwałaś jego śmierć? Znałem go lepiej niż ty.

Rzuciła się na niego, chcąc wydrapać mu oczy. Był na to przygotowany, więc chwycił ją za rękę i unieruchomił.

– Nikt nie mógł mu pomóc – powiedział. – A już na pewno nie ty z drugiego końca świata. Jak mogłabyś oplakiwać kogoś, od kogo uciekłaś aż do Chin?

– Wiem, kim był, ale był również moim ojcem.

– Beznadziejnym.

– Co ty tam wiesz.

– Wiedział o tym każdy, kto choć raz go spotkał, nie trzeba było dobrze go znać.

Bourne widział, że Maricruz z trudem powstrzymuje się od płaczu. Mimo to uroniła kilka łez, które spłynęły po policzku. Nie mogła ich wytrzeć i aby zaoszczędzić kobiecie upokorzenia, puścił jej rękę.

Siedząca z tyłu Angél z uwagą przysłuchiwała się tej dziwnej, dezorientującej rozmowie. Ale ponieważ łyzy rozumiała aż za dobrze, wdrapała się na oparcie przedniego fotela i zsunęła się Maricruz na kolana.

– Nie płacz – szepnęła w jej włosy. – Nie płacz.

Maricruz roześmiała się i szybko wytarła policzki.

– I kto to mówi? – Oparła się o zagłówek i zamknęła oczy. – Boże święty.

– Musimy zdobyć jakieś ubranie. – Bourne wrzucił bieg.

Maricruz spojrzała na swoje bose stopy, jakby widziała je pierwszy raz w życiu.

– Chryste, krwawię jak zarzynana świnia!

•••

Zamiast Bourne'a w kawiarni zjawił się Amir Ofir.

Hale siedział w ogródku pod białym parasolem, pijąc espresso i czytając dziennik „La Jornada”. Ofir usiadł na krześle naprzeciwko i postawił obok małą, plastikową torbę. Hale podniósł wzrok.

– Powiedzieć, że jestem zaskoczony, byłoby niedomówieniem.

– Bourne nawiązał kontakt?

Hale odstawił filiżankę na talerzyk.

– Próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłeś w Mexico City, nie wspominając już o tym, kiedy zaszczyciłeś mnie swoją czcigodną obecnością.

– Przestań błaznować. – Ofir podniósł rękę i strzelił palcami, żeby przywołać przechodzącego kelnera. – Potrójne espresso.

Gdy kelner kiwnął głową i zniknął w kawiarni, Ofir zaczął przyglądać się badawczo siedzącym w pobliżu gościom i robił to, dopóki nie podano mu kawy. Wypił ją jednym haustem i odsunął filiżankę ze spodkiem.

– Szukam go – rzekł.

– Domyślam się.

– No więc?

Hale wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

– Nie przyszedł. Tyłek mnie boli od tego siedzenia. Co mam powiedzieć?

– Coś, co by mi się przydało.

Hale postukał palcem w ekran tabletu.

– Ścigają go listem gończym. Podłożył bombę pod samochód Carlosa.

– Och, to fatalnie. Pewnie pali się teraz ze wstydu.

– Tak, ale to znaczy, że gdzieś przywarował. Trudno go będzie znaleźć.

– Przeciwnie. Teraz jeszcze bardziej będzie potrzebował twoich usług.

Hale rozciągnął usta w uśmiechu.

– Powiedział pajak do muchy. – Wskazał tablet. – Mam jeszcze jedną wiadomość, która powinna cię ucieszyć. Nasz przyjaciel Carlos Danda Carlos został pozbawiony wszystkich funkcji państwowych.

Tak, to Ofira zaskoczyło. Napełniło go również dziką radością.

– Co się stało?

– Chińczycy się stali. – Hale opowiedział mu pokrótce o incydencie w szpitalu, w którym leżała Maricruz. – Zabójstwo pułkownika Suna wywołało tak gwałtowne reperkusje, że *el presidente* wrywał sobie włosy z głowy. Ministra Ouyanga lepiej nie wkurzać. Reprezentowany przez niego chiński rząd domagał się śledztwa w sprawie zachowania Carlosa, bo to on odpowiadał za bezpieczeństwo jego żony.

– A gdzie ona teraz jest?

Hale wzruszył ramionami.

– Nieważne – mruknął Ofir. – Maricruz Ouyang mnie nie obchodzi. Skupmy się na Bournie. – Rozejrzał się, analizując rozkład kawiarni, w końcu wskazał pusty stół w ciemnym wnętrzu lokalu. – Będę tam. Tylko dopilnuj, żeby usiadł na moim miejscu. – Pochylił się, otworzył torbę i pokazał mu uchwyt zaopatrzonego w tłumik rugera .22 chargera bocznego zapłonu. – Nie zamierzam się do niego zbliżyć. Zdejmę skurwiela jednym strzałem w głowę. Z tej odległości to betka, a huk będzie niewiele głośniejszy niż wystrzał z wiatrówki.

Hale lekko się zirytował.

– Czy to znaczy, że od dzisiaj będziesz mnie zastępował? Aż tak cię zdegradowali?

– Rób, co mówię, i się nie wierć. – Ofir uśmiechnął się szeroko. – Bo odstrzelę ci ucho.

•••

Jechali w kierunku Coyoacán, a on uważnie obserwował mijające ich pojazdy wojskowe. Nieustannie trzeszczała policyjna krótkofalówka, z której co chwilę płynęły podniesione głosy powtarzające numer rejestracyjny skradzionego

radiowozu i fragmenty listu gończego. Jason wiedział, że prędzej czy później będą musieli zmienić wóz.

Wypatrzył aptekę i zjechał do krawężnika. Lokal był bardzo stary, z uroczym malowidłem kojota nad drzwiami. Spragniony kojot z długim, wysuniętym językiem był oficjalnym symbolem dzielnicy Coyoacán. Pusty plac po prawej stronie apteki, zawalony gruzem i starymi, gnijącymi meblami, wyglądał jak szpara w zębach starca.

– Zostańcie tu – rzucił i wysiadł. – Zaraz wracam.

Kupił środek odkażający w sprayu, pudełko wacików, kilka rolek gazy i plastra. Wrócił do radiowozu i zobaczył, że drzwi od strony pasażera są szeroko otwarte i że wystają zza nich nogi Maricruz. Angél przykucnęła na chodniku i niczym doświadczona pielęgniarka skrupulatnie wyciągała kawałki szkła z podeszew jej stóp.

Bourne strącił odłamki nogą do rynsztoka i przykucnął obok dziewczynki. Pozwolił jej dokończyć, zdezynfekował poranione stopy i wytarł je do czysta wacikami.

Kiedy opatrywał stopy Maricruz gazą, Angél wstała i szepnęła jej coś do ucha.

– Idź tam, na plac – powiedziała Maricruz.

Dziewczynka poszła we wskazaną stronę, a Bourne pytająco uniósł brwi.

Maricruz wruszyła ramionami.

– Siusiu – odparła, nie spuszczać Angél z oczu. – Lepszego miejsca tu nie ma.

– Posłuchaj, myślałaś o niej?

– Myślę o niej dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie możesz jej zatrzymać. I nie możesz zabrać jej ze sobą.

Przeszła go wzrokiem.

– Nie ma rodziny, nikt się po nią nie zgłosił.

– Co nie znaczy, że to akurat ty...

– Ale tego nie wyklucza.

Skończywszy opatrywać prawą stopę, zabrał się do lewej. Zniżył głos.

– W jednym przypadku Sun miał rację: jeśli w ogóle wrócisz do Chin, to na pewno nie z nią. Ouyang na to nie pozwoli.

– Jidan pozwoli mi na wszystko.

– Pod warunkiem że nie zniszczy mu to kariery politycznej. A ty już naraziłaś ją na szwank. Co do tego Sun też się nie mylił.

– Nie mogę jej zostawić. I nie zostawię.

Jason skończył, włożył resztę opatrunków do torebki i wrzucił ją do samochodu.

– Do niczego cię nie namawiam.

– Bez dyskusji.

– Bądź rozsądna.

Angél wracała, patrząc na nich wielkimi, ciemnymi oczami.

– Nie zostawię jej – powiedziała Maricruz. – Nie, nie, nie.

• • •

Pojechali do centrum handlowego Centro de Coyoacán i tam zaparkowali. Maricruz podała Bourne'owi swoje rozmiary, po czym na oko ocenili rozmiary dziewczynki.

– Uważajcie na *federales* – rzucił Jason. – Dzisiaj wszędzie ich pełno.

W ciągu dwudziestu minut odwiedził cztery czy pięć sklepów i wrócił na plac od stóp po głowę ubrany w nowe rzeczy. Natychmiast dostrzegł, że policyjny radiowóz otaczają dwa dżipy i sześciu żołnierzy. Nie dostrzegł natomiast ani Maricruz, ani Angél.

Zaklął pod nosem i ruszył wokół placu z nadzieją, że gdzieś je wypatrzy, ale już po chwili zatrzymał się przed nim biały SUV. Otworzyły się przednie drzwi i Maricruz krzyknęła:

– Wsiadaj! Szybko!

Wsiadł i zanim zdążył zamknąć drzwi, nacisnęła pedał gazu.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

Plac został w tyle. *Federales* rozstawiali się już w tyralierę.

– Nie mam pojęcia – odparła.

– To stań i zmienimy się. Przebierzecie się na tylnym siedzeniu.

Po krótkim zastanowieniu Maricruz skręciła w boczną uliczkę i zaparkowała.

Bourne wysiadł i obszedł samochód.

– Sama widzisz, że tak nie może dłużej być. Narażasz ją na niebezpieczeństwo.

Maricruz uciekła wzrokiem w bok. Zagryzła dolną wargę.

– Nie wiem, sama nie wiem...

– Oczywiście, że wiesz. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich, zwłaszcza dla niej.

Podniosła głowę.

– Ale kto...?

– Znam kogoś. Ma na imię Lolita. Jest młoda, niezamężna, samotna i bardzo oddana. Angél powinna ją poznać.

Maricruz przeszła go wzrokiem.

– Właściwie dlaczego się w to mieszasz?

– Przez Carlosa – odparł. W sumie nie skłamał, ale i nie powiedział całej prawdy. Nie zamierzał zdradzać, że poluje na jej męża.

– Przez Carlosa – powtórzyła. – Cholera.

– Nie odpowiedziałas.

– Bo nie ma na to odpowiedzi.

– Jest. Przed chwilą przedstawiłem ci rozwiązanie.

Maricruz milczała.

– Mało brakowało i by was złapali. Jak myślisz, co zrobią, jeśli Angél wpadnie w ich łapy?

Kobieta spojrzała na dziewczynkę, która czekała cierpliwie na tylnym siedzeniu.

– Bourne, to jest dziecko z silnym urazem psychicznym.

– Tak, ale tobie udało się do niej dotrzeć. Lolita też dotrze. Ma wielkie serce.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Maricruz wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

– A jeśli mi się nie spodoba?

– Spodoba ci się.

– Ale jeśli nie?

– Przecież nie zostawisz dziecka z kimś, komu nie ufasz, prawda?

– Nie, nie zostawię.

– Nigdy bym cię o to nie poprosił.

Znowu zapadła cisza.

Bourne wyjął telefon.

– Powiem jej, że przyjeżdżamy.

– Chcesz ją uprzedzić? Nie wiem, czy...

– Wolałabyś, żebyśmy ją zaskoczyli? To nie byłoby fair ani w stosunku do niej, ani w stosunku do Angél.

Maricruz zawahała się i ponownie spojrzała na dziewczynkę, której sylwetka majaczyła za przyciemnioną szybą samochodu. Kiwnęła głową.

Jason zadzwonił do Anuncjaty.

Rozdział 34

– Co się stało? – rzucił do telefonu Felipe Matamoros. Był w San Luis Potosi, w swojej hacjendzie, dokąd uciekł, żeby odpocząć od ciągłych narad z *compadres*, którzy próbowali zintegrować miejscowych Sinaloa z Los Zetas.

– Straszne tu zamieszanie – odparł kobiecy głos. – Pięciu ludzi nie żyje, od policji i *federales* roi się jak od mrówek. Nie wiem, naprawdę nie wiem...

– Co znaczy „nie wiem”?! – krzyknął Matamoros. – Byłaś jej pielęgniarką, płacę ci za to, żebyś wiedziała wszystko, co się tam dzieje.

– Wszystko już powiedziałam, señor Matamoros. Najpierw ten pułkownik, pułkownik Sun z chińskiej ambasady, przedarł się przez ochroniarzy i...

– Pułkownik Sun. Jesteś pewna, że tak się nazywał?

– Całkowicie, señor.

Co znaczy, pomyślał gorzko Matamoros, że minister Ouyang uznał za stosowne wetknąć swój zasrany nos w moje sprawy.

– Dobrze. Co było dalej?

– No i wybuchło straszne zamieszanie – ciągnęła pielęgniarka. – Pana strażnik, ten... ten Tygrys, tak? Wpadł do pokoju, bo przez drzwi było słyhać, że pułkownik Sun i señora się kłóca. Padł strzał. Wtedy wszedł tam lekarz señory, a korytarzem nadbiegł ten drugi strażnik, zmiennik Tygrysa. Wyjął pistolet i też tam wszedł. Padł drugi strzał i posypało się szkło. A potem ktoś strzelał na dworze, pod oknem.

– I ten lekarz uciekł z Maricruz?

– Z nią i tą dziewczynką, tak.

– Właśnie tego nie rozumiem.

– Potem zrobiło się jeszcze dziwniej, señor. – Pielęgniarka zawahała się. – Bo ten lekarz, doktor Francisco Javier... Jego nie ma.

– Jak to „nie ma”? Pracuje w innym szpitalu?

– Nie. To znaczy tak. Znaleźliśmy lekarza o tym nazwisku, ale on jest chirurgiem dziecięcym. Kiedy zadzwoniłam, był u siebie, na oddziale. Od rana nigdzie nie wychodził.

– Co takiego? – Matamoros miał ochotę przejść przez ścianę. – Co to znaczy?

– Chcę tylko powiedzieć, że nie wiem, kim ten Javier jest, ten, który uciekł. Myślę, że porwał señoře i tę dziewczynkę.

– Dziewczynkę mam gdzieś. – Matamoros pomasaował skronie; koszmarnie bolała go głowa. – Ta kobieta, señořa...

– Zniknęła – powiedziała prosto z mostu pielęgniarka.

– Zniknęła – powtórzył jak echo Matamoros. – Gdzie zniknęła?

– Nie wiadomo, señoř. Po prostu... zniknęła.

– A dwóch ludzi Carlosa nie żyje.

– Tak.

– Zawsze to coś.

– I ten Chińczyk z ambasady. I dwóch *federales*...

– Dość! Obchodzi mnie tylko ta kobieta. Odpowiadałaś za nią, opiekowałaś się nią.

– Señoř?

– Spodziewaj się gości. – Matamoros gwałtownie się rozłączył.

Spojrzał na Juana Ruiza i Diego de la Lunę i krzyknął:

– Przygotujcie samolot! Musimy jak najszybciej dostać się do Mexico City.

•••

Carlos Danda Carlos obudził się z koszmarnego snu. Nie pamiętał szczegółów, co tylko jeszcze bardziej go denerwowało i napełniało jeszcze większym niepokojem. Długie, czarne macki sennego koszmaru sięgnęły rzeczywistości, bo zaraz potem przekazano mu telefonicznie, że zastrzelono jego dwóch ochroniarzy, że w tajemniczych okolicznościach zabito dwóch *federales* i że Maricruz zniknęła. Jakby tego było mało, w jej separacie zastrzelono również jakiegoś Chińczyka, na dobitkę pułkownika. Jezu Chryste!

Później, wciąż w piżamie – stare nawyki trudno wykorzenić – odebrał wyjątkowo nieprzyjemny telefon od *el presidente*, wziął prysznic, ogolił się, ubrał i kazał się wieźć do szpitala.

W szpitalu panował kompletny chaos, bo wszyscy biegali wokoło jak kurczaki z obciętą głową. Dyrektor był poruszony i wzburzony, tak jak chiński ambasador, który na pospiesznie zwołanej konferencji prasowej w zawołowany sposób zagroził, że wraz ze wszystkimi pracownikami gotów jest opuścić Meksyk. Wystarczyło dwadzieścia minut i Carlos zrozumiał, że ta międzynarodowa

pożoga jest dużo groźniejsza niż zniknięcie Maricruz. Spotkał się z ambasadorem, który nie owijając w bawełnę, oświadczył, że zabójca pułkownika Suna, człowieka blisko związanego z ministrem Ouyangiem, musi zostać schwytany.

Słyszając to nazwisko, Carlos w środku zadrżał. Jeśli miał nadal czerpać korzyści ze sprzedaży produkowanych przez kartele narkotyków, potrzebował i ministra, i jego żony. Musiał się koniecznie dowiedzieć, co takiego Sun powiedział Maricruz, że ta zastrzeliła jego i ochroniarzy. Przecież tylko ona mogła pociągnąć za spust. Bo jeśli nie ona, to kto? Tak, musiał się dowiedzieć, dokąd uciekła i z kim. Kiedy już przepytano cały personel obecny wtedy na piętrze, stało się oczywiste, że widziano ją w towarzystwie siedmioletniej dziewczynki, pacjentki szpitala, i tajemniczego mężczyzny podającego się za jednego z lekarzy prowadzących Maricruz. Czy to możliwe, żeby to on zastrzelił Suna?

Żaden z tych faktów – a raczej częściowych faktów, bo w szpitalu wciąż panował chaos – nie miał sensu. Osobą, która znała odpowiedzi na wszystkie pytania, była sama Maricruz. Tylko gdzie przepadła?

Jeden wątek śledztwa zdawał się obiecujący. Wyglądało na to, że cała trójka zbiegła ze szpitala policyjnym radiowozem, który znaleziono w centrum handlowym w Coyoacán. Pół godziny później policja otrzymała meldunek, że w tym samym miejscu skradziono białego SUV-a. Właściciel podał im numer rejestracyjny. Od tego czasu upłynęło niecałe dwadzieścia minut. Idąc tym tropem, dowiedział się, że w teren wysłano kilkanaście radiowozów, które miały przeczesać miasto. Rozkazał potroić ich liczbę.

Kiedy odpowiedzialny za akcję kapitan spytał, skąd ma je wziąć, zwłaszcza w tak krótkim czasie, Carlos wrzasnął:

– Nie obchodzi mnie to! Choćby z własnego tyłka! Mają natychmiast wyjechać na ulice!

Wytarł spoconą twarz. Uświadomiwszy sobie, że nic tu po nim i że zaraz się załamię, wrócił do samochodu. Międzynarodowy aspekt sprawy, potencjalna groźba zawsze obecna na peryferiach jego planów, stał się nagle aspektem najważniejszym, niebezpieczeństwem, które mogło całkowicie zniszczyć jego karierę i go zabić. Tych, którzy popadli w niełaszkę, czekał w Meksyku los niewiele lepszy od losu więźniów.

– Señor? – spytał szofer. – Dokąd jedziemy?

Muszę wziąć się w garść, pomyślał Carlos. Sytuacja jest fatalna, ale trzeba wykorzystać to, co się ma, chwycić byka za rogi i mocno nim potrząsnąć.

– Do Coyoacán.

– Rozkaz!

Gdy ruszyli, wyjął komórkę i wykonał pierwszy z wielu telefonów. Musiał skrzyknąć ludzi i obstawić całą dzielnicę.

• • •

SUV skręcił w Caballo Calco, ale zamiast zatrzymać się pod numerem dwadzieścia trzy Bourne pojechał dalej i kilka razy okrążył kwartał, żeby sprawdzić, czy teren jest czysty. Zaparkował dwie przecznice dalej, wysiadł i zamienił tablice rejestracyjne na tablice samochodu stojącego na końcu ulicy. Już ruszali, gdy zza rogu wyjechał radiowóz. Samochód sunął powoli jak rekin zbliżający się do rafy koralowej pełnej ryb.

– Na dół! – rozkazał Bourne.

Maricruz zsunęła się z siedzenia, Angél natychmiast przykucnęła na podłodze. Jak na siedmiolatkę, świetnie sobie radziła i był to chyba jedyny pozytywny skutek jej traumatycznych doświadczeń.

– Spokojnie – rzucił Jason. – Sprawdzają tylko tablice rejestracyjne. Zaraz zobaczą, że to nie my.

Jego słowa okazały się prorocze, bo już po chwili radiowóz pojechał dalej i zniknął za rogami. Maricruz usiadła.

– Jeśli miałam jakieś wątpliwości co do twojej propozycji, to właśnie się ich wyżyłam – powiedziała cicho, żeby nie usłyszała jej siedząca z tyłu Angél. – Nie mogę dłużej narażać małej na niebezpieczeństwo.

Jason kiwnął głową.

– Przedstawisz nas, tak? – Maricruz była zdenerwowana i bezradna, jakby nagle straciła całą pewność siebie, co bardzo ją zaskoczyło.

– Nie ma potrzeby – odparł Bourne. – Poszukam lepiej innego wozu. Ten za bardzo rzuca się w oczy.

– Ale ja nic o niej nie wiem.

– To będziecie miały równy start. Idź już. Mieszka pod jedenastką. Na pierwszym piętrze.

Maricruz – miała na sobie meksykańskie ubranie, które jej kupił – otworzyła drzwi i wysiadła. Chciała wziąć Angél na ręce, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie i dziewczynka wysiadła sama. Była w bładożółtej sukieneczce

i skórzanych pantofelkach i gdy szły za rękę chodnikiem, wyglądały jak matka z córką. Przystanęły przed drzwiami domu pod numerem dwadzieścia trzy.

Jason zaczął, aż znikną w środku. Wtedy wytarł siedzenia i deskę rozdzielczą, odkręcił tablice rejestracyjne, wsunął je między kraty pobliskiej studzienki kanalizacyjnej i poszedł poszukać samochodu bardziej odpowiadającego ich potrzebom.

Rozdział 35

Anunciata otworzyła drzwi i osłupiała, rozpoznając rysy ojca w twarzy stojącej przed nią pięknej kobiety.

– *Hola* – powiedziała Meksykanka z uśmiechem. Wyciągnęła do niej rękę. – Mam na imię Maricruz. – I kiedy oszołomiona Anunciata ucisnęła jej dłoń, kobieta dodała: – Lolita, prawda?

– Tak. – Na ustach Anunciaty zatańczył uśmiech niczym płomień świecy na wietrze.

Maricruz położyła ręce na ramionach stojącej przed nią dziewczynki.

– A to jest Angél. Jej rodzice nie żyją. Zostali zamordowani, a jej krewni...

– Rozumiem. Wejdziecie?

Maricruz zamierzała przekroczyć próg, ale dziewczynka przywarła do jej kolan.

Anunciata ukucnęła.

– Nie musisz – powiedziała. – Nie musisz robić nic, czego nie chcesz. – Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jej uśmiech pojaśniał i okrzepł. – Powiedz, umiesz dochować tajemnicy?

Angél zawałała się i przytaknęła.

– Tak myślałam. Masz to wypisane na twarzy. – Anunciata zmrużyła oczy. – Wiesz?

Coraz większe zaintrygowanie wzięło górę nad nieśmiałością i dziewczynka pokręciła głową.

– Masz, masz, naprawdę. A niewielu umie dochować tajemnicy. Dlatego chcę ci zdradzić pewien sekret. Mogę?

Angél, wciąż onieśmielona, zareagowała powoli i z namysłem: kiwnęła głową.

– To bardzo smutna historia, ale ty na pewno ją zrozumiesz. Moi rodzice też nie żyją. I też ich zamordowano. Nie mam rodziny. Dlatego... nie wiem, ale gdybyś zechciała... mogłybyśmy trzymać się razem. Wiesz, jak dwa samotne ptaszki. Swój ciągnie do swego, prawda?

Czy to dlatego, że Angél spodobało się porównanie do ptaszka, czy z innego powodu, w każdym razie roześmiała się wesoło.

– Lubię ptaszki – powiedziała cicho – ale tak naprawdę to lubię koty.

– No to będziemy kojotami – zgodziła się Anunciata.

Angéł zaklaskała i Maricruz pchnęła ją delikatnie do przodu. Anunciata wstała, cofnęła się i weszły do mieszkania.

•••

Bourne, który polował tymczasem na jakiś stary, zdezelowany samochód, zobaczył dwa radiowozy nadjeżdżające z dwóch stron naraz. Był akurat ulicę od Caballo Calco. Wiedział, że musi bardzo uważać, ponieważ na desce rozdzielczej każdego radiowozu leżało pewnie jego zdjęcie, dlatego idąc, to krył się, to wychodził z cienia domów.

Kiedy policyjne auta podjechały bliżej, skręcił w bramę, otworzył drzwi i wszedł do mrocznej sieni. U stóp schodów przykucnął mały chłopiec, który rzucał w ścianę brudną gumową piłką. Łapał ją i znowu rzucał monotonnymi, niemal hipnotyzującymi ruchami. Kontynuował swoją samotną zabawę, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Jason wyrzał z za grubych przeszklonych drzwi i zobaczył maskę jednego z radiowozów, który zwolnił i stanął. Wysiadło z niego kilku policjantów. Ale nie spieszyło im się. Wyciągnęli papierosy, zapalili i opowiadali sobie kawały, od czasu do czasu wybuchając śmiechem.

Po chwili w jego ograniczonym polu widzenia pojawiło się dwóch tajniaków. Podeszli do mundurowych. Starszy z nich powiedział coś gniewnym głosem. Policjanci zeszytnieli i wrzucili niedopałki do rynsztoka. Tajniak machnął ręką, a oni kiwnęli głowami, a następnie pobiegli na drugą stronę ulicy. Tam rozdzielili się i zniknęli Bourne’owi z oczu.

Tajniacy zamienili ze sobą kilka słów i podjąwszy jakąś decyzję, też się rozdzielili. Jeden ruszył w stronę jego domu. Jason wbiegł na górę i przystanął na półpiętrze.

Usłyszał, jak otwierają się i zamykają drzwi. Na wytartej terakocie zastukotały buty i na klatce schodowej rozbrzmiało echo kroków.

Zaraz potem rozległy się głosy. Jason wystawił głowę, żeby lepiej słyszeć.

– *Niño*, widziałeś tu jakiegoś obcego?

Chłopiec długo milczał, wreszcie odpowiedział.

– Widziałem kogoś, kto tu nie mieszka.

– Kogo? Kiedy?

– Jakiegoś mężczyznę, przed chwilą.

– Widziałeś, dokąd poszedł?

– Na górę.

Zostawiwszy małego świadka, tajniak wszedł na schody. Błysnęła broń.

• • •

Obecność przyrodniej siostry denerwowała Anunciata. Maricruz przytłaczała ją swoim elitarnym pochodzeniem i wyniosłością, która przyprawiała ją o dreszcze. Sytuację ratowała tylko Angél. Była jak promyk słońca. Wszystko, czego dotknęła, zdawało się świecić, jakby umiała wydobyć wewnętrzne ciepło z wypolerowanego drewna, jedwabnej przędzy i wykonanej ręcznie ceramiki.

– Masz piękny dom – powiedziała Maricruz, przechadzając się powoli po salonie.

– Czy ja wiem... – odrzekła Anunciata. – Chyba dość ubogi.

– Ubogi? – Maricruz spojrzała na nią. – Nie, nie. Robi wrażenie wygodnego, przytulnego. Widać, że są tu twoje korzenie.

Anunciata pomyślała, że to ciekawa uwaga, ponieważ zawsze ubolewała, iż nie ma ani korzeni, ani miejsca, do którego mogłaby wracać. Zerknęła na Angél. Może to wcale nie znajdującym się w mieszkaniu przedmiotom brakowało uczucia, którego szukała, bo teraz, gdy znalazła się tu ta obca dziewczynka, musiała przyznać, że Maricruz ma rację. Tak, to rzeczywiście był jej dom.

Zdjęła z półki drewnianego kojota, którego kupiła w New Laredo; miał zadarty łeb, jakby wył do księżycy. Podeszła do Angéli i ukucnęła.

– Wiesz, ten kojot od lat czeka na imię – powiedziała. – Nazwiesz go jakoś?

Dziewczynka wzięła figurkę.

– Czy to chłopiec, czy dziewczynka? – spytała Anunciata.

Angél z poważną miną dokładnie obejrzała kojota.

– Chłopiec – orzekła. – Ma na imię Javvy.

Maricruz spojrzała na nią z cieniem uśmiechu na ustach.

– Zatem teraz, kiedy już nadałaś mu imię – powiedziała Anunciata – myślę, że Javvy chciałby z tobą zostać.

Angél przytuliła kojota do piersi.

– Kim jest ta piękna kobieta? – spytała Maricruz.

Anunciata obejrzała się. Jej przyrodnia siostra trzymała zdjęcie w srebrnej ramce z Oaxacan.

– To twoja matka?

Dziewczyna wstała. Serce podeszło jej do gardła. Waliło jak młotem.

– Tak.

– Masz szczęście. – Niemal z nabożną czcią Maricruz odstawiła zdjęcie na półkę. – Że znasz swoją matkę – dodała bardziej do siebie niż do niej. – Mówiłaś, że ją zamordowano?

– Otruto.

– Naprawdę? Kto śmiałby otruć taką piękność?

– Zaparzyć herbaty?

– Angél nie lubi herbaty. – Maricruz wciąż patrzyła na zdjęcie, odwróciła się dopiero teraz. – Jesteś do niej bardzo podobna...

– Dziękuję. Była kobietą...

– ...ale chyba wszyscy ci to mówią.

– ...wyjątkowego serca i urody.

Maricruz posłała jej gorący uśmiech.

– Angél woli kawę. Czarną, prawda, *guapa*?

Dziewczynka, która siedziała na sofie z wyprostowanymi nogami, wciąż oglądając drewnianego kojota, kiwnęła głową.

– Z cukrem.

Maricruz roześmiała się.

– Właśnie, bardzo, ale to bardzo słodką.

Weszła do kuchni i stanęła w drzwiach, patrząc, jak Anunciata odmierza kawę i wstawia czajnik.

– Masz tyle zdjęć matki – powiedziała. – I ani jednej fotografii ojca.

Anunciacie serce biło tak mocno, że niemal boleśnie.

– Rodzice rozwiedli się, kiedy byłam mała. Ojciec nas zostawił. – Ręka trzęsła jej się tak bardzo, że nie zdołała nad nią zapanować i filiżanka zagrzechotała o spodeczek.

– Nie widzisz go?

– To było dawno temu. – Wlała kawę do filtra. – Z tego, co wiem, już nie żyje.

Maricruz wciąż patrzyła na jej plecy.

– Nie masz braci? Ani siostr?

Anunciata pokręciła głową, bojąc się odezwać. Czuła się tak, jakby wpuściła do domu wroga, wierną ojcu jadowitą żmiję, która odkrywszy jej prawdziwą tożsamość, bez wahania ją zniszczy. Dlaczego Bourne jej to zrobił? Wiedziała dlaczego. Chodziło o dziecko. O dziecko, którego tak bardzo pragnęła. Powinien był przyjść z małą sam. Ale nie, nie mógł. Maricruz – a być może i Angél – pewnie by się na to nie zgodziła.

Wlała kawę do kubka.

– Posłodzić?

– Cztery łyżeczki. – Maricruz podeszła bliżej. – Będziesz musiała do tego przywyknąć.

– Cztery to niezdrowo. Umówmy się na dwie.

– I tak trzymaj! – powiedziała łagodnie Maricruz.

Głos dobiegł z tak bliska, że zaskoczona Anunciata odwróciła się. Maricruz stała pół kroku od niej, patrzyła jej prosto w oczy.

– Czy można ci zaufać? – spytała.

– A uwierzysz mi na słowo?

– Pytam, bo nie wiem, czy zniesiesz prawdę.

W tym momencie z ulicy dobiegł wyraźny trzask wystrzału.

•••

Stojący na podeście Bourne usłyszał głos tajniaka szepczącego coś przez radio do swojego partnera. Natychmiast cofnął się do mrocznej wnęki po lewej stronie schodów i wstrzymując oddech, patrzył, jak tamten pokonuje ostatnie stopnie z gotową do strzału dziewiątką. Ponieważ schody skręcały w prawo, było całkiem zrozumiałe, że mężczyzna najpierw spojrział w tamtą stronę. Gdy to zrobił, Jason wyszedł z cienia i kantem dłoni rąbnął go w nadgarstek uzbrojonej ręki. Pistolet uderzył w wyłożoną płytkami podłogę i wypalił z nienaturalnie głośnym w ciasnym pomieszczeniu hukiem. Kula odbiła się rykoszetem od ściany, tajniak drgnął i zgiął się wpół.

Jason zdzielił go kolaniem w twarz, chwycił za kołnierz i zadał cios w szyję. Mężczyzna przewrócił oczami i stracił przytomność. Bourne ściągnął z niego długi do kostek płaszcz, włożył go, przykrył tajniaka swoją marynarką, odciągnął na bok, z dala od oczu wchodzących czy schodzących z góry lokatorów, po czym uwolnił go od ciężaru odznaki służbowej, legitymacji i mikronadajnika. Nagle

otworzyły się drzwi do jednego z mieszkań. Jason podniósł do góry odznakę i rzucił:

– Policja. – Włożył słuchawkę do ucha. – Proszę nie wychodzić, dopóki nie skończymy śledztwa.

Trzasnęły drzwi, szcęknął zamek.

W tym samym momencie do holu wszedł drugi tajniak.

– Hernan?! – zawołał. – To ty strzelałeś?

– Tutaj – powiedział do mikrofonu Bourne. – Obezwładniłem cel.

– Miałeś go od razu zabić, taki był rozkaz. – Partner Hernana wpadł na schody, pokonując po dwa stopnie naraz. – Co ty, kurwa, robisz?

– To.

Jason wyszedł na podest i kopniakiem zrzucił go ze schodów. Z ulgą stwierdził, że chłopca, który rzucał piłką w ścianę, już tam nie ma. Zbiegł na dół, przestąpił na ciałem mężczyzny i wyszedł. W połowie ulicy wywołał przez radio mundurowych z patrolu i poprosił ich o wsparcie, podając adres domu w zupełnie innym kwartale miasta.

Potem poszedł prosto do Anuncciaty.

Rozdział 36

– Angél!

Maricruz wpadła do salonu, do łazienki, do sypialni i z powrotem do salonu.

– Gdzie ona jest? Nie ma jej!

Ruszyła do drzwi, ale Anunciata zatrzymała ją, otworzyła drewniane żaluzje i wyszła na długi, wąski balkon z ozdobioną zawijasami balustradą z kutego żelaza.

Maricruz podeszła bliżej.

– Angél, co ty robisz?

Dziewczynka stała na palcach i z rękami na balustradzie patrzyła na ulicę.

– Wracaj! – krzyknęła Maricruz. – Tam jest niebezpiecznie.

Chciała wyjść na balkon, ale Anunciata znowu ją zatrzymała.

– Ona uważa na siebie na własny sposób – szepnęła.

– Jak to?

– Już idzie – powiedziała Angél, jakby Maricruz mówiła do niej.

– Kto?

– Doktor Javvy.

– On się tak nie nazywa.

Dziewczynka nawet nie odwróciła głowy.

– Dla mnie się nazywa.

– Prawda przemawia ustami dziecięcia. – Anunciata spojrzała na Maricruz. –

Jest tym, kim jest.

– Bez względu na to, jakiego używa nazwiska?

– Przecież wiesz.

Na odgłos wystrzału w całej okolicy zapadła nienaturalna cisza. Zamarł nawet ruch uliczny.

– Już jest. – Angél odwróciła się, prześlizgnęła między nimi i weszła do pokoju.

Maricruz znieruchomiała.

– Muszę z nim iść.

– Wiem.

– Mała cię polubiła.

– Z wzajemnością. – Anunciata chciała wrócić do salonu, ale Maricruz położyła jej rękę na ramieniu.

– Mnie też jest obojętne, jakiego używasz nazwiska.

Anunciacie rozszerzyły się oczy.

Maricruz dotknęła jej policzka.

– Myślisz, że nie poznałabym jego rysów twarzy? – Choć trudno w to uwierzyć, uśmiechnęła się niepewnie, niemal nieśmiało. – Różni nas tylko to, że ja miałam za co tak daleko uciec.

– Niestety. – Anunciata mówiła tak cicho, że Maricruz musiała pochylić głowę, żeby ją usłyszeć. – Nie tylko to.

Maricruz objęła ją w talii jak siostra siostrę.

– To znaczy?

Anunciata spojrzała jej w oczy, zastanawiając się, czy odpowiedzieć.

W przedpokoju rozległ się głos Bourne'a.

– Maricruz, musimy iść. Szybko!

I w tym pełnym emocji ułamku sekundy Anunciata podjęła decyzję.

– O tym, że jest moim ojcem, dowiedziałam się, kiedy było już za późno, kiedy mnie uwiódł i zostałam jego kochanką. – Wzdrygnęła się na widok miny Maricruz. – Co mogłam zrobić? Ważyły się losy mojej matki. Gdy odkrył, że w końcu powiedziała mi prawdę, kazał ją otruć.

Maricruz objęła ją mocno.

– Boże, Lolito...

Anunciata uśmiechnęła się smutno.

– Teraz już wiesz, dlaczego wybrałam to imię.

• • •

Jason i Angél byli pogrążeni w tak poważnej, choć cichej rozmowie, że Maricruz i Anunciata przystały na ich widok. Lekko oszołomione swoimi odkryciami, nawet o tym nie wiedząc, trzymały się za ręce.

Bourne, jak zwykle spostrzegawczy, zauważył to i skinął głową, jakby od początku się tego spodziewał. I być może tak było, pomyślała Anunciata, wdzięczna, że po raz kolejny uratował jej życie.

Jason wstał.

– Pora się pożegnać.

Maricruz podeszła do Angél, wzięła ją na ręce, mocno przytuliła i pocałowała w oba policzki.

– Będę za tobą tęskniła – powiedziała cicho.

– Podoba mi się tu – odrzekła dziewczynka.

Maricruz roześmiała się i postawiła ją na podłodze.

– To dobrze, *guapa*. To bardzo dobrze. – Uśmiechnęła się do niej porozumiewawczo. – Zaopiekujesz się Lolitą?

– Tak – odparła z powagą Angél.

– Będziemy wzajemnie się sobą opiekowały. – Anunciata wzięła dziecko za rękę.

Między siostrami przetoczyło się coś potężnego, choć niewypowiedzianego. Potem Maricruz spojrzała na Bourne'a. W oczach miała łzy.

– Chodźmy.

•••

– Ty to wszystko ustawiłeś – powiedziała bez oskarżycielskiej nuty w głosie. – Wiedziałaś, że tak będzie.

– Wiedziałem, że może tak być. – Przeszli przez ulicę, kierując się do skrzyżowania. – To nie to samo.

Zdezelowany, przeżarty przez rdzę zielony pick-up z drewnianą skrzynią pasował idealnie. Bourne błyskawicznie sforsował zamek i odpalił silnik na krótko. Samochód beknął tłustym dymem z rury wydechowej.

– Doskonale! – Jason wrzucił jedynkę i ruszyli.

– Mówię o tym, że ciągle jestem z tobą.

– A co zamierzałaś zrobić? Wrócić do Carlosa? Po tym międzynarodowym incydencie siedzi po szyję w szambie i szybko idzie na dno.

– Może lepsze to niż śmierć – mruknęła.

Jason zerknął na nią kątem oka.

– Matamoros kazał ci go zabić?

– To był mój pomysł. – Głośno prychnęła. – Co cię tak dziwi?

Pokręcił głową.

– Dlaczego wróciłaś? Dlaczego stanęłaś między dwoma największymi kartelami?

– W imię ojca.
– Ojca? Nie wierzę.
– Wierz sobie, w co chcesz. Nie znasz mnie.
– Ale wiem, że go nienawidziłaś.
– Nie...
– Inaczej nigdy nie uciekłybyś tak daleko i tak szybko.
– Mogły istnieć inne powody.
– Mogły. – Bourne skręcił, żeby uniknąć spotkania z radiowozem. – Ale nie miały nic wspólnego z tobą.

Maricruz patrzyła w okno na obrazy, które przesuwały się jak na filmie wyreżyserowanym przez kogoś, kogo kiedyś znała.

– Dokąd jedziemy?
– Do Matamorosa, gdzież by indziej?

Zmrużyła oczy.

– Czego ty od niego chcesz?

Jason znowu skręcił w boczną ulicę, żeby ominąć zakorkowaną aleję. Minęli kolejny rząd domów oraz grupki wysiadających na schodach sąsiadów, z których żaden nie zwrócił na nich uwagi – jechali starym rzęchem i ludzie potraktowali ich jak swoich, jak mieszkańców tej samej zapuszczonej dzielnicy.

– Nadeszła pora wyegzekwować wszystkie długi, uregulować wszystkie zobowiązania.

– Pora odwetu – powiedziała.

Kiwnął głową.

– Tak. Odwetu.

Maricruz umilkła i pogрузzyła się w myślach.

– Chcesz zniszczyć interes mojego ojca, prawda?

– Twój ojciec i jego wspólnicy zamordowali kogoś bardzo mi bliskiego.

– „Nadeszła pora wyegzekwować wszystkie długi...” – Maricruz spojrzała przed siebie. – A więc i długi ojca.

Bourne zjechał do krawężnika i zaparkował, nie wyłączając silnika.

– Jeśli chcesz, możesz wysiąść. Twój wybór.

– Wysiądę czy nie, ty i tak zrobisz swoje.

– Nic mnie nie powstrzyma.

Maricruz wyjęła pistolet i przytknęła lufę do jego skroni.

– Przestań, chyba aż tak ci nie odbiło.

Wtedy pociągnęła za spust.

Rozdział 37

Eli Jadin nie zamierzał spędzać nocy na morzu, ale ponieważ ojciec zgromadził na łodzi pokaźne zapasy jedzenia, gdy zapadła ciemność, postanowił zostać. Zrefowali żagle, rzucili kotwicę i zabrali się do przygotowywania kolacji. Przygotowywał właściwie ojciec Elego, Reuben, podczas gdy on siedział przy stoliku, który wyciągnął na pokład spod grodzi dziobowej.

– Wina? – spytał.

Reuben pokręcił głową.

– Moja podagra znowu się odzywa.

– Starość nie radość.

– Nie starość, tylko wiek. I kropka. – Reuben zamieszał kuskus i wrzucił do garnka rodzynki, pokrojone daktyle i płatki prażonych migdałów.

Eli oparł się o gródz.

– Na emeryturze stałeś się melancholijny.

– Boże, gdybyś tylko pozwolił mi odejść na emeryturę!

– Ha, ha! Dobrze, tатku, bardzo dobrze.

Reuben łypnął na niego spod łąba.

– Wiesz, czasem myślę, że zupełnie się zamerykanizowałeś, i trochę mnie to niepokoi.

– Ja? Nieprawda. – Eli wziął z miseczki garść migdałów.

– Widzisz? – powiedział starzec z udawanym przerażeniem. – Właśnie o tym mówię.

Eli głęboko westchnął.

– *Aba*, boję się, że puściłem w ruch coś, co może doprowadzić do apokaliptycznej konfrontacji.

– Niedobrze, synu. Widzę, że lekceważysz sprawę.

Eli roześmiał się smutno.

– Ofir poluje na Bourne'a.

– Dziwisz mu się? Po tym, jak Bourne poniżył go w Damaszku...

– Amir dostał to, na co zasłużył. Celem jego tajnej misji była ochrona generała Chalida, którego Ouyang Jidan nauczył technik najpotworniejszych tortur. Tego samego Chalida, którego mieliśmy zlikwidować w Damaszku, on i ja. Nie udało

nam się, bo Amir zdradził, ale w Damaszku był również Bourne i to on zabił generała.

Reuben wrzucił na patelnię kielbaski jagnięce.

– Stare dzieje.

– Nie dla tych, którzy potrafią sięgnąć pamięcią daleko wstecz i których dręczy przesadne poczucie gniewu. Mówię o naszych starych przyjaciółach, o Ouyangu i Ofirze, jego wtyczce.

– Uważasz, że Bourne się do nich nie zalicza?

– Bourne nie ma odległych wspomnień, a z tego, co widzę, jego gniew jest wymierzony jedynie w tych, którzy zagrażają jego najbliższym.

Przekładając kielbaski z patelni do kuskusu, Reuben spojrzął na syna i sparzył się w rękę.

– Cholera jasna! – Possał czubki palców.

– Posmaruj masłem – poradził Eli.

– Nie mam.

Eli otworzył chłodziarkę, wziął garść kostek lodu, zawinął je w szmatkę i podał ojcu. Reuben zajął się ręką, a on postawił garnek na stole.

– To szczególne uczucie gniewu jest sednem twojego planu. – Ojciec usiadł, a syn zaczął nakładać kuskus na talerze.

– Zobacz, tatku. Jest dokładnie tak, jak kiedyś. Robiłeś mi kuskus co tydzień...

– Ku najwyższemu oburzeniu twojej matki. „Jak wy możecie jeść mięso?”.

Pamiętasz?

– Tak, za pierwszym razem uciekła z domu, nie mogła na nas patrzeć.

Reuben kiwnął głową.

– To prawda.

Eli spowaźniał.

– Ofir też od nas uciekł, *aba*. Mój stary przyjaciel pracuje dla wroga.

– Cóż, dobrze zrobiłeś, zatrzymując go przy sobie.

– Ale teraz poluje na Bourne’a.

– I myślisz, że go upoluje?

Eli spojrzął w otulającą morze ciemność, zupełnie inną niż ta, jaka zapada na lądzie, gęstą i rozkołysaną, skrzącą się od gwiazd mrugających na niebie jak iskry z wygasłego ogniska. Pomyślał o zaufaniu, jakim tego dnia obdarzył Daniego Amita.

– Już nie wiem, co myśleć.

Ojciec przykrył sękatą dłonią dłoń syna.

– Nie trać ducha, Eli, nie teraz. Najgorsze, co może zrobić dyrektor Mosadu, to przestać wierzyć w skuteczność planu, który sam zatwierdził. Kogoś tak niezdecydowanego czeka nieuchronna klęska.

Pokroił kielbaskę na trzy kawałki i jeden nadział na widelec.

– Zaufaj Bourne’owi tak, jak ufasz sobie.

– Oszukałem go.

– Oszukiwanie ludzi to twoja praca, Eli.

– Nie, to co innego.

– Tak? – Reuben włożył kielbaskę do ust i zamyślony ją żuł. – Dobrze, skoro tak uważasz, kiedy to wszystko się skończy, powiesz mi, co zrobiłeś. To będzie twoja *teszuwa*.

Eli kiwnął głową.

– Dziękuję, *aba*.

– Za co? Nie powiedziałem ci nic, czego byś nie wiedział. – Reuben nabrał kuskusu na widelec. – Twoim prawdziwym zmartwieniem jest Dani Amit, zwłaszcza to, co mu powiedziałeś.

– Nie podejrzewam go.

– Ofira też zaczęłaś podejrzewać dopiero wtedy, kiedy okazało się, że na to zasługuje.

– Poddałem Daniego próbie.

Reuben powoli żuł jedzenie.

– I dobrze zrobiłeś.

– Wkrótce się przekonamy.

– Krety są jak karaluchy. Tam gdzie jest jeden...

Starszy pan nie dokończył, ale płynące z tych słów wnioski dręczyły ich całą noc, nawet w niespokojnym śnie.

•••

Rozległ się suchy trzask. Maricruz drgnęła.

– Pozwoliłem sobie opróżnić magazynek – powiedział Bourne. – Niczego się nie nauczyłaś, tak jak przypuszczałem.

Z pełnym odrazą gardłowym odgłosem Maricruz rzuciła pistolet na podłogę.

– Bezużyteczny szajs. – Spojrzała na niego. – Pociągnęłam za spust dla ojca.

– Pusty gest.
– Jak widać.
– Zawsze tak było. Nie chciałaś mnie zabić. Co więcej, w głębi duszy wiedziałaś, że pistolet nie jest nabyty.

Błysnęła oczami i zacisnęła usta.

– A gdybym naprawdę chciała?
– Wspaniały gest bez żadnego znaczenia.
– Pewnie wiesz, co zrobił Lolicie.

– Wiem.

– To niewybaczalne. – Pokręciła głową. – Mój własny pieprzony ojciec.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Jak ci się rozmawiało z siostrą? – spytał.
– Cholera, wiesz o mojej rodzinie więcej niż ja.
– Tak bywa.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Wiesz, kim jest moja matka?

– Tak, poznałem ją w zeszłym roku. Tu, w Mexico City.

Maricruz osłupiała.

– Ja nie wiedziałam. Myślałam, że nie żyje. Nie pytaj mnie dlaczego. Może tak było mi łatwiej. Nie musiałam się zastanawiać, dlaczego mnie porzuciła.

– Może nie miała wyjścia.

– Zawsze jest jakieś wyjście.

– Nawet jeśli ma się pieprzonego ojca?

Maricruz ni to się roześmiała, ni zakaszła.

– Kilka miesięcy temu Jidan dał mi karteczkę z jej nazwiskiem i adresem.

Wtedy dowiedziałam się, że matka mieszka tutaj, w Mexico City.

– Ale jej nie odwiedziłaś.

Pokręciła głową.

– Nie. Nie mogę się zdecydować.

– Ja nie znam swoich rodziców. Nie wiem, kim są, nie wiem, czy mam rodzeństwo. Moja przeszłość to czysta karta.

Ciekawe, pomyślał z goryczą, czy jest na świecie ktoś, kto zna moją rodzinę. Kto wie o niej więcej niż ja. W jego duszy płonął ogień, rozpalony do białości płomień, który chłodził zamiast ogrzewać. Patrzył na świat – na swoje życie – przez pryzmat wiecznej straty, jak na bezkresne pustkowie, gdzie nie mógł się

dowiedzieć, kim jest i skąd przybył. Niczym wieczny wędrowiec, za dnia szukał czegoś, czego nie da się znaleźć, a nocami toczył mroczną wojnę o wyegzekwowanie wszystkich długów i uregulowanie wszystkich zobowiązań.

Szukał odwetu.

• • •

– Dziękuję, że doprowadziłeś do tego spotkania – powiedziała.

Bourne milczał.

– Z moją siostrą. Jak jej na imię?

– Kiedyś sama ci powie.

– Javvy. – Przekrzywiła głowę. – Dla Angéł jesteś doktorem Javvym.

– To ważne?

Oparła głowę o szybę.

– Chyba nie. Ale to... moja siostra.

– Dojeżdżamy.

Usiadła prosto.

– Właściwie dokąd?

– Do kawiarni. Mam tam spotkać się ze zbrojmistrem.

– Ze zbrojmistrem? Po cholereę ci zbrojmistrz?

– Żeby się do ciebie zbliżyć, chciałem zapolować na Matamorosa, ale po tym, co się stało, nie mam wątpliwości, że Matamoros zechce zapolować na ciebie.

Pokręciła głowę.

– Nie rozumiem. Właściwie czego ty ode mnie chcesz?

– Mam do uregulowania rachunki z twoim mężem.

– I myślisz, że cię do niego doprowadzę?

– Myślę, że już wiesz, że nie jest taki, za jakiego go miałaś.

– Zawsze miałam go tylko za kogoś, kto pomoże mi osiągnąć cel.

– Chciałaś prześcignąć ojca.

– I prześcignęłam. Maceo Encarnación nie żyje i teraz to ja kontroluję interes.

– Dziwi mnie tylko, że wkładasz w to tyle energii.

– Bo to bardzo lukratywne zajęcie.

– Tak jak wszystko, co robił. – Bourne przyspieszył, żeby wyprzedzić powolną ciężarówkę z przyczepą. – Ukryłaś się w Pekinie, żeby uciec od niego na drugi

koniec świata. Teraz już nie musisz się ukrywać, ale Meksyk to nie miejsce dla ciebie.

– Nigdy nie twierdziłam, że jest inaczej.

– Mimo to przyjechałaś, chcesz robić interesy w najbardziej newralgicznym punkcie jego imperium. Jesteś łącznikiem między nim i swoim mężem. – Zerknął na nią kątem oka. – Nie widzisz w tym ironii? Uciekłaś od ojca tylko po to, żeby spotkać się z nim jako wysłanniczka Ouyang Jidana.

– Tak to widzisz?

– Jeszcze trochę i już nigdy się od nich nie wyzwolisz. – Bourne zwołał przed światłami i się zatrzymał. – Czy myślę się, myśląc, że chcesz być panią samej siebie?

Ruszyli i za skrzyżowaniem spytała:

– Czy jest jakiś inny sposób?

– Tak, pomóż mi zrobić to, co trzeba.

Zmrużyła oczy.

– Co będę z tego miała?

– Satysfakcję, że pomogłaś młodej dziewczynie zemścić się za to, że ją zamordowano.

– Żartujesz.

– Pomyśl o Angél. Wyobraź sobie, że przez kogoś wykrwawia się na śmierć na tylnym siedzeniu taksówki w Mexico City.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Czy twoją żonę naprawdę zadźgano nożem czy to kłamstwo, część twojej przykrywki?

– Nie była moją żoną, ale tak, zamordowano ją. Tutaj, w zeszłym roku.

– Przykro mi.

Bourne skrzywił się.

– Kiedy to się skończy, będziesz wolna. Będziesz mogła robić, co chcesz, i być tym, kim chcesz. Masz na to środki.

Maricruz popatrzyła w okno. Nie widział jej miny, bo wiatr rozwiewał jej włosy, zasłaniając twarz.

– Czy spotkanie z tym zbrojnym jest naprawdę konieczne?

– Nie mam zamiaru jechać do Matamorosa tylko z dziewiątką w rękę.

Roześmiała się chrapliwie.

Jason zwołał i zaparkował. Wskazał budynek po drugiej stronie ulicy.

– To ta kawiarnia.

Maricruz przyjrzała się jej niepewnie.

– Myślisz, że to bezpieczne?

Bourne zlustrował okolicę przez szybę upstrzoną błotem i ptasimi odchodami.

– Nie wiem. W każdym razie w najmniejszym stopniu nie ufam temu, kto zorganizował to spotkanie.

– To dlaczego tu przyjechaliśmy?

– Dlatego, że ten człowiek ma to, czego potrzebuję. – Bourne wypatrzył Hale'a, który siedział w ogródku, pijąc kawę i czytając coś w tablecie. – I da mi to, choć pod pewnym warunkiem.

– Jakim?

– Że zagrozę mu śmiercią.

Rozdział 38

- Nie podoba mi się to. To pułapka.
- Czytasz w moich myślach.
- Wynośmy się stąd.
- Najpierw to załatwię.
- Coś ty taki pewny siebie?
- Bo mam plan. - Pochylił się, podniósł pistolet z podłogi i go załadował. - Trzymaj. Będziesz musiała mi pomóc. Dasz radę?

•••

Siadając naprzeciwko Hale'a, podał hasło. Mężczyzna zerknął na niego znad tabletu i podał odzew.

- Skoro formalności mamy już za sobą - powiedział - możemy się odprężyć. Zjesz coś? A może się napijesz? Podają tu fantastyczne espresso.

- Chcę tylko broni - odparł Bourne.

- Małomówni jesteśmy, co? - Hale kiwnął głową. - Rozumiem. Polecono mi dostarczyć ci wszystko, czego sobie zażyczysz.

Jason wyjął listę i położył na stoliku. Hale wziął ją, przeczytał i cicho zagwizdał.

- Idziesz na wojnę?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Hale podniósł ręce wnętrzem dłoni do niego.

- Niech Bóg broni! Chciałem tylko pogadać, ale zapomniałem, że za tym nie przepadasz.

Próbował zachowywać się swobodnie, lecz sparaliżowany świadomością, że kilka kroków dalej czai się Ofir z wyciszonym pistoletem, siedział sztywno i nieruchomo jak żołnierz w obecności generała.

Przejrzał listę jeszcze raz.

- Większość towaru mogę dać ci od ręki, to żaden problem. Mogę załatwić nawet granatnik, ale miotacz ognia to sprzęt wojskowy, zupełnie inna sprawa.

- Czyli?
- Czyli to musi trochę potrwać.
- Nie – odparł Bourne. – Nie musi.

Hale uniósł brwi.

- Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

- Wiem, czego i kiedy chcę.

- Daj mi dwadzieścia cztery...

- Masz godzinę na załatwienie wszystkiego. – Jason przeszył go wzrokiem. –

Wszystkiego.

Hale roześmiał się sztucznie.

- Albo co?

- Albo odstrzelę ci jaja.

Hale przestał się śmiać.

- Zerknij pod stół – dodał Bourne. – Śmiało.

Hale nabrał powietrza, które – niestety – natychmiast z niego uszło. Poprawił się na krześle, pochylił, zajrzał pod stolik i zobaczył lufę pistoletu wycelowaną w jego krocze.

- Niesmaczny żart – mruknął, siadając prosto.

- Ja nie żartuję.

Hale zamrugał.

- Właśnie widzę.

- A więc za godzinę.

Hale zaklął w duchu. A to sukinsyn! Dlaczego Ofir jeszcze go nie zastrzelił?

•••

Amir Ofir miał wielu panów. Ta pozorna sprzeczność nigdy go nie martwiła. Należał do Izraelczyków, których poglądy zawsze różniły się od poglądów większości. Dlatego już jako dziecko nauczył się z nimi nie obnosić. W dzieciństwie był świadkiem licznych ataków terrorystycznych – w jednym z nich zginął jego brat, przypadkowo zabity przez swoich w strzelaninie. Być może to właśnie okoliczności śmierci brata spowodowały, że szybko dojrzał do zdrady w ścisłym i mniej ścisłym tego słowa znaczeniu.

Tak czy inaczej, wyprane przez Ouyanga pieniądze, przychodzące z banku na Kajmanach i gromadzące się spokojnie na rachunku w szwajcarskim banku, na

pewno mu nie szkodziły. Cóż, zdrada to piekielna mieszanka odwetu i chciwości, doskonała strawa dla potajemnego sprzedawczyka i fałszywca.

Myśli te przemknęły mu przez głowę jak odbłask słońca po wodzie i znowu skupił całą uwagę na siedzącym pięć metrów dalej Bournie. Nie spuszczać go z oczu, sięgnął do torby, wyjął tłumik i przykręcił do pistoletu. Wolał broń większego kalibru, ale do użytku w miejscu publicznym i na tę odległość ta nadawała się doskonale.

Dokładnie sprawdził, czy ruger jest nabity, czy w komorze jest nabój i czy skrzydełko bezpiecznika jest opuszczone. Potem przykrył pistolet serwetką i położył go na stoliku. Już miał wycelować, gdy poczuł dotyk zimnej stali na potylicy.

– Hej, kopę lat!

Kobiety głos! Nie wierzył własnym uszom.

Serdeczne klepięcie w ramię i natarczywy szept:

– Odłóż to.

Przez krótką oniryczną chwilę wydawało mu się, że to Rebeka, że wstała z grobu, z trumny, w której ją pochowano. Głos zawibrował mu w uchu i z bijącym jak oszalałe sercem i pulsującymi bólem skroniami Ofir omal nie krzyknął: Przecież ty nie żyjesz, moja tajemnica jest bezpieczna!

Za jego ramienia wychynęła ręka, zabrała pistolet wraz z serwetką i zniknęła.

– Kim jesteś? – spytał.

– Ty pierwszy. – Cisza. – Nie chcesz? – Lufa dźgnęła go w szyję. – Dobrze, spytajmy kogoś, kto cię zna.

Ofir nawet nie drgnął, więc kobieta z zadziwiającą siłą chwyciła go za ramię i syknęła mu do ucha:

– Rusz dupę! Ale już!

Ofir wstał, a Maricruz, przypomniawszy sobie ostrzeżenia Bourne'a, cofnęła się poza zasięg jego wściekle podniesionej pięści.

– Jestem oburączna – powiedziała, przekładając rugera do lewej ręki.

– Nie zastrzelisz mnie tu.

– Nie? – Podniosła lufę przykrytego serwetką pistoletu. – Tłumik. Jaki słodki dodatek!

Wyprowadziła go na taras i posadziła między Bourne'em i zbrojmistrem.

– Zgodnie z obietnicą – rzuciła do Jasona.

Bourne spojrział na Ofira.

– Maricruz, przedstawiam ci Amira Ofira, szefa wydziału zabójstw i infiltracji w Mosadzie.

– O Chryste... – Hale zasłonił ręką oczy.

– Twoje plany wzięły w łeb – powiedział Jason.

– Twoje też – odparł Ofir. – *Federales* chcą powiesić cię za jaja.

– Naprawdę? To dlaczego nie powiedziałeś im po prostu, gdzie będę?

– Bo wszystko by się pieprzyli.

– Tak jak ty – zauważyła Maricruz. Stała za nim, przyciskając lufy obu pistoletów do ratanowego oparcia krzesła.

Bourne przyjrzał mu się badawczo.

– Od Damaszku coraz gorzej radzisz sobie w terenie. Pora na emeryturę, Amir.

Izraelczyk uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby.

– Śnij dalej, skurwielu.

Jason wyteńczył słuch. W oddali zawyły syreny.

– Masz rację. Rzeczywiście wszystko się pieprzyli.

Wstał, chwycił Hale'a za kołnierz i ruchem głowy dał Maricruz znak, że wychodzą.

– Niedługo się zobaczymy – rzucił Ofir. – Masz to jak w banku.

•••

Ramię przy ramieniu, siedzieli na przednim siedzeniu ściśnięci jak sardynki w puszcze.

– Do magazynu – rozkazał Bourne. – Prowadź. – Hale nie zareagował. – Mogę poprosić inaczej – ostrzegł go Jason.

– Wszystko mi jedno – mruknął Hale.

Kantem prawej dłoni Bourne uderzył go w szyję. Zrobił to tak szybko, że zdawało się, iż nie drgnął mu ani jeden mięsień. Hale zacharczał i zgiął się w pół, rozpaczliwie próbując nabrać powietrza.

Jason zerknął na Maricruz.

– Czasem nie potrzeba broni.

Maricruz chwyciła Hale'a za spocone włosy i podniosła mu głowę.

– Jak się pan czuje, señor? Miła przejażdżka?

Hale spojrział przed siebie. Z oczu płynęły mu łzy. Podał Bourne'owi adres.

Minęły ich dwa radiowozy z migającymi niebieskimi kogutami na dachach, pędząc w kierunku kawiarni. Bourne skręcił na skrzyżowaniu i podał Maricruz komórkę.

Ta kiwnęła głową, weszła na Google Maps i wprowadziła adres magazynu.

– Skręć w drugą po lewej – powiedziała.

Siedzący między nimi Hale wciąż nie mógł złapać tchu. Chciał pomasaować jabłko Adama i skrzywił się z bólu. Szyja była zaczerwieniona i już opuchnięta.

– To praca nie dla ciebie, zbrojmistrzu – powiedział Jason. – Wybrałeś sobie nieodpowiednich przyjaciół.

•••

Magazyn Hale’a mieścił się na terenie olbrzymiego kompleksu magazynów samoobsługowych na przedmieściach. Jeden za drugim ciągnęły się tam rzędy identycznych betonowych budynków z wielkimi drzwiami z blachy falistej, opuszczonymi i dobrze zabezpieczonymi. Przypominało to cmentarz.

Zbrojmistrz kazał im skręcić w ósmą alejkę od wjazdu i stanąć w jej połowie. Stanęli i Bourne wywlókł go z szoferki. Maricruz poszła za nimi. Hale wyjął z kieszeni klucz, przykucnął, otworzył zamek i podniósł drzwi.

Zapalił światło i wprowadził ich do ogromnego pomieszczenia pełnego różnej wielkości skrzyń ustawionych jedna na drugiej pod trzema ścianami.

– No proszę. – Jason wskazał kilka najbliższych. – *Made in China*. Ciekawe, od kogo tę broń kupiłeś. Czyżby od ministra Ouyanga?

Hale odkasznął.

– Czego potrzebujesz?

– Dałem ci listę.

– Wyleciała mi z głowy. – Obficie się pocił. – Po tym... – Odruchowo dotknął szyi. – Po tym, co się stało, nie mogę zebrać myśli.

Bourne podał mu spis. Hale kiwnął głową i chodząc od skrzyni do skrzyni, kompletował broń wraz z amunicją.

– Nie zapomnij o miotaczu ognia. – Jason podniósł z podłogi granatnik, zważył go na prawym ramieniu, a gdy Hale przyniósł miotacz, rzucił: – No widzisz? A miałem czekać dwadzieścia cztery godziny.

Cała broń zmieściła się w czterech torbach. Hale pomógł im załadować je do samochodu. Kiedy Maricruz wsiadła do szoferki, Bourne odciągnął go na bok

i szepnął:

– Nie ufam jej. Potrzebuję małego pistoletu, czegoś łatwego do ukrycia.

– I będziemy kwita? – wychrypiał zbrojmistrz.

– I będziemy kwita.

Twarz Hale'a zalała fala ulgi.

– Chyba mam coś takiego. – Wszedł do magazynu.

– Na pewno. – Jason opuścił drzwi, ukucnął i zatrzasnął kłódkę.

Wydawało mu się, że słyszy w środku metaliczne echo jego głosu, ale nie był tego pewny. Odwrócił się, wszedł do pick-upa i wrzucił bieg.

– Wiesz, jak skontaktować się z Matamorosem?

Wyjechali na ulicę.

– Oczywiście.

– Zadzwoń z mojej komórki. Dowiedz się, gdzie jest. I umów się na spotkanie.

Maricruz wybrała numer i przytknęła telefon do ucha.

– Felipe? Tak, to ja... To długa historia... Gdzie jesteś? W San Luis Potosi? Nie?

Tutaj, w Mexico City. Musimy...

W tym momencie czarny chevrolet, który przejechał przez skrzyżowanie na czerwonym świetle, niczym rozpędzony taran uderzył w bok pick-upa.

Rozdział 39

Gdy sędzia skazał Carlosa Dandę Carlosa na tymczasowy areszt, kazano mu zdjąć mundur i przewieziono go do więzienia. Wraz z mundurem odebrano mu godność, nie mówiąc już o dużej części tożsamości.

Tak jak wielu innych, sędzia był na jego liście płac. Często bywał u niego na kolacji, pijał jego wyborne wina i palił doskonałe cygara, sypiał z dziewczętami, które Carlos ściągał do willi na wieczorne igraszki. Ale tego dnia miał zimny głos i równie zimne oczy. Jakby widział go pierwszy raz w życiu. Jednak trudno mu się dziwić. *El presidente* wywarł na sędziego tak dużą presję, że nie miał wyjścia. Tak jak sam *el presidente*. Do sądu zjechali się dziennikarze z całego świata, którzy umościwszy się jak kury na grzędzie, napawali się widokiem prowadzonego w kajdankach byłego szefa agencji antynarkotykowej. Sędzia rzucił go wilkom na pożarcie, jak na jego miejscu zrobiłby każdy lojalny urzędnik państwowy.

Carlos w więziennym wydaniu nie wyglądał najlepiej. Gdy pod cynicznym okiem uśmiechającego się szyderczo strażnika mył nagie ciało żrącym mydłem ługowym, cała jego zuchwałość spłynęła wraz z wodą do ścieku. Słyszał różne opowieści i czytał w gazetach o makabrycznych zbrodniach w więziennej łaźni, która zdawała się ulubionym miejscem polowań wszelkiej maści psychopatów i tych szukających zemsty za zniewagi zarówno prawdziwe, jak i wymaginowane. Z lodowatą obojętnością czytywał więzienne raporty, bezpieczny i pewien, że nadchodzą z zupełnie innego świata. A teraz – o zgrozo! – właśnie do tego świata zawitał. Jak szybko życie potrafi stanąć na głowie, pomyślał ze łzami w oczach.

Kiedy się wycierał, weszło dwóch więźniów – jeden zajął prysznic po jego lewej, drugi po prawej stronie. Ich nagie ciała były potężnie umięśnione, niemalże zwierzęce i pokryte większą liczbą tatuaży niż włosów. Zdawali się należeć do zupełnie innego gatunku. Takiego, którego przedstawiciele – w przeciwieństwie do niego – nigdy nie powinni opuszczać murów więzienia.

Namydlili się, obserwując go z taką samą uwagą jak strażnik. Z sercem w gardle poczuł, że kurczy mu się moszna, że coś przewraca mu się w brzuchu, jakby wiły się w nim węgorze. Skończywszy, zakręcił krany, zerwał z wieszaka cienki ręcznik, owinął się w pasie i wciąż wilgotny szybko ruszył do wyjścia.

– Spóźniłeś się na spotkanie, *pendejo*? – rzucił szyderczo strażnik. Chwytał go za rękę i wycedził: – *Te agarró con la mano en la masa, pen-dejo*. – Przyłapano cię na gorącym uczynku, dupku.

Carlos zeszytniał, ale gdy tamten łypnął na niego spode łba, natychmiast rozluźnił mięśnie i przybrał potulny wyraz twarzy.

– Teraz lepiej – mruknął strażnik i pozwolił mu odejść.

Carlos wrócił spieszenie do celi, gdzie zobaczył... swój mundur, wyprany, wyprasowany i starannie złożony. Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. A potem włożył go oszołomiony. Wypuszczali go? Czyżby prasa zajęła się kolejnym skandalem i sędzia, który siedział u niego w kieszeni, jednak się sprawdził?

Właśnie skończył poprawiać krawat, gdy nadszedł strażnik. Otworzył drzwi i gestem ręki poprosił go na korytarz.

– Señor, naczelnik chce pana widzieć. – Jego zachowanie i ton głosu były skrajnym przeciwieństwem tego, co widział i słyszał od strażników w łaźni.

Z każdym krokiem czuł się raźniej. W głowie roilo mu się od planów zemsty na tych, którzy go poniżyli. Im bliżej gabinetu naczelnika, tym mniej przerażające były korytarze i przechodzący nimi ludzie. Tak, z każdym krokiem czuł się raźniej i swobodniej, bo każdy zbliżał go do chwili, gdy znajdzie się po drugiej stronie, wyjdzie z tego piekła i powróci do należącego mu normalnego życia.

Strażnik przystanął przed dużymi mahoniowymi drzwiami z płaskorzeźbą przedstawiającą lądującego na kaktusie orła z wężem w dziobie – oficjalny herb Mexico City z czasów, gdy Aztecy nazywali je Tenochtitlán.

Strażnik zapukał i usłyszawszy „Proszę”, otworzył Carlosowi drzwi. Sam został na korytarzu i zamknął je za elegancko ubranym więźniem, kiedy ten przekroczył próg.

Gabinet naczelnika był wysoki, kwadratowy i okazały niczym gabinet adwokata. Pod ścianami stały wypełnione książkami mahoniowe półki, na podłodze leżał orientalny dywan. Naczelnik siedział przy masywnym, misternie rzeźbionym dębowym biurku, które musiało mieć co najmniej sto lat. Podniósł wzrok, uśmiechnął się i gestem ręki wskazał Carlosowi wygodny dębowy fotel.

– Señor, proszę przyjąć moje szczere przeprosiny za to, jak pana potraktowano. – Bezradnie rozłożył ręce. – Ale pan lepiej niż inni rozumie, jak delikatna jest to sprawa. Boże, niecałą godzinę temu zadzwonił do mnie sam *el presidente*!

Wyobraża pan sobie? – Uśmiechnął się smutno. – Niestety, nawet ktoś na moim stanowisku niewiele może bez stosownej... motywacji.

– *No se puede resistir el cañonazo* – powiedział Carlos. Dużej łapówce trudno się oprzeć. – O to chodzi?

– Z grubsza.

– To się da załatwić.

Naczelnik kiwnął głową.

– Rozumie pan, że zwolnienie nie wchodzi w rachubę, przynajmniej na razie. – Współczująco zacmokał. – Ale proszę się nie martwić. Przez tydzień, dwa, będzie pan tu żył jak król. A potem, kiedy będziemy pana przewozić na proces, dojdzie do małego wypadku samochodowego. Osobiście gwarantuję, że już nigdy więcej nie zobaczy pan sali sądowej. Co pan na to?

– Ile?

Naczelnik napisał coś na kartce, wyrwał ją z bloczku, złożył na pół i przesunął po biurku w jego stronę. Carlos podniósł ją i przeczytał.

– Da się załatwić – powtórzył.

– Tylko jak, señor? Pańskie konta zostały zamrożone. Zechce mnie pan oświecić?

– Zamrożono tylko te jawne. Jeśli pozwoli mi pan skorzystać z laptopa, natychmiast przeleję całą kwotę.

Naczelnik postukał palcem w usta, analizując propozycję.

– Niechętnie powierzyłbym komuś swój komputer.

– Niech pan tu zostanie. Cały czas będzie pan widział, co robię.

– Musiałbym zdradzić panu numer mojego konta, nazwę i adres banku...

– Tak.

– Bardzo tego nie chcę.

Carlos potarł czoło.

– Kiedy przeleję pieniądze, proszę zmienić hasło.

– Hm, no dobrze. Tak będzie chyba bezpiecznie. – Naczelnik podał mu swoje dane, odwrócił laptop ekranem do niego i opadł na fotel. – Tylko bez żadnych sztuczek.

– Będę panu mówił, co robię. Może być?

Naczelnik wciąż miał wątpliwości.

– Zobaczmy, jak to będzie wyglądało w praniu.

Carlos pochylił się i zaczął stukać w klawiaturę, krok po kroku komentując swoje poczynania.

– Dobrze, jestem online... Wchodzę na stronę banku... Loguję się, wprowadzam hasło i odpowiadam na trzy pytania bezpieczeństwa... Już. Teraz otwieram rachunek... Poda mi pan swoje dane bankowe i zrobię przelew, jeszcze chwileczkę.

Podczas gdy Carlos pisał i mówił, naczelnik otworzył ukradkiem szufladę i wyjął z niej colta .45, swój ulubiony rewolwer z uchwytem z masy perłowej, który dostał kiedyś w prezencie. Broń była zawsze nabita i gotowa do strzału – nigdy nie wiadomo, kto stanie w progu, zwłaszcza w meksykańskim więzieniu.

– Dobrze, jestem gotowy.

– Señor Carlos. – Carlos podniósł wzrok. – Ponieważ jest to pana ostatnia podróż, Felipe Matamoros przesyła panu życzenia szerokiej drogi.

Carlos nie zdążył się nawet na dobre wystraszyć, bo w tym samym momencie na środku jego czoła wykwitła czerwona plama. Kiedy się odchyłał, naczelnik zwinnie wstał i chwycił laptopa, żeby nie wysunął się z pozbawionych czucia palców Carlosa.

Otworzyły się drzwi. Stał w nich strażnik, ten, który przyprowadził więźnia do gabinetu. Nie zwracając uwagi na trupa, spojrzał na przełożonego.

– Co się stało, szefie? Kolejny próbował uciec?

– Oni nigdy się niczego nie nauczą, Juan – odparł naczelnik ze wzrokiem utkwionym w ekran laptopa. – Bądź tak dobry i wynieś to truchło.

Juan dźwignął ciało z fotela i wywłókł je z gabinetu, gdy tymczasem naczelnik uzupełnił dane do przelewu w komputerze. Potem zmienił kwotę, zastępując ją wszystkimi środkami dostępnymi na koncie Carlosa, a było tego dużo, dużo więcej, niż się spodziewał, oszałamiająca wprost kwota. Ale spokojnie. Jego przyjaciel Felipe, który sprezentował mu colta na Gwiazdkę, powiedział, że może zatrzymać wszystko, co tam znajdzie. Tak, pomyślał, naciskając przycisk Enter i inicjując przelew, Felipe Matamoros to najlepszy przyjaciel, jakiego można mieć.

•••

Posypało się szkło, metal zazgrzytał piskliwie o metal, wyginając się w groteskowe kształty. Dźwignięty potężną siłą pick-up stanął dęba, przewrócił się na bok, przekoziółkował i trzęsąc się, spoczął na dachu. Rzęził uszkodzony,

przeegrzany silnik, bezsilnie wirowały koła. Spod maski buchała para. Po chwili wszystko znieruchomiało, jakby świat wstrzymał oddech.

Ciszę zburzył odgłos szybkich kroków. Do pick-upa podbiegł Amir Ofir z beretką w rękę. Zajrzał do środka i zobaczył Bourne'a i kobietę z kawiarni, którzy – jak dwie muchy na pajęczynie – zwisali głową w dół w splątanych pasach bezpieczeństwa.

Kobieta była nieprzytomna, ale kiedy chciał sprawdzić puls Bourne'owi, ten otworzył oczy i wyrzucił rękę w stronę jego twarzy. Ofir z uśmiechem zablokował cios nogą.

– Nie tym razem, Jason – powiedział. – Chwycił go za szyję i zacisnął lodowate palce. – Za długo załaziłeś mi za skórę.

Podniósł beretkę, lecz zanim zdążył wycelować, Bourne pociągnął za spust pistoletu, który trzymał w lewej ręce. Kula przebiła Ofirowi czoło z tak wielką siłą, że wyrwała tył głowy.

Amir przewrócił oczami i upadł. Wciąż zamroczony Jason rozpiął pas i spojrzął na Maricruz. Miała zakrwawioną twarz, ale szybko ustalił, że pokaleczyły ją tylko odłamki szkła.

Gdy ją ostrożnie uwalniał, usłyszał wycie zbliżających się syren. Drzwi były zaklinowane, więc wygramolił się przez okno, chwycił Maricruz pod pachy, wyciągnął z samochodu, wziął na ręce i zaniósł do samochodu Ofira. Z wysiłku omal nie zemdlął, chociaż miał do pokonania niecałe sześć metrów.

Posadził Maricruz w fotelu pasażera, usiadł za kierownicą i z ulgą stwierdził, że silnik wciąż pracuje, chociaż – sądząc po sprasowanej masce – mógł w każdej chwili zgasnąć. Wrócił do pick-upa, zabrał torby ze sprzętem i bronią, które Hale tak niechętnie mu wydał, i wepchnął je na tylne siedzenie chevroleta.

Wrzucił bieg i ruszył, walcząc z ciemnością na obrzeżach pola widzenia. Syreny wyły tak głośno, że radiowozy musiały być tuż za nimi.

Skręcił, zobaczył, że ulica jest zakorkowana, wycofał i skręcił w następną. Nagłe szarpnięcie obudziło Maricruz. Jęknęła i zamrugowała. Odwróciła głowę w jego stronę, skrzywiła się z bólu i pomasaowała kark.

– Cholera jasna, co to było?

– Ofir, ten z kawiarni, staranował nas samochodem.

– Mam nadzieję, że połamał sobie nogi.

– Miałby tęgiego farta. – Bourne znowu skręcił. – Ma kulę w czaszce. – Pokazał jej pistolet. – Czasem nie ma innego sposobu.

Roześmiała się i natychmiast chwyciła za głowę.

– Rany boskie...

– Zanim zajmemy się twoim przyjacielem Felipe, musimy trochę odpocząć.

– Zaczekaj. Gdzie ty jedziesz? Do Lolity?

– Nie chcę jej bardziej narażać. Poza tym teraz w grę wchodzi bezpieczeństwo Angél.

– Hotel odpada.

– Za dużo pytań, zwłaszcza że jesteś w tym stanie.

– To gdzie?

– Poznałaś już jednego członka swojej rodziny – odparł Jason. – Pora poznać drugiego.

• • •

– Myślisz, że tam pójde? Zwariowałeś!

– Boję się, że nie masz wyjścia. Constanza Camargo to jedyny bezpieczny port.

Zaparkował przed piękną willą na rogu ulic Alejandro Dumasa i Luisa G Urbina, w eleganckiej dzielnicy Colonia Polanco. Wyłożona piaskowcem fasada domu błyszczała w słońcu, ale schody skrywał już cień. Stopnie poszerzono, aby mogły pomieścić wbudowaną w środek rampę biegnącą od chodnika do drzwi.

Maricruz wskazała coś za oknem.

– Park Lincoln. – Pokręciła głową i znowu jęknęła. – Za parkiem jest ulica Castelar i dom mojego ojca.

– Twoja matka spędziła większość dorosłego życia o rzut kamieniem od mężczyzny, którego kochała.

– Miłość! – prychnęła Maricruz. – Co on wiedział o miłości? Był satyrem. A matka...

– Constanza to enigma, dla samej siebie po trosze też.

– To nie powód, żebyśmy się z nią spotykała.

– Dlaczego? Pod tym względem jesteś do niej bardzo podobna.

– Nie zmusisz mnie.

– Wiem, dlatego nie zamierzam próbować. – Bourne odwrócił się do niej. – Ale sytuacja wygląda tak, że musimy coś zjeść i odpocząć. Nie możemy zostać w samochodzie. Co więcej, trzeba jak najszybciej się go pozbyć. Rzuca się tu w oczy. Krótko mówiąc, musimy znaleźć jakieś schronienie.

- Skąd wiesz, że można jej zaufać?
- Nie wiem, ale nie widzę innego wyjścia.
- Ja jej nie ufam. I nie zaufam.

Bourne wysiadł, obszedł samochód i otworzył lekko wgniezione drzwi. Spotkali się wzrokiem i Maricruz mruknęła:

– Szlag by to.

Wysiadła, ale kiedy tylko stanęła na chodniku, ugięły się pod nią nogi i Jason musiał ją podtrzymać.

– Zostaw – zaprotestowała. – Poradzę sobie. – Jednak głos miała słaby i nie mogła skupić wzroku.

Bourne bał się, że doznała wstrząśnienia mózgu.

– Spójrz na mnie, Maricruz. Patrz na mnie!

Wziął ją na ręce, wbiegł na schody i przerzucił ją sobie na bark, żeby uwolnić rękę i dosięgnąć dzwonka.

Musiał zadzwonić dwa razy, lecz w końcu drzwi się otworzyły i w progu stanął potężnie zbudowany mężczyzna.

– *Hola*, Manny – rzucił Bourne.

– Jest pan ostatnią osobą, którą spodziewałem się tu zobaczyć – powiedział Manny, kierowca, ochroniarz i asystent Constanzy Camargo.

– Co za powitanie. – Jason zrobił krok do przodu. – Wpuśćcie nas?

Wielkolud zastąpił im drogę.

– Nie sądzę. Señora nie zechce pana przyjąć.

– Mnie może nie – powiedział Jason – ale na pewno zechce zobaczyć się z córką.

Rozdział 40

Manny zachwiał się, jakby dostał zawału. Bourne wniósł Maricruz do domu i położył na wygodnej sofie w salonie. Błady jak ściana Meksykanin zamknął drzwi i potruchtał za nim.

Zapadając się w mięciutkie poduszki, Maricruz cichutko jęknęła i zamknęła oczy. Jason uszczypnął ją i gdy je otworzyła, powiedział:

– Masz wstrząśnienie mózgu. Nie możesz teraz zasnąć. Rozumiesz?

Kiwnęła głową i skrzywiła się z bólu.

– Gdzie cię boli?

– Za oczami, z tyłu głowy.

Bourne delikatnie pomacał palcami i wyczuł sporego guza. Siedzenia w pick-upie nie miały zagłówków.

– Uderzyłaś się. Nic ci nie będzie, tylko nie śpij.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Pomóż mi usiąść.

Posadził ją powoli i ostrożnie.

– Tak jest lepiej. – Westchnęła.

– Manny, przynieś nam wody i coś do jedzenia. I jakiś środek przeciwbólowy dla pani.

– Nie wiem, czy mój żołądek to zniesie – wymamrotała.

Manny stał i gapił się na nią jak urzeczony.

– Zobaczymy... – Jason spojrział na niego dopiero teraz. – Manny!

– Jakbym widział... señoře – wydukał olbrzym. – Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów, tylko przynieś to, o co prosiłem. I powiedz pani, że przyjechaliśmy.

– Ale... – Manny ani drgnął.

– Ale co? – spytał zniecierpliwiony Bourne. Wstał. – Jeśli nie powiesz, ja to zrobię.

– Proszę posłuchać, proszę posłuchać... – Meksykanin oblizwał usta. Był bardzo zdenerwowany. – Señořa zachorowała. Ciężko. Od wielu tygodni nie wstaje

z łóżka. Powinna leżeć w szpitalu, ale nie chce. Mówi, że prędzej wyniosą ją stąd nogami do przodu.

– Co jej jest?

– Nie wiadomo. – Manny wzruszył ramionami. – Może to jakiś wirus. Tak czy inaczej, powoli ją zabija.

– Pójdę do niej.

– Lepiej nie, señor. Jest bardzo osłabiona.

– Ja pójdę.

Odwrócili się. Maricruz próbowała wstać z sofy. Jason jej pomógł.

– Słyszałam, co mówiliście – powiedziała. – Chcę z nią porozmawiać. Tylko nie bierz mnie na ręce. Chcę tam wejść na własnych nogach. Już i tak czuję się jak dziecko.

Manny kiwnął głową i wszedł na schody, chcąc zaprowadzić ich na górę, ale Bourne powiedział:

– Zaraz przyjdę.

Wrócił szybko do drzwi i zbiegł schodami na dół. Wyjął torby z chevroleta i wniósł je do holu. Słyszając, że na ulicy zatrzymuje się jakiś samochód, ostrożnie wyjrzał zza drzwi. Za pokiereszowanym chevroletem stał radiowóz – i dwóch mundurowych wykazujących dziwne zainteresowanie wgniecioną maską wozu, na której musieli dostrzec odpryski lakieru z pick-upa. Tutejsza policja mogła być niekompetentna, ale na pewno była nieustępliwa.

Bourne wyjął odznakę służbową, którą zabrał tajniakowi, otworzył drzwi i zbiegł na chodnik.

Podniósł odznakę i służbiście spytał:

– Mogę w czymś pomóc?

– Szukamy samochodu, który widziano na miejscu strzelaniny w Taxqueña i który brał potem udział w wypadku – odparł jeden z policjantów, smagły chudzielec z płaskim nosem.

– Daleko zawędrowaliście. Co robicie w Polanco?

– Jeździmy tam, gdzie trzeba.

Powiedział to drugi policjant, wyłaniając się zza wgniezionej maski jak stający na tylnych łapach niedźwiedź. Miał szeroką twarz koloru łoju, oczka jak świnka Piggy i usta wykrojone jak u kobiety. Był starszy od chudzielca wiekiem i najwyraźniej stopniem.

– Wszystko jedno – powiedział Bourne. – To moje śledztwo.

Piggy podszedł bliżej i przyjrzał się odznace.

– Jakie śledztwo?

– W sprawie zabójstwa.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – prychnął wojowniczo Piggy. Było widać, że tajniacy wykiwali go niejedną raz. Na takich jak on istniał tylko jeden sposób. Jason zrobił krok w jego stronę.

– Wiem, że ofiarą jest cudzoziemiec. Nie posprzątałyśmy jeszcze po tym burdelu z Chińczykiem w szpitalu, dlatego śledztwu w sprawie strzelaniny w Taxqueña nadano najwyższy priorytet.

– Czyli przydzielono ją wam, tak?

– Na pewno nie wam, sierżancie. Zabieraj swojego *niño* i zjeżdżaj stąd, bo zadzwonię gdzie trzeba i złożę na was raport.

– Wal się, platfusie. – Piggy dał znak partnerowi i ruszyli do radiowozu. – Mamy ważniejsze sprawy niż to gówno. – Usiadł za kierownicą, ten drugi obok niego i odjechali.

Gdy zniknęli za zakrętem, Bourne poszedł pozbyć się chevroleta.

•••

Manny prowadził ją bogato ozdobionym korytarzem na piętrze willi. Pod jej nogami lśniła mahoniowa podłoga, na ścianach wisiały obrazy Diego Rivery, Fridy Kahlo i Gabriela Orozco.

Kiedy się zachwiała, wielkolud odwrócił się zwinnie i podał jej rękę.

– Na pewno da pani radę, señorita?

Maricruz uśmiechnęła się mimo lęku.

– Jestem mężatką, Manny.

– *Perdóneme*, señora.

– Nie szkodzi. Chodźmy.

Przystanęli przed szerokimi drzwiami z drewna oliwnego, na środku których widniała płaskorzeźba przedstawiająca ptaki siedzące na łagodnie wygiętych gałęziach drzewa. Manny zapukał i zawołał:

– Señora, ma pani gościa!

Otworzył drzwi, mimo że Maricruz nie usłyszała odpowiedzi. Sypialnia była przestronna, choć mniejsza, niż wyobrażała ją sobie w dzieciństwie, które spędziła w luksusowym domu ojca tuż za parkiem. Na ścianach nie dostrzegła ani

religijnych obrazów, ani portretów Jezusa. Wyłożone tapetą były zupełnie nagie, nie licząc obrazu Mary Cassatt naprzeciwko łóżka, przedstawiającego matkę uśmiechającą się do ślicznego jak aniołek dziecka trzymanego na rękach.

Przez okno częściowo zasłonięte grubymi kotarami wlewało się słońce. W pokoju dominowało wielkie łoże z baldachimem na potężnych kolumnach z drewna oliwnego, najwyraźniej ozdobione przez tego samego artystę, który wyrzeźbił drzwi. Po lewej stronie łóża stał wózek inwalidzki złożony jak skrzydła przycupniętego na gałęzi ptaka.

Ale Maricruz widziała to jedynie kątem oka, ponieważ całą uwagę skupiała na siedzącej na łóżku kobiecie. Mimo że zniszczona tajemniczą chorobą, wciąż była najbardziej zjawiskową kobietą, jaką Maricruz kiedykolwiek widziała. Nie miała pojęcia, jakiego Manny doszukał się między nimi podobieństwa, ale matki i córki coś najwyraźniej łączy.

Meksykanin podszedł do łóżka.

– Señora – powiedział – przedstawiam pani Maricruz Encarnación, pani córkę. Maricruz nawet nie starała się go poprawić.

Głęboko osadzone oczy chorej zaskrzyły się jak brylanty.

– Co? – spytała aksamitnym głosem. – Co powiedziałaś?

Manny dał Maricruz znak, żeby podeszła bliżej, wziął ją za rękę i zaprowadził do stóp łóżka.

– Pani córkę, señora. Pani córka wróciła.

– Córeczko, czy to ty? – spytała Constanza. – Czy to naprawdę ty?

Maricruz nie mogła mówić. Dusiło ją w gardle, czuła, że lada chwila ugną się pod nią nogi i padnie prosto w ramiona matki, która utuli ją jak ta z obrazu Mary Cassatt.

– Manny – wyszeptwała Constanza – czy to moja córka, czy to tylko sen?

– Nie, señora, to nie sen. Proszę spojrzeć: to pani twarz. Nie ma żadnych wątpliwości.

Zapadła głucha cisza. Wstrząśnięta Constanza Camargo przyglądała się szklistym wzrokiem swojemu dawno niewidzianemu dziecku. W końcu wyszeptwała:

– To dzięki temu obrazowi. Kupiłam go, żebyś zawsze była blisko mnie. – Błyszczące w jej oczach łzy spłynęły po policzkach. – A teraz sprowadził cię z powrotem.

Maricruz zawirowało w głowie. Zachwiała się, jakby miała zaraz zemdleć. Nie wierzyła, że to dzieje się naprawdę. Tyle razy myślała o matce, zastanawiając się, kim jest, dlaczego ją porzuciła, jak wygląda, jaki ma głos, jak pachnie, jak się porusza, czy jeszcze żyje, czy już nie i dlaczego ojciec nigdy nie chciał o niej rozmawiać.

– Wiem, że mnie nienawidzisz, Maricruz. Musisz mnie nienawidzić, ale nic na to nie poradzę, prawda? Zabrał mi cię. – Matka zapłakała. – Nienawidziłam go i kochałam. Boże, kochałam go wbrew sobie, kochałam i nie mogłam przestać. Potrafił być taki czuły i taki okrutny. Czym go można usprawiedliwić? Jak to wszystko wytłumaczyć?

– Przestań. – Maricruz nie chciała psuć tej chwili wskrzeszaniem ducha nieżyjącego ojca. Nie chciała wyjaśniać czegoś, co przez całe życie uważała za niewytłumaczalne. Pragnęła ukryć to w najgłębszych, najmroczniejszych zakamarkach duszy i nigdy do tego nie wracać. – Proszę.

– Podejdiesz do mnie? – Constanza wyciągnęła ręce. – Pozwolisz mi cię utulić? Od dawna o tym marzyłam. – Z trudem przełknęła ślinę, jakby bolało ją gardło. – Powiesz do mnie „mamo”?

W Maricruz coś pękło jak kryształ. I nagle weszła na łóżko, podczołgała się do matki, padła jej w ramiona, by z głową na jej piersi i nieskrywanym zadziwieniem dziecka wsłuchać się w bicie matczynego serca.

•••

Bourne wrócił, wszedł do sypialni i zastał je na łóżku. Rozmawiały tak cicho, że słyszał jedynie szmer głosów.

– Wszystko w porządku? – spytał zaniepokojony Manny.

– Przynajmniej na razie.

Manny ruszył do drzwi.

– Chyba powinniśmy zostawić je same.

Zeszli na dół, do kuchni, gdzie kucharka przygotowywała obfitą kolację.

Jak w większości meksykańskich domów kuchnia była duża i przestronna, pełna talerzy z wypalanej gliny, misek i garnków. Najpocześniejsze miejsca zajmowały w niej blat i zlew. Jason usiadł przy prostym stole z rzeźbionego drewna, a Manny postawił na nim jedzenie i picie.

Obaj siedzieli i jedli, podczas gdy kucharka, przysadzista Meksykanka, krzątała się, przygotowując tacos, tamales i różne nadzienia.

– Spodziewacie się gości? – spytał Bourne znad odsmażonej fasoli.

Manny uśmiechnął się dobrodusznie.

– Nadzieja umiera ostatnia, przynajmniej w obfitych piersiach Bernardy. Myśli, że señora zaraz wstanie i zejdzie na dół, że wróci jej apetyt. Przygotowując się na tę chwilę, trzy razy dziennie modli się do Najświętszej Paniienki.

Bourne'a zaskoczyła jego mina.

– Ale ty nie wierzysz, że señora wyzdrowieje.

Meksykanin wzruszył ramionami.

– Doktor, który tu przychodzi, jest do niczego, ale to jedyny lekarz, jakiemu señora ufa, Bóg wie dlaczego. Z dnia na dzień coraz z nią gorzej. Nie ma apetytu, jest bardzo błąda, w południe niemal szarosina. Chwilami zupełnie odpływa i myśli, że Maceo wciąż żyje i ją kocha.

Przyrządziwszy tacos i tamales, Bernarda postawiła na blacie tacę i zaczęła zastawiać ją jedzeniem, pewnie dla swojej pani i jej córki.

– Zatem señora wie, że Maceo Encarnación nie żyje.

Manny kiwnął głową.

– Jak to przyjęła?

– Trudno powiedzieć. Nie płakała, nie była nawet smutna. Popatrzyła tylko na okno na drzewa w parku Lincolna, i powiedziała: „Wszystko wygląda tak samo. Dokładnie tak samo”.

– Więc go jednak kochała.

– O, tak. Niektóre wspomnienia płoną w jej sercu jak wieczny ogień.

– Mimo bólu, jaki jej sprawił.

– Cóż, często miotają nami sprzeczne uczucia. – Manny wzruszył ramionami. – Dlaczego? Kto to wie.

Bernarda przeszła przez kuchnię z tacą pełną jedzenia i picia i zniknęła na korytarzu, kierując się w stronę schodów.

– Odwieczny konflikt między tym, czego chcemy, i tym, co mamy. – Bourne spojrział na swoją kawę. Coś nie dawało mu spokoju. Podniósł wzrok. – Powiedziałeś, że skóra Constanzy ma czasem sinawy odcień, tak?

Manny kiwnął głową.

– Dziwne, prawda?

– Mówiłeś o tym lekarzowi?

- Naprawdę nie pamiętam. Przecież to drobiazg.
 - „Drobiazg”. Jasonowi przypomniła się Anunciata, jej zamordowana matka.
 - Od kiedy Bernarda u was pracuje?
 - Oj, od wielu lat. Jest częścią rodziny.
 - Kto ją wam polecił?
 - Jej kuzynka pracowała u señora Encarnacióna i...
- Bourne zerwał się z krzesła i wybiegł z kuchni.

Rozdział 41

– A jakiś ty miała apetyt, *guapa!* – Constanza pocałowała ją w czubek głowy. – Ssałaś i ssałaś, do ostatniej kropelki. I cały czas patrzyłaś na mnie tymi wielkimi oczami, jakbyś do mnie przemawiała. – Cicho westchnęła. Jej oddech pachniał czekoladą i czosnkiem. – To były najszczęśliwsze dni mojego życia.

– Dlaczego mnie zabrał?

Po bladym policzku Constanzy spłynęła łza.

– A dlaczego w ogóle robił to, co robił, *guapa?* Ze strachu.

– Ze strachu?

– Oczywiście. Bał się przez całe życie. Wyszedł z niebytu i był pewien, że do niebytu wróci. Nie, nie tego: z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Ten los czeka każdego, bogacza i biedaka. Bał się, że ktoś odbierze mu wszystko, co zbudował, wszystko, co zgromadził. Między innymi ciebie.

– Myślał, że mu mnie odbierzesz?

– Może nie w sensie fizycznym, nie. Ale bał się, że nauczę cię czegoś, co on chciał przed tobą ukryć.

– Jak na przykład to, że był ostatnim sukinsynem.

– Należał do tych, którzy myślą, że można być władcą absolutnym. Przestał rozumieć otaczający go świat. Stracił kontakt z ludźmi.

– Nawet z tymi, którzy próbowali się do niego zbliżyć?

– Och, zwłaszcza z nimi. Bał się, że go zdradzą, odbiorą mu coś cennego.

– Zupełnie mu odwaliło – westchnęła Maricruz.

– *Guapa*, jestem z ciebie taka dumna. Wyrwałaś mu się. Wyjechałaś, nie oglądając się za siebie.

– Ale wróciłam.

Constanza uścisnęła ją.

– I będę ci za to wdzięczna do końca życia.

– Zmienisz zdanie, kiedy powiem ci po co. – Maricruz opowiedziała jej, jak przyjechała do Pekinu, znalazła Ouyang Jidana, uwiodła go, wyszła za niego i pokierowała jego współpracą z Maceo Encarnaciónem. – A teraz – podsumowała – wróciłam, żeby zająć się jego interesami z Los Zetas.

Matka spoważniała.

– Cieszę się, że Bóg mi cię zwrócił, ale musisz z tym skończyć i zerwać z nimi wszelkie stosunki. Przeznaczenie skieruje cię na inną drogę.

– Ale mamoo...

– Żadnych ale. Znam tych kryminalistów, miałam z nimi do czynienia przez całe życie. Odebrali mi władzę w nogach, zabrali mi ciebie. Nie chcę, żeby cię to spotkało. Jeśli mnie nie posłuchasz, dojdzie do nieszczęścia. – Uniosła córce głowę i spojrzała jej w oczy. – Wyszłaś za kogoś, kto do złudzenia przypomina twojego ojca: to głupota, to tragedia. A teraz pomyśl, *guapa*, co będzie, jeśli zajdziesz z nim w ciążę. Ten człowiek ani na chwilę nie spuści dziecka z oczu. Nie uwolnisz się od niego do końca życia.

Maricruz przypomniało się, co pułkownik Sun powiedział o Angél. Słowa, które wstrząsnęły nią i ją rozwścieczyły. Zrozumiała, że matka ma rację. Matka i Bourne. Zdała sobie sprawę, że idąc w ślady ojca, postąpiła beznadziejnie głupio. Bo niby po co to zrobiła? Co chciała osiągnąć? Tak, wiedziała, jaką pójść drogą. Wymagało to jedynie odwagi, niczego więcej. Poradziła sobie kiedyś, poradzi i teraz.

Słyszając szelest na korytarzu, podniosła wzrok i zobaczyła przysadzistą kobietę, która weszła do sypialni z zastawioną tacą. Poczuła się tak, jakby naruszono jej prywatność, ale przyjęła to z uśmiechem.

•••

Nagle do pokoju wpadł Bourne. Matka i córka siedziały na łóżku, obie z kubkiem gorącej czekolady w ręku, a Bernarda rozstawiała na kolanach kobiet talerze i rozkładała sztuce.

Jason bez słowa zabrał im kubki.

– To pan?! – wykrzyknęła Constanza. – Co pan tu robi?

– On mnie tu przywiózł, mamoo – powiedziała Maricruz. – Bez niego nie miałabym odwagi do ciebie przyjść.

Bourne powąchał najpierw jeden kubek, potem drugi.

Podszedł do niego Manny.

– Co pan robi, señor?

Jason podniósł kubek.

– Czym to pachnie?

Manny powąchał.

– Jak to czym? Czekoladą.

– O co chodzi? – spytała Constanza. – Bernarda przyrządza mi gorącą czekoladę dwa razy dziennie. Jest ciemna i gęsta, ostatnio nic innego nie mogę przełknąć.

– Ciemna i gęsta nie bez powodu. – Bourne spojrział na Manny’ego. – Pachnie czekoladą i czym jeszcze?

Manny powąchał parujący kubek ponownie, tym razem głęboko wciągając powietrze.

– Nie wiem... – Zmarszczył brwi. – Czosnkiem?

Jason spojrział na kucharkę.

– Taki zapach wydziela podgrzany arsenik.

– Arsenik? – powtórzyła Constanza. – To absurd.

– Pierwszy raz pomyślałem o tym, kiedy Manny powiedział, że czasem sinieje pani skóra i że bywa pani zdezorientowana. Musimy zawieźć panią do szpitala, señora. Ta kobieta panią podtruwa.

Kucharka upadła na kolana i złożyła ręce jak do modlitwy.

– Kochałam cię – powiedziała bez tchu Constanza. – Jak mogłaś?

Kiwając się do przodu i do tyłu, Bernarda histerycznie szlochała i lamentowała. Nie mogła mówić.

– Zaraz wszystko wyśpiewa. – Maricruz zsunęła się z łóżka, stanęła przed nią, pochyliła się i chwyciła ją za szyję tak mocno, że kucharka krzyknęła z bólu.

– Przyznasz się – powiedziała Maricruz z nutą dawnego okrucieństwa w głosie.

– Powiesz wszystko albo twoje zdradzieckie życie zaraz dobiegnie końca.

Bourne, który zamierzał interweniować, gdyby kucharka próbowała uciec, doszedł do wniosku, że dowie się więcej, obserwując Maricruz przy pracy. Poznał już jej łagodne oblicze, a teraz nadeszła pora przyjrzeć się odważnej kobiecie o żelaznej sile woli, która pokonała kontynenty, żeby przeciwstawić się ojcu.

Manny zrobił krok do przodu.

– Señor, może lepiej wezwijmy policję, tak nie wolno...

Jason podniósł rękę.

– Wiesz, jak jest. Policja nie ma tu wstępu.

– Tak mówił Maceo Encarnación – zauważył sztywno Meksykanin.

– Ja też tak mówię – rzuciła Constanza.

Maricruz zacisnęła palce na szyi kucharki jeszcze mocniej, bezlitośnie. Paznokcie wbiły się w ciało, pociekła krew. Constanza patrzyła jak

zahipnotyzowana, podczołgała się nawet do stóp łóżka, żeby lepiej widzieć.

– Przyjęłam cię do tego domu na prośbę twojej kuzynki – powiedziała. Choć miała bladą twarz, jej oczy błyszczały jak wtedy, gdy była w kwiecie wieku. Obecność ukochanej córki, której miała już nigdy nie zobaczyć, dodała jej siłę, mobilizując organizm do walki ze zgubnymi skutkami małych dawek arszeniku, który kucharka regularnie dosypywała do jej czekolady. – Mówiła, że źle cię traktowano, że ojczym cię bił, że kiedy był pijany, wyrzucał cię z domu.

– To wszystko prawda, señora – wykrztusiła Bernarda. – Przysięgam, że...

– Myślisz, że ci teraz uwierzę? – Constanza nachyliła się ku niej. – A ja? Czy źle cię traktowałam?

– Nie, señora, nie.

– Czy przyjęłam cię do siebie? Czy godziwie ci płaciłam i dawałam ci prezenty na Gwiazdkę i urodziny?

– Tak, señora.

– Czy wysłuchiwałam twoich skarg? Czy pomagałam ci w miarę swoich możliwości?

– Tak, señora.

Constanza usiadła na łóżku i bez ostrzeżenia uderzyła kucharkę najpierw w jeden policzek, potem w drugi. Bernarda zaskomlała i znowu się rozszłochała.

– Gadaj, dzdziro! Dlaczego chciałaś mnie otruć?

Kucharka zwiesiła głowę i szepnęła:

– Bliższa ciała koszula, señora.

Wstrząśnięta i przerażona Constanza wytrzeszczyła oczy.

– To wszystko? „Bliższa ciała koszula”? To twoje usprawiedliwienie?

– Robiłam, co mi kazano, señora – wymamrotała Bernarda. – Rodzina Maceo Encarnacióna wciąż jest potężna. Ludzie mają dobrą pamięć, zwłaszcza ci, którzy rozgoryczenie i nienawiść wysysają z mlekiem matki.

Maricruz wydała gardłowy odgłos, chwyciła Bernardę za szyję drugą ręką i szybkim, płynnym ruchem skręciła jej kark. Kucharka runęła na podłogę.

Krzywiąc się z bólu, Maricruz spojrzała na matkę.

– A teraz zabierzemy cię do szpitala.

Rozdział 42

– Ofir nie żyje – zameldował Dani Amit, wchodząc do gabinetu dyrektora. – Zastrzelono go na miejscu wypadku samochodowego w Mexico City.

– To Bourne – powiedział z ulgą Eli Jadin. – *Magniw!* Świetnie!

– Skoro już odwalił za pana brudną robotę, trzeba się go pozbyć.

Jadin podniósł wzrok.

– Dlaczego?

– Jest niebezpieczny. Zbyt niebezpieczny, żeby się z nim cackać. Jeśli dowie się, że pan go zmanipulował, narobi nam takich kłopotów, że się nie pozbieramy.

Jadin odwrócił się z fotelem i spojrzał na dachy domów.

– Bourne jeszcze nie skończył. Wykonuje zbyt ważną misję, żeby go teraz powstrzymywać. – Potarł twarz. – Poza tym nawet gdybym chciał to zrobić, wątpię, czybym mógł. – Przeniósł wzrok na Amita. – Ofir próbował i sam widzisz, co się stało.

– Są inni, którzy...

– Cholera jasna! – warknął dyrektor głosem ostrym jak nóż. – Trzymaj się od tego z daleka, Dani! To rozkaz!

...

Ouyang Jidan przyjechał na międzynarodowe lotnisko w Pekinie kwadrans przed odlotem samolotu. Ale gdy szofer otworzył drzwi i minister wysiadł, krok dalej zobaczył Kaia.

– Co ty tu robisz? – spytał.

W zachowaniu Kaia było coś dziwnego, jakaś granicząca z niepokojem nerwowość.

W głowie Ouyanga rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

– Co się stało?

– Chodźmy na drinka.

– Nie mam czasu. Samolot zaraz odlatuje.

Chciał go wyminąć, ale Kai stanął między samochodem i wejściem do terminalu.

– Polecisz innym.

– Kai, dobrze wiesz, że Maricruz jest ranna. Wysłałem tam pułkownika Suna...

– Nie powinieneś był tego robić, Jidan. Dostałem wiadomość, że Sun nie żyje.

– A jak myślisz, po co lecę do Mexico City?

– Żeby popełnić drugi błąd? Nie powinieneś był puszczać tam żony.

– To była decyzja biznesowa – zauważył sztywno Ouyang.

Kai zrobił krok w jego stronę.

– Nigdzie nie polecisz, Jidan.

– Kim ty jesteś, żeby mnie pouczać? – najeżył się minister.

– To nie jest pouczenie – odparł ze smutkiem Kai. – To rozkaz.

– Co takiego? Tu chodzi o moją żonę. Kto śmie...

– Już na ciebie czeka. – Kai wskazał wielką opancerzoną limuzynę. – Tam.

– Nie mam na to czasu.

– To go znajdź, Jidan.

Ouyang zerknął na szofera, który nie otworzył nawet bagażnika. Stał tyłem do nich, paląc papierosa, jakby miał wszystko gdzieś. On też macza w tym palce? – pomyślał Jidan.

Kai wyciągnął rękę.

– Tędy, panie ministrze.

Nie nazywał go tak od lat, byli na to zbyt dobrymi przyjaciółmi.

Poszedł przodem. Limuzyna czekała, silnik mruczał jak wielki leśny kot. Gdy otworzyły się tylne drzwi, pochylił się i wsiadł.

– Witaj, Jidan. – Deng Tsu spojrział na niego ciemnymi czujnymi oczami.

Szyby były przyciemnione, światło mocno przygaszone, więc Ouyang nie widział dobrze jego twarzy – nie rozpoznał również siedzącego naprzeciwko nich mężczyzny.

– Patriarcha? Przyznaję, że jestem zaskoczony.

– W tym problem, przynajmniej po części. – Deng poprawił się na siedzeniu, oszczędzając bolące biodro. – Bo widzisz, młodszy bracie, to spotkanie nie powinno się odbyć.

– Nie byłoby takiej potrzeby, gdybyś potrafił poskromić swoją żonę. Przepraszam: swoją chciwość.

Ouyang zeszywniał. Natychmiast rozpoznał ten wysoki, flegmatyczny głos, ale żeby mieć pewność, zapalił boczną lampkę. I ścisnęło go w żołądku, bo zobaczył swoją nemezis, Cho Xilana, który uśmiechał się do niego jak Kot z Cheshire.

– Co on tu robi? – warknął z nieukrywaną wrogością.

Deng westchnął.

– Ty, ja, on. Zebraliśmy się tu wszyscy, żeby ratować sytuację, która wymyka się nam z rąk.

– I na pewno się wymknie, jeśli nie zaczniemy współpracować – dodał Cho Xilan.

Ouyang ani przez chwilę nie wierzył, że Cho tego chce.

– Miałem nadzieję, że moja podróż do Meksyku to zmieni.

Patriarcha pokręcił głową.

– Twoja podróż tylko pogorszyłaby sprawę. Nie mogę na to pozwolić.

– Ale moja żona tam jest – zaprotestował Ouyang. – Jest ranna i muszę ją znaleźć.

Kocia twarz, podłużne oczy i przylegające do głowy małe uszy w kolorze wosku – Cho Xilan nachylił się ku niemu i powiedział:

– Widzisz, właśnie taka postawa doprowadziła do tego bałaganu. Towarzysze z Biura Politycznego są zaniepokojeni i...

– Dość! – przerwał mu ostro Patriarcha. – Powiedziałem: żadnych rozmów o Politbiurze.

– Za trzy dni, na zjeździe w Beidaihe, będzie ich aż za dużo, chyba że...

Deng niecierpliwie machnął ręką.

– Nie każ mi żałować, że cię tu zaprosiłem, Cho. Ty i Ouyang jesteście tylko pasażerami, prowadzę ja.

Patriarcha opadł na oparcie, spojrział na jednego, potem na drugiego.

– Od tej chwili musicie zapomnieć o całej wrogości i zacząć ze sobą współpracować dla dobra wspólnej sprawy. To będzie nasz wielki prywatny skok do przodu.

Jidan, wśród naszej elity jest za dużo niezgody. Wszystko wskazuje na to, że najbliższy zjazd będzie najbardziej burzliwym zjazdem w najnowszej historii Chin. A główną tego przyczyną jest twój legendarny bój z Cho Xilanem. Nie mogę do tego dopuścić. Nasz kraj stanął na rozdrożu, a nie kto inny jak ty sam zadałeś sobie dużo trudu, żeby uświadomić mi, jakie niebezpieczeństwa czyhają na tych, którzy ignorują głos ludu.

Utrzymanie statusu Państwa Środka wymaga ofiar od wszystkich zainteresowanych stron. – Patriarcha spojrział na Ouyanga, potem na Xilana. – Powtarzam: od wszystkich. Czy wyrażam się jasno?

Po chwili wahania minister i Xilan kiwnęli głowami.

– A wy? Wy zachowujecie się jak uczniacy walczący o przywództwo na szkolnym boisku. – Deng westchnął. – Po pierwsze, Cho, musisz złagodzić swoje stanowisko.

– Kadra partyjna z Chongqing jest nieugięta. Nigdy się na to nie zgodzi.

– W takim razie muszę znaleźć innego przywódcę. – Patriarcha wyjął komórkę.

– Mam zadzwonić? Na wszelki wypadek sporządziłem krótką listę...

– Nie, to nie będzie konieczne. Dopilnuję, żeby się podporządkowali.

– Znakomicie. Abyśmy mogli przetrwać i prosperować, trzeba natychmiast przeprowadzić reformy. W tej kwestii Jidan ma rację i ciekawe pomysły. Panowie, cały świat będzie nas obserwował. Nie ukryjemy się, choćbyśmy nie wiem jak chcieli. Ten zjazd wezmą pod lupę wszystkie cywilizowane kraje. Jeśli pragniemy stać się częścią świata, nikt nie może stwierdzić, że czegoś nam brakuje.

Spojrzał na Ouyanga.

– Po drugie. Ponieważ stąpamy teraz po cienkim lodzie, twoja podróż do Mexico City zostałaaby źle odebrana...

– Zwłaszcza twoje związki z kartelami narkotykowymi – wtrącił złośliwie Xilan.

– Cho! – ostrzegł go Patriarcha.

– Twoja chciwość nas zabije – ciągnął niezrażony Xilan.

– Prędzej zabije nas to, że jak strusie chowacie głowy w piasek i chcecie żyć tak, jak dotąd. Właśnie to doprowadzi nas do zguby i upadku – odparł Ouyang.

– A niech nas sobie oceniają. – Xilan uśmiechnął się szyderczo. – To oni potrzebują naszych surowców, to oni muszą tu przyjeżdżać i błagać o nie z nisko pochyloną głową.

– To dziewiętnastowieczne myślenie – odparował Ouyang. – Dzisiaj wszystko się ze sobą łączy. Nie możemy żyć w kompletnej izolacji, jak kiedyś. Dlatego nalegałem na kupno firm energetycznych i pól naftowych w Australii, Kanadzie i Afryce. Bo właśnie to zapewni nam przyszłość.

– Znowu zaczynacie. – Patriarcha zacmokał z dezaprobatą jak profesor zwracający się do dwóch wiecznie niezadowolonych studentów. – Od tej chwili koniec z kłótniami. Od tej chwili będziecie pracowali razem. – Ostrzegawczo

podniósł palec. – Ale zanim pójdziemy dalej, trzeba sprecyzować kwestię reform. Jeśli partia nie wystąpi przeciwko korupcji, upadnie państwo, ale jeśli w walce z korupcją posuniemy się za daleko, upadnie partia.

Ouyang i Xilan ponuro milczeli i było oczywiste, że ani jednemu, ani drugiemu nie podoba się wymuszony przez Denga kompromis.

– A co z jego żoną? – spytał w końcu Xilan.

– O właśnie, dziękuję, Cho. Tak, trzeba tę sprawę rozwiązać. – Patriarcha przeniósł wzrok na Ouyanga. – Twój ożenek, młodszy bracie, był błędem. Strasznym błędem. Zagraża ci już sama obecność tej kobiety. Dopóki będzie twoją żoną, zapomnij o dalszej karierze.

– Ależ Patriarcho...

Deng podniósł rękę.

– Ja nie poddam tego pod dyskusję, Ouyang. Niczego nie poddam pod dyskusję. To jest prawo, bo prawo to ja. Mówisz, że żona jest gdzieś w Meksyku. Krzyżyk na drogę! Niech tam zostanie. Jeśli spróbuje wrócić do Chin, nie pozwolimy jej przekroczyć granicy. Zerwiesz z nią wszelkie kontakty. Usuniemy wszystkie dowody jej istnienia. Twoja żona zniknie, jakby nigdy jej nie było. Dotyczy to również twojego handlu z meksykańskimi kartelami. Musisz natychmiast z tym skończyć. Jeśli ty i Cho macie dojść do porozumienia w kwestii reform, jest to warunek *sine qua non*.

Deng błysnął oczami.

– To jest twój kompromis, Ouyang, twoja ofiara. Nie uciekniesz od niej. Będzie, jak mówię. Co więcej, od tej chwili już jest.

•••

– Dobrze, że nie do Chińczyków.

– Zatem do kogo? – spytał Eli.

– Do Amerykanów.

Spotkali się na kolacji w ustronnej restauracji, gdzie Reubena Jadina znano od lat. Kiedy przeszedł na emeryturę, jej właściciele z otwartymi ramionami przyjęli go na cichego wspólnika.

– Świetnie – powiedział Eli. – Jankesi urobią się po łokcie na Synaju i do niczego nie dojdą, bo wszystko dzieje się gdzie indziej.

– A przy okazji odkryliśmy drugiego kreta, i to kalibru Ofira.

Eli nabił na widelec kawałek sera, włożył go do ust i przez chwilę żuł w zamyśleniu.

– Ofir nie żyje. Nie musimy się już go obawiać.

– Miałeś rację co do Bourne'a.

Eli kiwnął głową.

– A co z Amitem?

– Kret wykryty to kret pożyteczny.

Reuben westchnął.

– Ach, ci Amerykanie...

– Nie wykryli naszego w CIA, więc dlaczego mielibyśmy ich ostrzegać, że namierzaliśmy u nas amerykańskiego? – Eli rozgrzebał widelcem salatę w poszukiwaniu następnego kawałka sera. – Wyślę Amita na Synaj, żeby się znanadto nie zdekcentrowali.

– Bourne'a tam nie znajdzie.

– Ale straci czas na poszukiwania, a czas jest czymś, na czym najbardziej mi teraz zależy.

Umilkli. Eli spojrział na migoczące w mżawce światła Tel Awiwu. Pozwolił myślom wędrować, dokąd chciały, z nadzieją, że podsuną mu konkretny wniosek. W końcu spojrział na ojca.

– À propos czasu. Pora, żebyś pojechał ze mną do szpitala.

Reuben był trochę zaskoczony.

– Już?

– Chyba tak.

Starszy pan spojrział na talerz z potrawką z kurczaka i nagle stracił apetyt. Myśl o szpitalu napawała go przerażeniem.

– Czas szybko leci.

– Tylko dla ciebie.

– Może jeszcze nie teraz? – poprosił cicho.

– Teraz. – Eli zmarszczył brwi i przyjrzał mu się ciekawie. – Tatku, co w ciebie wstąpiło?

– Przestań z tym tatkiem – mruknął wyraźnie skwaszony Reuben.

– Jak chcesz.

– Jak chcę? – prychnął ojciec. – Kiedy będzie, jak chcę, postawię ci skrzynkę wódki. Odkąd się urodziłeś, wszystko jest tak, jak chcą inni.

– Postaram się o tym pamiętać.

Reuben machnął ręką.

– Daj spokój. Jestem po prostu... – Posłał synowi ponure spojrzenie. – Kiedy byłem dyrektorem, nigdy tak bardzo nie ryzykowaliśmy.

– Trzeba iść z duchem czasu, *aba*.

– Ryzyko jest ogromne, nie wiem, czy warto. Jeśli to wybuchnie ci w twarz...

Eli zerknął przez ramię, ale nie było sensu prosić o rachunek. Ojciec nie płacił tu za jedzenie nawet wtedy, kiedy nie był jeszcze współnikiem.

– Więc doradzisz mi coś? Byłbym wdzięczny.

Między ojcem i synem przemknęło coś niewypowiedzianego.

Eli nachylił się ku niemu.

– *Aba*, wiem, że się o mnie martwisz.

– To dziwne?

Dyrektor wziął ojca za rękę.

– Wszystko będzie dobrze.

Reuben wciąż miał posępną minę.

– I kto tu ma kogo pocieszać, do cholery?

Rozdział 43

– Dimerkaprol. – Doktor Hernandez, szczupły, elegancki mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych włosach, miał w sobie coś ze staromodnego dżentelmena. – Antidotum na metale ciężkie. Pani matka bardzo dobrze reaguje na leczenie.

– Dzięki Bogu – wyszeptwała Maricruz.

– Ale muszę panią ostrzec, że jeszcze nie wyszliśmy na prostą i podczas całej kuracji musimy uważnie wypatrywać wszelkich nieprawidłowości sercowo-naczyniowych.

– Kiedy będę mogła ją zobaczyć?

– Teraz śpi i nie chcę, żeby jej przeszkadzano. Powiem pielęgniarce, żeby zawiadomiła panią, jak tylko pani matka się obudzi.

– Dziękuję, doktorze. Będę panu dozgonnie wdzięczna.

– Całe szczęście, że przywieźliście ją na czas. Jeszcze tydzień i byłoby za późno. Kiedy lekarz odszedł, Maricruz opadła na fotel w poczekalni.

– Javvy – powiedziała, kontynuując fantazję Angél. – Czuję się tak, jakbym od kilku dni wygrzebywała się z grobu.

– I się wygrzebałaś. – Bourne usiadł obok niej. – Masz teraz rodzinę, poczucie, że gdzieś przynależysz. Musisz żyć nowym życiem.

– I zostawić to w Pekinie?

– Sprawia ci to dużą trudność?

Pokręciła głową.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Dowiesz się, kiedy spróbujesz.

Posłała mu cierpki uśmiech.

– Cały ty. Zaczynam cię rozumieć. Idziesz do przodu, płyniesz jak rekin, zawsze do przodu.

– Ktoś bez przeszłości nie ma innego wyjścia.

– Żadne z nas nie ma innego wyjścia, jeśli chce żyć.

– Ale jest jeden problem.

Omal się nie roześmiała.

– Wiedziałam!

– Matamoros cię ściga. Zmieniłaś zdanie, a on nie dopuści do tego, żeby przekreśliło to perspektywy dalszego handlu narkotykami. Kanał przerzutowy Ouyanga jest dla niego bezcenny, a bez ciebie nie zadziała.

Podał jej komórkę.

– Pora do niego zadzwonić i umówić się na spotkanie.

Pokręciła głową.

– Nie, jeszcze nie. Nie jestem... Najpierw muszę porozmawiać z matką, zobaczyć, jak się czuje.

– Dobrze.

Jason poszedł po kawę. Właśnie odstawili puste kubki, gdy nadeszła pielęgniarka.

– Mama się obudziła. Prosi panią.

Maricruz ruszyła za nią, ale widząc, że Bourne nie wstał z krzesła, przystanąła.

– Chodź ze mną.

Jason kiwnął głową i poszli. Długi korytarz, drzwi i przedzielony bawełnianą zasłoną dwuosobowy pokój w niczym nieprzypominający przestronnej, luksusowej separatki w szpitalu Ángeles Pedregal, gdzie Carlos umieścił Maricruz – sącząca się przez żaluzje słońce padało na przezroczystą zasłonę, za którą, jak za cienką teatralną kurtyną, widać było postać leżącą na drugim łóżku.

Mimo sterczących z ręki igieł Constanza wyglądała już dużo lepiej, bo metaliczna siność twarzy zniknęła, ustępując miejsca bladym rumieńcom. Dimerkaprol skutecznie neutralizował arszenik, a podawane płyny wypłukiwały go z organizmu, dlatego istniała nadzieja, że z biegiem czasu skóra nabierze jeszcze zdrowszego wyglądu.

Maricruz pochyliła się i wzięła matkę za rękę.

– Jak się czujesz?

– Lepiej – odrzekła Constanza. – Dużo lepiej. – Przeniosła wzrok na Bourne'a. – Pan zabił Maceo, prawda? – Jej ręka podniosła się z trudem i natychmiast opadła.

– Nie, niech pan nic nie mówi. Domyśliłam się wszystkiego, kiedy tylko zobaczyłam pana na lotnisku. Miał pan to wypisane na twarzy, wyczułam to w pana zapachu.

– Nie mogła pani wiedzieć – zauważył Jason.

– Och, ale wiedziałam! Próbowałam pana powstrzymać, ale nic z tego nie wyszło. Przeze mnie otruto Marię-Elenę, przeze mnie zamordowano kobietę, z którą pan wtedy był. Nigdy sobie nie wybaczę.

– Mamo...

– Nie, córeczko, muszę to powiedzieć. Bez tego nie ma pokuty. Jestem dobrą katoliczką, wierzę w sens spowiedzi. – Gestem ręki przywołała ją bliżej. – Podejź. Chcę ci powiedzieć, że ilekroć próbowałam pomóc twojemu ojcu, zawsze kończyło się to płaczem. Ale ja uparcie próbowałam dalej, jak obłąkana. Bo właśnie tym mnie zaraził: obłędem wypaczającym poczucie sensu i rzeczywistości. To był jego podarunek, mroczny dar. Mogę śmiało powiedzieć, że jego śmierć wyszła nam wszystkim na dobre, nikt temu nie zaprzeczy. – Przeszyła Bourne’a palącym spojrzeniem. – Mimo to, niech Bóg mi dopomoże, zostawił w moim sercu puste miejsce. Ciągle kochać kogoś, kto cię skrzywdził: oto największa zagadka ludzkiej natury.

– To jak uzależnienie od narkotyków – wtrąciła Maricruz.

– Właśnie, jak uzależnienie od narkotyków.

– Potrzeba czasu – dodał Bourne.

– A dzięki wam – odrzekła Constanza – mam go teraz pod dostatkiem. – Jednak powiedziała to bez uśmiechu, ze smutkiem w oczach.

Maricruz spojrzała na Jasona.

– Dasz nam chwilę?

Bourne wyszedł, oparł się o ścianę i rozejrzał po korytarzu. Wózki. Wszędzie stały wózki, niektóre ze śpiącymi lub umierającymi pacjentami. Coś nie dawało mu spokoju, coś, co albo widział, albo wyczuł, coś niepasującego do otoczenia.

W drzwiach sąsiedniej separatki stanął zafrasowany lekarz. Podeszedł do stanowiska pielęgniarek, podał im kartę pacjenta i w świetle jarzeniówek błysnęło metalowe okucie podkładki.

Bourne odwrócił się na pięcie, wpadł do pokoju Constanzy i nie zważając na zaintrygowane spojrzenia obydwu kobiet, wbił wzrok w rozdzielającą pokój zasłonę. Coś się za nią poruszyło i tak jak przedtem, znowu dostrzegł przytłumiony błysk światła.

Skoczył w tamtą stronę, z wyciągniętymi rękami runął na zasłonę i oberwał w nadgarstek pistoletem. Odchylił się i owinął zasłonę kryjącego się za nią mężczyznę, który wcale nie był pacjentem, choć cierpliwie czekał, aż izba przyjąć przydzielili Constanzy pokój, a potem, gdy już zajęli się nią lekarze, wślizgnął się tu jakoś i zajął drugie łóżko.

Mężczyzna uderzył Bourne’a pięścią tuż nad sercem i Jasona przeszedł prąd. Tamten natychmiast rzucił się na niego, próbując unieruchomić mu ręce, ale

Bourne ucisnął kciukiem spłot nerwowy na szyi przeciwnika, kopnął go w krocze, wyrwał mu z ręki SIG-sauera i zadał paskudny cios uchwytem. Mężczyzna jęknął i stoczył się z łóżka na podłogę.

Maricruz stanęła między nim i oknem.

– Myślałam, że to ojciec nasłał kogoś, żeby dokończył to, co zaczęła Bernarda, ale nie. – Przyjrzała się nieprzytomnemu napastnikowi. – Poznaję go. To człowiek Matamorosa. – Przesesała ręką włosy. – Masz rację. Felipe nie spocznie, dopóki mnie nie dopadnie.

– Trzeba go ukryć.

– Ale gdzie?

– Na widoku.

Wyszedł i po chwili wrócił z wózkiem. Maricruz pomogła mu dźwignąć z podłogi wciąż nieprzytomnego napastnika. Jason przywiązał go, przykrył prześcieradłem, wypchnął wózek z pokoju i zostawił na końcu korytarza.

– Ten człowiek... – powiedziała Constanza, gdy wrócił. – To się nigdy nie skończy, prawda?

– Skończy się, mamo – odparła Maricruz. – Przysięgam ci, że się skończy.

Bourne odciągnął ją na bok.

– Muszę dopaść Matamorosa, i to szybko. Grozi wam niebezpieczeństwo. W innym kraju mógłbym znaleźć kogoś, kto by was ochronił, ale nie tutaj. Tu nie można nikomu ufać.

– Zadzwońię do niego i...

– Nie. Minęło za dużo czasu, już coś podejrzewa. Trzeba znaleźć inny sposób. Czy wśród jego ludzi jest ktoś, kogo można by przycisnąć? Kto wie, co Matamoros planuje?

Maricruz potarła czoło.

– Chyba tak – odparła. – Daj komórkę.

•••

Diego de la Luna, doradca Matamorosa, odczuwał nieprzyjemne ssanie w dołku, odkąd Maricruz Encarnación powiedziała mu, że spotkała się w Manili z jego bratem Elizondo. Siedział teraz w hotelowym pokoju i wraz z Juanem Ruizem obserwował Matamorosa, który chodził tam i z powrotem jak schwywane w pułapkę zwierzę, gotowe odgryźć sobie łapę.

Maricruz zadzwoniła tylko raz, potem już się nie odezwała. Felipe kazał mu oczywiście namierzyć telefon, ale jej komórka blokowała nie tylko numer, ale i współrzędne GPS.

Byli więc głusi, niemi i ślepi, czego Felipe nie mógł znieść. Szczerze mówiąc, pomyślał z lekkim przestachem de la Luna, wygląda tak, jakby miał na gardle bardzo ostry nóż.

– Nie ufam jej.

– Komu, *jefe*? – spytał niemal służalczo de la Luna.

– Maricruz – warknął Matamoros. – Wysłałem po nią Martine’a, ale się nie odezwał, a teraz nie odbiera telefonów. Ten układ z Ouyangiem, pranie brudnych pieniędzy na chińskim rynku dzieł sztuki... Wiedziałem, że to zbyt dobre, żeby mogło być prawdziwe. – Zaklął. – Ta suka z nami pogrywa.

– Ale w co?

– Nie wiem! – ryknął Matamoros. – W tym, kurwa, problem!

Siedzący po drugiej stronie pokoju Juan Ruiz starannie czyścił paznokcie cienkim nożem grawitacyjnym.

Matamoros przecesał ręką włosy.

– Wszystko jedno. Tak czy inaczej, stanowi poważne zagrożenie. Trzeba ją wyeliminować. Im szybciej, tym lepiej.

W tym momencie cichutko zagrała komórka de la Luny.

– Odbierz. – Matamoros łypnął na niego spode łba. – I zmień tę cholerną melodyjkę, bo działa mi na nerwy.

– Dobrze, *jefe*. – De la Luna odebrał i krew ścięła mu się w żyłach.

– Jak się masz, Diego – powiedziała Maricruz. – Dawno się nie widzieliśmy.

De la Luna zaniemówił. Maricruz stłumiła śmiech.

– Zaskoczony, że jeszcze mnie tam nie ma?

De la Luna odkaszlnął. Wciąż nie mógł wykrztusić słowa.

– Możesz rozmawiać?

– Nie bardzo – oparł zdławionym głosem. Czuł się tak, jakby ktoś wsypał mu do gardła wiadro piasku.

– To przejdź gdzieś, gdzie będziesz mógł – rozkazała stalowym głosem Maricruz. – Ale już!

De la Luna zerknął na Matamorosa, który wciąż krążył po pokoju.

– Ruiz!

Juan Ruiz podniósł wzrok i na widok nachmurzonej twarzy szefa złożył nóż.

– Tak, *jefe*?

– Znajdź tę sukę. Wszystko jedno jak. Jeśli będziesz musiał, przetrząśnij całe miasto, mam to gdzieś. Po prostu ją znajdź.

Ruiz wstał. Zdawało się, że zajmuje jedną trzecią pokoju.

– A potem?

– Weź nóż – warknął Matamoros. – I przynieś mi jej głowę.

• • •

– Dobrze – powiedział de la Luna – jestem na tarasie. Ale nie rozumiem. Dlaczego do mnie dzwonisz? I dlaczego nie przyjechałaś?

– A jak myślisz? – Jej głos zagrzechotał mu w uchu jak garść kamyków.

– Aha, Matamoros miał rację, tak? Przez cały czas z nami pogrywałaś.

– Zmieniły się okoliczności, Diego. Teraz chcę rozmawiać z tobą.

– Nie, nie, nie – zaprotestował de la Luna. – Nie będę ci pomagał.

– W takim razie pomoże mi twój braciszek.

– Co? O czym ty mówisz?

– Twój brat chce zniszczyć Los Zetas i od lat szuka sposobu. Sęk w tym, że nie może go znaleźć, bo kartele mają potężne wpływy w policji, wojsku i rządzie. Ale ma go na wyciągnięcie ręki, bo tym sposobem jestem ja. Tak, kochanie, mogę dać mu wszystko, czego tylko potrzebuje, wszystkie niezbędne informacje. Mam tu jego numer. Na pewno chcesz, żebym zadzwoniła?

De la Luna z trudem przełknął ślinę.

– Oczywiście... oczywiście, że nie.

– To spotkaj się ze mną.

De la Luna zerknął przez ramię. Juana Ruiza już nie było. Może mu się poszczęści i znajdzie ją, zanim...

– Kiedy?

– Teraz.

– Teraz? Nie mogę...

– Możesz i przyjdiesz. – Maricruz urywała końcówki wyrazów jak głowy krewetkom.

De la Luna wytarł ręką twarz i z odrazą stwierdził, że poci się jak świnia. Nie mógł w tym stanie wrócić do pokoju. Obdarzony szóstym zmysłem Matamoros natychmiast by wyczuł, że jest zdenerwowany.

Zamknął oczy.

– Gdzie?

– Pod Piramidą Słońca.

Teotihuacán, pomyślał. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północny zachód stąd.

– Będę za godzinę.

– Za czterdzieści pięć minut – poprawiła go Maricruz. – Nie spóźnij się.

Kiedy tylko się rozłączyła, de la Luna wybrał numer Ruiza.

– Masz ją? – spytał.

– Za wcześnie – odparł lakonicznie Juan.

– Nie. – De la Luna podrapał się w brzuch. Od zaschniętego potu swędziała go skóra. – Wiem, gdzie ona jest.

Rozdział 44

Teotihuacán znaczy „miejsce, gdzie człowiek spotkał bogów”. Jest to gigantyczne stanowisko archeologiczne leżące na terenie wielkiego centrum religijnego ludów Mezoameryki i obejmujące nie tylko Piramidę Słońca – największą budowlę prekolumbijskich Ameryk – lecz również olbrzymie budowle mieszkalne, biegnącą środkiem szeroką Aleję Zmarłych i Piramidę Księżyca. Miasto założone około setnego roku przed naszą erą rozwijało się szybko aż do dwieście pięćdziesiątego roku ery nowożytnej, kiedy to licząc sto dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, było jednym z największych na świecie.

Świadectwa jego historii rzucały się w oczy zwłaszcza w Alei Zmarłych, którą Maricruz i Bourne szli w kierunku potężnej Piramidy Słońca. Wszystko tu było na olbrzymią skalę, łącznie z pomieszczeniami mieszkalnymi, które budowano jedno na drugim, aby pomieścić szybko wzrastającą liczbę mieszkańców miasta.

– Przyjedzie? – spytała Maricruz.

– Przyjedzie. – Jason odruchowo przypatrywał się twarzom turystów. Była ich masa. Stali grupami wokół przewodników albo snuli się od budowli do budowli jak chmary komarów. – Ale nie on.

– Zrobi to w tajemnicy, inaczej nie może.

– Nie musi. Musi tylko powiedzieć komuś, że wie, gdzie jesteś.

– To po co kazałeś mi się umówić? – spytała zaniepokojona Maricruz.

– Matamoros nie ściągnie tu swoich. Za dużo zagranicznych turystów. Zwróciłby na siebie uwagę. Nie, nie ściągnie tu swoich i nie przyjedzie. Przyśle kogoś zaufanego, kogoś z najbliższego kręgu.

– Juana Ruiza. Swojego osobistego ochroniarza.

– Tym lepiej – mruknął Bourne. Zbliżali się do piramidy.

– To olbrzym. – Maricruz podała mu ważny szczegół. – Trudno go nie zauważyć.

Wmieszali się w grupę turystów, gdzie mogli przez chwilę postać i porozmawiać, ciesząc się z lichego schronienia, jakie oferowało im starożytne miasto.

– Idź – rzucił Bourne. – Już czas. Wszystko pamiętasz?

– Tak.

Patrzył, jak prześlizgnąwszy się na skraj tłumu, Maricruz mija robiących zdjęcia turystów. Poruszała się lekko i płynnie, niczym nie zdradzając, co ukrywa pod długim płaszczem.

Tymczasem „jego” grupa powoli ruszyła w stronę piramidy. Jednocześnie obserwując Maricruz i wypatrując Ruiza, szedł niespiesznie Aleją Zmarłych.

Maricruz przystanąła na rogu kamiennego muru otaczającego gigantyczną budowlę. Po lewej stronie miała główne schody pełne przejętych wchodzących i schodzących ludzi.

Wkrótce podszedł do niej szczupły, niemal zniewieściały mężczyzna. Diego de la Luna. Nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza, odwróciła się do niego i zaczęli rozmawiać. De la Luna był bardzo zdenerwowany. Jak z pyska węża, z jego białych ust ciągle wysuwał się czubek języka.

Idący powoli Jason wypatrzył wreszcie Ruiza i odłączył się od grupy włoskich turystów. Ruszył przed siebie, lecz po kilku krokach skręcił, żeby znaleźć się za plecami Ruiza. Obecność zabójcy była dowodem, że Matamoros przestał ufać Maricruz i wierzyć w jej obietnice.

Juan Ruiz był wielki jak góra, lecz podchodził Maricruz jak kot. Miał małe stopy i sunął po prastarych kamieniach jak tancerz, jak sama śmierć.

Tak, był bardzo dobry. Choć skupiony na swojej ofierze, ani na chwilę nie przestawał rejestrować tego, co działo się w pobliżu, obserwować przechodzących obok ludzi. Bourne wiedział, że musi zachować wyjątkową czujność. Gdyby Ruiz go zauważył, plan wzięłby w łeb.

Dlatego cały czas krążył poza obrębem jego pola widzenia. Meksykanin dochodził już do de la Luni, który wciąż rozmawiał z Maricruz, pewnie tylko po to, żeby ją czymś zająć. Tak, Ruiz był naprawdę znakomity i zbliżając się do jego szerokich pleców, Bourne na swój sposób go podziwiał.

Meksykanin był już tak blisko, że Maricruz wyczuła jego obecność. Drgnęła i już się odwracała, ale było za późno. Ruiz trzymał w ręku nóż.

I gdy zaskoczona otworzyła usta, wbił go tuż pod jej mostek.

Rozdział 45

Ilekoć minister Ouyang był zły, ilekoć stawał na życiowych rozdrożach, zawsze szukał schronienia w ośrodku treningowym Pięć Góry Kunlun w Pekinie. Poszukał go tam również tym razem i jadąc, nie mógł przypomnieć sobie chwili, kiedy był bardziej wściekły niż teraz.

Nie dość, że kazano mu zawrzeć sojusz ze swoją nemezis, to jeszcze rozkaz ten padł z ust Deng Tsu, jego mentora, kogoś, kogo mieszkańcy Zachodu nazwaliby rabinem czy duchowym przywódcą. Nigdy dotąd nie zaznał takiego poniżenia.

Dlatego musiał otrzeźwieć i zebrać myśli, a nic nie odprężyło go bardziej niż walka.

Z okien ośrodka roztaczał się widok na Wielki Mur. Już na pierwszym spotkaniu z nowicjuszami starszyczna tłumaczyła, że miejsce to wybrano nie bez powodu. Wielki Mur, mówili, jest symbolem muru, który zbudowaliśmy w swoim umyśle, żeby przesłaniał nam Prawdę, którą wushu z czasem wam objawi.

Powitano go niczym mistrza. Potem przebrał się z namaszczeniem w luźny strój, jaki nosili wszyscy ćwiczący. Po namyśle zdecydował się na *jian*, jednoręczny, obosieczny miecz, tradycyjnie używany przez szlachetnie urodzonych, którym tak skutecznie walczył w ośrodku treningowym w Szanghaju.

Przydzielono mu przeciwnika i wyszedł na matę. Jak zwykle zaczął od stylu Świętego Kamienia i zastygł bez ruchu, czekając, aż rywal – stosujący zaawansowaną technikę Białego Węża, którą Ouyang tak bardzo lubił – przystąpi do ataku.

Początkowo bawiło go blokowanie doskonale znanych ciosów. Jednak wkrótce miecz przeciwnika zaczął prześlizgiwać się przez jego obronę. Tamten był pół kroku szybszy i w czwartej minucie walki trafił go mocno w pierś.

Ouyang zachwiał się, cofnął i ogarnęła go ślepa furia. Za okno wyleciał spokój umysłu, poczucie wyciszenia oraz harmonii w świecie pełnym wrzawy i zamętu – w ułamku sekundy wszystko to pochłonął wir chaosu. Bez chwili namysłu Ouyang przeszedł na rzadko używany styl Ognistego Ducha i gdy niespodziewający się niczego rywal zrobił krok do tyłu, minister runął na niego w morderczym ataku.

Jian pokonał naprędce przygotowaną obronę i jego czubek przeszył pierś mężczyzny. Ale zamiast cofnąć miecz, Ouyang jeszcze mocniej naparł na rękojeść, coraz głębiej wbijając ostrze w ciało.

Mężczyzna krzyknął, krew zakwitła na macie jak pole maków, bezszelestnie nadbiegli ludzie.

...

Juan Ruiz zrozumiał, że coś jest nie tak. I wtedy Bourne zaatakował. Ruiz przekręcił w rękę nóż, dźgnął do tyłu i trafił, ale zamiast ciała ostrze przebiło jedynie kurtkę. Jason zadał mu cios w nerki, potężny, taki, który powaliliby każdego, ale... nie Ruiza. Meksykanin cofnął rękę i dźgnął do tyłu po raz drugi.

Tym razem Bourne był przygotowany. W końcowej fazie ciosu, gdy ręka była daleko od ciała, chwycił Ruiza za palec, zadarł go do góry i złamał, jeden, potem drugi.

Nie zważając na ból, Meksykanin odwrócił się i uderzył Bourne'a w ramię tak mocno, że ten niemal obrócił się wokół własnej osi. Wtedy zaprawiony w ulicznych bojach Ruiz wyszczerzył zęby w uśmiechu i grzmotnął go pięścią w bok. Bourne zatoczył się, stracił oddech. Odpowiedział podobnym ciosem i pomyślał, że chyba złamał rękę, bo od nadgarstka po ramię przeszył ją silny ból.

Na jego ramię opadła dłoń wielka jak bochen chleba. Ruiz zacisnął palce tak mocno, że zachrupotały kości. Skraj pola widzenia Bourne'a zalała ciemność rozświetlona pośrodku fontanną iskier, z których każda przeszywała go bolesnym prądem.

Miażdżąc mu ramię, Ruiz był przekonany, że zaraz odniesie zwycięstwo, dlatego gdy Jason wykonał lekki półobrót, założył, że wije się z bólu. I nawet nie zdążył zobaczyć tego, co go trafiło: dłoni, której kant wyrznął go w szyję w miejscu, gdzie biegnie tętnica szyjna.

Byłby upadł, ale Bourne go podtrzymał. Zaszokowany Diego de la Luna z rozdziawionymi ustami patrzył to na niego, to na Maricruz.

– Ale... – wykrztusił. – Ale... jak?

– Pokaż mu – rzucił Bourne.

Maricruz rozchyliła płaszcz. Pod spodem miała kamizelkę kuloodporną od zbrojmistra.

– Chciałeś mnie wyrołować, Diego. – Podeszła bliżej. – To teraz ja będę musiała cię troszkę pociąć.

Wyjęła rękę z kieszeni. Spomiędzy palców sterczało ostrze w kształcie liścia buku, króciutki, błyszczący sztylet, też od znajomego zbrojmistrza.

Widząc, że sztylet zbliża się do jego podbrzusza, de la Luna spazmatycznie przełknął ślinę.

– Dla zdrajcy jest tylko jedna kara. – Wydawało mu się, że Maricruz powiedziała to cicho i niewyraźnie.

– Zaczekaj – powstrzymał ją Bourne. – Pomyśl. Zobacz, gdzie jesteśmy.

– Mam to gdzieś. – Maricruz chwyciła de la Lunę za kołnierz. – Ten skurwiel zasługuje na radykalną zmianę życia.

– Wiesz, Diego – powiedział Jason. – Myślę, że ona ma rację.

– To wariatka! Zrób coś! – błagał de la Luna.

– Przykro mi, ale mam zajęte ręce – odparł Bourne, kontynuując przedstawienie.

– Przecież musi być coś, co...

– Matamoros – przerwał mu Jason. – Daj mi Matamorosa.

De la Luna wpadł w przerażenie.

– Co?

– Daj mi Matamorosa i może jakoś na nią wpłynę.

– Wal się, Bourne! – Maricruz przytknęła sztylet do spodni swojej ofiary.

– O Chryste – jęknął Meksykanin. – Zrobię, co zechcesz!

– Ty też się wal – warknęła.

De la Luna wyglądał tak, jakby miał zaraz zwymiotować.

– Maricruz – powiedział łagodnie Bourne. – Pamiętaj, po co tu przyszliśmy.

Najważniejszy jest Matamoros.

– Ten skurwiel raz już skłamał. Myślisz, że nie skłamię ponownie?

– Widzisz, Diego? Celny strzał. Chyba nie ma odwrotu. Ale to nic, Maricruz wytnie ci tylko kawałek...

– Przestań! – De la Luna trząśł się jak nowo narodzone jagnię. – Zrobię, co zechcecie, przysięgam!

– On przysięga, Maricruz – zauważył Jason. – Co ty na to?

Kobieta lekko pchnęła sztyletem i ostrze przebiło materiał.

– Nie przysięga, tylko pieprzy.

– Proszę! – De la Luna był gotów wyskoczyć ze skóry. – Powiedźcie, co mam zrobić, i to zrobię!

Bourne odczekał chwilę.

– Daj mu telefon, Maricruz.

– Ty poważnie?

Jason kiwnął głową.

– Ale nie zabieraj sztyletu.

De la Luna zamknął oczy i oblizał spieczone usta. Trzęsącymi się rękami wziął komórkę.

– Zadzwoń do Matamorosa – polecił Bourne. – I powiedz mu, że macie Maricruz.

– A potem?

– Przestań. Dobrze wiesz, że kiedy tylko ją dorwie, będzie chciał jak najszybciej dać nogę z miasta. Powiedz, że czekacie na niego na lotnisku.

– Dobrze. – De la Luna przełknął ślinę. – Coś jeszcze?

– Powiesz coś jeszcze i będziesz śpiewał wysokie C – ostrzegła go Maricruz.

•••

Tuż przed tym, jak zadzwonił telefon, Matamoros miał ochotę zdemolować pokój. Musiał coś zrobić, czekanie doprowadzało go do szału. Zaczął pić – prawie do dna opróżnił butelkę mescalú, którą przyniósł mu kelner, ale był tak zestresowany, że prawie nie odczuwał skutków działania alkoholu.

I nagle zadzwoniła komórka. Zobaczył, że to de la Luna, i odebrał.

– Obyś miał dobre wiadomości.

– Mam, *jefe*. Dorwaliśmy tę sukę.

– Dorwaliście ją?

– Tak, *jefe*. Leży pięknie związana, jak prezent pod choinką.

Matamorosa zalała tak wielka fala ulgi, że aż się zachwiał.

– Dobra robota, Diego. Przywieźcie ją na lotnisko. Nie zostaną tu ani chwili dłużej, nie w tym przeklętym mieście.

Przed wyjściem wziął butelkę mescalú, rozpiął rozporek i oddał do niej mocz. Dużo wypił, więc sikał i sikał, jak nosorożec. Kiedy skończył, zapiął spodnie, zakręcił korek i odstawił butelkę na barek.

A potem wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 46

Wezwano policję, ale ze względu na wysoką pozycję ministra Ouyanga śledztwo natychmiast umorzono ku wielkiemu zgorszeniu starszyny ośrodka. Ich świat nie ulegał nakazom korupcji politycznej i chociaż wiedzieli, jakie stanowisko Ouyang Jidan zajmuje w Państwie Środka, ani przez chwilę nie myśleli, że będzie to miało na nich jakiś wpływ.

Kiedy okazało się, że jednak ma, ogarnęło ich wzburzenie. Tu, w klasztorze sztuk walki, krew rozlana w gniewie była czymś nie do pomyślenia. Niektórzy proponowali nawet, żeby spalić cały kompleks i przenieść się gdzie indziej. Na szczęście przeważały głosy tych bardziej opanowanych, lecz świadomość, że ich świat nie jest odporny na zło świata rzeczywistego, na zawsze zmieniła ich pogląd na temat sztuk walki oraz podejście do kandydatów odwiedzających ośrodki w poszukiwaniu wiedzy.

Ustalono, że tym, który spotka się z mordercą przed jego wyjazdem ze splamionego krwią ośrodka, będzie Shen, mistrz mistrzów posiadający najwyższy stopień wtajemniczenia.

– Ouyang – zaczął Shen, celowo zwracając się do niego w poniżający sposób – proszę nie zdejmować gi. To ty utoczyłeś krwi, która ją splamiła. Musisz ją wynieść poza mury ośrodka.

– Rozumiem, mistrzu.

– Nie sądzę. To, co dzisiaj zrobiłeś, jest niewybaczalne.

– Popełniłem tragiczny błąd. Nie byłem sobą.

– Owszem, to była tragedia, ale nie błąd. Odebranie komuś życia nigdy nie jest błędem.

– Czyż nie po to trenujemy? – spytał Ouyang.

Shen spojrział na niego tak, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

– Nasz trening jest drogą ku innej, wyższej płaszczyźnie istnienia, gdzie...

– Bzdura. – Ouyang miał ich wszystkich dość. – Mówicie o wyższej płaszczyźnie istnienia i jednocześnie przygotowujecie kursantów do wojny. Nauczyłeś mnie walczyć, mistrzu. Wykonałeś godną podziwu pracę i jestem ci za to wdzięczny. Ale nadszedł czas, abym opuścił tę odizolowaną cieplarnię i skorzystał z twoich nauk w prawdziwym świecie.

Aby dostać się do Distrito Federal i z niego wydostać, Felipe Matamoros korzystał z sieci prywatnych lotnisk na obrzeżach Mexico City. Jego samolot czekał z pełnymi zbiornikami na północno-zachodnim krańcu miasta, gdzie wciąż dominowała rzadka i niska zabudowa.

Przyjechał z sześcioma zaprawionymi w boju żołnierzami. Nerwy wciąż miał napięte jak cięciwa łuku, ale mescal w końcu zadziałał, sprawiając, że świat stał się jaśniejszy i trochę surrealistyczny, jak dziecięca kraina słodyczy.

Żołnierze stanęli na straży z gotową do strzału bronią, a on wszedł na pokład samolotu i podał pilotowi trasę podróży, która omijała większość naziemnych radarów. Tak czy inaczej, pilot zawsze latał nisko, trzymając się z dala od naturalnych wyniesień terenu regularnie obserwowanych przez policję.

Słyszając huk wystrzałów, spojrzął w okno, ale nie widział, do kogo strzelają jego ludzie. Chwycił karabin z półki i wrócił do kabiny pasażerskiej. Nisko pochylony siedł właśnie do drzwi, gdy sekcja ogonowa samolotu eksplodowała kulą ognia.

Siła wybuchu rzuciła go na podłogę, na szczęście, bo kiedy tylko upadł, tuż nad jego głową przeleciały szczątki ogona i kadłuba. Podniósł się szybko i spojrzął przed siebie. Choć to nieprawdopodobne, przednie drzwi i schodki ocalały. Matamoros zbiegł na dół.

Czterech z sześciu żołnierzy zabił wybuch. Pozostałych dwóch natychmiast stanęło u jego boku. I wtedy zobaczył Bourne'a wychodzącego zza rogu pobliskiego budynku. Zaklął pod nosem. Bourne trzymał coś na wysokości pasa.

Matamoros zaczął strzelać i żołnierze poszli w jego ślady. Nagle zdarzyło się coś niewytłumaczalnego. W ich stronę trysnął długi jęzor płomienia. Jego ludzie przeraźliwie krzyknęli, ich ubrania momentalnie stanęły w ogniu. Od smrodu palących się ciał można było zwymiotować, ale on nie zwracał na to uwagi.

Przeszedł między wijącymi się z bólu, przeraźliwie krzyczącymi żołnierzami, wycelował w znenawidzonego wroga kryjącego się za sunącym poziomo słupem ognia i nacisnął spust, zasypując go gradem kul z szybkostrzelnego karabinu.

– Zabiję cię! – wrzeszczał. – Zabiję! – Ale ogniisty jęzor wciąż sunął w jego stronę i Matamoros zareagował sekundę za późno.

Ogień pochłonął go, pożerając z perwersyjną zachłannością. Felipe chciał krzyknąć, lecz ogniisty jęzor rozsadził mu gardło. Świat spurpurowiał. A potem coś pękło mu w głowie i pozostał jedynie ogień, dym i nadpalone kości.

Księga czwarta

Rozdział 47

– Jesteś bardzo błady. Ta sprawa odciska na tobie głębokie piętno.

Eli pokręcił głową.

– Ta sprawa mnie dobjaja.

Reuben westchnął.

– Niczego tak gorąco nie pragnę, jak tego, żeby ta tajemnica nigdy nie istniała.

– Wiem, *aba*. To prawdziwa gehenna. Ale nie mogę myśleć o sobie.

Ojciec przyjrzał się uważnie twarzy syna, kiedy wychodzili ze szpitala. Na ulicy Weizmanna wciąż panował duży ruch, a chodniki były pełne ludzi, nawet o tak późnej porze.

Reuben rozejrzał się.

– Na pewno nikt cię nie śledził?

– Jak zwykle uważałem, ale nawet jeśli ktoś za mną szedł, nie znajdzie powodu do podejrzeń.

Przebijając się przez tłum, wracali do domu po długim, wyczerpującym dniu. Tu i ówdzie widać było żołnierzy. Rozstawieni w strategicznych miejscach, pozornie nie patrzyli na nic konkretnego, choć wszystko widzieli.

Eli trzymał ręce w kieszeniach.

– Porozmawiajmy o czymś innym.

– Może o naszym planie?

– O czym tu mówić? – odparł Eli. – Plan już działa.

– Ale jest kruchy jak tafla szkła.

– Dobrze, że tylko my przez nią widzimy.

– Nie czas na żarty, Eli – skarcił go ojciec.

– Właśnie, że tak, *aba*. Dzięki odrobinie beztroski można cofnąć się o krok i spojrzeć na to pod innym kątem, poszukać pęknięć, choćby najmniejszych.

– Dobrze. Cofnąłeś się i co znalazłeś?

– Nic. Jeśli jest tam jakaś skaza, ja jej nie widzę.

– Możesz odwołać Bourne'a.

– Sam spróbuj – odparł Eli. – Góra nie drgnie z miejsca. Góra nie zauważy nawet, że istniejesz. Ale widzisz, ten upór i ta żelazna wola, żeby ciągle przeć naprzód, stawiają go ponad wszystkimi innymi z naszej branży.

– Martwi mnie, że tak mu wierzysz. Akurat jemu, wrogowi wszelkiej organizacji i zasad naszego fachu.

– On ma własne.

– Problem w tym, że wymyśla je po drodze. Za bardzo ryzykuje.

– I właśnie tego nikt nie rozumie, *aba*. Podczas gdy jego poprzedni szefowie bali się go, bo nie mieli nad nim żadnej władzy, ja wiem, i to od dawna, że Bourne wymyka się wszelkiej kontroli. Dlatego tylko nim kieruję.

– Eli, to zaburzony człowiek.

– Tak, trudno z tym polemizować. Powszechna mądrość – tak to nazwijmy – głosi, że na skutek doznanych urazów stał się niebezpieczny i nieodpowiedzialny. Ale ja widzę to inaczej. Te urazy sprawiły, że jeszcze bardziej zhardział, stał się szybszy i mądrzejszy. – Eli spojrzał na drugą stronę ulicy, na ciemne okno wystawowe sklepu zastawione gładkimi, błyszczącymi, anonimowymi manekinami, które czekały na nową dostawę ubrań. – I jest smutny, *aba*. Bardzo smutny.

– Jak my wszyscy. – Reuben pociągnął za koniuszek ucha. – Nie wiem jak ty, ale ja muszę się napić.

– A twoja podagra?

– Pieprzyć podagrę. – Ruszył na skos przez ulicę. – Pieprzyć cały świat.

• • •

– Co z Amitem? – spytał Reuben, gdy usiedli przy stoliku przy oknie.

– Jest na Synaju. Radośnie przekazuje bezwartościowe informacje naszym amerykańskim przyjaciom.

– Świetnie, w takim razie możemy spokojnie przesłuchać tych Chińczyków.

Gdy kelner przyniósł śliwowicę, Reuben jednym haustem wychylił połowę palącego jak ogień trunku i odstawił kieliszek. Jego syn pił jarden, wino ze Wzgórz Golan i gór Naftali, gdzie dzięki zimowej pogodzie winogrona mogły w pełni dojrzeć.

– Kiedy zacząłeś pić wino? – spytał szorstko Reuben.

– Kiedy nie patrzyłeś. Ty jesteś ze starej szkoły, tatku, ja z nowej.

– Mówiłem, żebyś mnie tak nie nazywał.

Syn nie odpowiedział, więc ojciec odchylił do tyłu głowę, wlał do gardła resztę śliwownicy i poprosił o następną.

– Myślisz, że wyciągniesz z nich coś użytecznego? – spytał, gdy kelner napełnił kieliszek.

– Z tych Chińczyków? Bourne twierdzi, że na pewno, zależy tylko, jak ich potraktujemy.

Reuben zrobił minę.

– Aha, czyli potraktujesz ich jak dzieci.

– Jest czas zastraszania, czas rozlewu krwi i czas współczucia.

Starszy pan pochylił się do przodu i oparł łokcie na stoliku.

– To są nasi wrogowie, Eli.

– Bo są Chińczykami?

– Właśnie. – Starzec kiwnął głową. – A jeśli to krety?

– Myślałem o tym, i o wielu innych scenariuszach. Wszystkie odrzuciłem. Dziewczyna przyznała się do współpracy z Cho Xilanem. On pracował dla jednych i drugich. Ci ludzie mają dość, *aba*. Chcą rozpocząć nowe życie i są gotowi za to zapłacić.

– Nie wierzę.

– Cóż... – Eli rzucił na stolik kilka banknotów. – To dlaczego nie pomożesz mi ich przesłuchać?

•••

Gdy Eli i Reuben weszli do domu kryjówki przy cichej uliczce w robotniczej dzielnicy Tel Awiwu, Yue i Sam Zhang grali w madžonga.

– Nie wiem, co to jest, ale ładnie pachnie – powiedział Zhang znad rozłożonych na stole kamieni.

Eli postawił dwie torby z jedzeniem na wynos, które kupił po drodze, i usiadł między nimi.

– A on to kto? – Zhang wskazał kciukiem Reubena.

– Mam kilka pytań.

Zhang ściągnął usta.

– A ja odpowiedzi, ale nie dla was, tylko dla pana Bourne'a.

– Bourne’a tu nie ma. – Eli oparł dłonie o stół i położył je na płask. – Muszę wam wystarczyć.

Zhang usiadł prosto i obronnym gestem skrzyżował ręce na piersi.

Eli spojrzał na dziewczynę.

– Taka postawa nikomu nie pomoże, zwłaszcza wam.

Yue przypatrywała mu się przez chwilę.

– Ten starzec to kto?

– Mój ojciec.

Zhang parsknął śmiechem.

– Przyszedł potrzymać pana za rączkę?

– Był poprzednim dyrektorem Mosadu. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem.

Zhang odwrócił głowę, ale Yue jakby się zastanawiała.

– Niech pan zada pierwsze pytanie.

– Siostrzyczko! – Zhang był zbulwersowany.

Yue uciszyła go gestem ręki.

– Chcę usłyszeć pytanie, Sam.

Eli otworzył grubą teczkę i przesunął palcem po pierwszej stronie.

– Kto zabił Wei-Weia?

– Ktoś podający się za policjanta – odparła bez wahania Yue. – Wiedział, o której godzinie Wei-Wei miał spotkać się z Bourne’em i w jakiej herbaciarni. Zabił go i żeby zwabić Bourne’a, wysłał do niego chłopca z listem.

– I co się stało?

– Zabiłam go, tego niby-policjanta. Bourne to widział, zaczął mnie gonić, dogonił i... Resztę już wiecie.

Skupiony Eli zmarszczył czoło i przerzucił kilka kartek.

– Ten niby-policjant... – Spojrzał na Zhanga. – Dla kogo pracował?

Zhang zerknął na Yue i dziewczyna leciutko skinęła głową.

– Dla tego samego, co Wei-Wei. Dla Ouyang Jidana.

– Twierdzi pan, że Wei-Wei pracował dla Ouyanga, pracując jednocześnie dla nas. Tak?

– Tak.

– W takim razie dlaczego Ouyang kazał zamordować własnego agenta?

Zhang westchnął.

– Bo Wei-Wei zaczął mu zagrażać. Ludzie Cho Xilana weszli po całym Szanghaju i przy odrobinie szczęścia Cho mógł wykorzystać kontakty Wei-Weia

w Mosadzie przeciwko Ouyangowi.

– Przy odrobinie szczęścia – zauważył Eli – Ouyang i Xilan mogą się wzajemnie pożreć.

– Akurat.

Powiedziała to Yue, małe, zranione stworzenie. Nawet gdyby Bourne go nie uprzedził, Eli szybko by odkrył jej wrodzoną inteligencję. Dodać do tego umiejętność radzenia sobie w mieście oraz oczywiste doświadczenie w branży, i miał przed sobą dziewczynę, która mogłaby łatwo zostać świetną agentką. Oczywiście, gdyby chciała, co – jak sama twierdziła – było mało prawdopodobne. Wiedział jednak, że w tym fachu nie można niczego zakładać, zwłaszcza jeśli chodzi o kierujące ludźmi motywacje, zmienne jak pogoda.

– To znaczy? – spytał.

– W tej grze bierze udział zbyt wiele różnych frakcji, zbyt wielu potężnych ludzi, potężniejszych nawet od Ouyanga. Chociaż się wzajemnie nienawidzą i twierdzą, że jeden chce zniszczyć drugiego, nigdy do tego nie dojdzie. Mają za dużą władzę. To kwestia zwykłego bilansu, porównania zysków i strat. Poza tym za kilka dni jest zjazd i Biuro Polityczne nigdy nie dopuści do tego rodzaju tarć w partii. W dzisiejszych czasach natychmiast napisano by o tym w mediach społecznościowych, a potem w prasie, nawet wbrew woli biura. Po takiej stracie twarzy partia nigdy nie doszłaby do siebie.

Eli podrapał się w czoło.

– Powiedz mi, Yue... Jak zakłóciłaby pani ten ich zjazd?

– Trochę zgłodnieliśmy. – Yue złożyła palce i poruszała nimi jak pałeczkami.

Eli dał znak. Strażnicy postawili torby na stole i wyjęli z nich warzywa, kuskus, potrawkę z kurczaka i kubki ze świeżo zaparzoną herbatą.

Dopóki Zhang i Yue nie dostali jedzenia i nie zaczęli jeść, w pokoju panowała cisza, którą przerwał Eli.

– Odpowie pani?

– Nie wiem, czy potrafię. – Yue odłożyła pałeczki i przepłukała usta łykiem herbaty. – Po prostu nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Bo najpierw musielibyście mieć kogoś, kto przedarłby się przez pilnujące okolicy strażę, a potem dostał jakoś na salę. – Pokręciła głową. – Nie, to niemożliwe.

Reuben pochylił się nad synem.

– Widzisz? – szepnął mu do ucha. – A nie mówiłem?

– Jezu Chryste... – westchnęła Maricruz i rozejrzała się. – Teraz już wiem, po co ci był ten zbrojmistrz.

Idąc ostrożnie pasem startowym zasłanym szerniałymi ciałami, powykęcanyimi kawałkami metalu i na wpół stopionego plastiku, przystanęła nad zwłokami Felipe Matamorosa, który leżał w groteskowej pozycji z wyciągniętymi do nieba rękami, jakby próbował obronić się przed nieuniknionym. Spalone ubranie i skóra, kości sterczące topornie z osmolonych mięśni. Najpierw wypalił się tłuszcz i z ciała bił mdlący fetor, jak – co upiorne – z wielkiego grilla. Zamiast nosa i gałek ocznych miał głębokie dziury niczym zombie w filmach grozy. Ale nie ulegało wątpliwości, że to on, człowiek, który chciał być królem i przegrał z ogniem.

Bourne ujął jej łokieć i wyprowadził ją łagodnie z pola śmierci.

– Ten rozdział życia już zamknęłaś – powiedział. – Pora skupić się na przyszłości.

– Jest jeszcze Jidan. Muszę do niego zadzwonić.

Jason podał jej komórkę.

– Co mu powiesz?

– Nie mam pojęcia. – Wybrała numer. – Jedno jest pewne: każe mi natychmiast wracać.

– Myślisz, że to mądre?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, ale tam też jest jakieś życie. Nie mogę go tak po prostu przekreślić. – Przytknęła komórkę do ucha i zmarszczyła brwi. – Wyłączony numer? Może źle wybrałam... – Ale gdy spróbowała jeszcze raz i usłyszała ten sam komunikat, zadzwoniła do chińskiej ambasady w Mexico City.

– Z ambasadorem Liu poproszę... Nie obchodzi mnie, że ma spotkanie. Niech pan mu powie, że dzwoni Maricruz Ouyang... Dobrze, zaczekam. – Zamknęła oczy. – Tak, jestem... Co takiego...? Powiedział mu pan, kto dzwoni...? Co...? Dobrze, tak, rozumiem...

Zaszokowana opuściła rękę.

– Co się stało? – spytał Bourne.

– Najwyraźniej jestem w Chinach *persona non grata* – odrzekła głucho. – Wydalono mnie z kraju. – Spojrzała na niego. – Jidan mnie kocha, nie zrobiłby mi

tego, to niemożliwe.

Jason milczał, wiedząc, że Maricruz musi przetrwać to sama.

– Dostał rozkaz, działał pod przymusem...

Spojrzała na Bourne'a, ale miał kamienną twarz.

– Nie wierzysz w to, prawda? – Zadarła głowę i spojrzała w zasnutę dymem niebo. – Chryste, co za sukinsyn. Nie miał nawet odwagi powiedzieć mi tego osobiście.

– Musi skupić się na czymś innym.

Maricruz zadrżała.

– Tak, na zjeździe. Myśli tylko o tym.

– To jego przyszłość, jego cały świat. Jeśli wyrzucą go z Biura Politycznego, będzie skończony, będzie nikim. Jego nazwisko zostanie usunięte ze wszystkich dokumentów, jakie kiedykolwiek podpisał, ze wszystkich podpisanych przez niego rozporządzeń. Jego władza wyparuje, jakby nigdy jej nie miał.

– Zniknie – powiedziała Maricruz. – Tak jak ja. Jesteś. Pstryk! I już cię nie ma. Wystarczy strzelić palcami.

– Już ci się nie przyda.

– Ale on mnie kocha! – krzyknęła do połyskujących na niebie gwiazd.

Bourne poprowadził ją w stronę pobliskiego lasu, żeby się tymczasem ukryć.

Maricruz spuściła głowę.

– Nie. Teraz widzę, że nikt mnie nigdy nie kochał.

– A twoi bliscy? Angél, Lolita, Constanza. Dlaczego je wyklucasz? Ich miłość jest prawdziwa. Nie można jej kupić, tak jak próbowałaś kupować miłość tych, których poznałaś po wyjeździe do Chin. Teraz masz rodzinę, która się o ciebie martwi, która nie chce od ciebie nic oprócz tego, żebyś ich kochała.

Maricruz podniosła wzrok.

– A ty?

– Ja czegoś chcę, ja się nie liczę.

– Nie, nie, to twój problem. Stałeś się niewidzialny, żeby swobodnie prześlizgiwać się przez luki między uczuciami. Wspaniała sztuczka, tylko co ci zostało? Nic. Co to za życie?

– Jedyne, jakie znam.

– To poszukaj innego. – Nachyliła się ku niemu, pocałowała go w usta i cofnęła się z gorzkim uśmiechem. – Widzisz? Ty się nikomu nie oddasz.

– Raz zrobiłem ten błąd.

– Aha. – Kiwnęła głową. – Nareszcie. Klucz do tego, kim naprawdę jesteś. Cóż, następnym razem, kiedy spotkasz kogoś, bez kogo nie będziesz mógł żyć – a na pewno spotkasz – może zostawisz przeszłość za sobą.

– Ja nie mam przeszłości.

– Masz, Bourne, masz, w dodatku trudną jak jasna cholera. Ile to już lat? Dziesięć? Piętnaście? Piętnaście lat wspomnień, które każdemu innemu wystarczyłyby na całe życie. To za dużo. Nikt tego nie zniesie, nawet taki wojownik jak ty.

– Wróćmy do...

– ...Ouyanga. – Przestała używać jego imienia. – Możesz go mieć.

– Mów.

– To kwestia oportunistycznego politycznego – zaczęła z wyraźną goryczą. – Za trzy dni odbędzie się zjazd partii. Jednak nie w Pekinie, bo Biuro Polityczne boi się demonstracji i zamieszek. Grozi im kolejna „rewolucja kulturalna”, ale tym razem zapoczątkowana nie przez górę, tylko przez tak zwane doły.

– Wiesz, gdzie się zbierają?

– W Beidaihe, małym ośrodku wypoczynkowym w prowincji Hebei. – Spojrzała na niego. – Tam będzie Jidan.

– Zatem ja też muszę tam pojechać.

– Jadę z tobą.

– Nie, Maricruz. Twoja droga prowadzi gdzie indziej. Musisz myśleć o rodzinie, o wolności, którą może przynieść wam tylko przyszłość.

– Ale ja chcę pomóc.

– I pomożesz. W drodze do miasta powiesz mi wszystko o Ouyangu. O jego zamiłowaniach i upodobaniach, o tym, co lubi i czego nie lubi, na czym się zna, a na czym nie, o jego lękach, przyjaciołach, wrogach i sojusznikach.

Ruszyli z powrotem do skradzionego przez Bourne’a samochodu.

– Powiem, i to z wielką przyjemnością. – Maricruz włożyła rękę do torebki i wyjęła kolorowy kartonik. – Zacznijmy od tego.

– Co to jest? – spytał.

– Dokumenty dyplomatyczne Suna. Zwinęłam je, zanim wyskoczyliśmy przez okno. Ktoś z twoimi umiejętnościami na pewno potrafi je wykorzystać. – Uśmiechnęła się. – Ale najpierw będziemy musieli dać ci nową twarz.

Rozdział 48

– Wszystko jest spakowane i przygotowane, panie ambasadorze – zameldował adiutant.

Ambasador Liu z roztargnieniem kiwnął głową. Zbierał właśnie ostatnie drobiazgi przed lotem do Pekinu, a stamtąd do Beidaihe. Wyszedł z gabinetu na wyłożone drewnem korytarze. Rozpierała go duma. To prawda, że był bratem ciotecznym Deng Tsu. To prawda, że jego matka i matka Patriarchy były rodzonymi siostrami. To prawda, że sam Deng Tsu załatwił mu tę lukratywną posadę w Mexico City. To prawda, że był jego oczami i uszami, że śledził sytuację na tutejszym rynku handlu narkotykami i wysyłał Ouyang Jidanowi szczegółowe raporty na temat funkcjonowania kanału przerzutowego, który minister otworzył wraz z nieżyjącym już Maceo Encarnaciónem. To prawda, że poinformował Deng Tsu o przyjeździe Maricruz Ouyang i o jej udziale w wojnie między Sinaloa i Los Zetas. Ale zaproszenie na zjazd partii, w dodatku od samego Patriarchy, było niewyobrażalną wprost nagrodą. Oznaczało, że Biuro Polityczne zamierza go awansować, przenieść do elity elit, do najściślejszych kręgów, w których podejmowano wszystkie najważniejsze decyzje, do samego centrum władzy.

Dotarł do frontowych drzwi. Jeden z dwóch uzbrojonych strażników położył rękę na klamce. Liu przyzwalająco skinął głową, ciężkie, szerokie drzwi otworzyły się i marmurowymi schodami szedł na chodnik przed misternie zdobionym wejściem do ambasady.

Wybiegł za nim adiutant.

– Panie ambasadorze, zmiana planów. W drodze do Pekinu będzie pan miał przystanek.

– Co takiego? – Liu znieruchomiał. – Dobrze wiesz, że nie znoszę nagłych zmian.

– To rozkaz ministra Ouyanga, panie ambasadorze.

– Mini...

– Leci pan jego samolotem.

Liu ciężko westchnął.

– No dobrze. Tylko żebyśmy nie spóźnili się do Beidaihe.

– Proszę się nie martwić, panie ambasadorze. Ma pan mnóstwo czasu.

– Gdzie mamy międzylądowanie?
– W Moskwie. Zabierze pan pasażera.
– Leci do Pekinu?
– Do Beidaihe, panie ambasadorze. Ale po wylądowaniu nie wysiądzie z samolotu.

– Dlaczego? – zdziwił się Liu. – O co tu chodzi?
– Nie mam pojęcia.
– Dobrze. – Liu machnął ręką. – Zawsze robię to, co mi każą. – Spojrzał na adiutanta i z cieniem sarkazmu spytał: – Jeszcze jakieś polecenia?
– Nie, panie ambasadorze. – Adiutant pochylił głowę. – Bezpiecznej podróży.
– Przekażę ministrowi twoje pozdrowienia. – Tym razem Liu nie ukrywał sarkazmu.

– Byłbym bardzo wdzięczny – odrzekł adiutant z szyderczym uśmiechem.
Liu był tak oszołomiony, że wsiadając, omal nie uderzył się w ramię błyszczącego SUV-a. Uratował go szofer, który w ostatniej chwili położył mu rękę na głowie, ale ambasador był zbyt pochłonięty myślami, żeby mu podziękować czy choćby zarejestrować jego twarz.

W drodze na lotnisko nie odrywał oczu od dokumentów, o które prosił go Deng Tsu, końcowego raportu na temat ostatnich ruchów Maricruz Ouyang, tego, z kim się zadawała, i pasma ciągnących się za nią morderstw, w tym zabójstwa pułkownika Suna.

Gdy wreszcie podniósł wzrok, zobaczył, że za kierownicą siedzi nieznanemu mu szofer.

– Gdzie jest Wen? – spytał.
– Szofer Wen zachorował, panie ambasadorze – odparł mężczyzna. – Zastępuję go.
– Przecież ty nie jesteś nawet Chińczykiem – wypalił bez zastanowienia Liu.
– Jestem, tylko że półkrwi. Po ojcu. – Zwinnie przebijali się przez zatłoczoną ulicę. – Czy źle mówię po mandaryńsku?

– Nie, nie, bynajmniej... – Zawstydzony Liu spuścił wzrok. – Jedźmy.
Czterdzieści minut później SUV stanął na parkingu dla VIP-ów. Szofer szybko wysiadł, otworzył mu drzwi i zajął się bagażem.

Na płycie lotniska ambasadora powitał steward, który chciał odebrać walizki od szofera. Ten odmówił i steward wzruszył ramionami – zdążył już przywyknąć do dziwnych zachowań wszelkiej maści dyplomatów. Poza tym miał dzięki temu

mniej pracy. Rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt więcej nie nadchodzi, wbiegł schodkami do samolotu i zajął się układaniem kartonów z jedzeniem, które dostarczono na pokład w ostatniej chwili.

– Lecę z panem, panie ambasadorze – powiedział szofer. – Jako pański osobisty ochroniarz.

Zdziwiony Liu podniósł wzrok znad dokumentów.

– Jako ochroniarz? W samolocie ministra Ouyanga?

– Nie, panie ambasadorze. W Beidaihe.

Liu zmarszczył brwi.

– Minister spodziewa się czegoś niedobrego?

– Nie wiem, panie ambasadorze. Ja tylko wykonuję rozkazy.

– Cóż, dobrze. – Liu machnął ręką. – Siadaj. I rozgość się. To długi lot.

Chwilę później idący przejściem steward zobaczył pogrążonego w lekturze ambasadora i siedzącego naprzeciwko szofera. Stanął w drzwiach i pociągnął za sznur, wciągając schodki. Zabezpieczył je i poszedł do kokpitu, aby poinformować pilotów, że są gotowi do startu.

Potem podał ambasadorowi kieliszek sherry, usiadł na swoim miejscu, zapiał pas i zaczął kartkować magazyn reklamujący zakupy w Pekinie. Pięć minut później pilot zwolnił hamulce, samolot potoczył się na początek pasa i skręcił. Zawyły silniki, maszyna gwałtownie przyspieszyła i pomknęła między dwoma rzędami mrugających świateł. Wystartowali dokładnie o czasie, wzbijając się nad powierzchnię zalewającej miasto gęstej, brązowej zupy i zmierzając w kierunku podobnej, choć oddalonej o trzysta tysięcy kilometrów.

•••

Bourne siedział w wygodnym fotelu i spod lekko przymkniętych powiek bacznie obserwował każdy ruch ambasadora. Maricruz odwaliła kawał godnej podziwu roboty z płynnym lateksem, farbą do twarzy i klejem, które nabył w poleconym przez Anunciatę sklepie z artykułami do charakteryzacji. Oczywiście nie było mowy, żeby zrobić z niego Azjatę, ale przedstawiciela rasy mieszanej? Czemu nie? Potrzeba było jedynie zwinnej ręki i paru charakterystycznych dla Azjaty wyróżników, zwłaszcza wokół oczu i nosa. Bourne miał się za mistrza przebieranek, ale Maricruz okazała się prawdziwą czarodziejką. Widział, jak wielką przyjemność czerpie ze świadomości, że

zmieniając jego wygląd, pomoże mu prześlizgnąć się między pierścieniami systemu bezpieczeństwa wokół Beidaihe.

Pracując nad jego twarzą, opowiadała mu o Ouyang Jidanie, Cho Xilanie i Deng Tsu, słynnym Patriarsze, przywódcy prastarych chińskich rodów, który miał potężną władzę we współczesnych Chinach.

– Muszę powiedzieć ci jeszcze o kimś – mówiła. – Problem w tym, że prawie nic o nim nie wiem. Nazywa się Kai.

– To imię czy nazwisko? – spytał.

– Nie wiem. Ale Jidan tak się do niego zwracał.

– Widziałaś go?

– Tylko raz, bardzo krótko. Przyszedł do nas w środku nocy. Wszystkie światła były pogaszone. Już spałam. Myślałam, że Jidan też śpi, ale kiedy przewróciłam się na drugi bok, zobaczyłam, że go nie ma. Wtedy usłyszałam ciche i przytłumione głosy. Wstałam i nie wkładając nawet szlafroka, wyszłam na palcach z sypialni.

Przed wejściem paliła się pojedyncza lampka. Stałam w ciemnym salonie, pragnąc wtopić się w mrok, stać się kolejnym meblem. W świetle lampki widziałam zarys twarzy Jidana, jego profil. Rozmawiał z wysokim, szczupłym mężczyzną. Z tego, co zauważyłam, miał w sobie dużą domieszkę mandżurskiej krwi. Mówiąc, gestykułował, co jest nietypowe dla Chińczyków. I te jego ręce... Były niezwykle. Miał nieprawdopodobnie wąskie dłonie i długie, delikatne palce, jak odnóża pająka.

– O czym rozmawiali?

– O jakimś mężczyźnie. Nie dosłyszałam nazwiska. A może w ogóle go nie wymienili. Kai powiedział: „Załatwione. Czysto i schludnie, jak zawsze”. To jedyne zdanie, które wyraźnie słyszałam.

– Mówili coś jeszcze?

– Nic, co miałyby sens.

– Ale jakie odniosłaś wrażenie?

– Że Kai kogoś zabił. Na rozkaz Jidana.

•••

Podczas długiego lotu Bourne zasnął i miał sen. Śniło mu się, że pływa w morzu u wybrzeży Cezarei. Woda była ciepła jak krew i miała prawie taki sam

kolor. Ale daleko od brzegu zaczęła się zmieniać, pojaśniała, stała się zielononiebieska, a w końcu przejrzysta jak szkło.

Po dnie czmychały spłoszone kraby, małe rybki podszczypywały go w kostki u nóg. Na koralowcach żerowały koniki morskie, skubiąc pokarm i powoli mrugając. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że w tym mruganiu jest jakiś wzór. Tak, koniki przemawiały do niego alfabetem Morse'a.

„Płyn dalej”, mrugały. „Płyn dalej”.

Dalej?

Więc popłynął, podążył za falami. Przewinęła się pod nim atramentowa wstęga, wąska jak strzała i zniekształcona pod warstwą wody.

Popłynął jeszcze dalej.

I w końcu ją zobaczył. Leżała na dnie z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, jak rozgwiazda. Miała zamknięte oczy, a wokół jej głowy falowały włosy poruszane morskimi prądami. Jej usta i paznokcie były zupełnie sine.

„Płyn dalej”.

Popłynął i ją znalazł, lecz nie żywą, tak, jak by chciał, tylko martwą, bo przecież musiała być martwa. Nurkując, zdjął naszyjnik i delikatnie zapiął go na jej szyi. Złota sześcioramienna gwiazda Dawida błyszczała i migotała pod wodą jak gwiazdy na nocnym niebie.

Na niebie, które go połknęło.

•••

Obudził się gwałtownie z walącym jak młotem sercem. W ustach i na wargach czuł słodki smak jej oddechu. Chciał wciągnąć go do płuc, lecz wessał tylko nijakie, przetrawione przez klimatyzację powietrze. Martwe jak pustynia. Jak ona. Spojrzał w okno na nicość, przez którą przelatywali.

Wstał i poszedł do toalety. Był tak niesamowicie wściekły, że nie wyładowałby się nawet wtedy, gdyby w ciągu paru minut skręcił kark wszystkim pasażerom samolotu.

Chciał ochlapać twarz wodą, żeby zmyć macki snu, które wciąż go oplatały, ale bał się, że zepsuje charakterystycję. Zamiast tego wbił wzrok w lustro, w swoje zmienione oblicze, zastanawiając się, kim jest, dokąd zmierza i po co.

Rozdział 49

Beidaihe to słynny kurort letni leżący na południowy zachód od prefektury miejskiej Qinhuangdao, kilka godzin jazdy pociągiem od zatłoczonego, tętniącego życiem Pekinu. Malownicza nadmorska sceneria stanowi kojącą odmianę po gorączkowym trybie życia stolicy, a plaże i wyrzucone na brzeg drewno są domem dla zadziwiającej liczby ptaków. Po zwycięstwie komunistów w 1949 roku partyjni przywódcy zapalali miłością do tego miejsca – sam Mao Tse-tung miał tu letnią willę. Widoki są wspaniałe, długie plaże gwarantują dobry wypoczynek, a w licznych zatoczkach gnieździ się ptactwo.

Ouyang Jidan jechał tam prywatnym pociągiem. W luksusowym wagonie towarzyszyli mu Cho Xilan, Deng Tsu i Kai, nie licząc oczywiście dużego oddziału agentów z biura ochrony. Obite czerwonym jedwabiem siedzenia, cichutko pobrzękujący miniżyrandol, posążki dwóch chińskich lwów z litego srebra – wszystko to nadawało wnętrzu wygląd sali konferencyjnej albo hotelowego lobby.

Patriarcha, Xilan i Kai byli ostatnimi ludźmi, z jakimi Ouyang chciałby jechać na zjazd, zwłaszcza po konfrontacji w limuzynie Tsu, i nie wiedząc, czego oczekiwać ani komu może zaufać, przez całą prawie trzystukilometrową podróż był zdenerwowany. Nie żeby zaniechał zemsty za to, że kazano mu zerwać kontakty z żoną – ktoś, kto miał jej dokonać, jechał już tu z Moskwy.

Choć w duchu pałał gniewem, nie okazywał swoim towarzyszom ani wrogości, ani rozgoryczenia. Wciąż nie mógł się pogodzić z rzeczywistością, z tym, że już nigdy miał nie zobaczyć Maricruz. Wiedział, że ten absurd, ta niewyobrażalna wprost strata, na zawsze odmieni jego życie. O tak, ktoś za to zapłaci, był tego pewny.

– Skoro już siedzimy tu wygodnie jak żuki gnojowe na perskim dywanie – powiedział Deng Tsu – chciałbym omówić sytuację dotyczącą kwestii izraelskiej. – Założył nogę na nogę jak cudzoziemiec z Zachodu. – Jidan, młodszy bracie, ty chyba najlepiej się na tym znasz.

A więc o to chodzi, pomyślał Ouyang. O Izrael.

– Cóż mam powiedzieć, Patriarcho?

– Może zaczniesz od samego początku? – zaproponował swobodnie Deng Tsu.
– Na pewno pamiętasz generała Wadiego Chalida, prawda? – wtrącił Cho Xilan.
– Tak, był moim kontaktem w syryjskim rządzie.
– Och, myślę, że kimś więcej. – Xilan delektował się każdym wypowiedzianym słowem. – Byłeś głównym architektem tak zwanego archipelagu tortur i wszystkiego go nauczyłeś. A wiedziałeś dużo, bardzo, bardzo dużo...
– Dziękuję za komplement, Cho, ale to dawne dzieje.
– Dawne, jednak to właśnie wtedy narodziły się twoje animozje w stosunku do Izraela, a zwłaszcza do Mosadu.

Słowa te padły z ust Deng Tsu, dlatego Ouyang wsłuchał się uważnie nie tylko w słowa, ale i w intonację.

– To prawda – odrzekł. – Ale Izraelczycy byli nam solą w oku dużo wcześniej. Reuben Jadin, ówczesny dyrektor Mosadu, inwigilował elektronicznie kontrolowane przez nas firmy w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej, a potem przeprowadził pierwszy atak cybernetyczny na rdzenie naszych komputerów wojskowych. Jego syn Eli tylko buduje na fundamentach stworzonych przez ojca.

Patriarcha poprawił się na siedzeniu. Czasem doskwierał mu ból kości.

– Mosad używa teraz bardziej skomplikowanej odmiany Stuxnetu, komputerowego robaka, który regularnie unieruchamia irańskie reaktory atomowe – podsumował Ouyang.

– A wy nie możecie ich powstrzymać – dodał zadowolony z siebie Xilan.

– Przeciwnie, nie tylko ich powstrzymaliśmy, ale i przeprowadziliśmy kontratak cybernetyczny na Izrael. Na razie jesteśmy w impasie, ale jeśli historia w ogóle czegoś uczy, nie potrwa to długo. Potrzebujemy więcej programistów, dlatego i tylko dlatego polecałem do Szanghaju – podkreślił Ouyang. Pokręcił głową. – Zastanawia mnie jedynie, dlaczego towarzysz Xilan zrobił wszystko, żeby przeszkodzić mi w ich naborze. Cho, czyżbyś nie chciał, żebyśmy wygrali z Izraelczykami?

Zapadła cisza. Koła pociągu wydawały dźwięk przypominający tykanie zegara, wagon kołysał się łagodnie na boki. Ouyang zauważył, że Kai patrzy to na niego, to na Xilana. Oceniał, kto wygra tę bitwę, czy kazano mu wziąć stronę Patriarchy? Trudno było powiedzieć.

– Jak możesz zadawać takie pytania? – odparł Xilan. – To niegodne. O ile wiem, pragniemy tego samego.

– W takim razie dlaczego twoi ludzie śledzili mnie w Szanghaju?

– To prawda? – spytał Deng Tsu.

– Oczywiście, że nie – zaprzeczył stanowczo Xilan.

– Cho kłamie.

Wszyscy spojrzeli na Kaia, bo to on się odezwał.

– Cho Xilan wysłał tam młodą kobietę imieniem Yue wraz z agentem, który udawał jej męża.

Xilan pogardliwie zacmokał.

– Wysłałem ich tylko po to, żeby zebrać informacje, po nic więcej.

– Zatem jak wyjaśnisz śmierć tego agenta i zniknięcie Yue?

Xilan zamilkł i znieruchomiał jak fotel, w którym siedział.

– Ta sprawa najlepiej ilustruje, ile czasu i energii tracie na tę rywalizację – podsumował Patriarcha. Nagle usiadł prosto i nachylił się ku nim. – Dość tego! Jasne? Widzę, że nie wzięliście sobie do serca tego, co powiedziałem wam przed wyjazdem z Pekinu. Bardzo mnie to martwi.

A więc Patriarcha zorganizował tu coś w rodzaju konkursu piękności, pomyślał Ouyang. Czy jeden z nas dwóch będzie tym członkiem Stałego Komitetu Biura Politycznego, którego zjazd usunie, żeby zmniejszyć skład do siedmiu osób?

Deng Tsu otworzył dyplomatkę i wyjął cienką teczkę. Była w karmazynowym kolorze, a jej prawy górny róg przecinały trzy czarne paski. Ściśle tajne specjalnego przeznaczenia. Zawierała pojedynczą kartkę papieru pelurowego, którą Patriarcha uważnie obejrzał.

– Wiesz, co mnie denerwuje, Cho? – spytał. – To, że odezwałeś się, zamiast po prostu milczeć.

Widząc, jaki efekt słowa te wywarły na rywalu, Ouyang nie mógł się powstrzymać i wykrzywił usta w lekkim uśmiechu. Jeśli rzeczywiście odbywał się tu konkurs, to go na pewno wygrywał. Ale jego radość była przedwczesna, bo Deng Tsu przeszył go nagle spojrzeniem.

– Cho mylił się, mówiąc, że wszystko zaczęło się od generała Chalida. Prawda, Ouyang Jidanie?

Ouyangowi zamarło serce. „Ouyang Jidanie” – Patriarcha zwrócił się do niego po nazwisku, to zły znak. Zerknął na srebrne chińskie lwy, które uśmiechały się do niego bezmyślnie, i przeniósł wzrok na Deng Tsu.

– Czekamy na odpowiedź – ponaglił go władczo Patriarcha. I chociaż nie musiał nic dodawać, wyjął kartkę z koszulki i podniósł ją do góry.

- Nie. - Ouyang zrobił pauzę, żeby odchrząknąć, oczyścić ściśnięte gardło. - Wszystko zaczęło się od Sary Jadin. - Powiodł po nich wzrokiem. - Agentki Mosadu znanej jako Rebeka.

Rozdział 50

Mężczyzna, który wsiadł do samolotu na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo, wyglądał jak pocisk, do nikogo się nie odzywał, a do lewej ręki miał przykutą małą stalową kasetkę. Nie ulegało wątpliwości, że jest agentem FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Ambasador Liu patrzył na niego ze źle skrywanym przerażeniem. Bourne tylko go obserwował. Spotkał wielu takich jak on, niektórych nawet znał.

Natomiast Rosjanin nie patrzył na nikogo, po prostu siedział i gapił się przed siebie. Tuż przed startem steward popełnił pierwszy błąd, proponując mu drinka. Agent posłał mu takie spojrzenie, że mężczyzna cofnął się jak obłany wrzątkiem. Bourne wciąż obserwował.

Rosjanin był w szarym garniturze z wełny chesankowej, niezłe dopasowanym, lecz uszytym z kiepskiego materiału. Cieniutka biała linia w miejscu, gdzie lewy rękaw stykał się resztą marynarki, świadczyła, że źle przyszyto podszewkę.

Pół godziny po starcie, gdy samolot osiągnął wysokość przelotową, Jason rozpiął pas, poszedł do kuchni, poprosił o kawę, wrócił i usiadł obok Rosjanina. Doszedł go zapach kamfory i taniego tytoniu. Policzki agenta miały niebieskawą odcień od krótkiego zarostu, lecz jego głowa była gładka i błyszcząca jak kula do gry w kręgle.

– Jak tam pogoda w Moskwie? – spytał Bourne po rosyjsku.

Nic. Żadnej reakcji.

– Ciepło czy zimno, ciągle tam cuchnie. Ale przynajmniej dziewczyny lgną do takich jak my. Prawda, towarzyszu?

Wciąż nic. Milczenie.

– Co słysząc u mojego przyjaciela Borysa?

Agent spojrział na niego wzrokiem martwej ryby, którym tak przeraził stewarda.

– Generał Karpow – ciągnął Bourne. – Borys Iljicz Karpow. Niski, pulchny człowieczek o bezbłędnym zmyśle politycznym. Nie możesz go nie znać.

W oczach martwej ryby coś drgnęło. Rosjanin uśmiechnął się lekko, odsłaniając zwierzęce siekacze.

– Daj spokój, kolego...

– To twój szef, tak?

Rosjanin odwrócił się i znowu spojrzał w pustkę.

– Jeśli nie, masz przesrane.

– Niby skąd to wszystko wiesz?

– Już mówiłem.

– Tacy jak ty nie mają przyjaciół – burknął agent.

– Chyba mówisz o sobie – rzucił Jason.

Dopiero teraz Rosjanin skupił na nim całą uwagę.

– Walsię, towarzyszu.

– Ostatnio pracowałem z Borysem w Damaszku. Polowaliśmy na tego samego terrorystę, Semida Abdula-Kahhara, szefa monachijskiej...

– Wiem, kto to jest.

– Był – poprawił go Bourne. – Zdjęliśmy go.

Mina Rosjanina świadczyła, że ujrzał go w zupełnie innym świetle.

– Jeśli to prawda...

– Prawda. – Jason opisał mu szczegółowo całą akcję, pomijając rolę, jaką odegrała w niej Rebeka. Skończywszy, spytał:

– Co tu właściwie robisz? Wiesz coś do Pekinu?

– Lecę aż do Beidaihe. A ty?

– Wiozę tam ambasadora – odparł Jason. – Rozkaz Ouyanga. Nie bierz tego do siebie, ale to dziwne, że wpuszczają tam Rosjanina. Do tego sanktuarium?

Agent lypnął na niego spode łba i rozciągnął usta w złośliwym uśmiechu, odsłaniając poźółkłe zęby.

– Wiesz, co, towarzyszu? Za dużo gadasz.

•••

– Córka Elego Jadina i wnuczka Reubena Jadina. – Patriarcha pomachał kartką jak flagą na polu bitwy. – U tych ludzi liczy się rodzina, zawsze rodzina. Prawda, Ouyang Jidanie?

– Tak wynika z mojego doświadczenia, Patriarcho.

– Mimo to udało ci się z nimi zadrzeć. Oświeć nas, proszę, i opisz okoliczności, w jakich popełniłeś ten błąd. – Znowu pomachał kartką, tym razem energiczniej. – I nie omijaj przyczyn.

Ouyang spojrział do góry, jakby chciał zebrać z sufitu krążące tam myśli. Zaczął opowieść głosem z przeszłości, jaśniejszym, mniej cynicznym i łagodniejszym, niezahartowanym przez czas.

– Rebeka zwróciła moją uwagę niemal przypadkowo. Czytając codzienne raporty wywiadowcze z Syrii, Iranu i Omanu, natrafiłem na meldunek, który choć krótki i pobieżny, bardzo mnie zaciekawił. Jeden z naszych agentów donosił o pogłoskach mówiących, że ktoś wykrada Syryjczykom tajemnice wojskowe. Kto to robił? Czy rzeczywiście robił, czy też była to tylko plotka, jedna z tysięcy bzdur, od których roilo się co tydzień w raportach?

W każdym razie byłem zaintrygowany. Jeśli ktoś wykradał Syryjczykom tajemnice wojskowe, chciałem je oczywiście zdobyć. Rozkazałem agentowi, żeby to dogłębnie zbadał. Tydzień później zameldował, że znalazł dowód, iż pogłoski są prawdziwe. Kazałem mu go przysłać, ale już się nie odezwał. Czy go zabito, czy porwano, czy wrzucono do syryjskiego więzienia, do dziś dnia pozostaje zagadką.

Wysłałem kolejnego agenta. Po dwóch tygodniach zameldował, że wykradzione tajemnice trafiają do Omanu. Spytałem, dokąd wędrują stamtąd. Nie wiedział, ale był zdecydowany się dowiedzieć. I znowu nic. Brak dalszych wiadomości, brak raportów, brak ciała. Dosłownie nic. Zapadł się pod ziemię, jak tamten.

– Słowem, masz kiepskich agentów – wtrącił złośliwie Xilan.

Deng Tsu spiorunował go wzrokiem.

– Cho, czy ja naprawdę muszę...?

Xilan skurczył się w sobie i zamilkł.

– Mów dalej, Jidan – rzucił obojętnie Patriarcha.

Ouyang z szacunkiem skinął mu głową. Postanowił nie patrzeć więcej na Xilana.

– Zniknięcie jednego agenta to rzecz niezwykła. Zniknięcie dwóch jest czymś niesłychanym. Dlatego postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce. Poleciałem do Omanu pod przykrywką dyplomatyczną, z legendą przygotowaną przez moich ludzi.

Znałem tylko imię: Fisal. Fisal był Beduinem, wędrownym handlarzem, który podróżował od kraju do kraju, kupując i sprzedając, co się dało, towar legalny i nielegalny. Tam gdzie robił interesy, znał niemal wszystkich.

To właśnie z nim skontaktował się w Maskacie nasz drugi agent. Kiedy przyleciałem do stolicy, Fisal wciąż tam był. Specjalizował się w handlu złotem i brylantami. Wiedząc o tym, przybyłem należycie wyposażony.

I to on powiedział mi o Rebecce. Była stewardesą w miejscowych liniach lotniczych i latała między Damaszkiem i Maskatem. Fisal twierdził, że jest kurierką.

„Ale dla kogo pracuje?” – spytałem. Fisal skontaktował się ze swoimi ludźmi i odkrył, że Rebeka pochodzi z Arabii Saudyjskiej i pewnie pracuje dla nich, choć przyznał, że równie dobrze może być na usługach Amerykanów. Pamiętam, że powiedział: „Wszystkie piaski się przemieszczają, zwłaszcza te tutaj”.

Spytałem go, czy nie zechciałby dla mnie powęszyć. Wiedział, jaki los spotkał naszego drugiego agenta i początkowo nie chciał. Ale pokazałem mu parę brylantów i dobiliśmy targu.

Ouyang zamilkł i milczał, dopóki Deng Tsu go nie ponaglił.

– No i?

Zamiast odpowiedzieć, Ouyang wstał. Zdjął marynarkę i złożył ją starannie na siedzeniu. Potem zdjął krawat.

Gdy zaczął rozpinąć koszulę, zaalarmowany Xilan spytał:

– Co ty robisz?

Ouyang nie zareagował. Rozpiął koszulę, zdjął ją i stanął do nich bokiem, żeby zobaczyli prawie ośmiocentymetrowej długości bliznę między drugim i trzecim zębem. Gruba jak powróż, odbarwiona i wybrzuszona, wyglądała paskudnie, jak rezultat niedokończonej pospiesznej operacji.

– Tu – powiedział minister – agentka Mosadu Rebeka dźgnęła mnie nożem na naszym trzecim spotkaniu.

Rozdział 51

– Była tam taka dziewczyna – mówił Bourne konfidencyjnym tonem. – Olga. Niebieskooka blondyna z Kaukazu, pewnie znad Morza Kaspijskiego. – Uśmiechnął się znacząco do Rosjanina, który zdradził mu w końcu, że ma na imię Leonid. – Krzepka, hoża dziewucha, no wiesz. – Pokręcił głową. – Borys i ja spędziliśmy z nią i jej przyjaciółkami kilka niezapomnianych nocy. Może ją pamiętasz?

– Zawsze trzymają się w kupie – odparł Leonid. – Zmienia się je jak rękawiczki i natychmiast o nich zapomina. Są wstrętne, bo nachalne. Lecą na takich jak my, bo skażone biedą i głupotą myślą, że w ten sposób się stamtąd wyrwą. Jesteśmy dla nich tylko szczeblem drabiny sterczącej z szamba.

Była to najdłuższa przemowa, jaką wygłosił od startu w Moskwie. Bourne uznał, że to wielki przełom.

– Ot i problem: za dużo ślicznotek.

Rosjanin uśmiechnął się ponuro.

– Chcących tylko jednego i tego samego.

Jason zerknął na swój kubek.

– Mają tu paskudną kawę. Wolę herbatę.

– Ja też, chętnie bym się napił.

– Dobry czaj, do tego setka przedniej gorzałki i będzie idealnie. – Nie czekając na odpowiedź, Bourne wstał i poszedł do kuchni, aby złożyć zamówienie.

Steward przyniósł tacę zastawioną rzędem buteleczek i postawił na wąskim blacie dwie porcelanowe filiżanki.

– Proszę – powiedział. – Niech pan wybierze alkohol, a ja poszukam herbaty.

Podczas pierwszej wizyty w kuchni Jason zauważył pokaźną apteczkę. Były w niej wyposażone wszystkie samoloty wysokich dygnitarzy partyjnych i rządowych. Kiedy steward ukląkł, żeby wyjąć pojemniki z herbatą z dolnej szuflady, Bourne pogrzebał w apteczce i znalazł środek uspokajający. Wsypał trochę do filiżanki, wlał buteleczkę wódki i zamieszał palcem, żeby proszek się rozpuścił.

– English Breakfast czy ulung? – spytał steward.

– Nie macie Rosyjskiej Karawany?

– Przykro mi, ale nie.

– W takim razie English Breakfast – zdecydował Bourne.

Chwilę później wrócił do Leonida, ale kiedy podał mu filiżankę, Rosjanin posłał mu drapieżny uśmiech i powiedział:

– Wezmę tę drugą.

Jason wzruszył ramionami, usiadł i pociągnął łyk ze swojej. Nie spuszczać go z oka, Leonid przytknął filiżankę do ust i ostrożnie spróbował herbaty.

– English Breakfast.

– Nie mają Rosyjskiej Karawany, ale przynajmniej jest mocna.

Umilkli i przez jakiś czas po prostu siedzieli w miłej atmosferze, w końcu Bourne odstawił filiżankę, nacisnął guzik z boku fotela, opuścił oparcie, skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy. Oddech stopniowo wydłużył mu się, pogłębił i spowolnił.

Siedzącemu obok Leonidowi zaczęły ciążyć powieki, coraz trudniej mu było skupić wzrok. Odstawił filiżankę i spodeczek i też opuścił oparcie. Zamrugał, zamknął oczy i odpłynął w niebyt.

Aby mieć całkowitą pewność, że Rosjanin zasnął, Bourne policzył do stu i przyjrzał się zamkowi przykutej do jego ręki kasetki. Należał do tych, które można otworzyć tylko oryginalnym kluczem. Poszukał więc klucza.

Trochę to trwało, ale w końcu znalazł cienką skórzaną saszetkę tuż nad lewą kostką Leonida. Już wyciągał rękę, gdy mężczyzna się poruszył. Jason zaczął cierpliwie, aż Rosjanin mocno zaśnie.

Wyjął klucz z saszetki, włożył do zamka i przekręcił w prawo. Rozległ się dziwny dźwięk, ale nie kliknięcie podnoszących się zapadek, tylko ciche buczenie uzbijającego się mechanizmu. Bourne zamarł. Widział już takie zamki. Uruchamiały mieszczącą się w kasetce pułapkę, ładunek chemiczny lub pirotechniczny, który niszczył zawartość, żeby nie wpadła w niepowołane ręce.

Z doświadczenia wiedział, że są dwa sposoby rozbrajania takich mechanizmów. Jeden polegał na tym, że wyjmowało się klucz i natychmiast wkładało go ponownie. Drugi na przekręceniu klucza w lewo. Sęk w tym, że jeśli kasetkę otwierało się tym drugim sposobem, wyjęcie klucza uruchomiłoby pułapkę. Jason przykucnął i przyjrzał się uważnie zamkowi. Tak, znał ten typ, co więcej, to Borys Karpow mu go pokazał. To był ulubiony zamek FSB.

Musiał mieć całkowitą pewność, wiedział, że drugiej szansy nie będzie. Wstrzymał oddech i przekręcił klucz w lewo. Usłyszał kliknięcie – zapadki

wskoczyły na miejsce, mechanizm zabezpieczający się wyłączył, cicho trzasnął zamek. Bourne ostrożnie otworzył kasetkę.

Jej wnętrze było wyłożone grubą warstwą twardej szarej pianki przeplatanej paskami matowego metalu. Dokładnie pośrodku znajdowało się wycięcie, mniej więcej pięć centymetrów na dziesięć. W wycięciu leżał mały prostokątny przedmiot, coś w rodzaju pojemnika. Jego wierzch połyskiwał matowo w świetle samolotowych lampek.

Przedmiot był zrobiony z ołowiu, co mogło znaczyć tylko jedno: pojemnik zawierał substancję radioaktywną. Był o wiele za mały jak na głowicę jądrową, a tak niewielka ilość uranu, nawet wzbogaconego, do niczego by się nie nadawała. W takim razie, co w nim było?

Bourne pomyślał o zamku, który pokazał mu kiedyś Borys. Tamten chronił podobną kasetkę zawierającą ołowiany pojemnik z polonem 210, „naszą nową cichą bronią specjalnego przeznaczenia”, jak powiedział Borys. Przypomniała mu się śmierć byłego agenta FSB Aleksandra Litwinienki, który otruty polonem zmarł w Londynie po tym, jak zdradził MI6 tajemnice rosyjskich służb specjalnych. Polonu dodano mu do herbaty.

Czy właśnie to Leonid wiózł na zjazd partii? Po co? Na czyj rozkaz? Bourne zamknął kasetkę równie ostrożnie, jak ją otworzył, schował klucz do miniaturowej szaszetki na nodze Rosjanina, usiadł i zamknął oczy.

Co tu jest grane? – myślał. Samolot należał do Ouyang Jidana, istniało więc duże prawdopodobieństwo, że to właśnie on zamówił polon 210. Ale dla kogo? Oczywiście kandydatem był Cho Xilan, jego nemezis, ale Jason wiedział, że oczywiście kandydat nie zawsze jest tym właściwym.

Siłą woli oczyścił umysł z pytań, na które nie znał jeszcze odpowiedzi. Zerwał cumy świadomości i wkrótce zasnął.

•••

– Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, była zaciękawiona i uprzejma. – Ouyang włożył koszulę i ją zapinał. – Na drugim spotkaniu poszliśmy na kolację i okazała się przeuroczą towarzyszką. – Owinął krawat wokół szyi i wsunął go pod kołnierzyk. – Za trzecim razem omal mnie nie zabiła.

Zawiązał krawat, włożył marynarkę i usiadł.

– To, że się jej nie udało, to czysty przypadek.

- Ślepy traf – rzucił cierpko Xilan.
- Skoro tak wolisz... – Ouyang zapiął spinki i poprawił się na siedzeniu. – Nielatwo ją opisać. Miała zbyt skomplikowaną osobowość. I szalenie trudną.
- Zaskoczyła cię – stwierdził Patriarcha.
- Wtedy jeszcze nie wiedziałem, kim jest.
- Nie rozgryzłeś jej.
- Nikt nie potrafił jej rozgryźć. Była nieprzenikniona. – Ouyang zdjął z rękawa niewidoczny paproch. – Dałem się zwieść temu, że była kobietą. Nie doceniałem jej. Traktowałem ją z pogardą.
- I kazała ci za to zapłacić. – Patriarcha schował kartkę do koszulki, koszulkę do teczki, a teczkę do dyplomacji. – Nie potrafiłeś po prostu zapomnieć. Musiałeś się zemścić. Kazałeś ją zabić w Mexico City, gdzie była z Jasonem Bourne’em. Na twój rozkaz dźgnięto ją nożem w bok, tak jak ona dźgnęła ciebie. – Deng Tsu pokręcił głową. – I to był początek prywatnej waśni między tobą i Mosadem. A wszystko przez jakąś tam kurierkę. – Ciężko westchnął. – Naraziłeś nas na bardzo niebezpieczną sytuację.
- Z całym szacunkiem, Patriarcho, ale to nieprawda – odparł Ouyang. – Eli Jadin tak bardzo chce mnie dopaść, że w końcu popełnił błąd: zwerbował Bourne’a.
- Jakim cudem? – spytał Deng Tsu. – Odkąd CIA zmanipulowała go i wykorzystwała, Bourne nienawidzi tajnych służb.
- Jadin jest bystrzejszy od tych z CIA. Gdyby Rebeka nie została zamordowana, nigdy by mu się to nie udało. On dobrze wie, że Bourne reaguje tylko na straty osobiste. Bądźcie pewni, że to on po mnie przyjdzie.
- Cho Xilan pokręcił głową.
- I to jest dobra wiadomość?
- Lepsze zło znane... – Ouyang założył nogę na nogę. – Zamiast męczyć się z monitorowaniem ruchów wszystkich agentów Kidonu, mogę skupić się tylko na nim. A najlepsze jest to, że nie muszę nawet kiwnąć palcem, bo wiem, że po mnie przyjdzie.
- Co? Zjawi się w Beidaihe? – Xilan roześmiał się nerwowo. – Żartujesz?
- Nie, on nie żartuje – odparł Patriarcha.
- Przecież to cudzoziemiec! – zaprotestował Xilan. – A w promieniu osiemdziesięciu kilometrów od Beidaihe obowiązuje zakaz wjazdu dla wszystkich obcokrajowców.

- Najwyraźniej Jidan zna go lepiej niż ty. Miej się na baczności.
- Bourne to urodzony zabójca i mistrz infiltracji. - Ouyang złożył ręce jak do modlitwy. - Wiem, że po mnie przyjdzie, i jestem przygotowany.

Rozdział 52

Kiedy samolot zaczął podchodzić do lądowania na starym lotnisku wojskowym pod Beidaihe, zapaliła się lampka z napisem „Zapiąć pasy”. Nowy, ultranowoczesny port lotniczy miano oddać do użytku dopiero za rok i gdy się zniżali, Bourne widział z okna szkielety nowych konstrukcji.

Leonid obudził się, gdy steward dotknął jego ręki, dając mu do zrozumienia, że musi zapiąć pas i ustawić prosto oparcie fotela. Kilka chwil wcześniej zabrał filiżanki i spodeczki.

Rosjanin ocknął się i natychmiast spojrzął na kasetkę. Upewnił się, że jest cała i na swoim miejscu, zapiął pas i spojrzął w okno.

– Byłeś w Chinach? – spytał Jason.

– Kto by chciał tu przyjeżdżać? – mruknął Leonid. – A te ich baby... – Aż się wzdrygnął.

– Trzymaj się mnie. Znam wszystkie najlepsze miejsca.

– Nie wysiadam z samolotu, i dzięki, kurwa, Bogu. Ktoś ma do mnie przyjechać. A potem, kiedy załoga się prześpi i kiedy zatankują, od razu wracam do Moskwy.

Samolot zszedł jeszcze niżej i zobaczyli zarys mrocznego wybrzeża od strony Beidaihe. Leonid jak zahipnotyzowany wpatrywał się w okno, ale Jason czuł, że Rosjanin widzi tam coś innego.

– Przychodzi taka chwila, kiedy zawędrowałeś tak daleko, że twoja przeszłość zdaje się należeć do kogoś innego. Ale potem wędrujesz jeszcze dalej, przeszłość rozmywa się w pamięci i zostajesz sam jak statek wyrzucony na bezludną wyspę.

– Wszyscy pasażerowie tego samolotu są takimi statkami – powiedział Bourne.

Leonid przyjrzał się mu uważnie.

– Jeśli okoliczności się zmienią i zechcesz ze mną wrócić... – Podał mu karteczkę z numerem. – Wstrzymam start. – Uśmiechnął się i była to pierwsza namacalna oznaka tego, że normalne, ludzkie uczucia nie są mu obce.

Zaraz po przyjeździe do Beidaihe Ouyanga i jego towarzyszy przewieziono limuzyną do letniej rezydencji Mao Tse-tunga. Patriarcha i prezydent zajęli przeciwległe skrzydła największej willi. Na terenie ośrodka, w jego wewnętrznym sanktuarium, było sześć willi. Wszystkie zbudowano na wzór rosyjskich daczy.

Ouyangowi i Cho Xilanowi przydzielono osobne. Natomiast Kai zamieszkał z Patriarchą jak stary przyjaciel ze starym przyjacielem, co wzbudziło podejrzenia Ouyanga. Kilka dni wcześniej Kai spytał go o Deng Tsu, jakby nie miał z nim żadnego kontaktu i poznawszy prawdę, Jidan poczuł gorzki smak zdrady. Kłamstwo było dla Kaia sposobem życia, ale dlaczego skłamał jemu, komuś, dla kogo pracował, dla kogo zabijał? Nasuwało się pytanie za miliard juanów: Po co tu przyjechał?

Niestety, nie miał czasu na roztrząsanie bratobójczych planów Patriarchy. Nie chcąc korzystać z wojskowych dżipów, które dano im do dyspozycji, jeszcze przed wyjazdem z Pekinu zamówił samochód. Wóz już czekał, więc zostawiwszy bagaż przed wejściem do willi i wydawszy swoim ludziom stosowne polecenia, zbiegł schodami na dół i usiadł na tylnym siedzeniu.

Samochód natychmiast ruszył. Jadąc przez ośrodek, Ouyang miał okazję zobaczyć, jak wiernie armia architektów i budowniczych odtworzyła tu pekińską Wielką Halę Ludową, gdzie zazwyczaj odbywały się zjazdy partii. Wieść, że w tym roku zjazd odbędzie się tutaj, w Beidaihe, nikogo nie zasmuciła, nie w świetle realnej groźby protestów i zamieszek.

Od roku i trzech miesięcy wraz z pozostałymi członkami Biura Politycznego i ich sekretarzami uważnie śledził wpisy na Weibo, chińskim odpowiedniku popularnego na Zachodzie Twittera. Wszystkie nawoływały do organizowania protestów przed Wielką Halą Ludową oraz na prowadzących do niego głównych ulicach i ich lawinowo narastająca liczba zaalarmowała całą elitę polityczną.

Decyzję o przeniesieniu zjazdu do Beidaihe podjęto szybko i zgodnie. Był listopad, sezon wypoczynkowy już dawno się skończył. Dostęp do ośrodka można było łatwo zablokować, podczas gdy zablokowanie dostępu do pekińskiej hali wymagałoby użycia wojska, w dodatku na oczach całego świata. Rządząca partia straciłaby twarz.

Kwadrans później Ouyang znalazł się na lotnisku wojskowym, które – nie wnikając w sprawę – wyglądało dość paskudnie. Wszystkie siły rzucono na

lotnisko cywilne, dlatego to rdzewiało powoli w cieniu przeszłości.

Samochód zwolnił i zatrzymał się obok samolotu. Ouyang wysiadł, szybko przeszedł przez betonowy pas i wbiegł schodkami na pokład.

Leonid akurat jadł. Minister usiadł naprzeciwko niego i bez wstępów rzucił:

– Widzę, że pan sobie dogadza.

– Czemu nie? – odparł kurier. – Nie ma tu nic innego do roboty. – Zerknął przez ramię. – Załoga poszła lulu i wróci dopiero za cztery, pięć godzin. Obsługa naziemna tankuje samolot, a ja czekam na ministra Ouyanga.

– To właśnie ja.

– Niech pan udowodni.

Kurier powiedział to tak stanowczo i bez szacunku, że Ouyang zeszywniał. Chociaż, pomyślał, to Rosjanin. Co więcej, agent FSB, a w FSB dostaje się reprimendę za dobre maniery.

Ponieważ nie zareagował, Leonid spojrzał na niego znad szybko znikającego jedzenia i zabrzączał łańcuchem przykutej do ręki kasetki.

– Chce pan, żebym dał to każdemu, kto twierdzi, że jest tym, na kogo czekam?

– Nie dano panu hasła?

– Nie dano.

– Ale na pewno pokazano panu moje zdjęcie.

Kurier uśmiechnął się szyderczo.

– Owszem. Wygląda pan jak gość, na którego czekam, ale...

Ouyang wydał gardłowy odgłos i pokazał mu legitymację partyjną.

Leonid oglądał ją jak abstrakcyjny obraz, który nie sposób rozszyfrować. W końcu spojrzał na Ouyanga, ale zamiast zwrócić mu legitymację, podniósł ją do góry i zaczął nią potrząsać.

– I co teraz, panie ministrze? Kim pan jest bez tego świstka?

Ouyang milczał. Miał ochotę się na niego rzucić.

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Tak tylko pytam. – Zwrócił mu legitymację.

Ouyang wyciągnął rękę, lecz zrobił to w momencie, kiedy kurier już rozwarł palce i legitymacja spadła na podłogę.

– Proszę ją podnieść – rozkazał.

– Jakiś problem?

– To pan ją upuścił, więc proszę ją podnieść.

Leonid chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Uśmiechnął się lekko, pochylił i podniósł legitymację. Ouyang wziął ją powoli i z rozmysłem.

– Teraz przesyłka.

Zdejmując kajdanki, Rosjanin ani na chwilę nie spuszczał go z oka. Pchnął kasetkę po podłodze, tak że znalazła się między nogami ministra.

Ouyang ani drgnął.

– Niech pan ją otworzy.

Leonid podał mu klucz.

– To nie wchodzi w zakres moich obowiązków.

– Proszę zrobić mi tę przyjemność.

Zapadła cisza. W końcu Rosjanin obojętnie wzruszył ramionami, podniósł kasetkę i położył ją sobie na kolanach. Wetknął klucz do zamka i rzucił:

– Niech pan uważa.

Przekręcił klucz w prawo, a potem w lewo. Wieczko odskoczyło i Ouyang zajrzał do środka.

– To jest to? – spytał.

– To jest to – potwierdził Rosjanin.

– Maleństwo.

– Nie chciałby pan, żeby było większe, niech pan mi wierzy.

Ouyang kiwnął głową.

– Przynajmniej w tym się zgadzamy.

•••

– Zaczekaj.

Kai, który stał już w drzwiach luksusowej willi, odwrócił się i spojrzał na Deng Tsu.

– Zamknij drzwi.

Kai zamknął je i przeszedłszy po pięknym perskim dywanie, stanął przed Patriarchą.

Ten wskazał mu dwa stojące naprzeciwko siebie mandaryńskie fotele. Usiedli i Kai uświadomił sobie nagle, że w pokoju nie ma wszechobecnego ochroniarzy. Nikt nie parzył ani nie podawał herbaty: kolejna osobliwość. Światło odbijało się od farbowanych włosów Patriarchy, jakby były zrobione z akrylu.

– Co minister Ouyang zamierza względem Jasona Bourne'a?

Kai był trochę zaskoczony.

– Zgadza się pan z jego twierdzeniem, że Bourne miałby rzekomo spróbować się tu dostać?

– Zechciej odpowiedzieć na pytanie.

– Nie wiem.

Deng Tsu zmrużył oczy.

– Zważywszy twoje z nim związki, to mało prawdopodobne.

– Te związki chyba już nie istnieją – odrzekł Kai.

– Oby tak było. – Patriarcha przyjrzał mu się badawczo. – Jeśli minister ma nadzieję awansować i otrzymać przywódcze stanowisko, nie może utrzymywać z tobą żadnych kontaktów. Nie może już cię wykorzystywać. To zbyt niebezpieczne dla nas wszystkich, łącznie z tobą. – Spłótł palce. – Rozumiesz?

Kaiowi serce waliło jak młotem. Trzepotało mu w gardle, jakby połknął ptaka.

– Doskonale.

– To dobrze. Jeśli zaś chodzi o plany ministra Ouyanga...

– Nie zostałem w nie wtajemniczony.

– To z kolei jest bardzo kłopotliwe. Byłeś moim jedynym okiem.

Kai wziął głęboki oddech, zastanawiając się, w którą Patriarcha chce pchnąć go stronę.

– Monitorowanie sytuacji nie sprawiłoby mi żadnych trudności.

– Cieszę się – powiedział Deng Tsu. – Byłbym dużo spokojniejszy.

Kai posłał mu lekki uśmiech.

•••

Po jego wyjściu Deng Tsu sięgnął po dyplomatkę. W środku była skrytka, którą otworzył, przyciskając kciuk do czytnika odcisków palców. W skrytce mieściło się sześć kieszonek, a w każdej znajdował się telefon: trzy komórkowe i trzy satelitarne. Patriarcha wyjął satelitarny, aparat z szóstej przegródki. W pamięci każdego zapisany był tylko jeden numer.

Kiedy telefon się włączył, Deng wpisał kod i nacisnął klawisz z numerem pięć. Przytknął aparat do ucha i zaczął czekać, aż ucichnie elektroniczna muzyka, głuche trzaski towarzyszące pracy aparatury szyfrującej. Po chwili połączenie zostało nawiązane i rozległ się mocno przytłumiony sygnał, jakby dochodził spod wody.

– Pasza – zaczął Patriarcha – czy przesyłka dotarła na miejsce?

– Mój przyjacielu – odparł Paweł Michajłowicz Żukow, pułkownik Federalnej Służby Bezpieczeństwa – wysłałem swojego najlepszego kuriera. Leonid ani razu mnie nie zawiódł.

– Ale odezwał się do ciebie? – drążył Deng.

– Tak. Minister Ouyang odebrał kasetkę.

– Z uzgodnioną przez nas zawartością?

– Oczywiście, z szybko działającym izotopem polonu. Ofiara zacznie odczuwać skutki już kilka godzin po spożyciu. Jutro rano będzie martwa albo co najmniej umierająca.

– Czyli na pewno nie będzie w stanie wziąć udziału w zjeździe, tak?

– Pod warunkiem że trucizna zostanie odpowiednio podana... – Pułkownik zawiesił głos. – Tsu, ty się czymś denerwujesz.

Patriarcha spojrział w okno na szerokie plecy jednego z ochroniarzy.

– Minister Ouyang nie może się dowiedzieć, że to ja nim pokierowałem.

– Ustaliliśmy to na samym początku. Słyszę, że jednak się denerwujesz.

– Za kilka dni zdecydujemy o naszym kursie na najbliższe dziesięć lat – warknął Deng. – Każdemu krokowi towarzyszy duże napięcie bez względu na to, jak nieistotny może się wydawać.

– Akurat ten jest więcej niż istotny.

Patriarcha zadarł głowę, jakby mógł stamtąd dostrzec gwiazdy na aksamitnym nocnym niebie. Zamknął oczy.

– To będzie moja spuścizna, Pasza.

– Ukróci poczynania wichrzycieli i dekadentów, którzy ulegli wpływowi zachodnich mediów społecznościowych.

– Tydzień po wyborze nowy sekretarz generalny zapowie wprowadzenie reform, które odbiją się szerokim echem wśród obywateli: zmniejszenie liczby spotkań i skrócenie ich czasu, mniej wystawne przyjęcia i kompozycje kwiatowe, tańsze samochody i domy, koniec z szastaniem pieniędzmi. Ale dla nas nie będzie to miało żadnego znaczenia. Nic się nie zmieni.

– Nie licząc tego – zauważył pułkownik – że scementujecie związek między Chinami i tymi elementami w Rosji, które powoli popadają w zapomnienie.

Deng Tsu pomyślał o Jasonie Bournie, ale wiedział, że nawet jeśli obsesja Ouyanga nie jest pozbawiona podstaw i wbrew wszelkiej logice ten zbuntowany agent zdoła dostać się na teren ośrodka, Kai skończy z nim raz na zawsze.

Rozdział 53

Chronieni przez protokół dyplomatyczny ambasador Liu i Bourne wjechali przez potężną bramę, wkraczając do ruchomego sanktuarium współczesnego Państwa Środka. Widok bogatych willi na stromych nadbrzeżnych skałach, widok piaszczystych plaż i zatoki Pohaj był tak niezwykły, że Jason miał wrażenie, iż znalazł się nagle w kraju, w którym panuje mniejszy ucisk polityczny.

W uliczkach między domami roilo się od żołnierzy, zarówno pieszych, jak i zmotoryzowanych. Jedni patrolowali teren z psami, inni z pistoletami maszynowymi, jednak mimo tak dużej ich liczby i tak dużej ilości broni, nie odczuwało się żadnego napięcia, jakby zostało w Pekinie.

Ambasadorowi przydzielono skromną willę ledwie o kilka kroków od dużo wystawniejszej willi ministra Ouyanga i jego personelu, o czym ze źle skrywaną dumą Liu nie omieszkał poinformować Bourne'a.

Jason wniósł jego bagaż.

– Nie będę cię już potrzebował. – Ambasador powiedział to sztywno i oficjalnie, jak miał w zwyczaju.

– Polecono mi pana ochraniać, panie ambasadorze.

– Mam tu własną ochronę. Wracaj do samolotu. Po zjeździe lecę do Pekinu na spotkanie z nowym przywództwem, które wytyczy kierunki naszej nowej polityki zagranicznej. Potem wracam do Meksyku.

Zwolniony z obowiązków Jason natychmiast opuścił willę, by zrealizować własne plany, dotyczące tylko Ouyang Jidana.

•••

– Usiądź – powiedział Ouyang. – Rozgość się, a ja zaparzę herbatę. Przywiozłem wspaniałą Long Jing.

Cho Xilan stał w salonie przydzielonej ministrowi willi, patrząc, jak Jidan pochyła się nad blatem niskiego kredensu. Sufit salonu podpierało sześć grubych kolumn z wypolerowanego na błysk drewna cedrowego, a na każdej wyrzeźbiono dwoje zwierząt z chińskiego zodiaku. Niskie kanapy, stoły i fotele były ustawione

w dokładnie określonych miejscach i pod dokładnie określonym kątem, zgodnie z zaleceniami mistrza feng shui odpowiedzialnego za właściwe usytuowanie willi oraz ich umeblowanie.

– Tak, chętnie napiję się zielonej herbaty – powiedział sztywno, z wahaniem Xilan.

Słyszając ton jego głosu, Ouyang odwrócił się z uśmiechem.

– Po co ta oficjalność, Cho?

– Boję się, że inaczej nie umiem.

Ouyang skinął głową.

– To dlatego, że za długo skakaliśmy sobie do gardeł.

– To dlatego, że pragniemy dla Chin innych dróg rozwoju.

Xilan powiedział to bardzo stanowczo, co dało Ouyangowi do myślenia.

– Patriarcha wydał nam polecenie. Od tej pory nasze plany nie mają znaczenia.

Musimy wytyczyć trzecią drogę, pośrednią, i to jeszcze przed rozpoczęciem zjazdu, czyli do jutra rano.

Cho Xilan ściągnął usta. Był w garniturze, mimo to zachowywał się tak, jakby miał na sobie tradycyjne chińskie kimono.

– Uważasz, że to możliwe?

– Wszystko jest możliwe – odparł Ouyang. – Musimy się tylko nad tym pochylić.

– W takim razie pozwól pan, że będę szczery, panie ministrze – powiedział oficjalnie Xilan. – Wątpię, czy nam się uda.

– Nie przekonamy się, dopóki nie spróbujemy.

Ouyang odwrócił się i ostrożnie, jak pracujący z rtęcią laborant, wlał polon do jednej z dwóch filiżanek stojących na blacie. Kurier powiedział, że wystarczy kilka kropli, ale on wolał to zrobić po swojemu i nie poskąpił specyfiku.

– Jeśli nie spróbujemy, co powiemy Patriarsze na dzisiejszym bankiecie?

Nie doprowadzając wody do wrzenia, wlał ją do imbryczka i dosypał listków herbaty. Musiała parzyć się dokładnie trzy minuty, ani krócej, ani dłużej. Herbatę robiła mu zawsze Maricruz. Nieodmiennie zadziwiała go, że cudzoziemka nauczyła się parzyć wszystkie jej odmiany – jakby się z tym urodziła. Brakowało mu jej talentu, tego i wielu innych, brakowało tak bardzo, że nosił w duszy wypalone ogniem piętno. Już nigdy nie będzie mógł jej przytulić. Już nigdy nie poczuje, jak jej usta wędrują po jego ciele w poszukiwaniu tajemnych miejsc, źródeł tyłu rozkoszy. Już nigdy nie usłyszy jej lubieżnego szeptu, nie zobaczy, jak

podwijając suknię, odsłania silne, kształtne uda, by go dosięść. Już nigdy nie zanurzy się w jej tajemnej grocie, nigdy nie zazna rozkoszy, jaką tylko ona potrafiła mu dać. Machinalnie zacisnęła pięści. Jakże nienawidził otaczających go ludzi, jakże nienawidził tego zasańca Xilana. Że też musiał oddychać skażonym przez niego powietrzem!

– Powiem Patriarsze, że próbowaliśmy i nam nie wyszło.

– Chcesz skłamać?

Xilan roześmiał się szczekliwie.

– Jakbyś ty nigdy nie skłamał.

Ouyang odwrócił się tyłem do niego.

– Bardzo to wszystko utrudniasz, Cho.

– Panie ministrze, utrudniam to tylko tak, jak trzeba. – Xilan rozłożył ręce. –

Nie pójdę na żaden kompromis, tu chodzi o przyszłość Chin.

Ouyang zmarszczył brwi.

– Czy rozumiesz powagę sytuacji? Czy widzisz te szerokie pęknięcia w naszym systemie? Chcesz, żeby sprawiono ci łąźnię?

– Niby kto miałby mi ją sprawić? Masy ludowe? Nie bądź śmieszny.

– Mają teraz władzę.

– Ta ich „władza” to tylko iluzja.

– A jednak! – Ouyangowi pojaśniała twarz. – Rozmawiamy o korzyściach własnych.

– Na znajomym gruncie czuje się pan lepiej, panie ministrze?

Ouyang na próżno próbował się uspokoić – Maricruz zniknęła, przepadła na drugim końcu świata. Poczul się jak wół, który nagle przejrzał na oczy i odkrył, jak nędzne jest jego niewolnicze życie. Nie mógł tego znieść.

– Pora na herbatę – powiedział najbardziej opanowanym głosem, na jaki było go stać.

Ostrożnie, żeby nie uronić ani kropelki, rozlał napar do dwóch filiżanek, podszedł do Xilana i podał mu tę z polonem. Podniósł swoją jak do toastu.

– Za korzyści własne.

– Za stabilizację w Państwie Środka.

Patrzył, jak Xilan upija łyk trucizny. Na myśl, że czeka go śmierć w strasznych męczarniach, poczul, że w wirze wzburzonych emocji pojawia się małe, krągłe, jeśli nie błogości, to na pewno spokoju.

– Możemy przynajmniej usiąść i być dla siebie uprzejmi?

– Wołę stać – odparł Xilan na dowód swojej nieustępliwości. – Ale ty siadaj, jeśli jesteś zmęczony.

Ouyang wyobraził sobie, jak się na niego rzuca, jak wbija mu kciuki w oczy i jak te oczy zmieniają się w galaretę. To by dopiero była satysfakcja! Czysta rozkosz! Na szczęście gniew szybko minął, pozostała jedynie pewność, że najlepszym rozwiązaniem będzie trzymanie się planu.

– Nuży mnie tylko twoje nieprzejednanie.

– Nieprzejednanie to jedyny sposób na przekucie wiary w rzeczywistość. Miecz musi ciąć bez względu na ofiary.

– A ty będziesz ciął swoim...

– Jutro, na zjeździe.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo sprawia mi to przyjemność. Bo ci, którzy chcą zdestabilizować nasz kraj wydumany zmianami, zostaną nie tylko pokonani, ale i wycięci w pień. Bo nie możesz tego powstrzymać. Pociąg już odjechał, panie ministrze.

Powiedział to tak, że Ouyangowi stanęły dęba włoski na karku. Mimo to nie okazał zdenerwowania.

– Cóż, zatem wypijmy za ambicje. – Podniósł filiżankę. – A potem niech każdy z nas idzie swoją drogą.

Xilan kiwnął głową i dopił herbatę.

– Gdy zobaczymy się następnym razem, moje zwycięstwo będzie pełne.

•••

Kiedy Bourne zobaczył wychodzącego z willi Cho Xilana, był już w mundurze żołnierza, którego obezwładnił. Podkradł się do niego od tyłu i założył mu dźwignię na szyję, tak że żołnierz nie zdążył nawet pisnąć. Chwilę później leżał już nieprzytomny na ziemi. Jason zawlókł go w kępę iglaków, ściągnął z niego ubranie i zabrał mu broń oraz dokumenty.

Potem przeszedł na drugą stronę alejki i ruszył w kierunku willi. Wejścia pilnowało dwóch strażników z przewieszonymi przez pierś pistoletami maszynowymi. Bourne wbiegł na schody i gdy zaszli mu drogę, wyjął kartkę papieru.

– Wiadomość od Deng Tsu dla ministra Ouyanga – powiedział po mandaryńsku.

– Przekażę. – Strażnik stojący po lewej stronie wyciągnął rękę.

Bourne pokręcił głową.

– Mam rozkaz dostarczyć do rąk własnych.

– Znasz ministra? – spytał tamten. – Wiesz, jak wygląda?

– Tak, wiem.

– Byłoby niedobrze, gdybyś oddał to komuś innemu.

– Już mówiłem, znam...

Jason poczuł lekkie ukłucie w szyję i odwrócił się. Ale zrobił to w zwolnionym tempie, z wielkim trudem. Zobaczył twarz nieznanego mężczyzny. Otworzył usta, lecz jego krew zgęstniała, zmieniła się w lód. Chciał podnieść rękę, ale była zbyt ciężka: przeważała, stracił równowagę i runął w czarną otchłań.

Rozdział 54

Niemal przezroczysty jasnozielony jadeitowy smok, blade niczym woda na płyciźnie, patrzył na niego złowrogimi, ale i zaciekawionymi ślepiami, jakby nie wiedział, gdzie Jason jest i co zaraz zrobi. Coś powiedział, lecz jego głos nie zdołał przebić się przez kłębiącą się wszędzie mgłę. To właśnie ta złożona ze snów mgła wyrwała go z nieświadomości i przeniosła do królestwa mówiących smoków i waz z dynastii Ming ozdobionych niebieskimi chryzantemami oraz kolejnymi smokami, które wędrowały między chmurkami w kształcie słodkich bułeczek. Czuł zapach kadzidła, lecz nie mógł on zabić kwaśnego fetoru wódki i lekarstw. Miał zwieszoną głowę i ni to zakaszał, ni się zakrztusił.

Ktoś powiedział:

– Obudził się, panie ministrze.

– Zostaw nas. – Nawet we mgle rozpoznał ten głos.

– Ale panie ministrze...

– Powiedziałem: zostaw nas!

Rozległ się tupot wojskowych butów, otworzyły się i zamknęły drzwi.

Zapadła cisza. Słychać było tylko wołanie ptaków.

Nagle czyjaś ręka uniosła mu gwałtownie głowę i spojrzał w oczy Ouyang Jidanowi.

Jego twarz rozciął gorzki uśmiech.

– Czekałem na to spotkanie, odkąd Rebeka umarła na tylnym siedzeniu taksówki, którą z taką desperacją jeździłeś po Mexico City. – Uśmiech stał się szerszy. – Wykrwawiła się, a ty patrzyłeś na to bezradny jak dziecko. Żałuję tylko, że tego nie widziałem.

Bourne stracił na chwilę ostrość widzenia i Ouyang uderzył go mocno w twarz.

– Ta kobieta przysporzyła mi bardzo wielu zmartwień. Zawsze wyprzedzała mnie o krok. Jak ona to robiła? Powiedz.

Jason usiłował skupić na nim wzrok. Ouyang chwiał się jak płomień świecy na wietrze, to rozplýwał się, to nabierał wyraźnych kształtów. Co oni mi wstrzyknęli? – pomyślał Bourne. Wyczuwał swój słaby puls, powolne, bezmyślne bicie serca, i próbował coś z tym zrobić. Wiedział jednak, że bez adrenaliny i mnóstwa wody nie wypłucze narkotyku z organizmu. Obliznął spieczona usta.

– A tak, co ze mnie za gospodarz. – Ouyang podszedł do kredensu. – Mam tu coś, co od razu postawi cię na nogi. Najlepszą zieloną herbatę: Long Jing. Masz szczęście, przed chwilą ją zaparzyłem.

Bourne dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do krzesła i ma związane z tyłu ręce. Tuż przed nim stał niski stolik z laki, na którym Ouyang postawił dwie przezroczyście filiżanki. Usiadł po lewej stronie i złożył ręce jak do modlitwy.

– Łączy nas długa historia, Jason. A przede wszystkim agentka imieniem Rebeka. Jedno z was już nie żyje, drugie wkrótce umrze. – Przekrzywił głowę. – Żyjesz tylko dlatego, że czegoś od ciebie chcę.

Jason spojrział na filiżankę. Przypomniał mu się polon. Jego organizm powoli uwalniał się od narkotyku.

– Chcę, żebyś opowiedział mi o Rebecce. Chcę wiedzieć, co mnie ominęło. Chcę wiedzieć, dlaczego była taka niebezpieczna.

Na spierzchniętych ustach Bourne'a zagościł lekki uśmiech.

Ouyang zmarszczył brwi.

– Uważasz, że twoja sytuacja jest zabawna?

– Nie, ale myślę, że wiem coś, czego ty nie wiesz – odparł Jason. – Zwłaszcza o Rebecce.

Ouyang nachylił się ku niemu.

– O właśnie, jeszcze jedno. Ciekawi mnie, dlaczego wciąż nazywasz ją jej kryptonimem. Na pewno zdradziła ci swoje prawdziwe imię.

Bourne nie odpowiedział.

– Zatem okazuje się, że obaj wiemy o niej coś, czego drugi z nas nie wie. Chciałbyś wymienić się informacjami?

– Po co? I tak mnie zabijesz.

– Ale przynajmniej zabrałbyś do grobu jej prawdziwe imię. Wiem, że to dla ciebie ważne. Ważne nawet dla kogoś takiego jak ty.

– Jak ja? To znaczy?

– Dla człowieka z nikim niezwiązanego, dla człowieka, który wznosił się ponad codzienne troski, dla człowieka, który czuje się jak w domu na mrocznych marginesach świata. – Ouyang zetknął czubki palców i zastukał nimi o siebie. – Dla kogoś takiego jak ty i... ja.

Podniósł filiżankę i podsunął ją Bourne'owi do ust.

– A teraz wypij herbatę i rozpoczniemy wymianę. – Brzeg filiżanki znieruchomiał tuż przy dolnej wardze Jasona. – Co ty na to?

– Ciebie nie interesuje Rebeka. Ciebie interesuje Maricruz. Chciałbyś wiedzieć, co się z nią stało, jak ciężko jest ranna.

Ouyang próbował się opanować, lecz mimo największego wysiłku zdradziło go lekkie drżenie i na ułamek sekundy zamknął oczy. Szybko doszedł do siebie.

– Ona dla mnie nie żyje.

– To dobrze – powiedział Jason – bo nie żyje naprawdę. Zginęła podczas strzelaniny między Los Zetas i Sinaloa.

Ouyang odstawił filiżankę.

– Kłamiesz.

– Co za różnica? Ona i tak dla ciebie nie żyje.

Długo patrzyli na siebie bez słowa.

W końcu w oczach Ouyanga rozbłysła złowroga iskra.

– W takim razie łączy nas coś jeszcze. Kobiety, które kochaliśmy, nie żyją, twoja i moja. – Kąciki ust podjechały mu do góry jak cień zwyrodniałego uśmiechu. – Tak, tak, wiem, że kochałeś Rebekę. Jeszcze bardziej zmotywowało mnie to do jej zabicia. – Pochylił się do przodu. – Żałuję tylko, że nie mogłem jej przedtem torturować.

Bourne, który odzyskawszy względną jasność umysłu, natychmiast zaczął oceniać sytuację, zamknął oczy, wyobrażając sobie pokój i jego wielkość, przypominając sobie wielkość stolika i to, pod jakim kątem do jego krzesła stoi krzesło Ouyanga.

W następnym ułamku sekundy zdarzyły się trzy rzeczy naraz: Jason odchylił do tyłu głowę, otworzył oczy i lewą nogą kopnął od dołu blat stolika, tak że imbryk, filiżanki i sam stół poleciały na Ouyanga.

Brzeg blatu uderzył go w kość policzkową. Chińczyk upadł na plecy i znieruchomiał. Jason wstał, zsunął związane ręce z oparcia krzesła i wbiegł do kuchni. Chwylił nóż do krojenia mięsa z drewnianej półki, przełożył go do prawej ręki i zaczął metodycznie przecinać krępujący go sznur. Kiedy się uwolnił, popędził z powrotem do salonu. Wszystko wyglądało tak jak przedtem, tylko nigdzie nie było Ouyanga.

Cho Xilan stał na tarasie willi i patrzył na morze. Na obu końcach tarasu czuwali uzbrojeni żołnierze, których obecność przyprawiała go o ucisk w dołku – podlegali bezpośrednio Patriarsze, który osobiście przyrzekł chronić jego i ministra Ouyanga. Cho tęsknił za wizją starych Chin, prawdziwego Państwa Środka, dlatego irytował go nieubłagany upływ czasu. Czuł, że Deng Tsu chce wywołać w nim to nieprzyjemne uczucie, żeby przypomnieć mu, kto trzyma w rękę wszystkie karty. Ale on stworzył niezachwianą koalicję z podobnie myślącymi członkami Biura Politycznego, koalicję tak silną, że nawet Patriarcha i jego frakcja nie będą mieli z nim szans.

Mimo to, gdy tylko wysiadł ze specjalnego pociągu, aby udać się do ośrodka, ogarnął go dziwny chłód. Ten sam chłód wniknął w jego kości nawet teraz i za nic nie chciał ustąpić. Cho pomyślał o Wanie, swoim siedmioletnim synku. Wan był wielkim miłośnikiem ptaków. Co niedzielę chodzili razem na bezkrwawe łowy z aparatem. Wyruszali przed wschodem słońca i z lekkimi plecakami, przez lasy, strumienie i wzgórze, szli na mokradła, aby brodzić w bagiennej roślinności.

Wan był bardzo podekscytowany, kiedy dowiedział się, że ojciec jedzie do Beidaihe. On też chciał jechać, bo Beidaihe to ptasi raj, nawet o tej ponurej porze roku. Rezydowały tu siewki, rybitwy i mewy, a w głębi lądu można było zobaczyć słowika rubinowego, słowika modrego i przedstawicieli wielu innych gatunków. Ale najbardziej chciał sfotografować chińskiego grubodzioba i wielką kukułkę rudopregą, na tych zdjęciach zależało mu najbardziej.

Dlatego Cho zabrał ze sobą doskonały aparat cyfrowy i przyrzekł synowi, że wyrwie się z pracy, aby sfotografować tyle ptaków, ile tylko zdoła. Chociaż był zmęczony i zbliżał się wieczór, postanowił dotrzymać danego słowa. Obietnica dana Wanowi była równie ważna jak ta, którą złożył sobie, że zostanie strażnikiem nowej drogi Państwa Środka. Tak, jeśli nikt inny nie zechce ująć się za ludem, zrobi to on. Nie bał się wstać i przemówić na zjeździe. Wiedział, że zagłosuje za nim wielu innych, że ma ich poparcie. Zabezpieczył się przed obrzydliwie cynicznymi machinacjami Patriarchy, które doprowadziłyby nieuchronnie do upadku Chin. Pragnął stabilnej przyszłości dla swojego syna i jego dzieci.

Zasnurował traperki, włożył lekką wiatrówkę, wziął aparat Wana i drewnianymi schodami zszedł na brzeg. Wiatr potargał mu włosy, starł z twarzy wszystkie cywilizacyjne troski. Z miejsca, gdzie morze stykało się z piaskiem, zerwał się jakiś ptak. Przeleciał przez jego pole widzenia i Cho z całą

przejrzystością zrozumiał nagle, dlaczego syn tak je kocha. Były wolne! Były panami morza, nieba i ziemi, latały tam, gdzie chciały i kiedy chciały.

Promienie słońca padały skośnie z tyłu, więc podniósł aparat i popatrzył na świat przez kolorowy wyświetlacz. W ciągu następnej godziny zrobił mnóstwo zdjęć miriadowi ptaków, zdjęć, które na pewno ucieszą Wana. Nim się spostrzegł, słońce zawisło tuż nad horyzontem, a cienie wydłużyły się, zniekształcając kontury wybrzeża.

Postanowił zawrócić, gdy nagle poczuł ciężki ucisk w piersi, raptem zabrakło mu tchu. Natychmiast zwolnił i zanim dotarł do drewnianych schodów prowadzących do willi, szedł już bardzo, ale to bardzo powoli.

Przytrzymał się poręczy, musiał się niemal podciągnąć. Ale pokonawszy jedną trzecią długości schodów, poślizgnął się na stopniu, zsunął na dół i bezwładnie wymachując rękami, upadł na piasek.

Oszołomiony i trochę przestraszony leżał i patrzył w niebo. Słyszał szum fal, które nadpływały i jakby bały się go dotknąć, zaraz odpływały, pozostawiając za sobą tylko wąski pas pomarszczonej brudnobiałej piany, w której roilo się od morskich żyjątek. Z mokrego piasku wychynął krab. Podbiegł niezdarnie do spienionego pasa i pożywiwszy się, ruszył w stronę Xilana.

Jedna noga Cho wciąż leżała na najniższym stopniu, wykręcona, lecz nie złamana. Nie, nogi go nie bolały, ale czuł się tak, jakby jego pierś ścisnęła potężna pięść. Nagle zaprotestował żołądek i Cho zwymiotował.

Spróbował wstać, ale nie miał siły. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca zobaczył aparat Wana na wpół zagrzebany w piasku. Przewrócił się na bok i wyciągnął rękę, żeby go podnieść. W tej samej chwili zbuntowały się jelita, dostał gwałtownej biegunki i wokoło rozszedł się obrzydliwy smród.

Do oczu napłynęły mu łzy. Były dziwnie ciężkie i choć nie był tego pewny, miał nieodparte wrażenie, że są ciężkie jak rtęć.

...

Usta Ouyanga wypełniał słonawy, metaliczny smak krwi. Z obrzydzeniem wytarł wargi, jakby miał na nich płwocinę. Walcząc z zawrotami głowy, spróbował zebrać myśli. Bourne się uwolnił. Wystarczyło tylko wezwać strażę. Znaleźliby go, otoczyli i zastrzelili. Tylko czy na pewno? Zresztą nie tego chciał. Wciąż pamiętał jego niemal mistyczne zwycięstwa, choćby zabójstwo generała

Wadiego Chalida. Tak, Chalid był znakomitym obiektem. Chciwy i do cna skorumpowany, miał nienasycony apetyt na młodych chłopców, towar w kręgach Chalida rzadki, a w kręgach Ouyanga dostępny. Ich współpraca była wyjątkowo owocna, dopóki u szczytu prosperity nie ukrócił jej Bourne. Dzięki zdobytym od generała tajemnicom wojskowym Ouyang wszedł w skład Stałego Komitetu Biura Politycznego.

Potem był Rzym, kiedy to Bourne nie tylko odebrał mu Rebekę, ale i zamordował trzech jego ludzi – kolejna strata twarzy, bardzo trudna do odrobienia. Później był pułkownik Sun, szef misji, bo on też zginął z jego ręki.

Dlatego teraz, chwytając błyszczący miecz, spróbował oczyścić umysł z trosk dnia codziennego, coraz głębiej i głębiej zapadając w stan, który doprowadził do perfekcji za murami ośrodka treningowego Pięć Góry Kunlun, powoli gromadząc wokół siebie magię wushu. Wreszcie otoczył go niezniszczalny pancerz siły i zwycięstwa.

Przykucnął i na bosaka wyruszył na polowanie.

•••

Zdając sobie sprawę, że strażnicy musieli słyszeć trzask walącego się stolika, Bourne wrócił do kuchni. Poszperał pod zlewem i znalazł butelkę amoniaku i wybielacza. Wlał amoniak do pustego słoika, dołał wybielacza i szybko zakręcił zakrętkę. W górnej części słoika zaczął zbierać się gaz, toksyczna chloramina.

Usłyszał tupot butów. I krzyk strażników – naliczył ich trzech – ale odwrócił się dopiero wtedy, gdy wpadli do kuchni. Celowali do niego z pistoletów maszynowych i wciąż coś krzyczeli, ale jeden przez drugiego, więc trudno ich było zrozumieć.

Żeby odwrócić ich uwagę, podniósł powoli prawą rękę, wstrzymał oddech i ukrytą za plecami lewą ręką rzucił w nich słoikiem. Szkło pękło i gaz buchnął im prosto w twarz. Odskoczyli do tyłu, lecz było już za późno: wciągnęli do płuc haust trujących oparów.

Jason minął ich, wpadł do salonu, a stamtąd do krótkiego korytarza prowadzącego do części sypialnej. Tymczasem żołnierze byli już albo martwi, albo właśnie konali. Bardzo by chciał zabrać któremuś pistolet, ale chloramina błyskawicznie przywierała do metalowych powierzchni, zwłaszcza naoliwionych.

Koniec korytarza miał kształt litery T. Jego odnogi biegiły prawdopodobnie do dwóch oddzielnych sypialni w skrzydłach willi. Bourne skręcił w prawo i po cichu ruszył przed siebie. Drzwi po prawej stronie były otwarte, tak że nie zaglądając do środka, widział duży fragment pokoju. Pchnął je, aż klamka uderzyła w ścianę, i wszedł. Zarówno w sypialni, jak i w łazience nie było nikogo, ale zobaczył polakierowany na czarno mały stojak, też pusty. Wiedział, że musiał leżeć na nim jakiś miecz, bo Maricruz wspomniała, że Ouyang jest mistrzem wushu z piętnastym stopniem wtajemniczenia. W łazience znalazł brzytwę – schował ją do kieszeni.

Wrócił na korytarz, doszedł do rozgałęzienia i ruszył w przeciwną stronę, do drugiej sypialni. Dwoje drzwi po lewej stronie, jedno po prawej – ponieważ były węższe niż te do pozostałych pokojów, założył, że są to zwykłe szafy. I rzeczywiście – w jednej znalazł poszwy i ręczniki. Wziął jeden i owinął nim lewe przedramię.

Wykorzystując metodę, którą zastosował w pierwszym korytarzu, otwierał wszystkie drzwi na oścież, aby sprawdzić, czy nie stoi za nimi Ouyang. W sypialni, identycznej jak ta w przeciwnym skrzydle, nie było nikogo, w szafie też nie. Do sprawdzenia pozostała jedynie łazienka.

Było w niej okno z szybą z wzorzystego szkła wysokości dorosłego człowieka, prysznic za szklanymi drzwiami, umywalka, muszla klozetowa i stos ręczników kąpielowych na stoliku ze szkła i metalu. To wszystko. Wciąż ani śladu Ouyanga.

Bourne odczekał chwilę, by sprawdzić, czy za szklanym przepierzeniem nic się nie porusza, ale nie, nie dostrzegł tam nawet cienia przelatującego ptaka. Prysznic mieścił się w brodziku ukrytym za winylową zasłoną na metalowym pręcie.

Jason zrobił krok do przodu i odsłonił ją jednym szarpnięciem z lewej strony do prawej. Ouyang, który czał się pod boczną ścianą prysznicza, runął na niego z wyciągniętym przed siebie mieczem.

Rozdział 55

Bourne napiął mięśnie owiniętej ręcznikiem ręki, ale cios okazał się zmyłką i zamiast mieczem, Ouyang uderzył go w ramię kantem dłoni. Jason zatoczył się do tyłu, myśląc, że przeciwnik pójdzie za nim i odsłoni się, ale Chińczyk zastął bez ruchu w pozycji Świętego Kamienia.

Znieruchomiał także Bourne, i przez kilka sekund stali naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem.

Nagle Ouyang skoczył do przodu i znalazł się w zasięgu rąk Jasona. Wykonał ten ruch z zapierającą dech w piersi szybkością, jakby był zrobiony z powietrza. Ostrze *jian* błysnęło, zatoczyło łuk, przecięło materiał i ciało i na mundurze Jasona wykwitła plama czarnej krwi.

Bourne cofnął się, ale Ouyang natychmiast zaatakował ponownie. Tym razem czubek miecza wykroił okrągły kawałek ciała w jego prawym ramieniu.

– Możemy tak przez cały wieczór – powiedział Chińczyk. – Kara tysiąca cięć. Wykrwawisz się jak Rebeka.

Jason wyjął brzytwę, ale Ouyang tylko się roześmiał.

– Przestań, robisz pośmiewisko z własnej śmierci.

Ostrze miecza miało siedemdziesiąt pięć centymetrów długości i było dwusieczne, o wiele groźniejsze niż zwykła brzytwa.

Bourne otworzył ją i rzucił się na przeciwnika. Chińczyk podniósł *jian*, przyjmując pozycję Białego Węża. Ale tym razem Jason był przygotowany i zamiast wyższych, zaatakował niższe partie ciała przeciwnika, mierząc na ukos w wysuniętą nogę i brzuch. Czubek brzytwy odciął kawałek marynarki i Ouyang musiał cofnąć się do brodzika.

Nie tracąc czasu, Bourne zadał mu kilka szybkich, krótkich ciosów. Zaskoczony Chińczyk nie zdążył zablokować czwartego: brzytwa chlasnęła go przez pierś i na białej koszuli pojawiła się cienka czerwona linia, której brzegi momentalnie nasiąkły krwią.

Zapędzony w kąt Ouyang znalazł się w niekorzystnym położeniu. Styl Białego Węża wymagał długich, zamasztych cięć, inaczej był nieskuteczny, tymczasem wyłożone kafelkami ściany uniemożliwiały wyprowadzenie najlepszych ciosów i zastosowanie najlepszych bloków.

Opuścił więc miecz i zastosował technikę otwartej ręki Czerwonego Feniksa. Z przedramionami wyprostowanymi jak kolumny podtrzymujące ciało energicznie wysunął do przodu lewą nogę, zadał Bourne'owi błyskawiczny cios w nadgarstek. Brzytwa pofrunęła jak ptak. Natychmiast uderzył go w spłot słoneczny i Jason musiał się cofnąć. Wtedy Ouyang ujął rękojeść miecza i wyszedł z brodzika.

Świsnęło długie ostrze i gdyby Bourne w ostatniej chwili nie odchylił do tyłu głowy, rozplątałoby mu gardło. Minęło szyję tak blisko, że oslepił go błysk miecza.

Wykorzystując to, Chińczyk wyprowadził cios w prawe ramię Jasona. Trafił i na czubku miecza wezbrała krew, która spłynęła po klindze aż do uchwytu. Ouyang przeszedł na styl Białego Żurawia, jaki stosuje się zazwyczaj podczas walki na szable. Zalała go fala wściekłości, oczy zaszyły mu czerwoną mgłą, tak jak w ośrodku treningowym, tuż zanim zabił przypadkowego przeciwnika. Nie wyobrażał sobie, żeby nie mógł pokonać Bourne'a, nie wysłać w bezdenną otchłań śmierci.

Wciąż pod nieustannym atakiem Jason wycofał się z łazienki. W korytarzu zablokował jeden z ciosów lewym przedramieniem i ręcznik, którym je owinął, spadł na podłogę w dwóch równo przyciętych kawałkach. Z rany trysnęła krew.

Im dalej się cował, tym szybciej Ouyang atakował, więc do salonu wpadli prawie biegiem. W pewnym momencie Jason przystanął i rzucił się na Jidana jak w ostatniej desperackiej próbie zdobycia przewagi.

Chińczyk dźgnął mieczem do przodu i Bourne musiał odskoczyć. Wpadł na kredens. Zabrzęczały stojące na nim naczynia, coś poturlało się w jego stronę. Kątem oka dostrzegł, że to fiolka z polonem. Odwrócił się i omal nie stracił przez to głowy.

Ouyang uśmiechnął się szeroko, po czym zadał kolejny cios, tym razem płytki, lecz tak gwałtowny i silny, że pochłonął całą jego energię. Ostrze na pewno przebiłoby ciało i kości, ale Bourne cofnął się w ostatniej chwili. Miecz odciął fragment blatu. Posypało się szkło, prawie wszystkie butelki potłukły się w drobny mak, pękł imbryk. Fiolka z polonem podskoczyła, zadrżała i jak szalona potoczyła się w jego stronę.

Ouyang zadał poziomy cios. Jason uchylił się i miecz świsnął tuż nad jego głową. Fiolka wciąż się toczyła. Chińczyk wyprowadził kopnięcie, przygniatając

Jasona do kredensu tak mocno, że pozostałe butelki pękły, wylewając swoją zawartość.

Fiolka z polonem stoczyła się blatu, lecz ułamek sekundy przedtem Bourne zdążył wysunąć szufladę i gdy tylko do niej wpadła, natychmiast ją zamknął.

Jeszcze bardziej rozwścieczony Ouyang zadał potężny cios obiema rękami. Jason odsunął się w ostatniej chwili i klinga wbiła się ze świstem w cyprysową kolumnę tak głęboko, że nie chciała wyjść. Chińczyk szarpnął uchwytem raz i drugi, lecz zanim zdążył szarpnąć po raz trzeci, Jason powalił go uderzeniem w pierś.

Potem się na niego rzucił. Zwarli się w dzikim starciu, w którym centymetry, ułamki centymetra wytyczały granicę między życiem i śmiercią. Obydwaj wkładali w walkę tyle wysiłku, energii i siły woli, że pęczniały im napięte mięśnie, napinały się ścięgna, trzeszczały kości. Bolesnie wykręcali sobie ręce, okładali się po żebrach i nerkach. Pot i straszna cisza były jedynymi oznakami, że wkroczyli na drogę ku śmierci. Nie mieli już odwrotu, nie mogli z niej zbroczyć.

Bourne'owi udało się w końcu zadać cios, który omal nie zmiażdżył Ouyangowi nosa. Chińczyk przesunął się do tyłu z zakrwawioną twarzą, wyciągnął rękę i wymacał kolbę pistoletu maszynowego, który przy wejściu do kuchni upuścił jeden z martwych strażników.

Chwycił broń, lecz kiedy zacisnął palce na naoliwionym metalu, ostry ból sparaliżował mu ręce. Jason wstał, podszedł do kolumny i potężnym ciosem obiema pięściami złamał na pół klingę wbitego w nią miecza. Podniósł z podłogi połówkę z rękojeścią i wrócił do Ouyanga, który wciąż zmagął się z pistoletem.

Pchnął Jidana kopniakiem na plecy i ukląkł na jedno kolano.

– Nieważne, co mi zrobisz – wychrypiał Chińczyk.

Bourne przebił mu serce kikutem miecza. Ouyang ani na sekundę nie oderwał od niego wzroku. Miał zakrwawione ręce, czerwone jak surowe mięso, poparzone chloraminą. Jeden po drugim, organy jego ciała odmawiały posłuszeństwa. Dostał konwulsji.

– Po co? – wyszeptał gardłowo. – Jaki to miało sens?

Bourne patrzył na niego bez cienia litości.

– To mój odwet.

– Ale czy... odzyskałeś ją? – Z ust Ouyanga wypływała krew, zniekształcając słowa. – Czy odzyskał ją jej ojciec i dziadek? Jadinowie zostali bez dziecka...

Jason pochylił się nad nim.

- Co? - Niemal krzyknął. - Co powiedziałaś?

Ouyang patrzył na niego albo na to, co widziały jego gasnące oczy.

- Sara. Tak miała na imię. Sara Jadin. - Próbował coś dodać, roześmiać się, a może zapłakać, ale nic mu już z tego nie wyszło. Ze wszystkich otworów jego ciała płynęła krew, jakby zmieniły się w nią nawet kości.

Jason chwycił go za koszulę i przyciągnął bliżej. Ale Ouyang tylko zadrżał i przewrócił oczami, jakby szukał ucieczki w głębi czaszki. Po chwili skupił na nim wzrok.

- Teraz widzisz, jak to jest - szepnął. - Tak samo będzie z tobą. - Wstrząsnęły nim drgawki i zacisnął zęby, żeby jeszcze trochę wytrzymać. - Ale to dobrze, że Sara nie żyje. W życiu nie ma szczęścia. Ciągłe kogoś... tracimy, ponosimy jedną stratę po... drugiej, aż w końcu nie zostaje nam nic... oprócz łez w morzu krwi.

Rozdział 56

– Leonid – rzucił Bourne do telefonu – już jadę.

– Odpoczęliśmy, zatankowaliśmy i jesteście gotowi do startu.

Miasto otoczyła dusząca ciemność nocy. Prawie nie słyhać było szumu fal omywających brzeg za wystrzępionymi skalistymi klifami. Wiał coraz silniejszy wiatr, chłodny i wilgotny, a odległy horyzont, zaciągnięty stalowymi chmurami, raz po raz przecinały błyskawice.

Bourne, w garniturze, który Ouyang Jidan przygotował na otwarcie zjazdu partii, jechał przez ośrodek dżipem, oddalając się od morza i przycupniętych na skałach luksusowych willi.

Rozświetlana błyskawicami ciemność przypomniała mu wieczór w Mexico City, kiedy pędził przez miasto taksówką, próbując ratować Rebekę, która wykrwawiała się na tylnym siedzeniu od rany od noża. Założył jej prowizoryczną opaskę, kazał jej uciskać ranę, zrobił, co mógł, żeby utrzymać ją przy życiu i zdążyć do szpitala. Na próżno.

Pilnujący bramy wartownicy pozwolili mu wyjechać. Zmęczeni i znudzeni czekali już na zmienników i mało obchodziło ich, kto opuszcza teren ośrodka. Całą ich uwagę pochłaniała sprzeczka na temat najnowszego sekskandalu na szczeblu ministerialnym, dużo bardziej szokującego niż poprzednie.

Opuściwszy ośrodek, Bourne skręcił w lewo, w kierunku zapuszczonego lotniska wojskowego, gdzie czekał prywatny samolot Ouyanga z Leonidem na pokładzie. Jechał bardzo szybko, chociaż teren był wyboisty, a droga zryta koleinami i wymagająca naprawy. Raz musiał zwolnić, aby ominąć szeroką i prawdopodobnie głęboką wyrwę w asfalcie. Zaczął padać lekki deszcz.

I wtedy, w wąskiej przerwie między rosnącymi na poboczu drzewami, na równoległej drodze zauważył samochodowe reflektory. Przyspieszył i wkrótce potem w oddali zobaczył lotnisko. Palące się światła połyskiwały w gęstniejącej ciemności jak rozmyte przez deszcz brylanty.

Dojeżdżał już do bramy, gdy w bok dżipa uderzyła kula. Kilka sekund później kolejna roztrzaskała szybę od strony pasażera. Bourne gwałtownie skręcił, wrzucił luz, zjechał w dół skalistym nasypem i zatrzymał się na piasku.

Szybko wysiadł. Kryjąc się za samochodem, podbiegł do tylnego zderzaka, przykucnął i złustrował wzrokiem okolice w poszukiwaniu miejsca, skąd padły strzały.

Był tak blisko lotniska, że słyszał coraz głośniejsze zawodzenie silników gotowej do startu maszyny. Wdrapał się na nasyp i wystawił głowę nad poboczne drogi, aby sprawdzić, czy nie spowoduje tym snajpera do kolejnego strzału. Gdy jęk silników odrzutowca przybrał na sile, Bourne wstał i wszedł na asfalt. Do bramy miał tylko sto metrów. Pobiegł w jej stronę.

•••

Leonid, wciąż zamknięty w metalowym kadłubie samolotu, dostawał szału. Gdyby nie to, że w drodze do Moskwy miał towarzyszyć mu inteligentny kompan, w dodatku ktoś, kto mógł wstawić się za nim u generała Karpowa, legendy w FSB i w gabinetach otoczonego nabożną czcią Kremla, już dawno pogoniłby pilotów i wyniósł się stąd w cholerę.

Ale jego nowy przyjaciel już nadjeżdżał, więc wszystko było dobrze. Wyrzwał przez okno i zobaczył reflektory samochodu pędzącego po pasie w stronę samolotu. Wóz zatrzymał się, ktoś z niego wysiadł i ruszył w stronę składanych schodków.

Leonid, któremu z każdym jego krokiem poprawiał się humor, ruszył do drzwi, aby powitać przyjaciela.

Bourne wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz, ale kiedy oświetliły go wewnętrzne lampki, Leonid gwałtownie przystanął i cofnął się o krok. To nie był Bourne, to był ktoś obcy, jakiś Chińczyk, w dodatku z Mandżurii.

Leonid zmarszczył brwi.

– A ty kto?

– *Cao ni zu-zong shiba dai*. Pieprzyć twoich przodków aż do osiemnastego pokolenia. Spodziewałeś się Bourne'a? – Kai wyjął pistolet S&W Bodyguarda 380 ACP i strzelił Rosjaninowi dwa razy w pierś. Gdy ten upadł, dobił go strzałem między oczy.

Przechodząc nad trupem, kopnął go w twarz.

– *Piyan!* – warknął. Dupek!

Nawigator, który usłyszał huk wystrzałów, wyszedł z kokpitu z Glockiem w ręce.

– Co się tu...

Kai strzelił mu w pierś i nawigator wpadł z powrotem do kabiny. Pilot przeraźliwie krzyknął.

– Startujemy. – Kai wycelował w jego głowę. – Ale już!

– Kazano nam czekać na jeszcze jednego pasażera...

– To ja. – Kai machnął pistoletem. – Startuj.

Steward, który przykucnął w kącie z dala od krwi i zamętu, głośno załkał, kurczowo obejmując podkurczone kolana.

– To osobisty rozkaz ministra Ouyanga.

– Nie... nie mogę, proszę pana – wydukał pilot. – Trzeba złożyć schodki.

Kai machnął pistoletem na stewarda, który zaskowyczał jak zwierzę.

– Do roboty. – Pogroził mu lufą. – Ale już!

Steward zerwał się na równe nogi i ze zdławionym jękiem przestąpił nad trupem nawigatora. Ruszył w stronę drzwi, ale napotkawszy ciało Leonida, omal nie zawrócił.

Kai, który nie spuszczał go z oka, powtórzył rozkaz. Steward zadrżał, przestąpił nad zwłokami i podbiegł do otwartych drzwi. Już miał wciągnąć schodki, gdy Kai zmusił pilota do zwolnienia hamulców. Silniki zwiększyły obroty i samolot się potoczył, powoli przyspieszając.

Steward wyciągnął rękę w stronę sznura przy drzwiach, kiedy nagle zobaczył, że obok samolotu ktoś biegnie. Zmrużył oczy. Tak, znał go: to był pasażer z Mexico City, ochroniarz ambasadora Liu i znajomy tego Rosjanina, Leonida. Chciał wsiąść, więc to pewnie na niego czekali.

Samolot przyspieszał i nie było mowy, żeby ten człowiek go dopędził. Powoli, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć i nie spaść na pas, steward zszedł na dół.

Wiedział, że chociaż mężczyzna jest bardzo blisko, bliżej już nie podbiegnie. Sztwno wyprostowany wyciągał do niego rękę. Steward stanął na najniższym stopniu, wychylił się i wyciągnął swoją.

Za pierwszym razem się nie udało i tylko otarli się o siebie czubkami palców. Za drugim mężczyzna chwycił się go i ciężarem swego ciała omal nie wyrwał mu ramienia ze stawu. Szarpnięcie obróciło stewardem tak gwałtownie, że gdyby nie solidna aluminiowa osłona schodków, pofrunąłby jak ptak.

Ale zaparł się mocno nogami, maksymalnie napiął mięśnie i zaczął podciągać mężczyznę, powoli, stopniowo, oddychając krótkim, urywanym oddechem.

Wreszcie Bourne chwycił się osłony. Przerzucił przez nią nogi, wskoczył na schodki i trzymając się za ręce, wbiegł na górę.

– Tam jest jakiś Chińczyk – wysapał steward. – Ma broń. Wygląda na Mandżura, zastrzelił nawigatora i tego Rosjanina.

•••

– Gdzie teraz jest? – spytał Jason.

– W kabinie, z pilotem.

Bourne zobaczył leżące przy wejściu ciało Leonida. Stanąwszy za stewardem, pomógł mu wciągnąć schodki. Steward chciał je zabezpieczyć, ale Jason go powstrzymał.

– Jeszcze nie – szepnęła i steward zadrżał, domyślając się dlaczego.

– Zamknij się w toalecie – dodał Bourne. – I nie wychodź, dopóki nie usłyszysz mojego głosu.

Steward zmartwiał.

– A jeśli nie usłyszę?

– Idź. Szybko!

Kai wciąż sprzeczał się z pilotem. Coraz mocniej padało, a znad morza nadciągała mgła, która zdążyła już wspiąć się na skaliste klify. Pilot nie chciał startować, ale Kai to nie interesowało.

Kiedy steward zniknął w toalecie, Bourne szybko starł z podłogi mokre ślady swoich stóp, wszedł do kuchenki, poszperał w szafkach i znalazł butelkę wina i puszkę ciepłego piwa. Potem wrócił do kabiny pasażerskiej i ukucnął za ostatnim rzędem foteli.

Kai musiał postawić na swoim, bo samolot gwałtownie przyspieszył. Chwilę później drzwi kokpitu otworzyły się na oścież i Jason usłyszał jego podniesiony głos. Chińczyk widział, że schodki są wciągnięte, a drzwi zamknięte, nie zobaczył jednak stewarda. Silniki zawyły na maksymalnych obrotach, samolot zadarł dziób i wzbił się w powietrze. Głucho zadudniło wciągnane podwozie.

Mocno pochylony do przodu, jakby zmagając się z wicherą, Kai ruszył w stronę toalet, żeby poszukać stewarda. Jason potrząsnął puszką i kiedy Chińczyk znalazł się o dwa kroki od drzwi, wstał i butelką wina dzielił go w kolano. Kai stęknął, a gdy upadał na fotele, Bourne podetknął mu pod nos puszkę.

Otworzył ją i gejzer piwa trysnął Chińczykowi w twarz, chwilowo go oślepiając. Jason uderzył mężczyznę kantem dłoni w obojczyk i ten upuścił pistolet, ale natychmiast rzucił się za nim na czworakach.

Bourne pochylił się i grzmotnął Kaia pięścią w bok, mimo to Chińczyk zdołał chwycić pistolet – odwinął się do tyłu i zdzielił nim przeciwnika tak mocno, że Jason poleciał na drzwi, lecz w ostatniej chwili przytrzymał się futryny.

Kai zyskał jednak trochę czasu, żeby dojść do siebie, i uderzył go lufą pistoletu, rozrywając materiał marynarki i zdzierając mu kawałek skóry. Rana wezbrała krwią. Jason zaczął cofać się na koniec przejścia, jakby przed nim uciekał, w końcu znalazł się dokładnie naprzeciwko drzwi. Wtedy chwycił się górnej półki, podniósł nogi i skrzyżował je na szyi Chińczyka.

Kai szarpnął się, lecz w tej pozycji nie mógł ich rozewrzeć i chcąc wydrapać przeciwnikowi oczy, centymetr po centymetrze, z tytanicznym wysiłkiem przesunął ręce do góry. Na rozoranej twarzy Bourne'a pojawiła się krew. Próbował odwrócić głowę, lecz Chińczyk ścisnął ją desperacko jak kleszczami.

Wyciągnąwszy się na pełną długość ciała, Bourne pchnął stopami drzwi. Otworzyły się. Wtedy zdjął nogi z szyi Kaia i kopnął go dokładnie w środek piersi. Chińczyk poleciał do tyłu. Jego lewa noga zawadziła o próg, stracił równowagę, zakręcił młynka rękami i wyszło go z samolotu. Zniknął w chmurach, pozostawiając za sobą tylko krótki krzyk, odległy jak echo przetaczającego się grzmotu.

Epilog

Tel Awiw, Izrael

Na lotnisku Ben Guriona powitało go czyste, błękitne niebo bez jednej chmurki.

Ku zaskoczeniu Bourne'a, w sali kontroli paszportów czekał na niego dyrektor Jadin, który ominąwszy długie kolejki, pod obstawą agentów Mosadu wyprowadził go do hali przylotów.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, gdy szli do wyjścia. – Jeszcze godzinę temu siedziałem w schronie. Atak mózdzierzowy z Gazy.

– Odpowiedzieliście?

– O tak, kilkoma precyzyjnymi uderzeniami. Zginęło dwóch przywódców Hamasu. Wtedy nadleciały rakiety. Niech pan nie przejmuje się syrenami. To się włączają, to wyłączają, i tak w kółko.

Jeden z agentów otworzył drzwi i wyszli na oślepiające słońce, na gorące betonowe płyty. Przy krawężniku czekał wielki, kuloodporny SUV strzeżony przez żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe.

– Ouyang nie żyje – powiedział Bourne, wsiadając do ciemnej, przestronnej kabiny.

– Nie spodziewałem się niczego innego. – Eli Jadin podał szoferowi adres, po czym opadł na tylne siedzenie. Jego ludzie usiedli z przodu i SUV ruszył.

– Cho Xilan zniknął – ciągnął Jadin. – Jakby zapadł się pod ziemię.

– Ouyang go zamordował. Otruł go polonem.

– Polonem? – zdziwił się Eli. – To sztuczka KGB.

Bourne opowiedział mu, jak w Moskwie, w drodze do Beidaihe, zabrali na pokład Leonida.

– Dostali polon od tych z FSB – podsumował. – Ale myślę, że śmierć Xilana była osobistym odwetem Ouyanga.

– Deng Tsu ma wielkie szczęście. – Jadin potarł policzek. – Ouyang nie żyje, koalicja Xilana straciła przywódcę i Patriarcha może teraz swobodnie wybrać następnego prezydenta. Kolejnego reakcjonistę. Reformy, które wprowadzi, będą powierzchowne.

Jason spojrział w okno na pogrążone w cieniu budynki i sylwetki przechodniów.

– Im więcej zmian, tym mniej się zmienia, zwłaszcza w Chinach.

Przeraźliwie zawyły syreny. Alarm przeciwlotniczy.

– Kolejna wojna – mruknął Bourne.

– Na szczęście krótka. Dzięki panu – dodał z uśmiechem Eli. – Ouyang Jidan finansował dżihad Hamasu przez swoich ludzi na Synaju. Ponieważ źródło wyschło, szybko wynegocjujemy zawieszenie broni, to kwestia kilku dni. – Westchnął. – Mamy... Mam u pana dług, którego nigdy nie będę w stanie spłacić.

Bourne oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy. Był potwornie zmęczony, jak sprinter, którego zmuszono do startu w maratonie.

– À propos. Fatalnie pan wygląda.

– I tak się czuję – odparł Jason. – Chyba się starzeję.

Jadin roześmiał się wesoło.

– Pan? Nigdy, przyjacielu! Ale widzę, że zakrwawił pan całe siedzenie. W szpitalu dokładnie pana przebadają, a potem pan odpocznie.

SUV przedzierał się przez gęsty ruch.

– Przykro mi, Eli.

Jadin odwrócił się do niego.

– Wiem, że Rebeka była pana córką. Wiem, jak bardzo musi to pana boleć.

Eli bez słowa popatrzył przed siebie. Skręcili w ulicę Weizmanna, gdzie mieściło się Centrum Medyczne Sourasky. Bourne był tam kiedyś, śledząc Jadina.

Gdy stanęli przed wejściem, Eli powiedział:

– Chodź, Jason. Naprawdę wygląda pan nieciekawie.

•••

Dwadzieścia minut później Bourne leżał nago na stole w gabinecie na drugim piętrze gmachu, a chirurg opatrywał mu rany. Kilka wymagało szycia, więc znieczulono go miejscowo. Opatrzono również mniejsze skaleczenia i stłuczenia, dostał receptę na antybiotyki i pozwolono mu się ubrać.

Przez cały czas czuwał przy nim Eli Jadin, który z luźno założonymi z tyłu rękami w zadumie patrzył w okno.

– Kiedyś tu za panem przyszedłem. – Jason zapiął koszulę.

– Tak? Nie wiedziałem.

– Bałem się, że jest pan chory.

– Bo jestem. – Jadin odwrócił się do niego z ponurą miną. – Chory na życie. Umieram od tysięcy kłamstw, które muszę mówić, żeby zapewnić bezpieczeństwo mojemu krajowi. Jestem patriotą, ale mam zranioną duszę.

Położył Bourne’owi rękę na ramieniu, wyszli z gabinetu i powoli ruszyli przed siebie korytarzem pełnym pielęgniarek, pacjentów na wózkach, lekarzy spieszących od jednej katastrofy do drugiej.

– Ale żadna z ran nie była tak głęboka jak ta, którą zadało kłamstwo, jakie musiałem powiedzieć panu.

Jason przystanął.

– Było absolutnie konieczne. To, że uratowało wielu ludzi, łącznie z panem, nie znaczy, że jest łatwiejsze do strawienia, a jeśli nawet, to tylko symbolicznie.

Jadin pokręcił kudłatą głową.

– Widzi pan, to kłamstwo pchnęło pana do pościgu za Ouyangiem. Stanowił poważne zagrożenie dla mnie i dla Izraela, ale za nic nie mogłem go dopaść. I wtedy pojawił się pan. Był pan prawdziwym darem niebios, bo znał pan Reбекę. Bo z nią pan pracował. Bo nie była panu obojętna.

Tak, Jason, Bóg mi pana zesłał, dlatego musiałem pana wykorzystać, nie miałem wyboru. I dokonał pan niemożliwego. – Eli uśmiechnął się blade, niemal niewidocznie. – Wiem, że dałem panu powód do nienawiści, ale głęboko wierzę, że z czasem mi pan przebaczy.

– Tak? Niby dlaczego? – spytał zimno Bourne. – Zrobił mi pan dokładnie to samo, co ludzie z innych agencji.

Eli wyciągnął przed siebie rękę i poszli dalej.

– Dlatego że, uwierzy mi pan, czy nie, uważam pana za przyjaciela. Za dobrego przyjaciela, z którym znajomość jest zaszczytem.

– Dość tych bzdur, dyrektorze.

– Mówię poważnie, Jason, prosto z serca.

– I prosto z serca okłamuje pan przyjaciół?

– Kłamię tylko wtedy, kiedy jest to konieczne.

– Sęć w tym, że to pan o tym decyduje.

– Myślę, że na to zasłużyłem.

– Wszyscy tak myślą.

Eli westchnął.

– Zobaczmy, co powiesz, kiedy będziemy stąd wychodzili.

Pchnął podwójne drzwi prowadzące na oddział intensywnej opieki medycznej. Panowała tu wyciszona, niemal grobowa atmosfera, jak w zakładzie pogrzebowym. Pielęgniarki i stażyści krążyli między pacjentami niczym roznoszące pyłek pszczoły.

Każdy pacjent leżał w osobnym pokoju. Słysząc było jedynie odgłos respiratorów i popiskiwanie aparatury nadzorującej funkcje życiowe, smutną elektroniczną muzykę.

Przystanęli pod drzwiami.

– Jason, miarą zaufania, jakim pana darzę, jest to, że tu pana przyprowadziłem, że za chwilę pozwolę panu wejść do tego pokoju. Mieści on moją jedyną prawdziwą tajemnicę i pański dar.

Zapadła cisza.

– Wejdzie pan ze mną? – spytał Bourne.

Jadinowi pojaśniała twarz.

– Innym razem.

Jason otworzył drzwi.

– Zaczekam tutaj – dodał Eli.

Duży i jasny pokój bardziej przypominał mały salon niż szpitalną separatkę. Drzwi zamknęły się z westchnieniem i Bourne został sam na sam z kimś, kto siedział na łóżku pod ścianą.

– Witaj, Jason.

Bourne znieruchomiał, nie wierząc własnym oczom. Oszołomiony podejrzewał, że jest to kolejne wyrafinowane kłamstwo Elego Jadina.

– Nie podejdziesz?

Oniemiał, zabrakło mu słów. Czy to sen? Sytuacja była tak nierzeczywista, że prawie się zachwiał. Krew uderzyła mu do głowy. Bolesnie biło serce, nie mógł złapać tchu.

– Rebeka... – wykrztusił w końcu. – Przez cały ten czas myślałem, że... że nie żyjesz.

– Mam na imię Sara. Sara Jadin. I żyję. – Wyciągnęła do niego rękę. – Dotknij mnie, zobacz.

– Byłem...

– Wiem. Tak mi przykro.

– Nie mogłem przestać myśleć, że...

Jej ręka była taka szczupła, taka błada, niemal przezroczysta.

Zagotowało się w nim, duszą targnął spazm wściekłości. Grzmotnął pięścią w ścianę tak mocno, że pękł tynk. Drzwi otworzyły się i z trudem się powstrzymał, żeby nie wybiec i nie zmiażdżyć Jadinowi tchawicy.

– Precz! – ryknął.

– Wszystko w porządku – powiedziała szybko Sara. – Wszystko w porządku.

Drzwi cichutko się zamknęły.

Twarc Bourne’a była jak przerażająca maska.

– Twój ojciec mnie okłamywał, cały czas mnie okłamywał!

– Okłamywał wszystkich. Robił to, żeby chronić mnie, kiedy leżałam tu chora i bezbronna, dochodząc do siebie.

Słowa Sary nie złagodziły jego gniewu.

– Ale to mną manipulował! Wykorzystał moją rozpacz...

– Żeby zabić tego, kto skazał mnie na śmierć.

– Przecież pojechałbym tam i...

– Tak, wiem, ale mogłoby ci się nie udać. Nawet tobie. – Sara uśmiechnęła się smutno. – Gdyby powiedział ci prawdę, chciałbyś mnie zobaczyć. I gdybyśmy się zobaczyli, część ciebie pozostałaby tutaj, ze mną. Nie mógłbyś się w pełni skoncentrować. Straciłbyś skuteczność działania.

W pokoju zapadła cisza. Słyszać było jedynie popiskiwanie monitora nadzorującego bicie jej serca.

– Dobrze wiesz, że mam rację.

To prawda, pomyślał Bourne. Świadomość, że Sara żyje i leży bezbronna w szpitalu, doprowadziłaby go do obłędu. Przestałby trzeźwo myśleć. Ouyang był zbyt niebezpiecznym przeciwnikiem, żeby atakować go w takim stanie.

– Proszę. – Sara poruszała wyprostowanymi palcami. – Chcę cię dotknąć, objąć. Chcę sprawdzić, czy to naprawdę ty, czy naprawdę wróciłeś z Chin cały i zdrowy.

Bourne podszedł do łóżka jak lunatyk. Rozpoznał ją, jednak wyglądała zupełnie inaczej. Była strasznie wychudzona i miała tak ziemistą cerę, że przypominała zjawę. Tu i ówdzie przez pergaminową skórę z okrutną wyrazistością przebijały błyszczące niebieskie żyły. Wyglądała jak ktoś, kto wciąż zмага się z wyjątkowo ciężką i bolesną chorobą.

Gdy stanął przy łóżku, rozchyliła koszulę, odsłaniając paskudną bliznę na boku, w miejscu, gdzie przed ucieczką z willi Maceo Encarnacióna została ugodzona nożem. Przez ostatnie metry musiał ją nieść, a potem...

Objął ją, przytulił i łagodnie ukołysał. Przesunął czubkami palców po bliźnie i omal nie pękło mu serce. Szepnął:

– Widziałem, jak wykrwawiasz się na tylnym siedzeniu taksówki. W Mexico City zostawiłem trupa. Stałem przy twoim grobie, gdy cię chowano. A teraz...

– ...jest dobrze – dokończyła z uśmiechem. – Wszystko jest już dobrze.

Pamiętał ten uśmiech i uczucia wezbrały w nim jak spieniona fala.

– Byłeś taki dzielny. Taki pomysłowy. Nie przeżyłabym, gdyby nie ty. – Ujęła jego głowę w dłonie i pocałowała go ustami miękkimi jak chmurka. – Miłości moja, uratowałeś mi życie.

Siedzieli i obejmowali się bez słowa nieskończenie długo, a przynajmniej takie mieli wrażenie. Chcieli nacieszyć się sobą, swoim wzajemnym dotykiem, zyskać pewność, że spotkanie to jest prawdziwe, że nie jest snem, z którego obudzą się załamani i zrozpaczeni.

– Tak się o ciebie bałam – powiedziała w końcu. – Kiedy ojciec zdradził mi swój plan, byłam wściekła. Nie odzywałam się do niego wiele dni. Ale wciąż tu przychodził, ciągle powtarzał swoje, i wreszcie pękłam. Miał rację. Tylko ty mogłeś dotrzeć do Ouyanga i go zabić. Tylko ty. Poza tym miałeś doskonały motyw: moją śmierć.

Powiedziała to z miłością i bólem. I z wielką dumą.

Tulił ją, znowu słyszał jej głos, znowu czuł dotyk jej ust i gniew powoli ustąpił. Podziałała na niego jak balsam na wszystkie szubrawstwa, jakimi obdarzył go świat. W końcu zrozumiał, że chociaż Eli go wykorzystał, to jednak nie zdradził. Przeciwnie, zaufał mu i powierzył najświętszą misję, jaką może przedsięwziąć ojciec. Misję wzięcia odwetu za ciężko ranną córkę.

Rebeka, a raczej Sara – wiedział, że upłynie dużo czasu, zanim przywyknie do tego imienia – poruszyła się niespokojnie i zdał sobie sprawę, że wciąż ją boli.

– Połóż się – powiedział łagodnie.

– Ale weź mnie za rękę.

Położył ją ostrożnie, ujął jej dłoń, a ona uśmiechnęła się i głęboko westchnęła.

– A teraz posłuchaj, coś ci opowiem. Kiedy się poznaliśmy, byłam stewardesą. Leciałeś do Damaszku, ja też. Lecz jakiś czas przedtem poznałam Ouyanga, taki był plan. Udawałam kurierkę, która szmugluje tajemnice wojskowe z Damaszku do Omanu. Taką mnie widział i taką miał mnie widzieć.

Jednak tak naprawdę to te tajemnice wykradałam. Ukrywałam się na widoku. Od tej chwili Ouyang przestał zwracać na mnie uwagę i zajął się tropieniem tych,

dla których jakoby pracowałam. Nie znalazł ich, bo po prostu nie istnieli. Zmarnował mnóstwo czasu i pieniędzy, szukając niewidzialnego garnka słodkiego miodu, podczas gdy ja po kolei likwidowałam jego ludzi.

– Aż odkrył prawdę.

– Tak.

– I poprzysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki cię nie zabije. – Bourne’owi chciało się krzyczeć. Nagle zniechęcił swoje życie, nikczemne życie pełne tajemnic i kłamstw, które naraziło ją na śmierć.

– Na samym początku misji dentysta wstawił mi pusty ząb – ciągnęła. – W środku umieścił kapsułkę z szybko działającym środkiem. Nie, nie z trucizną. To było coś, co miało uratować mi życie, gdyby groziło mi poważne niebezpieczeństwo, wyprodukowany przez naszych specjalistów narkotyków, który spowalnia metabolizm, symulując śmierć. Połknęłam go. Wiedziałam, że jeśli w porę mnie znajdą, uda im się przywrócić mnie do życia, chociaż będzie to proces długi i bolesny.

Jason wciąż trzymał ją za rękę.

Sara zapłakała.

– Jason, nawet nie wiesz, ile razy wyobrażałam sobie tę chwilę, jak bardzo na nią czekałam całym sercem i duszą.

Bourne pochylił się, by scałować jej łzy.

– Już nie pojedziesz w teren.

– Ty byś nie pojechał? – Uważnie sondowała jego twarz. – Czy mogłabym cię powstrzymać? Powiedz, ale tak szczerze, co innego moglibyśmy zrobić?

Długo patrzyli sobie w oczy. Jason zdjął złoty łańcuszek z szyi i gwiazda Dawida rozbłysła w jego rękach jak kometa na niebie. Sara spojrzała na nią i po jej policzkach znowu spłynęły łzy. Ale teraz miała błyszczące oczy. Pochyliła głowę, a on zapiął łańcuszek na jej szyi. Gwiazda, z którą nie rozstawał się od domniemanej śmierci Rebeki, leżała na jej piersi jak w dniu, kiedy poznał ją w drodze do Damaszku.

– Widzisz? – szepnął. – Zawsze byłaś ze mną.

– Jason... – Łzy migotały na jej rzęsach jak lśniące kryształki. – Och, Jason, na co ty czekasz?

Pochylił się nad nią, a ona roześmiała się uszczęśliwiona.

– O tak... – szepnęła, zanim przytknął usta do jej ust.

Podziękowania

Dziękuję „The Sinocism China Newsletter” i „Financial Timesowi” za spostrzeżenia na temat Chin.